

~ 100 LAT Z TYSIĄCLECIA ~

DROGI DO NIEPODLEGŁEJ DEBATY BELWEDERSKIE

5 XI 2016 – 14 VI 2018



DROGI DO NIEPODLEGŁEJ
DEBATY BELWEDERSKIE



KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ – KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI
PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

❧ 100 LAT Z TYSIĄCLECIA ❧

DROGI DO NIEPODLEGŁEJ DEBATY BELWEDERSKIE

5 XI 2016 – 14 VI 2018

redakcja naukowa
prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Warszawa 2018

Korekta
Zespół

Projekt okładki i skład
Marcin Koc

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi
Polskiemu, Kancelaria Prezydenta RP, Warszawa 2018

ISBN 978-83-8098-501-8

Zapraszamy:
www.ipn.gov.pl www.ipn.poczytaj.pl

SPIS TREŚCI

<i>List prezydenta Andrzeja Dudy do uczestników debaty</i>	<i>7</i>
<i>Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości?</i>	<i>9</i>
<i>Drogi do Niepodległej – kontekst międzynarodowy</i>	<i>41</i>
<i>Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918</i>	<i>73</i>
<i>Nie tylko Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918</i>	<i>107</i>
<i>Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918</i>	<i>137</i>
<i>Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918, cz. II</i>	<i>183</i>
<i>Wznoszenie zrębów państwa</i>	<i>223</i>
<i>Wkład Kościoła w odbudowę Niepodległej</i>	<i>271</i>

List prezydenta Andrzeja Dudy do uczestników debaty

Szanowni Państwo!

Cieszę się, że na kilka dni przed Świętem Niepodległości spotykają się Państwo w Belwederze, aby dyskutować o dziejowych drogach, które wiodły do zjednoczonej, niepodległej i suwerennej Rzeczypospolitej. Serdecznie witam wszystkich uczestników debaty. Wyrażam wielką radość, że grono wybitnych badaczy, reprezentujących różne środowiska, odpowiedziało na zaproszenie do dyskusji, która służy nie tylko popularyzacji historii i pielęgnowaniu narodowej pamięci, ale również wzmocnieniu obywatelskiej świadomości Polaków. To cel, który nas wszystkich łączy.

Dzisiejsza debata otwiera cykl naukowych spotkań historyków z okazji zbliżającej się setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Obok obchodzonego w tym roku jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski stulecie odrodzenia państwa polskiego to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie, wokół którego koncentruje się nasza zbiorowa pamięć, poczucie uczestnictwa w historycznym łańcuchu pokoleń i duma z polskości. Chciałbym, aby przygotowania do tej doniosłej rocznicy służyły godnemu jej upamiętnieniu, a także narodowej refleksji. Jest to okazja, aby pogłębić wiedzę Polaków o tym, z jakim poświęceniem, trudem, odpowiedzialnością i mądrością nasi przodkowie zdołali „wybić się na niepodległość”. Jest to również okazja, aby jeszcze bardziej umocnić w polskich sercach i umysłach instynkt państwowy, poczucie, że własne niepodległe państwo umożliwiające historyczną podmiotowość jest wartością bezcenną. Dla dobra narodu – wartością najwyższą.

Tego uczy nas lekcja polskiej historii. Historii, która nie jest zamierzonym czasem, zamkniętym w muzeach i archiwach, ale stanowi wciąż żywe dziedzictwo, zbiór doświadczeń pomocnych w podejmowaniu także współczesnych wyzwań. Powinniśmy czerpać inspirację z tego, jak nasz naród potrafił przetrwać i ochronić wiarę, że „jeszcze Polska nie zginęła”. Ciągłe warto powracać do chwil, gdy zbiorowym wysiłkiem

potrafilismy tak dobrze wykorzystać dziejową koniunkturę. Musimy pamiętać, że historia nie daje prezentów, ale sprzyja tym, którzy czynem upominają się o swoje prawa i drogie im wartości. Nikt lepiej od Państwa nie wie, że kształt wydarzeń historycznych nie jest zdeterminowany. To oznacza, że wolności nikt Polakom w sposób nieodwołalny nie obiecał ani nie podarował – i że także dzisiaj, zgodnie z pouczeniem papieża Jana Pawła II, jest nam ona dana, ale również zadana.

Znaczenie Aktu 5 listopada 1916 r., któremu poświęcona jest dzisiejsza konferencja, sprowadza się przede wszystkim właśnie do tego, że wolność kiełkuje i rozrasta się tylko na podatnym gruncie. Akt 5 listopada uruchomił sekwencję ważnych wydarzeń, które sprawę polskiej niepodległości postawiły na powrót na arenie międzynarodowej. Nie doszłoby jednak do tego, gdyby nie zabiegi Józefa Piłsudskiego o stworzenie załóżków polskich sił zbrojnych, gdyby nie czyn legionowy, gdyby nie bohaterstwo Polaków w bojach, okazane m.in. w ważnej bitwie pod Kostiuchnówką. I nawet przy sprzyjającej koniunkturze politycznej znacznie istotniejsza od stanowiska obcych rządowych gabinetów okazała się polska determinacja w dążeniu do niepodległości, siła naprędce przecież zbudowanej polskiej armii i narodowa jedność we wznoszeniu fundamentów suwerennej Rzeczypospolitej. To wspaniała lekcja historycznej sprawczości, która także dzisiaj jest dla nas źródłem patriotycznej dumy i energii.

Życzę Państwu owocnych obrad. Życzę, aby dzisiejsza debata i kolejne konferencje pogłębiały świadomość historyczną Polaków i zachęcały do skupienia się wokół wielkiego wspólnego dobra, jakim jest niepodległa Rzeczpospolita. Proszę przyjąć serdecznie pozdrowienia.

Z wyrazami szacunku i sympatii –
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda

DEBATA I

Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości?

(5 listopada 2016 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, prof. dr hab. Krzysztof Kawalec, dr hab., prof. IH PAN Grzegorz Kucharczyk, dr hab. prof. UW Tomasz Nałęcz, prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Minister Wojciech Kołarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Witam bardzo serdecznie w Belwederze. Witam w gościnnych progach Kancelarii Prezydenta na debacie historyków, pierwszej debacie historyków, która wpisuje się w obchody rocznicy stulecia niepodległości. Obchodzona w 2018 r. rocznica stulecia odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości i suwerenności jest dla nas, Polaków, znakomitym pretekstem, żeby zastanowić się nad tym, czym dla nas dzisiaj jest wolność, własne państwo; zastanowić się, kim dzisiaj jesteśmy, zapytać o naszą tożsamość, tradycję, do których się odwołujemy. By pokazać historię jako coś żywego, coś, co kształtuje naszą dzisiejszą rzeczywistość, naszą teraźniejszość. Tak też proszę spojrzeć na dzisiejszą debatę – debatę rozpoczynającą cykl, który Kancelaria Prezydenta wspólnie z Instytutem Pamięci Narodowej dzisiaj inicjuje.

W naszym zamierzeniu, debaty historyków, którzy tutaj, w Belwederze, w miejscu szczególnym dla polskiej historii, dla odzyskania polskiej niepodległości, będą rozmawiać, toczyć spory, po to, żebyśmy na nowo spojrzeli na drogi odzyskania przez Polskę niepodległości i – następnie – na zmagania w budowie suwerennego państwa.

Dr Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Bardzo serdecznie dziękuję panu prezydentowi, Kancelarii Prezydenta za wspólne rozpoczęcie tego cyklu debat, podczas których będziemy dyskutować



• Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości? •



o wydarzeniach sprzed stu lat. Pójdziemy drogą, którą szli nasi przodkowie, aby spotkać się w listopadzie 1918 r.

Dziękuję szczególnie za to miejsce, za Belweder. Proszę państwa, dokładnie 100 lat i godzinę temu w tym miejscu, w Belwederze – pogoda wtedy była trochę lepsza, bo świeciło słońce – generał-gubernator Hans von Beseler zwołał konferencję prasową. Spotkał się tu z dziennikarzami, aby opowiedzieć o tym, co wygłosi godzinę później na Zamku Królewskim. Być może sto lat temu, o tej godzinie, wsiadał do powozu. Ruszała kawalkada samochodów, Krakowskie Przedmieście i plac Zamkowy były wypełnione tłumem; były biało-czerwone chorągwie, aż w końcu ogłoszono Akt 5 listopada. Była dekoracja patriotyczna. Ale dekoracje nie zastąpią nam niepodległej Polski. Na nią musieliśmy jeszcze poczekać; musieliśmy cenę za nią jeszcze zapłacić.

Kilka tygodni wcześniej od strony Pragi wkraczała do Warszawy II Brygada Legionów. Jak wówczas ci żołnierze wyglądali? Świadkowie tamtych czasów zostawili nam świadectwa – duch ino, ciała brak. Ale duch uniesiony nadzieją zdolny jest do wielkich czynów. Nad tym duchem zdolnym do czynów pracowało kilka pokoleń.

Za dziesięć dni kolejna wielka rocznica – stulecie śmierci Henryka Sienkiewicza, laureata literackiej Nagrody Nobla. Co ci młodzi chłopcy, po różnych stronach, i w Legionach, i w korpusach polskich w Rosji, co mieli w swoich plecakach? Mieli dzieła Sienkiewicza. A jakie były ich pseudonimy, choćby tych z Polskiej Organizacji Wojskowej – iluż tam było „Skrzetuskich”, „Babniców”, „Rochów”, „Kmiciców”? Oni na tym zostali wychowani.

Drogi do niepodległości były różne. Bardzo byliśmy podzieleni. To musiało boleć, gdy ta droga do niepodległości, która zaczęła się 6 sierpnia 1914 r., gdy I kompania kadrowa wyruszyła z Krakowa. Oni po drodze poszli do Oblęgorka, chcąc złożyć hołd temu, który ich wychował – Henrykowi Sienkiewiczowi. A on ich przyjął bardzo chłodno, bo nazywał Legiony szaleństwem. Ale mówił też: „Ja szanuję tych ludzi, bo zamiast siedzieć w Wiedniu i debatować, własnym czynem, własną głową ryzykują.”; bo żeby była Niepodległa, to potrzebny był nie tylko duch, dekoracja, lecz także czyn. I na ten czyn nasi przodkowie się zdobyli. Jego efektem było odzyskanie niepodległości.

• *Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości?* •

Ale potem przyszły jeszcze trudniejsze lata. Trzy lata budowy fundamentów niepodległej Polski – II Rzeczypospolitej. To nie było państwo doskonałe, ale było nasze. Socjologowie obliczają, że gdyby nie II wojna światowa i jej następstwa, byłoby nas dzisiaj 70 milionów. A jest o blisko połowę mniej. To też była ta cena. Ale dlatego tak szanujemy niepodległość.

Będziemy się tutaj spotykać, żeby się o to spierać i o tym przypominać. Ale niepodległa Polska to nie tylko debaty, nie tylko dekoracje. Niepodległa Polska potrzebuje czynu.

Najlepszym wypełnieniem testamentu naszych przodków będzie zbudowanie sprawnego, uczciwego państwa polskiego. W tę pracę musimy zaangażować się wszyscy.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Debata została zatytułowana „Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości?” – z mocnym pytańnikiem na końcu, albowiem jednoznacznej odpowiedzi na to otwarte przecież pytanie nie ma i nie sądzę, żebyśmy zdołali jej dzisiaj udzielić.

Chciałbym, abyśmy skoncentrowali na trzech kręgach tematycznych. Krąg pierwszy wiąże się z Aktem 5 listopada, postrzeganym jako wypadkowa licytacji wewnętrznej i zewnętrznej w sprawie polskiej. Drugi krąg, w moim przekonaniu ważniejszy, to międzynarodowe konsekwencje tego aktu, co należy sprowadzić do próby odpowiedzi na pytanie, czy to wydarzenie było rzeczywiście prologiem niepodległości. I wreszcie krąg trzeci, czyli zagadnienie realnych, opartych na listopadowej deklaracji, polskich działań państwowotwórczych.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Akt 5 listopada nie miał szczęścia w czasach PRL. Nie miał szczęścia również w okresie międzywojennym. A to ze względu na konflikt między Hansem von Beselerem a Józefem Piłsudskim. Dla Piłsudskiego Beseler był wrogiem nr 1 – co zresztą było odwzajemniane. Dlatego też w ówczesnych podręcznikach szkolnych, w różnych tekstach propagandowych ten akt nie mógł się cieszyć uznaniem. Dopiero w ostatnich kilkunastu latach, za sprawą m.in. prof. Włodzimierza Sulei, zwrócono uwagę na jego konsekwencje

wewnętrzne. Na to, że nie byłoby szybkiej odbudowy państwowości polskiej, gdyby nie Akt 5 listopada.

Pytanie podstawowe: jak doszło do ogłoszenia tego aktu, dlaczego Niemcy i Austriacy go wydali? Przypomnijmy, że 5 sierpnia 1915 r. wojska niemieckie zajęły Warszawę – przy czym w historiografii niemieckiej nie mówi się o tych oddziałach „wojska niemieckie”, ale „wojska bawarskie”. Określano je ponadto jako wojska katolickie, a skoro katolickie, to prawie takie jak polskie. Była to próba ocieplenia wizerunku armii okupacyjnej, dla mieszkańców ówczesnej Warszawy bowiem „naszą” armią była armia rosyjska, „naszymi” żołnierzami byli Kozacy. Ten entuzjazm dla armii rosyjskiej, jako „naszej”, był różnymi względami uzasadniony – a przykrości z tego tytułu doświadczali choćby Legioniści.

Niemcy po wkroczeniu do Warszawy zastanawiali się, co zrobić ze zdobyczą. Jak ją zagospodarować. Zwłaszcza że rozpędzona armia niemiecka nie myślała o zatrzymaniu się na linii rzek Niemen i Bug, ale – zgodnie ze starożytną zasadą wynikającą z tego, że apetyt rośnie w miarę jedzenia – posuwała się maksymalnie daleko w kierunku wschodnim, zajmując rozległe terytoria dawnej Rzeczypospolitej. Dodajmy, że po odparciu latem 1916 r. ofensywy Brusilowa, powstrzymaniu Rosji wojska te maszerowały dalej – aż do podpisania traktatu brzeskiego. Natomiast już w 1914 r. wybitny architekt polityki niemieckiej kanclerz Bethmann-Hollweg powiedział, że na ziemiach wydartych Rosji trzeba stworzyć nowe organizmy, swoistą ich unię pod patronatem Niemiec, która to unia miałaby objąć w przyszłości ziemie położone na zachodzie, takie jak kraj Flamandów i zachodnie rubieże Francji, rozciągając się po Rumunię i postępując dalej w kierunku wschodnim. W 1916 r. te plany stworzenia takiej właśnie niemieckiej Europy zaczęły się materializować w postaci rozległego terytorium od mającej wkrótce powstać Finlandii, późniejszych republik bałtyckich – wtedy było to powołane przez Niemców Zjednoczone Księstwo Bałtyckie – aż po zdegradowane państwo Habsburgów. Habsburgowie w tej niemieckiej Europie mieli pełnić funkcje dopełniające, uzupełniające. Pomysł niemieckiej unii czy ligi to coś znacznie więcej niż koncepcja Mitteleuropy z roku 1915. Koncepcja Mitteleuropy to była w gruncie rzeczy jedynie zapowiedź późniejszych działań. Według roz-

winiętego już zamyśłu, Europa miała być niemiecka, w pełni przez Rzeszę zdominowana: wszędzie, włącznie z Litwą, Ukrainą, Finlandią itd. na czele lokalnych rządów mieli stać monarchowie niemieccy – choć w Rumunii nie trzeba by było ich zmieniać, bo tam władcy już byli pochodzenia niemieckiego, podobnie w Bułgarii. Akt 5 listopada był właśnie aktem, który zapowiadał kreację nowego bytu politycznego – tej niemieckiej Europy. W ogóle miał on być wydany 2 listopada, czyli w Dzień Zaduszny. Przed jego ogłoszeniem, w końcu października, grupa kilku polityków aktywistycznych z Warszawy udała się do Berlina i Wiednia, usiłując uzyskać minimalne bodaj gwarancje dla nowego tworu. Nie wytargowali nic, nie uzyskali żadnych gwarancji dotyczących konstytucji, terytorium, ustroju, a jedyne, co wywalczyli, było przekonanie Niemców i Austriaków, że ogłoszenie aktu 2 listopada jest datą fatalną – to był jedyny „sukces”.

Dr hab. Tomasz Nałęcz

Dla mnie prologiem polskiej niepodległości było wielkie narodowe poruszenie w latach 1904–1908. Gdyby uruchomić metody statystyczne i zdiagnozować energię narodową poświęconą na walkę z wrogiem – i to we wszystkich trzech zaborach, bo mówię tutaj o wielkim narodowym poruszeniu, co prawda zapoczątkowanym w zaborze rosyjskim, ale przecież udzieliło się to też, w innych formach, dwóm pozostałym zaborom – to ta energia byłaby o wiele większa niż w roku 1918, w którym to społeczeństwo było wyniszczone czteroletnią okupacją, wygłodzone, pełne apatii. Zresztą lata 1904–1908 były też niejako próbą generalną dla wszystkich bohaterów z okresu II wojny światowej i wypracowywaniem, w wyniku doświadczeń, koncepcji, które później usiłowano zrealizować.

W odniesieniu do Aktu 5 listopada generalnie podzielam opinię prof. Andrzeja Chwalby. Profesjonalny historyk nie może mieć tu odmiennej opinii niż ta, że o wydaniu aktu decydowały względy międzynarodowe, a w gruncie rzeczy plany niemieckie. Wiedeń od początku wojny kompromitował się swoim ułomnym wysiłkiem wojennym, a po ofensywie 1916 r. – która zresztą pokazała wartość bojową żołnierza legionowego – był już całkowicie skompromitowany. Przecież Austro-Węgry przegrałyby wojnę w 1916 r., gdyby nie pośpieszne i okupione dużym wysiłkiem niemieckim załatanie tej wielkiej

dziury, która bez tego stałaby się już wówczas końcem monarchii. A więc faktycznie wówczas decydował Berlin, liczyła się wielka polityka Berlina.

Swe znaczenie miała też polska energia narodowa. Ale moim zdaniem ona nie rozstrzygała. Decydowała wielka polityka i zasadnicza zmiana wyobrażeń niemieckich co do ładu powojennego. Akt 5 listopada miał być przecież pierwszą odsłoną ułożenia Europy po wygraniu wojny przez Niemcy. I my tego aktu dziś nie deprecjonujemy.

Trzeba jednak zaznaczyć, że to, co się Polakom udało zrobić, przygotować (struktury państwowe, siły zbrojne), było bezcennym kapitałem w roku 1918. Bez tego, kto wie, jak w pierwszych listopadowych dniach wyglądałby „start niepodległości”. Powiem to z pozycji człowieka lewicy – chociaż w historii nie ma ludzi lewicy i prawicy – że się czasami zastanawiam, jak to było możliwe, że Piłsudski mógł wydać ordynację wyborczą w ciągu dziesięciu dni po objęciu urzędu. Jak to zrobił? Otóż był już gotowy jej tekst – przygotował go Mieczysław Niedziałkowski, który pracował w odpowiednim biurze najpierw Tymczasowej Rady Stanu, a potem Rady Stanu. Niedziałkowski miał swoje poglądy, ale uczciwie wykonywał swoje obowiązki referenta czy starszego referenta. Tekst ordynacji był więc gotowy, można go było po prostu wziąć, decydent polityczny to akceptował, dlatego nie trzeba było szukać autora. Nie trzeba było zwracać się w tej sprawie do uczonych profesorów uniwersyteckich, bo ci pisaliby tę ordynację tygodniami i debatowaliby nad nią miesiącami. Tak więc to wszystko, co udało się Polakom przygotować niejako w cieniu aktu, jest niesłychanie ważne. Projekt wielkiej wizji niemieckiej z hukiem się zawalił, a to pozostało.

Przypomnę, że Niemcy porzucili projekt Europy, w którym usiłowali szukać porozumienia z Rosją, w której by równoważyły siły – tak jak równoważyły siły w tej części Europy, ku polskiej tragedii, przez kilka pokoleń – i postanowili zbudować Europę Wschodnią przeciwko Rosji. To jest paradoks. Nie żaden Lenin, nie Wilson, tylko cesarskie Niemcy postawiły na siłę wspólnot narodowych, uczuć narodowych. Postanowiły pociąć ten fragment Europy na państwa narodowe – oczywiście zgodnie ze swoimi interesami, tak jak powiedział prof. Chwalba – z monarchiami niemieckimi na czele, którzy mieli organizować państwowość. I były w Polsce siły gotowe ten zamysł realizować.

Chciałbym tu również wrzucić jeden element polemiczny. Moim zdaniem Piłsudski niechętnie wracał do sprawy Aktu 5 listopada nie dlatego, jak mówił prof. Chwalba, że nie lubił Beselera. Były miesiące, że go lubił. Przecież Niemcy najpierw nie chcieli o Piłsudskim słyszeć i to oni wymusili na Austriakach wyrzucenie go z Legionów; trzeba było za pośrednictwem Austriaków „wpychać” Piłsudskiego Niemcom do Warszawy – w końcu został on członkiem Tymczasowej Rady Stanu z nominacji austriackiej, nie niemieckiej i w tym charakterze przyjechał do stolicy. I właśnie w budynku, w którym dziś się znajdujemy i w którym zresztą Beseler mieszkał i urzędował, panowie spotkali się ze sobą w połowie grudnia 1916 r. Wielkie tłumy witały przyszłego Marszałka na ulicach Warszawy, by nacisnąć na Beselera. Znamy zdjęcia z tego wydarzenia. Są to te same zdjęcia, które przez dziesięciolecia propaganda piłsudczykowska, a potem też peerelowska, próbowała prezentować jako materiały z 10 listopada 1918 r. A to są zdjęcia z 12 grudnia 1916 r.

Było kilka miesięcy „płomiennego romansu” Piłsudskiego i Beselera...
(Prof. dr hab. Andrzej Chwalba: Nie, nie, nie...)

Panie profesorze, to widać. Jestem autorem monografii o POW. Ileż to historycy POW musieli się namęczyć, żeby „wykadrować” oficerów niemieckich obecnych na ćwiczeniach wojskowych! Bo przecież skoro Marszałek budowałby ten czyn przeciwko Niemcom, to podczas ćwiczeń nie mogło być przyglądających się oficerów niemieckich. Marszałek realizował swój wielki pomysł budowy armii polskiej. Liczył, że zrobi to przy boku Niemców. Szybko jednak się rozczarował, przekonał się, że to niemożliwe i zmienił koncepcję. Ale przez kilka miesięcy żył w takiej nadziei.

Piłsudski był jednak pierwszy, który się zorientował – pewnie już w lutym czy w marcu roku 1917 – że to liczenie na Niemców nie ma sensu, że z tej mąki nie będzie chleba. Ale byli ludzie, którzy trwali wówczas przy Niemcach bardzo długo, chociażby Sikorski. Przecież w konflikcie między Sikorskim i Piłsudskim chodziło o to, że Piłsudski miał pretensje do Sikorskiego, iż ten zbyt wiernie służył Niemcom, natomiast Piłsudski był gotów na alians z Niemcami w imię interesów Polski, ale nie w imię interesów Berlina. Przepraszam, rozgadałem się.



• *Akt 5 listopada 1916 r. Prolog niepodległości?* •



Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Pierwsza sprawa jest bezsporna – Akt 5 listopada zrobiono ponad naszymi głowami. Nieco inaczej sprawa ma się z Piłsudskim. Bo jeżeli nawet było to „małżeństwo”, to z rozsądku i bez finalnej konsumpcji – chyba że mówimy tu też o gwałcie magdeburskim.

Prof. dr hab. Krzysztof Kawalec

Elementem tła w czasie, kiedy Niemcy przygotowywali, a później ogłosili swoją deklarację, były krwawe bitwy materiałowe, przede wszystkim na froncie zachodnim. Coraz dotkliwiej był odczuwany przez Niemcy brak rezerw ludzkich. To odcisnęło piętno na konstrukcji dokumentu, w tym sensie, że proklamowana przez Niemców Polska nie miała określonych granic, nie miała określonego zakresu suwerenności, natomiast miała mieć siły zbrojne, które – jak można było oczekiwać – w razie pomyślnego ich zbudowania zostałyby przepuszczone przez „maszynkę do mięsa” na którymś z frontów, podczas jakiejś kolejnej wielkiej bitwy materiałowej. Mówię o tym dlatego, że był to element „atrakcyjności” niemieckiej propozycji, z którego polskie elity w większym albo w mniejszym zakresie zdawały sobie sprawę. I również w mniejszym albo w większym stopniu skłonne były to bądź akceptować, bądź traktować jako zło konieczne, jako ofiarę, którą naród powinien złożyć na ołtarzu niepodległości. Nasuwa się tu pytanie, czy rzeczywiście naród lub też jego elity mają obowiązek pójść za pierwszym wyciągnięciem przez kogoś biało-czerwonego sztandaru, pomachaniem nim, posłużeniem się miłymi dla serca godłami i obietnicą, że później jakoś to będzie.

Trzeba tu powiedzieć jeszcze jedno, bo to też jest element polskich działań, a może bardziej aspiracji, przynajmniej tej części opinii publicznej, która przyjęła propozycje niemieckie z daleko idącą nieufnością. Wspominałem już, że ceną związaną z niemiecką ofertą byłaby danina krwi, koszmarna i złożona ewidentnie w niemieckim interesie. Drugim takim elementem była przyszłość gospodarcza i ten zakres suwerenności, który wynikał z niemieckiej polityki gospodarczej, przede wszystkim z rekwizycji, które doprowadziły do cywilizacyjnego cofnięcia się obszarów okupowanych przez Niemcy w wyniku potraktowania instalacji przemysłowych jako złóż surowców, metali, i w wyniku pozyskiwania tego w sposób rabunkowy. Innymi słowy

Polska mogła odrodzić się jako twór państwowy czy *quasi*-państwowy. Dobrą tego stroną – jeśli oceniać rzecz cynicznie – byłoby zapewne to, że byłaby tworem zintegrowanym z wysoko rozwiniętym państwem środkowej Europy. Rządzona byłaby przez elity konserwatywno-liberalne, które czerpałyby z tego korzyści. I to byłaby pewna perspektywa. Mam jednak wątpliwości, czy ona byłaby dla społeczeństwa polskiego w dłuższym okresie atrakcyjna? Natomiast w obrębie środowisk, które kontestowały pomysł niemiecki, czyniono to, mając na uwadze wizję Polski jako państwa suwerennego, złożonego z ziem trzech zaborów, z dostępem do morza, co oznaczało perspektywę swobodnego prowadzenia handlu zagranicznego i rozwoju, z dostępem do kluczowych surowców, przede wszystkim węgla. Była wiara, że realizacja tej wizji jest możliwa, było przekonanie, że będzie to możliwe po zorientowaniu się Polski na państwa koalicji antyniemieckiej, a problem rosyjski się rozwiąże, jak początkowo sądzono, za sprawą tego, że Rosja nie będzie najsilniejszym członem koalicji antyniemieckiej; później, w miarę upływu czasu, coraz wyraźniejsze stawało się to, że problem rosyjski rozwiąże się sam w tym sensie, że Rosja wojny nie przetrwa. To były te elementy kalkulacji, które skłaniały do oprostowywania inicjatywy niemieckiej. Oprostowywanie łączyło się z podjęciem intensywnych działań na rzecz – używając współczesnego języka – promocji wizji Polski jako państwa suwerennego i silnego w obrębie działania kluczowych polityków zachodnich i kluczowych państw zachodniego sojuszu. Roman Dmowski w owym czasie mylnie uważał, że takim kluczowym państwem będzie Wielka Brytania i że będzie to przyszły strategiczny aliant odbudowującego się państwa polskiego. Był to błąd, bo Anglia nie weszła w tę rolę.

Nie wchodząc wszakże w szczegóły tego i nie snując opowieści, która jest opowieścią odrębną i słabiej z Aktem 5 listopada związaną, powiem – doceniając znaczenie kroku, który uczyniło dwóch cesarzy, i decyzje przez nich podjęte – że trzeba to wydarzenie widzieć także jako element łańcucha, którego istota sprowadzała się do kruszenia się ukształtowanej w ciągu XIX w. solidarności państw zaborczych. Początkiem tego łańcucha była deklaracja wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza z sierpnia 1914 r., gdzieś w środku plasował się Akt 5 listopada, później była deklaracja pre-

zydenta Stanów Zjednoczonych, następnie gdzieś po drodze deklaracja tymczasowego rządu petersburskiego, a zwieńczeniem – deklaracja wersalska z 3 czerwca 1918 r.

Dr hab. Grzegorz Kucharczyk

Zacznę od polemiki. Otóż ta deklaracja wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza jest wątpliwa jako pierwsze ogniwo, gdyż wkrótce po niej nastąpiło dramatyczne wydarzenie, jakim było wycofywanie się, zgodnie z taktyką „spalonej ziemi”, armii rosyjskiej z ziem Królestwa Polskiego. I społeczeństwo w tej części ziem polskich dobrze to zapamiętało.

Mam też refleksję, że można by uzupełnić podtytuł dzisiejszej debaty zapowiedzią: „Prolog niepodległości i jedności ziem polskich”. Często patrzymy na historię I wojny światowej na ziemiach polskich tylko przez pryzmat zaboru rosyjskiego, a zwłaszcza Kongresówki, podczas gdy Akt 5 listopada miał bardzo duże konsekwencje dla ożywienia życia politycznego w zaborze pruskim, czy szerzej – dzielnicy pruskiej. To widać w dokumentach, które przetrwały.

Chodzi tu chociażby o aktywność Koła Polskiego, lecz także o aktywność różnych polskich organizacji w Wielkopolsce. Mówię o tym, bo przecież tamtejsi Polacy pytali: no dobrze, a co z nami? I choć rzeczywiście Królestwo Polskie było zapowiadane bez granic, to stawiano kwestię: jakie będzie nasze miejsce w tym wszystkim? Inną mało znaną kwestią jest udział Wielkopolan czy generalnie Polaków z zaboru pruskiego w administracji okupacyjnej, której szefował generał-gubernator Beseler. Na miejscu, na poziomie powiatów i gmin, było wielu Polaków właśnie z zaboru pruskiego. O tym też trzeba pamiętać. Jeśli porównujemy dwie okupacje niemieckie na ziemiach polskich w XX w. – bo pewne sprawy najłatwiej uchwycić przez kontrast – to zauważamy, że w 1939 r. Niemcy zamykali polskie uniwersytety i profesorów, natomiast w 1915 r. polski uniwersytet w Warszawie został za zgodą okupacyjnych władz niemieckich otwarty.

Zresztą spojrzenie na historię Polski dla ludzi z tamtych czasów jest zupełnie inne niż nasze. Dla nich na przykład jednym z najważniejszych wydarzeń było to, że okupacyjne władze niemieckie pozwoliły na kilkuset tysięczną demonstrację 3 maja 1916 r. z okazji kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Nie sposób też nie uwzględnić perspektywy niemieckiej. Wprawdzie Niemcy były głównym aktorem, jeśli chodzi o Akt 5 listopada, to sami Niemcy nie byli jednolici w ocenie jego sensowności. Trzeba pamiętać, że to nie było cesarstwo niemieckie, tylko Rzesza Niemiecka. Na przykład rząd pruski od początku bardzo mocno protestował przeciwko myśleniu, aby stworzyć jakąś namiastkę państwa, jakiś *Pufferstaat* między Rzeszą a Rosją. Zresztą 8 października 1916 r. przyjechał do Berlina Beseler, żeby przekonać ministrów pruskich do idei, która potem została opisana w Akcie 5 listopada, i nie przekonał ich. Podobnie nie przekonał parlamentu pruskiego, Landtagu, który kilkanaście dni po proklamacji Aktu 5 listopada go oprotestował. To jest również wysoce charakterystyczny kontekst tego, co w propagandzie niemieckiej nazywano *deutsch-polnische Verständigung*, czyli niemiecko-polskim porozumieniem.

Warto też podkreślić, że Beseler w listach prywatnych do żony nazywał Polaków *politische Kinder*, czyli politycznymi dziećmi, i pisał: „my jesteśmy tutaj po to, żeby ich wychowywać”. *Erziehen* – czyli: wychowywać – to najczęściej pojawiający się tam wyraz. Widać w tym właśnie typowo pruskie podejście do tego „dzikiego Wschodu”; my, Niemcy, mamy go, jako kulturtregerzy, cywilizować. Mieści się w tym również kwestia długiego trwania stereotypów antypolskich, ale skoro mówimy o funkcjonującym w międzywojniu spojrzeniu niemieckim, takim ponad podziałami partyjnymi, na Polskę jako na państwo sezonowe, co uwidacznia się także przy okazji Aktu 5 listopada.

Z kolei rekwizycje, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie aprowizacyjne, przymusowa praca, były dla Niemców absolutnym priorytetem, a dla polskiego społeczeństwa okazywały się niezwykle dotkliwe. Ale uniwersytet został otwarty, całe szkolnictwo – spolszczone. Były wybory do różnych stopni administracji samorządowej, lokalnej. Ten proces odbudowywania państwowości przebiegał, co wyraźnie widać po reakcji władz niemieckich, wbrew ich oczekiwaniom. Cóż, Polacy po prostu podejmowali działania w duchu tego, co kiedyś, w latach sześćdziesiątych XIX w., wyraził Andrzej Zamoyski: „Brać, ale nie kwitować”.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Dodam tylko, że właśnie tu, w Belwederze, niejaki Beseler niejakiego Piłsudskiego uczył patriotyzmu. I to wystarczy dla opisanego optyki jednej i drugiej strony.

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Akt 5 listopada kojarzy mi się z pytaniem: czy w historii dzieje się to, co jest zaplanowane, czy to tak jakoś wychodzi? I z 5 listopada jest chyba taki właśnie dylemat. Faktem jest, że plany czegoś w rodzaju Mitteleuropy były formułowane znacznie wcześniej. Wydaje mi się jednak, że Akt 5 listopada w takiej postaci i w takiej wymowie był wynikiem sytuacji, która wystąpiła w tamtym momencie, jesienią 1916 r. Wyczerpywały się już zasoby państw walczących, a zwłaszcza państw centralnych, oczywiście przede wszystkim Austro-Węgier, ale również Niemiec. Można się zastanawiać, dlaczego Niemcy planowali utworzenie z ziem centralnej Polski Królestwa Polskiego, które miało być odrębnym państwem. Przecież w roku 1795 Prusy wkroczyły do centralnej Polski i nie myślały o odrębnym państewku polskim, tylko podzieliły się ziemiami centralnej Polski z Austrią – i dobrze im z tym było. Państwa imperialne nie zawsze tworzą wyrafinowane koncepcje państw buforowych. To prawda, że akurat w tamtym momencie takie plany były, ale listopadowy akt należy uznać raczej za wynik tego, co się wydarzyło, a nie tego, co było zaplanowane znacznie wcześniej. O tym świadczyłby nie tylko sam Akt 5 listopada, lecz także to, co nastąpiło później, bo niemal natychmiast po nim rozpoczął się nabór do wojska. I to był sygnał, że państwo państwem, ale Niemcom naprawdę chodziło o mięso armatnie. Polacy natychmiast bardzo dobrze to zrozumieli. Bo przecież w Akcie 5 listopada nie mamy zapisów o ustroju, granicach – jest zaznaczone, że będą tu decydowali obydwaj cesarze. Tak więc z góry było wiadomo, że to będzie państewko satelickie. Na jakim będzie obszarze? Nie wiadomo. Kto nim będzie rządził? Nie wiadomo. Za to konkretnie przystąpiono do poboru armii. I ten pobór nie najlepiej wyszedł, co świadczy o dojrzałości społeczeństwa polskiego i o sceptycyzmie, z jakim to społeczeństwo odniosło się do planu zawartego w Akcie 5 listopada. Trzeba pamiętać również o tym, że ten obszar jeszcze dwa lata wcześniej należał do Imperium Rosyjskiego, a jego mieszkańcy byli obywatelami rosyjskimi. To nie było tak, że Niemcy mogli sobie pozwolić tu na wszystko; dlatego oni chcieli pozyskać sympatię Polaków.

Wydaje mi się, że Berlin wybierał swoją linię polityczną, znajdując się między dwoma skrajnościami. Prawdopodobnie rzeczywiście chciałby nieść

tutaj kulturę, germanizować i wszystko robić po swojemu. Jednakże nie bardzo mógł. To przypomina jednak trochę teorię nadmiernie rozciągniętego frontu imperialnego. Niemcy zapewne chcieliby rozbudować imperium, budować państwa buforowe, ale w pewnym momencie front nadmiernie im się rozciągnął. Dlatego też musieli Polaków pozyskiwać, kupować mglistymi obietnicami. Nie chcieli pewnie dawać za dużo, ale coś dać musieli. I ja widzę Akt 5 listopada jako próbę ustanowienia drogi czy znalezienia jakiegoś środka pomiędzy tym, czego by chcieli, a tym, co musieli zrobić.

Dodam jeszcze, że temat konferencji jest bardzo dobrze formułowany, bo skoro obchodzimy stulecie niepodległości, to dobrze zacząć od Aktu 5 listopada. On rzeczywiście był pierwszym krokiem do niej, krokiem pokazującym, że zaborcy będą musieli w sprawie Polski coś zrobić. I dwaj cesarze niemieccy podjęli sprawę polską przeciwko drugiej stronie – Rosji. I to było coś zupełnie nowego. I ten łańcuch od tego się zaczął; nazwałbym to licytacją o względy Polaków. Licytuje się o względy tych słabszych, upośledzonych, wtedy, gdy nie ma się siły narzucić im swoich warunków. Również druga strona podjęła się licytacji, a jej wynik poznaliśmy ostatecznie 11 listopada 1918 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rozumiem, że z sali pojawią się głosy polemiczne.

Prof. dr hab. Wojciech Materski

Polemizowałbym z dwoma tezami. Jedna teza to ta, że odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza nie miała większego znaczenia. Według mnie o wiele ważniejsza niż Akt 5 listopada, bo było to pierwsze formalne, pochodzące od głównodowodzącego armii rosyjskiej stwierdzenie, że państwo polskie zostało wbrew wszelkim normom rozdarte i że należy je z powrotem zjednoczyć. Oczywiście pod berłem carskim, niemniej – zjednoczyć. I zostało to powtórzone 25 grudnia 1916 r. przez cara Mikołaja II. Padły te same słowa: „Rozdarte na trzy części państwo polskie należy po wojnie zjednoczyć”. Forma rządów to już kwestia dalsza.

Druga teza to ta, że Akt 5 listopada był początkiem organizowania przez Niemcy Europy Środkowo-Wschodniej. On został wymuszony przez kręgi wojskowe z tych względów, o których mówił m.in. prof. Roszkowski. A jak

rozumiały go kręgi polityczne? Powiedzmy chociażby to, o czym tu jeszcze nie wspomniano, że terytorium państewka polskiego miało być jeszcze zmniejszone przez strefę buforową, o której politycy mówili, ale nie zawiadomiali o niej Polaków. Nie było o tym również śladu w Akcie 5 listopada. Chciałbym się upomnieć o jeszcze jedno. Mówimy tu o genezie niepodległości. Tymczasem ani w ramach obchodów, ani w publikacjach prasowych, ani dzisiaj nie padło choćby słowo o deklaracji lozańskiej z czerwca 1916 r. – deklaracji państw zniewolonych przez Rosję, zapowiadających wspólne dążenie do odzyskania niepodległości. U nas to wydarzenie jest przemilczane, a na przykład w Gruzji jest traktowane znacznie poważniej niż w Polsce Akt 5 listopada. Jest ono postrzegane jako geneza guzuńskiej niepodległości.

Dr hab. Zbigniew Wawer

Chciałbym się odnieść do spraw wojskowych. To prawda, że dwie wielkie bitwy, nad Sommą i pod Verdun, spowodowały ogromne straty w armii pruskiej. Trzeba też pamiętać, że znaczny procent żołnierzy uczestniczących w tych bitwach stanowili żołnierze pochodzenia polskiego. Kiedyś na jednym cmentarzu pod Verdun groby takich żołnierzy zostały oznaczone białymi wstążeczkami – okazało się, że tych grobów z wstążeczkami na tym cmentarzu było ponad 70 proc. Czyli to byli Polacy, którzy byli w armii pruskiej i walczyli na froncie zachodnim.

Akt 5 listopada dla tych żołnierzy miał oznaczać: „nie przechodźcie na stronę Francuzów, Francuzi nic na razie wam nie dają, a my wam coś obiecamy – damy wam później jakieś państwo”. Bo trzeba było tych ludzi czymś zachęcić. A straty tam były ogromne. W ataku nad Sommą po raz pierwszy w ciągu jednej godziny zginęło 25 tysięcy Brytyjczyków, jak nigdy do tej pory. To była hekatomba nieznana z żadnej z wojen. Sztab pruski oceniał, że straty będą coraz większe, że jest to wojna na wyniszczenie, pozycyjna. Zatem kto był tam potrzebny? Polak, bo Polak był uważany za dobrego żołnierza, dobrze bijącego się i – co może jest niepopularne, ale tak było – słuchającego rozkazów. W pamiętnikach oficerów pruskich nie ma wzmianek o dezercji polskich żołnierzy walczących nad Sommą czy pod Verdun i przechodzeniu ich na stronę francuską. Były tylko pojedyncze takie przypadki. Natomiast nie chciano tych oddziałów wysłać na front wschodni, bo tam zupełnie ina-

czej mogło to wszystko się potoczyć. Myślę, że Akt 5 listopada jest więc też przekazem do żołnierzy: „jeżeli wysłamy was na tamten front, to pamiętajcie o tym, że jak wrócie, to będziecie coś mieli – nie wiadomo dokładnie co, ale będzie to jakaś wasza wolna forma państwowości”.

Prof. dr hab. Waldemar Paruch

Nie wiem, czy przypadkiem, dyskutując na temat tych różnych aktów międzynarodowych, nie przeceniamy racjonalności polityki. Proszę zwrócić uwagę, czy w latach międzywojennych trzy pokolenia, które wtedy żyły, które elita polityczna reprezentowała, czy ona na pewno traktowała te akty jako akty konstytuujące niepodległość?

Zgadzam się z prof. Nałęczem, który mówił o kapitalnym znaczeniu lat 1904–1908. Proszę zwrócić uwagę, że to wtedy ukształtowały się główne strategie polityczne, których emanacją byli Roman Dmowski i Józef Piłsudski. Czy dla nich Akt 5 listopada na pewno był początkiem niepodległości? Jeśli chodzi o Józefa Piłsudskiego – absolutnie nie.

Polemicznie stwierdzę też, że owe emocje w stosunkach Piłsudskiego z Beselerem były konstytuujące – też nieprawda. W polityce Piłsudskiego decydowała bowiem racjonalność; on te emocje stwarzał, chciał nad nimi panować, wprowadzał je do obiegu społecznego, co nie znaczy, że działał pod wpływem tych emocji. Trzeba też patrzeć na Beselera jako na środek w polityce Józefa Piłsudskiego – środek doskonale wykorzystany potem także przez piłsudczyków, o czym mówił pan prof. Nałęcz. Oni umieli odczytać nastroj listopada i grudnia 1916 r., bo znali swojego wodza, wiedzieli też, jak on stwarzał owe nastroje. Nie wiem zatem, czy nie przeceniamy znaczenia tych dokumentów, mówiąc, że leży one gdzieś u podstaw niepodległości. Dziękuję.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W odniesieniu do wypowiedzi prof. Materskiego. Z całym szacunkiem dla tej ważnej deklaracji, która wybrzmiała w Lozannie, z polskiego punktu widzenia, jeżeli mówimy o Akcie 5 listopada, został tam – a jest to moje zdanie – przekroczony pewien Rubikon, coś się jednak stało. Rzeczywiście prawdopodobnie ani dla Piłsudskiego, ani dla Dmowskiego nie był to akt konstytutywny, można nawet z całą pewnością tak uznać, ale oni – i jeden, i drugi – znakomicie to wykorzystywali. Przecież po wojnie pojawił się,

zwłaszcza w kręgach niemieckich, argument mówiący o tym, że graliśmy na dwóch fortepianach – bo zresztą tak było. Czy było to w pełni uzgodnienie, czy było to działanie świadome, to jest już inna sprawa, jest to też kwestia do dyskusji, niemniej trudno na ten element nie zwrócić uwagi. Wydarzyło się coś innego, wskutek czego przy wykorzystaniu dodatkowych elementów, które się pojawiły, droga do niepodległości znacznie się poszerzyła – i miało to tego świadomość.

Dr hab. Grzegorz Kucharczyk

Odnosnie do deklaracji wielkiego księcia, to, o ile sobie przypominam, wielki książę starannie unikał sformułowania „państwo polskie”, używał raczej określenia „ziemie polskie”. To pierwsza różnica. A druga, że nie trzeba było czekać na wycofywanie się armii rosyjskiej metodą spalonej ziemi w 1915 r., żeby poznać, w jaki sposób rozdarte ziemie polskie chce jednoczyć Rosja. Bo to, co stało się we Lwowie czy generalnie w Galicji Wschodniej jesienią 1914 r., i to, jaki był model polityki władz rosyjskich realizowany tam wobec Polaków, dobitnie pokazywało, że deklaracje deklaracjami, a czyny czynami. Zresztą podobnie wyglądała kompromitacja państw centralnych, oczywiście zwłaszcza Niemiec, ale skompromitowało się każde z nich – Rosja bardzo szybko, bo już właśnie w momencie wejścia do Galicji Wschodniej, a mocarstwa centralne w lutym 1918 r., gdy sprzedały polską Chełmszczyznę i Zamojszczyznę niepodległej Ukrainie, którą same stworzyły, co zresztą było gwoździem do trumny ewentualnej opcji związanej z tymi mocarstwami.

Pozostanę zatem przy swoim zdaniu, że jeżeli już uwzględnić tu wszelkie inne deklaracje, to więcej okazji wykorzystanych przede wszystkim przez Polaków stworzył Akt 5 listopada.

Prof. dr hab. Wojciech Materski

Szanowny panie profesorze, zgadzam się w całości. Mnie chodzi o coś zupełnie innego – o to, że powstał precedens: oto ze strony państw zaborczych padła formalna, oficjalna deklaracja, iż ziemie polskie powinny być traktowane jako całość. Nie chodziło mi o to, czy to było realne.

Dr hab. Grzegorz Kucharczyk

Zgoda, ale skoro już jesteśmy przy sprawach formalnych, to przypomnę, że nazwa państwa polskiego padła dopiero właśnie 5 listopada.

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

O ile dobrze pamiętam, to granice ziem polskich według planu Sazonowa miały sięgać do Odry. Tak więc tu nie tylko o żadnym państwie polskim nie mogło być mowy, ale nawet o siedzibie narodu polskiego. Sazonow chciał, żeby po zwycięskiej wojnie zachodnią granicę imperium wyznaczał konflikt polsko-niemiecki, czyli – zgodnie z zasadą: dziel i rządź – żeby na zachodnich rubieżach imperium Polacy z Niemcami brali się za łby. Oczywiście te słowa o zjednoczeniu ziem polskich w ustach Rosjan mogą być dzisiaj traktowane jako pewien początek zmian czy precedens, ale ja bym tej roli nie wyolbrzymiał. Widziałbym w tym pewnego rodzaju przewrotną grę Rosji w odniesieniu do zachodnich rubieży własnego imperium – bo moim zdaniem Rosjanie traktowali te ziemie polskie wyłącznie jako przyszłą zdobycz terytorialną.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Skoro mowa o planach rosyjskich, to cofnijmy się jeszcze do 1912 r., do przygotowanej w sztabie rosyjskim *Karty buduszczej Jewropy*. Otóż granica na Odrze i Nysie nie była wymysłem z roku 1945, ale pojawiła się troszkę wcześniej.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Akt 5 listopada jest chyba jednak aktem przełomowym. Dlatego że, mimo intencji Berlina i Wiednia, jego konsekwencje dla naszego losu okazały się bardzo ważne. W akcie była zapowiedź stworzenia państwa. Od czasu nie-suwerennego Królestwa Polskiego z czasów kongresu wiedeńskiego – po stu latach mamy podobną sytuację. Po raz pierwszy mamy szansę stworzenia czegoś, co będzie dla nas, a nie przeciwko nam. I to naszymi własnymi rękoma.

Akt wielkiego księcia był dziełem kogoś, kto już rok później przestał być naczelnym wodzem. Sazonow też wkrótce odszedł, car nigdy do sprawy polskiej ręki nie przyłożył, Duma, która została zwołana w 1914 r., uchwały w tej sprawie nie przyjęła, mimo sugestii polskich posłów, a rząd przez ministra spraw wewnętrznych powiedział: odezwy, kochani gubernatorowie, nie praktykujemy, nie ma czegoś takiego.

Skutki Aktu 5 listopada okazały się dla nas bardzo istotne, jeśli patrzymy z perspektywy roku 1918 czy 1919 i wojny z bolszewikami z roku 1920, to po

listopadowym akcie zaczęły bowiem powstawać struktury państwa polskiego. Czy ziemie zachodnie Królestwa zostałyby odcięte i włączone do Rzeszy? Tego nie wiemy. Wiemy za to, że polonizacja szkolnictwa i sądownictwa, do której doszło jesienią roku 1917, objęła całość Królestwa Polskiego, po Prośnę i po Drwęcę – z wyjątkiem guberni suwalskiej.

Co do spraw związanych z wojskiem, to wiąże się z tym ów wspomniany spór na linii: Beseler–Piłsudski. Piłsudski bardzo boleśnie odczuł fakt, że w 1915 r., kiedy chciał odwiedzić Warszawę, dostał od Beselera czarną polewkę: nie ma wjazdu. I nie wjechał. Dopiero później, w 1916 r., kiedy akcje Piłsudskiego poszły w górę, Beseler łaskawie go do Warszawy wpuścił. Ale pojawia się tu również kwestia, kto był inicjatorem armii polskiej. Inicjatorem armii polskiej byli nie tylko Niemcy. Beseler uważał, że każde normalne państwo musi mieć armię – no bo co to za państwo, które nie ma armii? Ale czy Polacy mogą taką armią dowodzić? Według niego nie, bo Polacy, w jego przekonaniu, nie mieli myśli państwowej, nie byli dojrzałymi, nie było państwowości polskiej, Polacy nie mieli własnych wykształconych kadr. Stąd myślenie: to my, Niemcy, was uzbroimy, przezbroyimy, nauczymy, jak się dobrze bić. I stąd wprowadzenie niemieckich instruktorów do tej polskiej formacji, która wówczas powstała – Polnische Wehrmacht. Był to wynik przekonania Beselera i innych polityków niemieckich, że da to gwarancję stabilności państwa – uważali oni, że jeśli ma to być część niemieckiej Europy, to musi to być część cywilizowana, kulturowo dobrze zintegrowana z Niemcami, to zaś oczywiście wymaga czasu. To po pierwsze. Po drugie, kto chciał armii polskiej? Armii polskiej chcieli piłsudscy, chcieli jej też wszyscy zwolennicy Niemiec. Piłsudski w tym momencie był zwolennikiem Niemiec. I oni zabiegali o to, żeby armia polska powstała. Co ich dzieliło? Beseler mówił: armia będzie pod moim kierownictwem, bez Legionów. Piłsudski zaś mówił: armia będzie pod moim kierownictwem, pod nadzorem polskich władz, a nie niemieckich, z Legionami i z Polską Organizacją Wojskową. I kiedy 12 grudnia ci panowie spotkali się w tym oto miejscu, to Piłsudski wyszedł po dwóch godzinach, trzasnąwszy drzwiami, bo niczego nie uzyskał. I od tego momentu ich drogi zaczęły się rozchodzić.

I ostatnia sprawa – bardzo ważna. Nie było poboru do armii, bo to miała być armia ochotnicza. To nie byli Niemcy z II wojny światowej. Niemcy wilhelmińskie, cokolwiek by o nich powiedzieć, przestrzegały konwencji haskiej, a ona zakazywała powoływania armii z terytoriów okupowanych. Tak więc miała to być armia ochotnicza. Ta armia w listopadzie liczyła raptem 9 tysięcy żołnierzy. Niemcy nie potrzebowały polskich żołnierzy, potrzebowały polskich gastarbeiterów.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Dopowiem jeszcze, że ten wysiłek poboru ochotniczego, który rozpoczął się jesienią 1916 r., wysiłek mniej więcej 3 tysięcy ludzi prowadzących ten nabór i tym się zajmujących, którymi kierował Sikorski, przyniósł rezultat w postaci 1500 ochotników. A więc takie tam były proporcje – i o tym warto wiedzieć.

Przechodzimy jednak do drugiej części tematów. Do tej pory właściwie cały czas eksponowane było to, kto z nami grał – choć powoli zmierzamy też w kierunku polskich bohaterów – i w jaki sposób to robił, czym się posługiwał. W takim razie przejdźmy do tego, kto z naszej strony tę rozgrywkę prowadził i z jakim skutkiem. Wróćmy do tego, co rozgrywał Piłsudski i co osiągnął. Wróćmy też do tego, co rozgrywał Dmowski i co osiągnął.

Dr hab. Tomasz Nałęcz

To jest sformułowanie literackie: prolog niepodległości. Nikt rozsądny dzisiaj, tak samo zresztą jak w II Rzeczypospolitej, nie wiąże genezy niepodległości z Aktem 5 listopada. Chociaż książka Cata-Mackiewicza o Polsce niepodległej datuje Polskę niepodległą, zawierając ją w okresie 5 listopada 1916 r. – 17 września 1939 r. Mówimy wszakże o mechanizmie, który doprowadził do niepodległości, i w debacie z prof. Materskim jestem absolutnie po stronie moich kolegów z tej strony sali. Deklaracja wielkiego księcia była deklaracją wielkiego księcia, dlatego że w Petersburgu zapadła decyzja, że to nie cesarz ją podpisze. Natomiast Akt 5 listopada nie był deklaracją dwóch generał-gubernatorów. To oni ją odczytali, ale z cesarskiego upoważnienia, a to jest tak, jakby odczytał ją cesarz, tylko go tam nie było. Oczywiście my o planach rosyjskich w kontekście Polski wiemy dużo. Był to chytry pomysł na przesunięcie granic Imperium Rosyjskiego, bo nikt w Petersburgu nie zamierzał odbudowywać państwa polskiego. Znamy to z dalszej praktyki.





A wielkie znaczenie Aktu 5 listopada polegało też na tym, że uruchomił on nawet tę nieruchawą antypolską maszynę petersburską. Profesor Materski mówi: a rozkaz cara? Przecież był on wymuszony przez Akt 5 listopada. Dlaczego car nagle, po dwóch latach, przypomniał sobie o sformułowaniach wielkiego księcia, a wcześniej, przez dwa lata, nic, ani słowa w tej sprawie nie powiedział? Bo akt uruchomił licytację międzynarodową, co stworzyło pole gry dla obozu narodowego. Przecież Dmowski powoływał się na to wydarzenie w rozmowach z Francuzami, Anglikami i Rosjanami i mówił: zróbcie coś, bo inaczej Polacy uwierzą w ofertę niemiecką.

Nie identyfikuję się z wizją niemiecką, cieszę się ze zwycięstwa Ententy, ale jeśli by już tak cenić sobie słowa głównodowodzących, to o ile deklaracja wielkiego księcia była ostatnim tchnieniem gasnącego świata – dzielącego polskie imperium, świata, w którym każdy starał się jak najwięcej włączyć w swoje granice – o tyle deklaracja arcyksięcia Fryderyka, głównodowodzącego armią, wydana też w sierpniu roku 1914, dawała Polakom znacznie więcej, bo też mówiła o zjednoczeniu, oczywiście mówiła także o konkretnych ustępstwach. Tyle tylko, że słowa generałów w tym czasie nic nie znaczyły.

Otworzyło się, podkreślę raz jeszcze, znakomite pole do gry na arenie międzynarodowej i licytacja trwała w najlepsze. Jeśli chodzi o grę wewnętrzną, to pewna opozycja między prof. Chwałbą a mną pojawiła się dlatego, że ja, jako badacz gry Piłsudskiego z każdego wręcz dnia od lata roku 1916 i z roku 1917, może zbyt dogmatycznie, za bardzo przywiązując się do materiału źródłowego, mówiłem o grze Piłsudskiego z grudnia, stycznia, lutego i marca. A sytuacja bardzo szybko się zmieniła – i to bez udziału czy to cesarzy, czy armii cesarskich, ale w wyniku rewolucji w Rosji. Bo rewolucja w Rosji znakomicie dopełniła Akt 5 listopada i w gruncie rzeczy bezpowrotnie wyrzuciła dotychczasowy ład w tej części Europy. I już wszyscy wiedzieli, że w wyniku tego wielkiego kataklizmu, jakim były i wojna, i rewolucja rosyjska, ta część Europy zostanie zupełnie inaczej umeblowana. To zresztą bardzo szybko zmodyfikowało grę Piłsudskiego. Bo gra Piłsudskiego z Beselerem to była gra co najwyżej do marca 1917 r., a nawet wcześniej ona się skończyła. Piłsudski uważał też, że ta niemiecka gra z Polakami może być przejęta i odpowiednio spożytkowana.

Jeszcze jedna sprawa w odniesieniu do poboru i ochotników. Owszem, Niemcy szanowali konwencje, stąd pomysł z własnym polskim państwem – bo jak tu będzie Polska, to nie będzie to okupowane terytorium rosyjskie. Niemcy chcieli zacząć od ochotniczego poboru, ale piłsudczykom zależało na polskim rządzie... Precyzując, miało się zacząć od ochotniczego zaciągu – Sikorski kierował Krajowym Inspektorem Zaciągu – ale gdyby to zaczęło dobrze funkcjonować, to zamieniłoby się w pobór. Bo przecież wiadomo, że armia ochotnicza mogłaby liczyć góra kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, a Niemcom chodziło o armię kilkusettyśieczną, którą można by rzucić na wschód, odciążając – a pamiętajmy, że to było jeszcze przed rewolucją – front wschodni, bo jednostki ze wschodu przerzuciłoby się na zachód i rozstrzygnęłoby się w ten sposób wojnę. Te plany szybko okazały się nieaktualne, Piłsudski przekonał się, że to nie ma sensu, że Niemcy na to, czego on chciał, się nie zgodzą. Zmienił więc swoje plany wobec Rosji, zaczął nawet bardzo poważnie zastanawiać się, czy nie przenieść się na stronę rosyjską w czerwcu, lipcu, a nawet już od maja roku 1917. Ale zdecydował inaczej.

I pozostało to pole, ta dłubanina polska, opisywana m.in. przez prof. Suleję, jeśli chodzi o Tymczasową Radę Stanu – to pierwszy z tych ruchów, po którym przyszły inne instytucje państwowe. I to było niesłychanie ważne. Jak się popatrzy na pierwsze dni, to znaczy na pierwszą i drugą dekadę listopada w Królestwie... My naprawdę nie wiemy, co by się stało, gdyby tej obręczy państwowej, czyli tych instytucji powstających po listopadowym akcie nie było. Proszę zwrócić uwagę na to, że nie byłoby żadnego rządu w Lublinie, gdyby batalion Polskiej Siły Zbrojnej wyszedł z koszar i przywrócił porządek. Ale piłsudczykom udało się ten batalion pozyskać. Co byłoby z rewoltą szykowaną przez SDKPiL? Jak więc mogłyby wyglądać te dni? Moim zdaniem byłoby o wiele więcej szans na scenariusz radykalny, a nie państwo-wotwórczy, na chaos. Ale to, co było elementem porządkującym, szybko, wręcz momentalnie zostało przejęte przez Piłsudskiego i uznane za własne.

Na jeszcze jeden element warto zwrócić uwagę. Nie było bardziej znienawidzonej przez Piłsudskiego osoby niż Sikorski; nie było bardziej znienawidzonych ludzi niż ci legionieści, którzy złożyli przysięgę i nie poszli za drut, do obozów; nie było bardziej znienawidzonej formacji niż Polska Siła

Zbrojna, o której to właśnie piłsudczycy mówili: Polnische Wehrmacht. A co zrobił Piłsudski już w roku 1919? Wszystkich ich uznał za legionistów, zostali oni wcieleni do dywizji legionowych – a potem na zjazdach legionowych, poczynając od 1922 r., krzyczeli najgłośniej, stając w pierwszym szeregu, chociaż do Legionów zaciągnęli się w 1917 czy 1918 r. Tak więc naprawdę Bóg jeden raczy wiedzieć, jak by bez tego ogromnego kapitału – który miał służyć innej sprawie, ale został przejęty przez wolne państwo – wyglądały początki naszej niepodległości i co by się udało z tego chaosu ulepić ludziom, którzy w kraju wzięli się do tego.

Prof. dr hab. Krzysztof Kawalec

Zacznę od tej wielkoksiażącej, obiecującej zjednoczenie. Zjednoczenie spośród państw zaborczych mogła obiecać nam jedynie Rosja. Państwa niemieckie były dwa, w związku z tym jedno albo drugie mogło oczywiście tego rodzaju obietnice składać, ale nie miały one dla każdego, kto posiadał choć bardzo bazową orientację w tym, co się dookoła dzieje, żadnej wartości. Widać było, że obiecują gruszki na wierzbie.

Jest oczywiste, że deklaracja z 5 listopada miała większy ciężar gatunkowy. O deklaracji wielkiego księcia mówiłem jedynie jako o początku łańcucha, ale nie wynika z tego, że łańcuch składał się z ogniw o jednakowej wielkości.

Roman Dmowski, który w swoich wspomnieniach, wchodząc w konflikt ze swoim hagiografem Jędrzejem Giertychem – a ściślej mówiąc, to Giertych w swojej książce w tym miejscu nie zgodził się z Dmowskim – wysoko oceniał znaczenie Aktu 5 listopada. Napisał, że nic nam tak dalece nie pomogło w naszej akcji, bo o ile wcześniej występowaliśmy jako ludzie, którzy tylko coś obiecują i do czegoś przekonują, o tyle teraz zrozumiano, że co prawda nadal niespecjalnie możemy cokolwiek aliantom dać, ale być może możemy powstrzymać naszych rodaków od dania żołnierza Niemcom. W tle były szacunki, zgodnie z którymi liczba mężczyzn niepobranych do wojska przez armię niemiecką wynosiła około miliona. Niemcy nie przeprowadzili poboru, ale powołali państwo polskie po to, żebyśmy my swoimi rękami przeprowadzili ten pobór i zrobili Niemcom tę przyjemność, że wytracimy naszą młodzież w ich wojnie. Bardzo istotne było to, że Polacy jednak nie zgłosili się do tego niby-swojego wojska. Umiejętność zagrania tym atutem,

postraszania naszych zachodnich partnerów, o których partnerskie poparcie Dmowski usilnie – i początkowo bez wielkiego powodzenia – się starał, była czymś niesłychanie ważnym. Bo dla żadnego przywódcy politycznego – a w tamtej wojnie przywódcy polityczni byli ważniejsi od dowódców wojskowych – nie było sprawą bez znaczenia to, czy po stronie przeciwnika wyrośnie milion żołnierzy więcej, czy też nie.

Naszym partnerem w grze, która toczyła się podczas I wojny światowej, mogli być Niemcy, gdyż Rosjanie nie okazywali elastyczności, a liberalne Austro-Węgry niespecjalnie się liczyły i nie były też specjalnie elastyczne. Czego można było oczekiwać, a czego nie można było oczekiwać? Nie można było oczekiwać, że ci partnerzy zrobią coś, co byłoby sprzeczne z ich własnym interesem, nawet jeżeli tym interesem były jedynie cele imperialne. Jednak dla państw zachodnich, które nie miały bezpośredniego interesu w odniesieniu do ziem polskich, natomiast mogły być zainteresowane zdobyciem jakiejś politycznej przeciwwagi równoważącej możliwości graczy politycznych dawniej czynnych na tym obszarze, partner polski mógł okazać się przydatny – oczywiście pod warunkiem że zechciałby wejść w taką rolę ekspozytury Zachodu, a mówiąc precyzyjniej: pod warunkiem że na Zachodzie znalazłoby się dostatecznie wielu dostatecznie wpływowych polityków, żeby uwierzyć, że odrodzona Polska rzeczywiście taką rolę będzie odgrywać. W największym skrócie wyglądało to tak: trud obozu, któremu przewodził Dmowski, sprowadzał się do tego, aby wykazać, że taką właśnie Polskę zamierza konstruować, a co więcej, że z logiki działania państwa, które się utworzy na danym obszarze, wynikać będzie to, że nie będzie ono w stanie prowadzić innej polityki, nawet gdyby chciało. I w tym sensie można traktować działania podjęte przez Dmowskiego jako projekcję późniejszej II Rzeczypospolitej, która mówiąc w dużym skrócie, taką właśnie politykę poparcia Zachodu prowadziła.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Zgadzam się z prof. Chwalbą, że Niemcy potrzebowali *gastarbeiterów* i żołnierzy – i jednego, i drugiego. Tylko nie mogę zrozumieć jednego. Jak to jest, że w sytuacji, gdy były tak precyzyjne plany, tak perfekcyjnie myślące politycznie imperium, jakim była Rzesza Niemiecka, chciało kupić Polaków,

rabując w tym samym czasie ich ziemie? To znaczy na co Niemcy liczyli? Na ślepotę i głupotę?

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Niemcy poruszali się między dwiema skrajnościami. Chcieli rabować, a jednocześnie chcieli przyciągać Polaków. I wyszła z tego pełna niekonsekwencja, która dawała nam szansę na budowanie zrębów przyszłej państwowości. Zgadzam się z przedmówcami, że kwestia armii była tu kluczowa. To, że Niemcom nie udało się stworzyć, przy pomocy Polaków, polskiej armii, która by walczyła w interesie Niemiec, jest sukcesem polskiego społeczeństwa, które zbojkotowało tę inicjatywę. I to jest jeden z czynników, które doprowadziły do niepodległości. Bo gdyby Polacy entuzjastycznie i naiwnie odnieśli się do niemieckiej inicjatywy, to rzeczywiście zabrakłoby nam może miliona, może mniej, młodych ludzi, by potem tę Polskę budowali.

Warto też pamiętać, że w wykazach rządów polskich, które w okresie międzywojennym niekiedy publikowano, jako pierwszy rząd polski był czasami wskazywany rząd Kucharzewskiego. I to nie był przypadek. Widziano ciągłość. Istniała przecież choćby Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa – bank centralny przyszłego państwa polskiego. On w listopadzie 1918 r. został przejęty przez Polaków. Ale stworzony został pod okupacją niemiecką w tym właśnie Królestwie Polskim, okupowanym jeszcze przez Niemcy. I emitował pieniądź, który służył państwu polskiemu – przypomnę – aż do reformy Grabskiego, tj. markę polską. Marka polska stanowi pomost, bo mieliśmy ją od 1917 aż do 1924 r. – bo państwo polskie zabrało się do reformy walutowej w momencie, w którym było już naprawdę bardzo źle, pod koniec roku 1923. Zatem Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa i marka polska to także są elementy, o których warto pamiętać, gdy mówimy o fundamencie przyszłego państwa polskiego.

Prof. dr hab. Tadeusz Wolsza

Profesor Krzysztof Kawalec dużo mówił o wizji czy misji Romana Dmowskiego oraz o nawiązywaniu relacji jego obozu z Europą Zachodnią. Pragnę zwrócić państwa uwagę na to, że Józef Piłsudski też rozmawiał, nie tylko na gruncie niemieckim czy austro-węgierskim. On również miał swoich „misjonarzy”, którzy wyjeżdżali na Zachód. Wystarczy tutaj wspomnieć chociażby

Stanisława Patka, który wyjechał i do Francji, i do Wielkiej Brytanii, a po latach, na pytanie dziennikarza, o czym tam rozmawiał, odpowiedział wyraźnie: rozmawiałem i mówiłem o Legionach, o taktyce działania Józefa Piłsudskiego, o różnych koncepcjach politycznych, w których wizja niepodległości była na pierwszym miejscu. Tak że to nie sprowadzało się tylko do takiego jednego wątku, że wszystko działo się w Europie Środkowo-Wschodniej.

Dr Sławomir Dębski

Warto dodać do tej znakomitej dyskusji pewną okoliczność. Otóż gdyby nie Akt 5 listopada, nie zrozumielibyśmy zachowania Niemiec w listopadzie 1918 r. Państwo niemieckie było pierwszym, i w zasadzie jedynym, które pozytywnie odpowiedziało na depeszę Piłsudskiego z 16 listopada, przysyłając tu Kesslera jako swojego posła. Ententa kompletnie to zignorowała, a w grudniu 1918 r. rząd Francji uznał jedynie Komitet Narodowy Polski za instytucję mogącą reprezentować interesy państwa polskiego na konferencji pokojowej.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Chciałbym jedno dopowiedzieć. Otóż, tak jak przypomniał prof. Materski, w odpowiedzi na Akt 5 listopada Mikołaj II werbalnie deklaruje, powtarzając wszystko to, co dwa lata wcześniej mówił wielki książę Mikołaj Mikołajewicz jako wódz naczelny. Ale pamiętajmy o jeszcze jednym. Otóż 10 marca 1917 r., dosłownie w wigilię czy niemalże w wigilię rewolucji lutowej, trzy mocarstwa sprzymierzone, czyli Wielka Brytania, Francja i Italia, razem kierują za pośrednictwem Brianda do rządu w Piotrogradzie tajną notę, oświadczając, że Rosja otrzyma prawo do cieśnin czarnomorskich i prawo swobodnego oznaczenia granicy zachodniej. O żadnej autonomii dla Polski nie ma tam nawet mowy. Rozumie się to tylko w kontekście, czyli że jest to oczywiste, bo jest zadeklarowane przez cesarza Wszechrosji. W zamian za to Rosja daje Francji prawo swobodnego oznaczenia granicy wschodniej, a więc na Renie, co wypełni marzenie Burbonów, Napoleona I itd. I to jest fundamentalna sprawa, albowiem dochodzimy tu do kluczowej kwestii: nie negując pewnego znaczenia Aktu 5 listopada – o czym wspomniał prof. Kawalec, cytując Romana Dmowskiego – trzeba jednak pamiętać, że dopiero krach Rosji, ten cud historii, którym był krach Rosji, dał nam zjednoczenie i wolność.

A pierwszym człowiekiem, który mówił o tym, że Polska ma prawo do niepodległości, nie do jakiejś autonomii czy zachowania religii, języka itd., ale właśnie do niepodległości, był Wilson – nazwisko Wilsona musi być tu więc wypowiedziane – a było to 22 stycznia 1917 r.

Dr hab. Grzegorz Kucharczyk

Musimy odróżniać deklaracje od czynów, a czyny widzieć w kontekście stwarzanych możliwości. Generał Beseler uważał Polaków za ludzi, których trzeba wychować politycznie. Ale właśnie w latach 1914–1918 Polacy pokazali, że są politycznie bardzo mądrzy, bo brali, a nie kwitowali.

Przy całym szacunku dla Romana Dmowskiego i dla Józefa Piłsudskiego – zwłaszcza w perspektywie Aktu 5 listopada i jego konsekwencji dla budowania niepodległego państwa polskiego, trudno nie wspomnieć tu profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, który w 1915 r. inaugurował działalność, jego studentów, nauczycieli wszystkich szczebli, sędziów, urzędników. To państwo, które powstawało na przełomie 1918 i 1919 r., na którego obszarze przeprowadzono wybory do Sejmu Ustawodawczego w 1919 r., to dawna Kongresówka i Zachodnia Galicja. I to jest ten rdzeń państwa, który nie wziął się znikąd. On był w latach 1916–1918 budowany przez tych teraz bezimiennych Polaków. Oni wykorzystali okazję, oni też stworzyli okazję. Bo zarówno Niemcy, jak i Austro-Węgry w Brześciu w 1918 r. pokazały, jak instrumentalnie traktują sprawę polską, podobnie jak wcześniej Rosjanie we Lwowie, wycofując się i zostawiając spaloną ziemię w 1915 r. Chodzi więc o to, żeby uchwycić i tę perspektywę, tę widoczną mądrość polityczną Polaków, bo mimo że zaczynali się w Sienkiewicz, zdrowe podejście pana Zagłoby nie było im obce.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jak to dziwnie się składa... Jakoś obyczaj polityczny się zmienił, bo teraz, zdaje się, jest tak, że nie bierze się, a się kwituje.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Polska wojna rozpoczęła się w Krakowie. To Kraków był przed 1914 r. stolicą życia politycznego, życia niepodległego – bo Warszawa być nią nie mogła. To się zmieniło w miarę postępu sytuacji na frontach. Dopiero jednak od Aktu 5 listopada, a nawet już wcześniej, centrum polskiej polityki staje się stolica i tak już będzie do... no właśnie, do dzisiaj.

DEBATA I I

Drogi do Niepodległej – kontekst międzynarodowy

(21 stycznia 2017 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab., prof. IH PAN Małgorzata Gmurczyk-Wrońska, prof. dr hab. Marek Kornat, prof. dr hab. Wojciech Materski, prof. dr hab. Wojciech Roszkowski, prof. dr hab. Mariusz Wołos

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Cykl debat z okazji obchodów stulecia rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości rozpoczęliśmy 5 listopada 2016 r., w setną rocznicę Aktu 5 listopada. Dzisiaj kontynuujemy drogę ku niepodległości, podążamy śladami Polaków. Powodem naszej drugiej debaty jest nota prezydenta Woodrowa Wilsona, którą skierował 22 stycznia 1917 r., zawierająca postulat stworzenia niepodległego państwa polskiego, ogłoszona niemal dokładnie sto lat temu. Obecna dyskusja będzie poświęcona polityce międzynarodowej oraz kształtującym ją graczom w latach 1914–1918. Myślę, że będzie to okazja do spojrzenia na tło międzynarodowe nadchodzącej niepodległości.

Dr Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Nota prezydenta Wilsona, prezydenta potężnego państwa, wzbudziła wielkie nadzieje wśród naszych rodaków. Księżna Lubomirska w swych pamiętnikach pisała: „Zmartwychwstajemy. Wielka nadzieja!”. Rok później było już słynnych 14 punktów prezydenta Wilsona. To długa droga.

Już dzisiaj zapraszam na kolejną debatę. I myślę, że nie zdradzam żadnej tajemnicy, mówiąc, że będzie ona poświęcona naszemu wysiłkowi, wysiłkowi dyplomatycznemu Polaków. Natomiast w czerwcu spotkamy się, aby mówić o wysiłku zbrojnym, podjętym sto lat temu.



Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Podczas dzisiejszej debaty będziemy omawiali sprawy związane z kontekstem międzynarodowym kwestii polskiej w latach 1914–1918. Będziemy mówili nie tyle o perspektywie wyprowadzonej z naszej własnej aktywności, ile o tym, w jaki sposób sprawę polską starali się traktować ówcześni wielcy gracze. Będziemy mówili też o mechanizmie licytacyjnym.

Na początku XX w. redaktor krakowskiej „Krytyki” Wilhelm Feldman skierował do znamienitych polityków, ale też do ludzi ze świata kultury, takich jak Bernard Shaw czy Lew Tołstoj, pytanie o znaczenie kwestii polskiej. Otrzymał około osiemdziesięciu odpowiedzi. A wynikał z nich obraz przerażający – kwestii polskiej nie było; nikt się tym nie zajmował i – co gorsza – nie było widać perspektyw, że w najbliższym czasie może się to zmienić. Trudno zatem nie sformułować pytania: dlaczego na początku wojny nas nie chciano?

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Na początku warto zadać sobie pytanie – co w procesie wyłaniania się niepodległej Polski było ważniejsze – uwarunkowania międzynarodowe czy wola Polaków? To jest pytanie, które często towarzyszy nam w różnych kontekstach historycznych, gdy myślimy o szansach Polski na niepodległość, na wolność. Zaryzykuję twierdzenie, że bez międzynarodowych uwarunkowań wola Polaków nie mogłaby się ziścić. Samo słowo „uwarunkowania” o tym świadczy. Koniunktura międzynarodowa, która w czasie wojny korzystnie rozwinęła się dla Polski, stwarzała przestrzeń dla działań Polaków na rzecz niepodległości. Te działania mogły skończyć się fiaskiem, gdyby nie zewnętrzne uwarunkowania. Proste, choć dramatyczne, porównanie: rok 1918 i rok 1944. W 1944 nawet najlepsza wola, nawet największy wysiłek nie mogły przynieść nam wolności. W roku 1918 – mogły. Nie zmierzam do lekceważenia naszego wysiłku, ofiar, o których powinniśmy pamiętać, niemniej to „ci wielcy” stworzyli nam warunki do odzyskania niepodległości.

Profesor Suleja zadał pytanie, dlaczego na początku nas nie chciano. Jest to bardzo ważne pytanie, bo często przedstawia się historię, jakby odzyskanie niepodległości od początku było prawie że przesądzone. Nie, nie było to przesądzone. Wprawdzie sam fakt, kto stał się w I wojnie światowej, był

niewiele obiecujący; naprzeciwko siebie po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci stali zaborcy: z jednej strony Niemcy i Austro-Węgry, a z drugiej – Rosja. To dawało szansę, że zwycięzca tej wojny może dać nam coś więcej niż to, co mieliśmy w roku 1914. Tyle tylko, że rzeczywiście w roku 1914 nikt niczego nam nie obiecywał.

Plany Ententy dobrze pokazuje zgoda mocarstw zachodnich – Wielkiej Brytanii i Francji – na tzw. plan Sazonowa, czyli w gruncie rzeczy na wchłonięcie wszystkich ziem polskich przez Rosję, przesunięcie granicy imperium na Odrę (bez wysiedleń Niemców) – co stworzyłoby dla ludności polskiej sytuację dość niekomfortową, gdyż będąc pod panowaniem carów, mielibyśmy jeszcze do czynienia z żywiołem niemieckim. Można było marzyć o rozwiązaniu trialistycznym, o tym, że powstanie coś w rodzaju trójmonarchii, ale to były mrzonki, bo czegoś takiego nie chciały zwłaszcza Niemcy. A zatem sprawa polska w 1914 r. istniała, ale bardziej w polskiej wyobraźni aniżeli wśród dyplomatów czy decydentów w stolicach głównych walczących mocarstw.

Jak to się stało, że koniunktura nagle zaczęła nam sprzyjać? Dzięki działaniom wojennym. Przebieg działań wojennych stworzył sytuację, którą można by streścić: państwa centralne pokonały Rosję, po czym zostały pokonane przez Ententę. Najkrócej tak to wyglądało. Warto przypomnieć, że taką sytuację w lutym 1914 r. na spotkaniu w Towarzystwie Geograficznym w Paryżu przewidział Piłsudski.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Warto dopowiedzieć, że tę sytuację można odwracać – nawet najbardziej sprzyjająca koniunktura międzynarodowa byłaby bez znaczenia bez własnego wysiłku niepodległościowego.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Aby ocenić politykę mocarstw wobec sprawy polskiej, należy powrócić do uchwał kongresu wiedeńskiego. Rok 1815 był ważnym momentem w dziejach Europy, gdyż w Wiedniu narodził się tzw. system wiedeński, który zawierał m.in. dwie istotne z naszego punktu widzenia kwestie. Po pierwsze, o losach Europy decydowali wielcy – mali się nie liczyli. Po drugie – Europa została podzielona na strefy wpływów i poszczególne regiony zostały poddane kuratelom

moocarstw europejskich. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX w. ład wiedeński zaczął pękać, ale przekonanie o rozstrzygającej roli w polityce europejskiej i światowej koncertu mocarstw było wartością niepodważalną.

Chciałbym w tym miejscu przypomnieć bardzo ważne słowa Bismarcka z lat osiemdziesiątych XIX w. – z czasów kongresu berlińskiego – w których przestrzegał polityków europejskich przed dążeniem do wojny: „Niech będzie równowaga, podzielimy się wpływami, tak jak to było kiedyś w Wiedniu; nie możemy dopuścić do wojny, bo przyszłość wymknie się spod naszej kontroli”. Powiedział też o pigmejach, że w następstwie wojny pigmeje Europy – małe narody europejskie: Polacy, Czesi, Słowacy – będą współdecydowali o jej losie, a przynajmniej o losie Europy Środkowej i Środkowo-Wschodniej.

Wydawało się, że istotne elementy ładu wiedeńskiego utrzymają się jeszcze w roku 1914, przecież wojna miała potrwać co najwyżej do Bożego Narodzenia. Żołnierze nie mieli mundurów zimowych ani niczego, co by wskazywało, że wojna ma trwać dłużej, a dotychczasowe wojny, poza napoleońskimi, były wojnami krótkimi, w których jedna czy dwie bitwy rozstrzygały wszystko. Podobnie miało być i tym razem. Po krótkiej wojnie roku 1914 istotne składniki ładu wiedeńskiego miały być zachowane, co by oznaczało, że sprawa polska nie stanie się podmiotem międzynarodowym, podobnie jak sprawa fińska czy czeska. Pigmeje Europy musieli poczekać na swój czas. I ten czas nadszedł, działania zbrojne bowiem rozpoczęto w sytuacji względnej równowagi sił, co oznaczało, że wojna potrwa dłużej niż przez jeden sezon. Przedłużenie wojny na kolejne miesiące otworzyło sezon na sprawę polską i na ostateczne pogrzebanie ładu wiedeńskiego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Proszę zwrócić uwagę, że odezwy, które wydają wojskowi niemieccy czy wojskowi austriaccy, nic poza sztafażem propagandowym nie wnoszą. Można ekscytować się wspólnym polsko-wiedeńskim ekskursem Sobieskiego, ale to nie miało przełożenia na aktualność sprawy polskiej. Dlatego pozornie najmocniej zabrzmiały te frazy, które znalazły się w odezwie wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, mówiące o Polsce wolnej w swojej wierze, języku i samorządzie. Jak zatem można traktować tę najdalej idącą deklarację zaborczego mocarstwa?

Prof. dr hab. Wojciech Materski

Zgadzam się z tym, co powiedział prof. Chwalba, że ziszczenie się modlitwy wieszczą, czyli wojna powszechna rozumiana jako rozbić ładu wiedeńskiego, była punktem wyjścia. I ten moment nastąpił. Teraz pojawia się pytanie: czy byliśmy przygotowani i czy była kwestia polska w 1914 r.? Owszem, była, ale w pewnym uśpieniu, w otocze zniechęcenia po powstaniach narodowych i wypadkach 1905 r. Niemniej była. Mało tego – było też pokłosie kampanii propagandowych prowadzonych przed sierpniem 1914 r., które bardzo wpłynęły na to, jak społeczeństwo w chwili wybuchu wojny odnosiło się do poszczególnych walczących państw. Byliśmy wówczas świeżo po rocznicy pięćsetlecia bitwy pod Grunwaldem, obchodzonej bardzo szeroko i głośno w zaborze rosyjskim, ale też austriackim. Byliśmy po obchodach trzechsetlecia panowania dynastii Romanowów, łączących się z podniesieniem nastrojów panslawistycznych, antygermańskich. Ponadto w początkach wojny po raz pierwszy w dziejach nastąpiło bombardowanie cywilnego, niebronionego miasta – zniszczony został Kalisz. To był szok i ogromny wstrząs społeczny. Wywołało to nie tylko falę emigracji, która popłynęła na tereny centralnej Rosji, ale też ogromne podniesienie nastrojów antyniemieckich. I w to wkomponowała się odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza z 14 sierpnia.

Mówimy, że był to dokument wojskowy, że nie miał on parafy carskiej, więc nie był prawem. Zgoda, ale jego znaczenie było i tak bardzo duże. Również jeśli chodzi o kwestie organizacyjne, wojskowe. Przecież w październiku zaczyna się formowanie Legionu Puławskiego. Co prawda płk Antoni Reutt miał raptem około 800 ludzi i w 1915 r. legion rozformowano, ale kwestia polska zaczęła funkcjonować. Potem formowano brygadę. Były też rozkazy ze stycznia 1917 r. o formowaniu dywizji polskiej. W Rosji carskiej rozpoczęła się cała konsekwentna polityka, która co prawda była nastawiona na pozyskanie mięsa armatniego, ale obiektywnie sprzyjała kwestii polskiej.

W sierpniu 1915 r. premier Iwan Goriemykin mówił w Dumie, że rząd pracuje nad planem autonomii dla Polski. Jak ta kwestia polska w 1914 r. wyglądała? Nie miano dzisiejszej perspektywy, nie wiedziano, jak wojna się skończy. Niemniej kroki ze strony rosyjskiej zostały poczynione. Zapowiedź Goriemykina kilka miesięcy później – w wystąpieniu ministra spraw zagranicznych Siergieja

Sazonowa – została skonkretyzowana. Sazonow przedstawił plan autonomizacji Polski. Zawierał on strukturę władz i strukturę administracyjną kraju, koncepcje legislacji, w której proponowano równowagę między sejmem a carem. Sprawa polska była zatem konsekwentnie poruszana. To kształtowało nastroje społeczne; budziło nadzieje, że jest szansa, może nie na niepodległość, bo to wielkie słowo, ale na autonomię. I o tej szansie Rosjanie dużo mówili.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Wielkoksiażący manifest był największym konkretem z początku wojny. W związku z tym rodzi się, siłą rzeczy, pytanie: czym tłumaczyć zastanawiającą bierność zachodnich sojuszników Rosji – Francji i Wielkiej Brytanii? Czy zapowiedzi rosyjskie były na tyle satysfakcjonujące, że nie podnoszono niczego więcej, czy też w tle były inne kwestie, o których warto w tym momencie wspomnieć?

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Jeżeli chodzi o Francję i jej stosunek do spraw polskich, to w 1914 r. sprawa polska właściwie tam nie istniała. Wynikało to z faktu, że Francja była połączona aliansem z Rosją. I to właśnie Rosja jako bardzo ważny członek Ententy zdominowała sprawy polskie. Oczywiście, mówiąc o całości ziem Rzeczypospolitej, podkreślmy – tak to było widziane przez ówczesne mocarstwa – że sprawa polska była wewnętrzną sprawą państw zaborczych. Natomiast z punktu widzenia Francji sprawa polska była wewnętrzną sprawą rosyjską. Wiemy, że we Francji była liczna polska emigracja, która zabiegała o zainteresowanie kwestią polską, jednakże w gabinetach polityków, dyplomatów sprawa polska nie istniała. Nie ulega jednak wątpliwości, że Francuzi mogli patrzeć przychylnie na zapowiedzi rosyjskich polityków czy dyplomatów, gdy mówili oni o autonomii dla Królestwa Polskiego. To było dla nich satysfakcjonujące, niemniej oni tego tematu nie poruszali, a nawet jeżeli później próbowali go poruszać, to byli stopowani przez stronę rosyjską.

Odezwa Wielkiego Księcia była przyjęta we Francji pozytywnie. Warto w tym miejscu przypomnieć – wątek ten pojawił się już w poprzedniej debacie – że już po tym wydarzeniu jesienią 1914 r. Piłsudski wysłał do Francji Stanisława Patka. Patek rozmawiał z Clemenceau, który wówczas był w opozycji, więc nie miał wiele do powiedzenia. Ale Clemenceau powiedział Stanisławowi





Patkowi charakterystyczne słowa: „Podejmijcie największe ryzyko, idźcie na największy hazard”. Jak słowa te należy interpretować? Oznaczało to, iż nikt nas w tym momencie nie będzie popierał, że musimy ryzykować. Wypowiedź ta nie miała wtedy znaczenia w sensie decyzyjnym, była jednak sygnałem, że we Francji sprawa polska w gabinetach politycznych nie istniała. Jeżeli w ogóle możemy mówić o zainteresowaniu Francji sprawą polską czy też o popieraniu polskich aspiracji niepodległościowych, to nastąpiło to dopiero w 1917 r. Wcześniej co najwyżej chodziło o autonomię w ramach imperium rosyjskiego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

A co z brytyjskim lwem, śpiącym w tym momencie?

Prof. dr hab. Marek Kornat

Nie sposób nie przypomnieć tu tego, co przed laty powiedział Michał Sokolnicki, a mianowicie: „Polski w roku 1914 w Europie nie chciał nikt”. Ale trzeba też dodać to, co stwierdził Szymon Askenazy: „Sprawa polska jest z natury swojej europejska”, a więc każdy kryzys wyciąga ją na powierzchnię polityki międzynarodowej, pokój zaś usuwa z pola widzenia. Pamiętajmy też o tym, co przed laty, w książce *Sojusz trzech cesarzy* powiedział Henryk Wereszycki. Ten wybitny krakowski historyk dowodził, że sprawa polska po Sedan (1870) absolutnie, nieodwołalnie znika ze sceny dyplomacji europejskiej, ale jako potencjalny czynnik nigdy nie gaśnie; trwa w wyobraźni mężów stanu Europy. Kiedy dojdzie do wojny, będzie mogła zostać poruszona i wprowadzona na scenę polityczną.

Jeśli chodzi o stanowisko mocarstw zachodnich, zgadzając się z tym, co powiedziała prof. Gmurczyk-Wrońska, dodałbym jeszcze dwa szczegóły. Po pierwsze, 5 września 1914 r. mocarstwa Ententy zawarły tajne porozumienie o obowiązku wspólnego uzgodnienia celów wojny po zawieszeniu broni, oczywiście z zachowaniem obowiązku przeprowadzenia konferencji pokojowej. To tajne porozumienie hamowało jakiekolwiek zainteresowanie mocarstw Zachodu sprawą polską. Po drugie, we francuskiej prasie toczyła się debata wokół zagadnienia polskiego – streścił ją przed laty nieżyjący już prof. Janusz Pajewski – która przyniosła głosy w 80–90 proc. afirmujące obietnice zawarte w manifestie wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, aczkolwiek pojawiły się też opinie odosobnione, bardzo propolskie, dysydenckie, ale bez większego

znaczenia. Na przykład ówczesny mer Lyonu Édouard Herriot wypowiadał się za Polską w sposób bardzo zaangażowany, choć słowa „niepodległość” nie unikał. To samo można powiedzieć o dawnym redaktorze pisma „Sillon”, katolickim intelektualistcie orientacji modernistycznej Marku Sangnierze.

Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, to sprawa była prosta. Nie mogła ona podjąć sprawy polskiej, bo czuła się związana porozumieniem z 5 września i koniecznością dochowania wierności sojuszowi w Rosję. Ale nawet gdyby mogła, toby tego nie chciała, uważała bowiem, że Polska z punktu widzenia równowagi sił w Europie nie jest potrzebna. Bardzo charakterystyczna była debata wewnętrzna w gabinecie brytyjskim pod koniec roku 1916, a zwłaszcza głośne memorandum datowane na 3 października, pióra lorda Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. Padają w nim słowa, że narodowi polskiemu należy się rodzaj samorządu (*homme rule*). Balfour argumentował, że gdyby powstała niepodległa Polska, to zakłóciłaby ona równowagę Europy, w tym sensie, że pokrzywdzone Niemcy i Rosja (z tytułu strat terytorialnych) poczułyby się zmuszone do kooperacji i kiedyś doszłoby do ich wystąpienia przeciwko pokojowi. To niestety tragiczne, że słowa brytyjskiego męża stanu antycypują pakt Hitler–Stalin z 1939 r., którego oczyma wyobraźni nie był w stanie dostrzec ani on, ani pewnie nikt inny. Lord Balfour wyczuwał niewzruszoną logikę geopolityki. Oczywiście Wielka Brytania zmieniła zdanie, lecz dopiero w roku 1917 (po rewolucji lutowej i przyznaniu przez Rząd Tymczasowy Polakom prawa do niepodległości). W styczniu 1918 r. premier Lloyd George opowiedział się publicznie za niepodległym państwem polskim, które jest wymogiem międzynarodowej sprawiedliwości. Uczynił to w przemówieniu na kongresie związków zawodowych w Londynie. Ale oczywiście państwo polskie musiało mieć „etnograficzne” granice. Anglia zmieniła więc poglądy.

W neutralnych Włoszech chyba najwcześniej, bo już jesienią 1914 r., w gazecie „Rassegna Contemporanea” padło stwierdzenie o potrzebie niepodległości Polski, tymczasem w Paryżu i Londynie było to nie do pomyślenia. Ale Włochy do kwietnia 1915 r. były neutralne. We Włoszech działali też ludzie tworzący pewne propolskie lobby; mam na myśli senatorów Bissolatiego i Borsarelliego. Ci dwaj senatorowie Królestwa Włoch na własną rękę prowadzili żywą akcję propolską. W Italii działały utrwalone – potwierdzo-

ne w dobie risorgimenta – wzajemne sympatie obydwu narodów. Ale czymś innym są uczucia, a czymś innym *Realpolitik*. I oczywiście kiedy Włochy stały się stroną w obozie Ententy, musiały liczyć się z tym, co mówi i czego oczekuje Rosja jako aliant. Premier Boselli pierwszy pośpieszył z gratulacjami do cara po jego orędziu do armii i floty z 25 grudnia 1916 r., w którym obiecywał autonomię i zjednoczenie ziem polskich wewnątrz imperium rosyjskiego. Jednak kiedy załamał się carat, a rewolucyjna Rosja przyzna Polakom prawo do własnego państwa, minister spraw zagranicznych Sonnino będzie mówił o tym prawie narodu polskiego bardzo dobitnie – i to już w czerwcu 1917 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Sprawa polska istotnie zaczęła się budzić w sierpniu 1914 r., aczkolwiek 5 kwietnia 1916 r. niemiecki kanclerz Bethmann-Hollweg powiedział, że ani Niemcy, ani Austria kwestii polskiej podnieść nie chciały – podniósł ją los bitew. I jeśli mówimy tutaj o zmianie, wynikającej z tego, co działo się na frontach i co niezwykle mocno na kwestię polską rzutowało, to nie sposób nie wspomnieć o wydarzeniach z lata 1915 r., kiedy to Rosja została wyparta z ziem polskich. Czy w takim razie nie należy wiązać aktywności rosyjskiej ukonkretniającej zapowiedzi zawarte w odezwie Mikołaja Mikołajewicza z jej wymuszoną nieobecnością na ziemiach polskich?

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Przypomnę dzieło, o którym mówiliśmy w listopadzie podczas pierwszej z naszych debat, a które sprawę polską umiędzynarodowiło, przynajmniej w sensie intelektualnym. Chodzi o książkę Romana Dmowskiego *Niemcy, Rosja i kwestia polska*, wydaną w roku 1908. Rok później ukazało się jej dobre tłumaczenie, pióra Wacława Gasztowtta, w ówczesnym języku światowym, czyli po francusku. Zatem nie do końca się zgadzam, że sprawy polskiej nie było, bo ktoś jednak książkę Dmowskiego we Francji, Rosji, a nawet w Finlandii czytał.

Oczywiście klęska Rosji i jej wyparcie na trzydzieści lat z terenów Królestwa Polskiego było pewnym akceleratorem sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Przywołane tu wystąpienie Goremykina nie było przypadkowe, natomiast nie przeceniałbym tej kwestii, ponieważ na temat podnoszenia sprawy polskiej wewnątrz Rosji były bardzo różne opinie. Były też siły, które

absolutnie nie chciały tego zagadnienia podnosić. Zaryzykowałbym za to tezę odwrotną: sprawa polska wróciła w postaci memoriału Sazonowa właśnie wtedy, kiedy w Rosjanach zrodziła się nadzieja, że za chwilę odzyskają Królestwo Polskie, czyli w okresie ofensywy Brusilowa. Zresztą za to Sazonow stracił stanowisko. Ale cóż wtedy zrobił? Pojechał do Mohylewa, do Stawki Naczelnego Dowódcy, i tam próbował przekonać ówczesnych rządzących, łącznie z carem, żeby cokolwiek dla sprawy polskiej zrobili.

Jeszcze jedna kwestia, której na razie nie poruszyliśmy. Oczywiście, że sprawa polska była blokowana na początku wojny jako, z punktu widzenia Francji czy Anglii, wewnętrzna sprawa Rosji. Ale była ona blokowana nawet ze strony Austrii, która ogłądała się na Niemcy.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jesteśmy zgodni, że zwłaszcza w pierwszych dwóch latach wojny w kwestii polskiej jako zagadnieniu międzynarodowym, mimo potencjalności istnienia, nie dzieje się specjalnie wiele. To zmienia się dopiero wraz z listopadem 1916 r. W roku 1917 zdawać by się mogło, że najwięcej atutów będzie miała monarchia habsburska. A tymczasem w przeddzień 5 listopada ogłoszona została decyzja o wyodrębnieniu Galicji...

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Nim podejmę wywołane tu zagadnienie trializmu, wrócę do sprawy, która pojawia się tutaj we wszystkich wypowiedziach – do pojęcia sprawy polskiej, kwestii polskiej. Dyskutując o sprawie polskiej, niejednokrotnie nadajemy różny sens pojęciu, co powoduje, że spieramy się w różnych w istocie sprawach, tak samo je nazywając. Profesor Włodzimierz Suleja słusznie zauważył, że sprawa polska jako podmiot międzynarodowy nie istniała. Politycy europejscy nie debatowali nad tym, co zrobić z tymi Polakami – czy dać im niepodległość, czy też nie, mimo naszego potencjału, gdyż to oznaczałyby dekompozycję wiedeńskiej Europy, czym żadne mocarstwo nie było zainteresowane. Kwestia polska jako podmiot międzynarodowy pojawiła się w okresie napoleońskim. A potem w okresie romantyzmu europejskiego do 1864 r. Później zgasła.

Jedynym projektem w sprawie polskiej, który wyszedł poza to, co nakreśliły mocarstwa, był pomysł trializmu, czyli przekształcenia Austro-Węgier

w Austro-Węgry-Polskę. Wydawało się, że był to najbardziej dojrzały i ambitny projekt, a jego powodzenie oznaczałoby uzyskanie przez Polaków statusu Madziarów we wspólnym dużym państwie. Bylibyśmy niepodległym państwem, ze swoimi urzędami i parlamentem, decydując o polityce imperium Habsburgów. To coś zupełnie innego niż projekt samorządu czy autonomii terytorialnej dla Królestwa Polskiego. Trializm się nie udał, bo udać się nie mógł. Austriaccy politycy nie dorastali do polskich oczekiwań. To ich przerosło. Wśród austriackich polityków zabrakło wówczas mężów stanu, a ci, którzy kierowali polityką państwa, obawiali się jakiegokolwiek dekompozycji monarchii Habsburgów – gdyby byli tam mężowie stanu, to może nie wywołałoby wojny. To byli przeciętni urzędnicy, którzy myśląc o przyszłości, widzieli to, co będzie za parę tygodni, a nie to, co może być za parę lat, dlatego obawiali się jakiegokolwiek dekompozycji monarchii Habsburgów, gdyż mogła wywołać efekt domina: o swoje interesy upomną się Serbowie, Chorwaci, Czesi. Ci Polacy w monarchii, którzy forsowali trializm, mieli naprzeciwko siebie Madziarów – choć nie wszystkich. Zwłaszcza opozycja, Partia Niepodległości, mówiła: to kapitalny projekt, jeśli on się uda, to my, Węgrzy, i wy, Polacy, będziemy rządzić Austrią, którą spolonizujemy i zmadziaryzujemy, a jak to się nie uda i monarchia austro-węgierska się rozpadnie, to my, Węgrzy i Polacy, będziemy rządzili środkową Europą. Przeciwno trializmowi był Berlin, gdyż jego realizacja oznaczałaby wzmocnienie Austro-Węgier. Problem był z tym, co na to Berlin.

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Zastanawiamy się, czy sprawa polska istniała do roku 1916, czy też nie. I właściwie dochodzimy do wniosku, że zarówno istniała, jak i nie istniała. Jak to zrozumieć? Otóż ona nie była obecna w aktywnej polityce głównych mocarstw.

Natomiast istniał potencjał. Chciałbym wprowadzić tu to słowo, dlatego że potencjał w polityce jest bardzo ważny. Było wówczas około 24 mln Polaków, którzy mimo rozbiorów stanowili kulturową jedność. Tutaj łączy się aspekt uwarunkowań międzynarodowych i wola Polaków. Polacy chcieli być Polakami, wolnymi i niepodległymi – i to stanowiło obiektywny problem.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Oby to nie było tak, że sprawa polska ma ciągle tylko potencjał...

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Stawiając w tym miejscu kropkę nad „i” powiem, że w gabinetach dyplomatycznych i politycznych sprawy polskiej nie było, ale oczywiście była ona poruszana w prasie, nieoficjalnie w kulisach i w dyskusjach parlamentarnych. Później, w roku 1916, mówiono już o Polsce. Mieliśmy przyjaciół, życzliwych nam publicystów francuskich, którzy czasami, broniąc prawa Polaków do własnego państwa, używali bardzo mocnych słów. Były bardzo przyjazne nam artykuły prasowe, ale oficjalnie nas nie było.

Prof. dr hab. Wojciech Materski

Dwie uwagi w odniesieniu do potencjału i do kwestii polskiej. To prawda, był potencjał polski, ale to był potencjał zarówno pozytywny, jak i negatywny. Przez odpowiednią propagandę można wpływać zniechęcająco na poddanych, czy to poddanych c.k. monarchii, czy to poddanych niemieckich, aby byli jak najdalej od rozwiązań proponowanych przez te rządy, aby nie angażowali się w wojnę przeciwko Rosji. To był właśnie potencjał negatywny. A potencjał pozytywny to skupianie społeczeństwa wokół własnych politycznych pomysłów, wokół własnych formacji.

Znacznie ważniejsza jest jednak odpowiedź na pytanie, co to jest kwestia polska? Czy kwestia polska jest wtedy, kiedy formalnoprawnie pojawia się możliwość niepodległości? Czy kwestia polska jest też wtedy, kiedy rzuca się hasło autonomii, a potem podejmuje się prace przygotowawcze w legislaturze nad kształtem tej autonomii? Czy wtedy to już jest kwestia polska, czy jeszcze jej nie ma? To trzeba rozstrzygnąć.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Powróć raz jeszcze do tego, o czym mówił Bethmann-Hollweg. Otóż wtedy, kiedy jego zdaniem los bitew stawiał sprawę polską, było już Verdun, ale nie było jeszcze Kostiuchnowki. Potem nastąpił Akt 5 listopada i zaczął się łańcuch rozmaitych zdarzeń, które sprawę polską zaczęły na różnych płaszczyznach wyprowadzać w górę.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Ja jeszcze w sprawie definicji. Sprawę danego narodu na arenie międzynarodowej rozumiałem zawsze w ten sposób, że jest to niezłatwiony problem losu danego narodu, ale to musi stwierdzić przynajmniej jedno mocarstwo.





I w tym sensie sprawa polska zaistniała w 1914 r. Ale niczego wtedy nie rozwiązano, mnożyły się jedynie obietnice. Definitywne przesądzenie sprawy polskiej wiąże się dopiero z deklaracją wersalską z 3 czerwca 1918 r. Tak widzę tę kwestię w ujęciu formalnoprawnym.

Natomiast jeżeli Akt 5 listopada miał donieść znaczenie międzynarodowe, to przede wszystkim w tym aspekcie, że wpłynął on na zaangażowanie się prezydenta Wilsona po stronie sprawy polskiej. Są na to konkretne dowody. Orędzie o stanie państwa z 22 stycznia 1917 r. przyniosło konkretne oświadczenie prezydenta Wilsona o tym, że Polska zjednoczona, autonomiczna i niepodległa ma powstać. Padło więc słowo „niepodległość”.

Pamiętając o Wilsonie jako o mężu stanu, który wyświadczył nam jako narodowi tak znaczne przysługi, nie sposób zapomnieć o tym, czy wyobrażał on sobie Polskę w granicach „etnograficznych”, czyli obejmujących Królestwo Kongresowe z dołączeniem Galicji, zapewne bez terytorialnego dostępu do morza. W ten właśnie sposób przedstawiał ją ambasador amerykański Watson Gerard w Berlinie, który odbył rozmowę z Bethmannem-Hollwegiem, mówiąc mu, że Polska zjednoczona i niepodległa to jest Galicja i Królestwo, nic więcej. Należy o tym pamiętać.

Polityka amerykańska ewaluowała. W latach 1914–1916 Woodrow Wilson opowiadał się za restytucją *status quo ante bellum*. Nie muszę dodawać, jak tragiczne byłoby to dla naszego narodu. Uważał, że pokój ma być bez aneksji i bez odszkodowań. Ta polityka zostaje jednak porzucona pod koniec 1916 r., nie obowiązywała zaś na pewno, kiedy Wilson przemawiał 22 stycznia 1917 r. do Kongresu.

Wydaje mi się, że wizja prezydenta Wilsona, aby przebudować Europę w duchu samostanowienia narodów, powstała w roku 1916, a rok 1917 przyniósł jej konkretyzację. Stany Zjednoczone wchodziły do wojny z tym programem, ale wyobrażają sobie Polskę w granicach etnograficznych. *Last but not least*, prezydent Wilson nie wyobrażał sobie ładu światowego bez Rosji. Stale to powtarzał. I ten jego sąd na pewno nie był po naszej myśli.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W orędziu do Senatu 22 stycznia 1917 r. prezydent Wilson wystąpił jeszcze jako przywódca neutralnego mocarstwa. Jest to bardzo istotne. Natomiast jeżeli

spoglądamy na reakcję międzynarodową, która nastąpiła po akcie listopadowym, to widać wyraźnie w telegramach kierowanych do premiera rosyjskiego przez premierów Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, że to wszystko było sprowadzane do tej autonomicznej wersji Polski, która ma się pojawić jako twór konkurencyjny wobec tego, co w sprawie polskiej proponują Niemcy z Austro-Węgry. Potem nastąpił jeszcze rozkaz cara do armii i floty. Mówimy zatem o wstępnej fazie licytacji, która pełnej niepodległości jeszcze nie zapowiadała.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Ze znanych dokumentów francuskich wynika, że sprawy polskie w latach 1915 i 1916 regularnie się pojawiały. Nad Sekwaną dostrzegano, że Rosja nie potrafi sobie z problemem polskim poradzić, poprzestając na obietnicach. Charakterystyczne, że w kwietniu 1916 r. Briand, minister spraw zagranicznych i premier, prosi Erazma Piltza, żeby sporządził mu opinię na temat spraw polskich i generalnie je naświetlił. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że w 1916 r., szczególnie w jego pierwszej połowie, czyli jeszcze przed Aktem 5 listopada, Francuzi podjęli małą grę z Rosją. Sondowali Rosję – co zamierzacie zrobić z problemem polskim? Wypuściliście tę sprawę z rąk, a teraz korzystają na tym państwa centralne. Rosjanie szybko jednak torpedowali francuskie próby zajmowania się sprawami polskimi. Nie pozwalali, aby sprawy polskie stały się problemem międzynarodowym. I, co podkreślają francuscy badacze, alians z Rosją obliguje do czegoś, w związku z czym Francuzi się wycofali z podjętej próby występowania w sprawach polskich.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Problem polega również na tym, że jeżeli patrzymy z perspektywy grudnia 1916 r., czyli tego, co deklarował car w rozkazie do armii i floty, a potem uwzględnimy perspektywę już bardzo bliską, tę tuż po wybuchu rewolucji lutowej, kiedy pojawiły się owe dwa na swój sposób konkurencyjne oświadczenia w sprawie Polski, to dostrzegamy bardzo daleko idący dystans. Idący dalej niż to, co proponował wtedy jeszcze neutralny prezydent Stanów Zjednoczonych.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Warto dodać, że było jeszcze coś pośrodku, między grudniem 1916 a marcem 1917 r. Dopowiem też, iż kształt sprawy polskiej był malowany przebie-

giem linii frontów. Jestem przekonany, że do wiosny 1917 r. klucz do drzwi z nazwą „sprawa polska” znajdował się w Piotrogradzie. Zastanawiałem się nad długim procesem powstawania dokumentu, który jest naszym punktem odniesienia, czyli dokumentu z 22 stycznia 1917 r. Pułkownik Edward House pokazał Paderewskiemu projekt tego dokumentu 3 stycznia. A do 22 stycznia są prawie trzy tygodnie. Trochę wiemy, jakie siły oddziaływały wtedy na dyplomację amerykańską.

Chciałbym zwrócić uwagę na charakterystyczną zbieżność dat. Otóż 12 stycznia 1917 r. premier rosyjski powołał komisję ministerialną składającą się z szefów ważniejszych resortów, a także znawców sprawy polskiej. Do tej komisji nie zaprosił jednak Polaków, nawet tych zaufanych, takich jak Zygmunt Wielopolski czy Ignacy Szebeko. Tam się zderzały się różne racje i generalnie były trzy koncepcje. Pierwsza, przedstawiona przez Sergieja Krzyżanowskiego, niedoszłego premiera, była taka: ma to być Polska niepodległa, oczywiście w granicach etnograficznych. Ma to być Polska z własną armią, połączona unią personalną z caratem, będąca elementem większej całości, czyli czegoś w rodzaju neosłowiańskiego imperium pod kuratelą Rosji. Drugi pomysł był taki, że miałyby być to autonomia dosyć daleko idąca. Trzecia koncepcja – nic poza ziemstwami, czyli przesuwamy reformy Aleksandra II z XIX w. na teren Królestwa Polskiego, niech się Polacy sami rządzą, ale na szczeblu powiatów i guberni, nie wyżej. Tu nie ma przypadku. Wydaje mi się, że dyplomacja amerykańska, wiedząc o powstaniu tej komisji, dodała do przemówienia Wilsona słowo „autonomiczna”, będące furtką, oczekiwaniem na to, co zrobi strona rosyjska.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jest to wysoce prawdopodobne. Myślę, że taka interpretacja również wchodzi w rachubę. Zapraszam teraz gości do podzielenia się swymi refleksjami.

Dr Łukasz Adamski, Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu

W bardzo małym stopniu poruszali państwo kwestię długotrwałych prądów ideowych, zmian mentalnościowych, które sprzyjały sprawie polskiej. Profesor Roszkowski powiedział, że istniał polski potencjał. Tak, i na ten polski potencjał składały się m.in. prądy ideowe sprzyjające planowi odrodzenia Polski. Po pierwsze, była to idea narodowa, tendencja do tego, by zamiesz-

kujące Europę narody stanowiły same o sobie i miały państwa, których granice będą się pokrywały z granicami obszarów przez nie zamieszkiwanych, czy też to, co z angielska często nazywa się nacjonalizmem. Po drugie, związana z tym zmiana sposobu legitymizacji władzy – narastają oczekiwania społeczne, że władza ma działać dla narodu i na podstawie upoważnienia narodu, a nie z woli monarchy będącego u władzy z Bożej łaski. Doktryna legitymizmu nieustannie się cofa.

Nie została też podniesiona jedna kwestia, tj. formalne wyodrębnienie Chełmszczyzny między 1912 a 1915 r. Moim zdaniem było to ewidentnie przygotowanie rosyjskiej opinii publicznej, ale też rosyjskich elit, do oddzielenia się reszty Kongresówki – dlatego że Rosjanie oczywiście chcieli wziąć to, co uważali za część swojego terytorium narodowego – i było to przygotowanie w ten sposób opinii publicznej, swojej własnej, często nacjonalistycznej, na ideę usamodzielnienia reszty Polski, tej Polski kongresowej.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Sprawą fundamentalną dla polityków europejskich w drugiej fazie wojny było pytanie: czy zniszczyć Europę ukształtowaną po Wiedniu, tworząc nowe byty państwowe, czy nie? Ewentualnie jak daleko sięgać będzie dekompozycja Europy? Politycy europejskich mocarstw byli co najwyżej za utworzeniem tworów autonomicznych lub samorządowych, gdyż to nie burzyło istoty starego ładu, podobnie jak powstanie Austro-Węgier-Polski czy też Polski w ramach państwa rosyjskiego. Lecz w drugiej fazie wojny w Europie rosła aktywność obywateli i elit narodów pozbawionych swojego państwa. I to była nowa jakość w polityce europejskiej, której już trudno było nie dostrzec. Coraz głośniej politycy reprezentujący narody niemające własnego państwa zgodnie z ideą państwa narodowego upominali się o swoje, wzywając do zburzenia starej architektury europejskiej i budowy nowej, zgodnie z prawem narodów do stanowienia o swoim losie. To zwłaszcza małe narody mówiły: my mamy prawo, skoro jesteśmy narodem, stworzyć swoje państwo narodowe. W sukurs przyszedł im Wilson, powiadając, że dekonstrukcja dotychczasowego ładu w imię prawa narodów jest możliwa. Ale wśród 14 punktów Wilsona Polska jest tym jedynym nowym bytem, który miał się narodzić w nowej Europie. Narody południowe, jugosłowiańskie, podobnie jak Czeši

i Słowacy, takiej perspektywy nie otrzymali. Mieli zadowolić się perspektywą autonomii. Świadczy to o tym, że dyplomacja amerykańska, podobnie jak europejska, chciała zachować stare imperia. Nie chciano burzyć Austro-Węgier, przynajmniej nie w 1917 i nie na początku 1918 r.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Absolutnie oczywiście jest, iż siłami sprawczymi procesu dziejowego nie są noty dyplomatów. Jan Kucharzewski napisał wiosną 1915 r. w Szwajcarii książkę *La Pologne et la Guerre*. Zakończył ją cytatem z jednego z pisarzy rzymskich: *genus immortale manet* – „nieśmiertelny naród trwa”. Naród przetrwał niewolę. Liczył ponad 20 milionów ludzi. To jest najważniejsze.

Inna kwestia: to nie było tak, że w czasie I wojny światowej my zdecydowaliśmy sami o sobie. Ilu żołnierzy miał w swoich Legionach Piłsudski? Ledwie garstkę. A zmagaly się milionowe armie. Nasz los był w zasadniczej mierze w rękach obcych. Naszym zadaniem było wyzyskanie koniunktury. Tak więc dyplomacja, stosunki międzynarodowe, były tu kluczem do sukcesu.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Idee nazywane także wtedy „postępowymi”, związane m.in. z prawami narodów do wolności, tworzenia własnych państw itd., dziwnie szły w parze z mocarstwowymi interesami Francji. Bardzo dużo mówiono tam o prawach człowieka. Proszę zwrócić uwagę, że nawet w deklaracji Konferencji Międzysojuszniczej w Wersalu premierów Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch z 3 czerwca 1918 r. mówi się o tym, że gdy powstanie niepodległa, zjednoczona Polska, to wtedy zapanuje sprawiedliwy pokój w Europie i nastąpi przywrócenie prawa. Przez cały okres wojny mówiono, że walka toczy się o przestrzeganie prawa. Kiedy wydano Akt 5 listopada, to jaki problem europejska dyplomacja podniosła? Mówiono, że jest to złamanie prawa międzynarodowego wynikającego z konwencji haskiej z 1907 r. Wskazywano, że państwa centralne nie mają prawa tworzyć nowych bytów państwowych, suwerennych, na okupowanych przez siebie terenach. To bardzo mocno akcentowano.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Problem Chełmszczyzny postrzegam nieco inaczej niż dr Adamski. Przyłączenie Chołmszczyzny, bo tak ona była po rosyjsku nazywana, to nic innego jak bardzo wyraźna gra w ramach trójjedyniej formuły sformułowanej jesz-

cze w pierwszej połowie XIX w. przez Siergieja Uwarowa, sprowadzającej się do trzech pojęć: samodzierżawie, prawosławie, narodność. Po prostu Rosjanie zbierali to, co uważali za należące do nich. Skoro na tamtym terenie mieszkali unicy, to kiedyś byli to prawosławni, czyli „nasi” – a więc trzeba tę ziemię zabrać. Warto przypomnieć też działalność generał-gubernatora Bobrńskiego na terenie okupowanej Galicji Wschodniej w latach 1914–1915, gdzie rusyfikacja szła pełną parą. Był to element tego samego procesu. Czyli to nie było przygotowywanie się do dania autonomii Królestwu Polskiemu – raczej odwrotnie: to była ekspansja nacjonalizmu, samodzierżawia i cerkwi rosyjskiej na ziemię, które Rosjanie uważali za swoje.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rosja, jak obserwujemy, jest jakoś dziwnie konsekwentna.

Prof. dr hab. Krzysztof Kawalec

Słów kilka o tym, jak sprawa polska narastała i przestawała być czymś potencjalnym. Padło sformułowanie, że się wykuwała na polach bitew. Nie jestem pewien, czy dokładnie na polach bitew, czy raczej chodziło o to, że bitwy nie były rozstrzygające. Następował pat, generałowie (obu stron) okazywali się niezdolni do osiągnięcia sukcesu. Pat się przedłużał i w tej sytuacji rosło znaczenie polityków cywilnych, sprowadzające się w największym skrócie do tego, że wyobrażano sobie, że są oni w stanie wpłynąć na to, że linia bojowa przeciwnika, dotąd niemożliwa do sforsowania, załamie się za sprawą nadwątlonego morale. Początkowa powściągliwość państw zachodnich w sięganiu po argumenty narodowe (co się odnosi także do sprawy polskiej) tłumaczy to, że musiały się one liczyć ze stanowiskiem swojego rosyjskiego alianta. Kiedy ten ostatni pod wpływem wojennych trudności rozsypał się, zyskały swobodę działania. Czynnikiem wpływającym na to, że sprawa polska stopniowo „rosła”, było zmęczenie spowodowane wielomilionowymi stratami ludzkimi na frontach wojny, połączone z dostrzeżeniem potrzeby szukania innych instrumentów działania niż militarne.

Drugim elementem był rozkład państwa rosyjskiego, czego nie można datować wyłącznie od rewolucji lutowej i tego, co stało się później, gdy w wyniku rewolucji październikowej Rosja wypadła z szeregu aliantów. Od kilku lat na rynku księgarskim jest dostępny pamiętnik Karola Wędrzigo-

skiego. Jego autor był bystrzym obserwatorem, a i widział sporo. Jego opisy bałaganu, narastającego we wszystkich możliwych dziedzinach, są czymś porażającym. Wspomnę też o książce Williama Fullera *Prawdziwy koniec carskiej Rosji*, kilka lat temu przetłumaczonej na język polski. Pokazuje ona państwo istniejące tylko teoretycznie, państwo, w którym walczą ze sobą tajne służby, media, a przede wszystkim biznes. Wszystko to układa się w jakiś węzeł nieprzejrzystych, potwornych zależności, korupcji, samowoli, a nad wszystkim panuje bałagan. I to były zjawiska, które zniszczyły samodzierżawie, torując drogę rewolucji: najpierw liberalnej, potem bolszewickiej. Z polskiego punktu widzenia były one wielką szansą. Stwarzały przesłankę wyłamania się z grona państw Ententy najgroźniejszego zaborcy.

Prof. dr hab. Jan Żaryn

Chciałbym poruszyć trzy kwestie nowe, w związku z tym prosiłbym o jakiś komentarz, nawet taki: „Bzdury pan mówisz, panie Żaryn”. Pierwsza kwestia, w której jesteśmy zgodni: im dłużej trwała wojna, tym więcej sprawy polskiej. Ale proszę teraz to zdanie odwrócić, tzn. pokazać te strony w I wojnie światowej, które chciały, by wojna trwała krócej. Rodzi się zatem konieczność zdefiniowania, kim byli bardzo różnorodni pacyfiści. Ci, którzy próbowali, by wojna – co miało związek ze sprawą polską – trwała jak najkrócej. Termin „pacyfści” proszę traktować nie ideologicznie, tylko jako słowo klucz. Z jednej strony, wiązało się to z hasłami wpisującymi się w ówczesną nowomowę – tu przypomnę postać Romaina Rollanda, który był bardzo wyraźnie stroną używającą określonego języka, ale w celach zupełnie innych, niż to było zwerbalizowane. A z drugiej strony, jest Stolica Apostolska i Benedykt XV, który będzie używał poniekąd tych samych słów, ale jednocześnie walka o pokój Stolicy Apostolskiej wpływa z zupełnie innego katalogu wartości. Obydwa te bieguny mają olbrzymie znaczenie, jeśli chodzi o sprawę polską, ponieważ jedna i druga strona mówią o zaprzestaniu wojny – czy nawet o separatystycznych pokojach – co na pewno nie służyło sprawie polskiej.

Druga kwestia to styczeń 1917 r. Powracam tu do potencjału, o którym mówił prof. Roszkowski. Polski. Potencjał ten w sferze odbioru w polityce międzynarodowej można zdefiniować jako zmienność tematów dotyczą-

cych sprawy polskiej. Państwo się zastanawiali, jak zdefiniować to pojęcie. To, co robili Urszula Ledóchowska czy Henryk Sienkiewicz, było także działaniem na rzecz sprawy polskiej, choć w przestrzeni charytatywnej i propagandowej. Nie mówili o odzyskaniu niepodległości, choć i ona, i on rzecz jasna o tym myśleli, tyle że używając dostępnych w pierwszych latach wojny narzędzi.

Trzecia kwestia – znamy finał I wojny światowej, w odróżnieniu od bohaterów, o których rozmawiamy. Warto zadać sobie pytanie, jaki realny potencjał tkwił w państwach, które prowadziły wojnę, jeśli chodzi o daleki horyzont rozwiązania sprawy polskiej. I odpowiedź: to tylko Amerykanie w styczniu 1917 r. mogli dać impuls, poruszyć wyobraźnię czy też wymusić zupełnie inną perspektywę w sprawie polskiej po stronie Francji i Wielkiej Brytanii, które nie były zainteresowane demontażem zasady równowagi czy rezygnacją z sojuszu z Rosją.

Prof. dr hab. Maciej Janowski

Po pierwsze, ogromnie mi się podobało to, co powiedział prof. Wojciech Roszkowski. Sprawa polska na początku I wojny światowej była rzeczywiście obecna jedynie w formie potencjalnej. Profesor Chwałba powiedział, że nie było sprawy południowosłowiańskiej, ale przecież ona była – również w sensie potencjalnym.

W istocie decydowała polityka międzynarodowa. Wyobraźmy sobie, że Stany Zjednoczone wypowiedziałyby wojnę pół roku później, w związku z czym Niemcom udałoby się wygrać drugą bitwę nad Marną i zawrzeć separatystyczny pokój z państwami zachodnimi. Wtedy to Niemcy byłyby rozgrywającą siłą w Europie Środkowo-Wschodniej i mielibyśmy Mitteleuropę. Wówczas usilne polskie działania na nic by się nie zdały.

Po drugie, nawiązując do słów prof. Chwałby o trializmie, trzeba pamiętać, że pomysłów na trializm było kilka i one wzajemnie się paraliżowały. Była południowosłowiańska idea trialistyczna, czeska idea państwowa... Natomiast korzystnie na sprawę polską wpływało to, że wszystkie trzy imperia podczas I wojny światowej bardzo nowocześnie podjęły kwestię narodową, mając nadzieję, że w ten sposób osłabiają swoich rywali – a w efekcie wszystkie osłabiły się nawzajem.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Zwróciłabym uwagę, że tuż po Akcie 5 listopada, pojawił się pewien dokument francuski dotyczący celów wojny. Wskazywano w nim, że „Polska pruska” byłaby włączona do „Polski rosyjskiej”. Mówimy tu oczywiście o autonomii. Gdyby zatem wojna trwała krótko, jeśli skończyłaby się w 1916 czy nawet 1917 r., to nas by nie było. Dodatkowo, jeśli chodzi o gabinet francuski, to mamy tajną notę ministra spraw zagranicznych Aristida Brianda z 11 marca 1917 r., w której na prośbę strony rosyjskiej w imieniu rządu francuskiego zgodził się, aby Rosja po zwycięstwie miała prawo decydować o swojej granicy zachodniej. Tak więc to byłby nasz koniec.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Jeśli chodzi o pacyfistów, to w Europie ich raczej nie widzę. Uwikłanie w wyczerpującą wojnę powodowało, że właściwie ich być nie mogło. Oczywiście, pacyfistą na pewno był rosyjski chłop, który brał karabin, często zabijał oficera, a potem grabił. I na początku 1917 r. siły zbrojne tego państwa przestały istnieć, co z polskiego punktu widzenia jawi się wprost jako cud historii. A jeśli chodzi o mężów stanu, to chyba Ojca Świętego Benedykta XV widziałbym jako jedynego pacyfistę – oczywiście w myśl nauki katolickiej, która dopuszcza wojnę obronną jako sprawiedliwą.

Jeśli chodzi o najdalsze horyzonty wyobraźni poszczególnych mocarstw – odpowiem prosto. Dla Niemiec była to Mitteleuropa, z państwkiem polskim wewnątrz, oraz rządzenie kontynentalną Europą z Berlina. Dla Rosji – realizacja planu Sazonowa, czyli autonomii dla Polski i inkorporacji ziem polskich zdobytych w rozbiorach przez Prusy i Austrię. Dla Francji i Wielkiej Brytanii – niepodległe państewko polskie w granicach etnograficznych, z tym że te etnograficzne granice inaczej definiowano w Paryżu, a inaczej w Londynie.

Wizja francuska zawierała postulat Polski znacznie rozszerzonej terytorialnie na zachód – kosztem Niemiec (Górny Śląsk, Pomorze i Gdańsk oraz oczywiście Wielkopolska). Krótko mówiąc – Francuzi pragnęli utworzenia Polski jako antyniemieckiej bariery wschodniej. Brytyjska myśl o nowej Polsce była inna – w Londynie za najbardziej dogodne rozwiązanie uznano by ustanowienie polskiej powojennej granicy zachodniej na linii, którą miało opanowane przez Rosję Królestwo Polskie przed rokiem 1914.

Prof. dr hab. Wojciech Materski

À propos marca 1917 r. Pani prof. Gmurczyk-Wrońska wymieniła tajną notę francuską do rządu rosyjskiego z marca 1917 r. jako przykład dokumentu, który fatalnie wróżył dla Polski. Nie podzielam tej opinii. Obowiązywało tajne porozumienie z 1914 r. o zachowaniu ładu wiedeńskiego. Ta nota jak gdyby zwalniała z niego Rosję i dwa tygodnie później, 30 marca, występuje książę Gieorgij Lwow i mówi, że Polska ma prawo do pełnej niepodległości. Czy więc tej noty nie można interpretować pozytywnie, a nie negatywnie? Ja ją interpretuję pozytywnie.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jedna uwaga. 5 listopada pada niedookreślona zapowiedź czegoś, co się pojawi. W marcu jest już mowa o niepodległym państwie, z dwoma „drobnymi” zastrzeżeniami: co do określenia granic i z wolnym związkiem militarnym. Czy jest to postęp, czy nie, zwłaszcza w kontekście tego, co pojawia się w styczniu 1918 r., czyli w trzynastym punkcie Wilsona?

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Polski dżin wydostał się z lampy. Kto ją odkręcił? Uważam, że Niemcy i Austriacy. Aktem 5 listopada. I ten dżin chodził sobie po Europie. Musiało tak być, jego powrót do lampy był niemożliwy. Nie przeceniałbym też znaczenia not francuskich w odniesieniu do tego, co się działo 30 marca 1917 r. Była przecież wyraźna konkurencja dwóch władz. One konkurowały ze sobą o wszystko, licytowały się. Więc skoro 3 dni wcześniej jedna władza – ta najważniejsza – Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, w której są Polacy, i to nie są tylko komuniści, deklaruje, że będzie państwo polskie, to ta druga władza nie może na to nie odpowiedzieć, bo ona na tym tylko i wyłącznie straci. I to zapewne był czynnik determinujący posunięcie Rządu Tymczasowego. Chciałbym zwrócić uwagę, że w obu tych deklaracjach nie ma granicy, ale podskórnie odczuwa się, że ma nią być granica etniczna, czyli na Bugu.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W takim razie to, co proponuje w swoich punktach i w odniesieniu do sprawy polskiej Wilson, to jest pójsć krok dalej czy tylko porządkowanie rzeczywistości?

Prof. dr hab. Marek Kornat

Absolutnie jest to krok dalej, bo pada słowo „niepodległość”. Cokolwiek byśmy sądzili o 14 punktach, mamy do czynienia z prawdziwie rewolucyjnym programem przebudowy świata. Tu nie ma już powrotu Europy do *status quo ante bellum*. To orędzie było przełomowe, z tym że w znacznej mierze opisuje ono elementy rzeczywistości, które już się tworzą. Wiadomo, że trzeszczy w szwach monarchia habsburska. I w tej kwestii prezydent Wilson był zwolennikiem dania narodom Austro-Węgier prawa do określenia własnego losu – albo na drodze federalizacji imperium Habsburgów, albo budowy własnych państw przez narody. Sekretarz stanu Robert Lansing uważał, że drugie rozwiązanie byłoby najrozsądniejszym rozstrzygnięciem.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Szukając odpowiedzi na pytanie, gdzie jest granica między potencjałem a realnością tworzenia się Rzeczypospolitej, nawiążę do tego, o czym mówił prof. Wołos – do Aktu 5 listopada 1916 r. 4 listopada kończy się kwestia polska jako przedmiot prawa międzynarodowego. Od 5 listopada zaczyna się historia odradzającej się Polski. Historia tworzenia, przekształcania mglistego potencjału w pewną realność, a jednocześnie moment, kiedy historia zaczyna zdecydowanie przyspieszać.

W uzupełnieniu słów prof. Kornata: Stany Zjednoczone ani w kwietniu 1917 r., ani później nie zgłosiły bezpośrednio akcesu do obozu Ententy. Chciały być ponad wojującymi stronami. Ale przystępując do wojny, położyły na szali potencjał największej potęgi gospodarczej świata, dzięki czemu alianci otrzymywali coraz liczniejsze posiłki, energię, co spowodowało, że to 14 punktów Wilsona rozstrzygało o pokoju i o wojnie.

Prezydent Wilson był moralistą. Pragnął wprowadzić nowy ład do stosunków międzynarodowych: dyplomacja i traktaty miały być jawne, a żegluga wolna. Wizja, wydaje się, zupełnie nie z tego świata. Niemniej znalazło się w niej miejsce dla Polski, a pozostałe 13 z 14 punktów stało się manifestem nowej architektury politycznej Europy i świata.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jesteśmy zgodni co do tego, że przełomowy moment, jakim stał się listopad 1916 r., spowodował, że potencjalna kwestia polska zdynamizowała się, stała

się kwestią realną. To po pierwsze. Po drugie, rzeczywiście przyspieszenie historii, o którym mówił pan prof. Chwalba, doprowadziło do ukonkretnienia sprawy polskiej, również na arenie międzynarodowej.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Ja jednak polemizowałbym z tezą, że Akt 5 listopada jest aż tak doniosły. To jest fakt bardzo ważny. Ale jeżeli wyobrazimy sobie bieg historii tak, że Rosja się nie załamuje – polskie marzenia o państwie znaczącym i obejmującym terytoria bezspornie polskie oraz niezbędne do utrzymania niepodległości byłyby tylko *wishfull thinking*. Krach Rosji to absolutnie rozstrzygający moment tej wojny. I na osobne rozważania.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Akt 5 listopada to było umiędzynarodowienie sprawy polskiej. Potem wystąpienie Wilsona i wejście od kwietnia 1917 r. Stanów Zjednoczonych do wojny. Kluczowe były jednak wydarzenia w Rosji i rok 1917 był tu dla nas przełomowy. Przypomnijmy też, że 4 czerwca 1917 r. był wydany dekret prezydenta Raymonda Poincarégo o powołaniu armii polskiej. Ale jeszcze przez cały 1917 rok Francuzi będą próbowali utrzymać dość słaby już wtedy sojusz z Rosją, a przede wszystkim ratować swoje kapitały zainwestowane w Rosji. Jeśli chodzi o perspektywę francuską, to sytuacja bardzo się zmieniła w grudniu 1917 r. Warto też dodać, że doszła także do głosu generacja młodszych dyplomatów i w końcu grudnia 1917 r. pojawiła się idea czterech filarów we francuskiej polityce zagranicznej. I tam jest wymieniana Polska. To grało na naszą korzyść.

Prof. dr hab. Wojciech Roszkowski

Przywołany został punkt trzynasty orędzia Wilsona, a w nim Polska jako jedyny ważny kraj. Z europejskich pigmejów Polska była największa. Tak więc i potencjał Polski był największy.

Profesor Żaryn zainspirował mnie do myśli o tym, kim byli pacyfiści. Największym pacyfistą nie był papież. Największym pacyfistą był szary żołnierz. Wyjdźmy z okopów pod ogień wroga... Otóż mamy do czynienia ze zjawiskiem (zwłaszcza pod koniec wojny) wyczerpywania się morale armii. Pytanie, czyje morale wyczerpywało się najbardziej. Jak wychodził z tych okopów Francuz, Niemiec, a jak Polak? Jest to dosyć zasadne pytanie.





W literaturze, zwłaszcza powojennej, mamy opisy horroru wojny we Francji i w Niemczech. Natomiast nie przypominam sobie, by w polskiej literaturze horrory wojny były tak szeroko opisywane. Dla mnie reakcja Polaków na horrory wojny była taka: „No trudno, ale jeżeli z tego ma wyniknąć niepodległa Polska, niech tak będzie”. I to jest aspekt, który łączy tę wielką historię. Bo pod koniec wojny żołnierz z karabinem stał się bardzo ważny, może nawet ważniejszy niż dyplomata.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jest to i puenta, i zapowiedź tego, o czym będziemy rozmawiać, bo problemy wojska wrócą i to polskie spojrzenie na wojnę oraz inne, zewnętrzne kwestie w jakiś sposób mogą się ze sobą zderzyć.

DEBATA III

Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918 (5 listopada 2016 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab., prof. IH PAN Małgorzata Gmurczyk-Wrońska, prof. dr hab. Krzysztof Kawalec, prof. dr hab. Marek Kornat, prof. dr hab. Tomasz Schramm, prof. dr hab. Jan Żaryn

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Rozpoczynamy kolejną debatę z okazji obchodów stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Cykl rozpoczęliśmy 5 listopada 2016 r. dyskusją nad doniosłością Aktu 5 listopada i jego konsekwencjami dla procesu odzyskiwania przez Polskę niepodległości. Spotkanie poprzednie poświęcone było uwarunkowaniom międzynarodowym, w jakich zabiegaliśmy o wolne państwo. Dzisiaj będziemy dyskutować o polskiej aktywności dyplomatycznej lat 1914–1918.

Dr Mateusz Szpytma, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej

Temat dzisiejszej debaty jest niezwykle ważki: polska akcja dyplomatyczna w okresie I wojny światowej. Dzisiaj, zresztą tak było zawsze, społeczeństwo interesują zwykle raczej kwestie militarne, są bowiem łatwiej dostrzegane. To zrozumiałe, skoro czcimy rocznice zwycięskich, a czasami i przegranych bitew. Wiemy jednak z historii, że równie ważne są zabiegi dyplomatyczne, często te kuluarowe. Warto o takich zabiegach pamiętać, bo wiemy, że historia jest nauczycielką życia. Warto z niej czerpać, zwłaszcza z wzorów polskich dyplomatów i polityków, którzy w przeszłości tyle dla Polski zrobili.

Prof. Włodzimierz Suleja

Wywoławczy tytuł dzisiejszej debaty brzmi: „Nie tylko Dmowski i Paderewski” – choć te właśnie postacie są najbardziej rozpoznawalne, jeśli chodzi



- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

o akcję zewnętrzną prowadzoną w latach 1914–1918. Temat jest obszerny, bo i wysiłek rozmaitych ośrodków był rozległy. Wysiłki te zmierzały wprawdzie do jednego celu, jednak różnymi drogami. Chciałbym skoncentrować się na kilku kwestiach wypełnionych historyczną materią – na skali aktywności i jej kierunkach. Warto też mówić o tym, co zamierzano osiągnąć i co Polakom osiągnąć się udało. Rozpoczniemy jednak od rzutu oka na aktywność o charakterze dyplomatycznym, międzynarodowym jeszcze przed rokiem 1914, o wprowadzenie do inicjatyw, które miały miejsce po wybuchu wojny.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Problem jest trudny, może wydawać się wręcz sprzeczny wewnętrznie. Pytamy wszak o działania dyplomatyczne w sytuacji, kiedy nie było podmiotu, który mógłby te działania prowadzić. Mam na myśli nie tylko państwo polskie, które wówczas nie istniało, ale chociażby sytuację z czasów Hotelu Lambert, z czasów dyplomacji bez listów uwierzytelniających.

Zdajemy sobie sprawę, że przed rokiem 1914, gdy sprawa polska przestała istnieć jako karta, której używały mocarstwa – główni gracze na XIX-wiecznej arenie międzynarodowej – wytworzyła się sytuacja, jak to ujął później Michał Sokolnicki, że „w 1914 r. nikt Polski nie chciał”. Nikomu Polska nie była potrzebna, wręcz odwrotnie – czasami mogła przeszkadzać. Sytuacja była właściwie beznadziejna. Wiązał się z tym również czas depresji, „nocy” po powstaniu styczniowym, kiedy nadzieje opadły, choć nie natychmiast po 1864 r.

Działalność, którą trudno nazwać dyplomatyczną, ale działalność na rzecz sprawy polskiej, mogła na forum międzynarodowym mieć tylko charakter wpływania na opinię publiczną, inspirowania publicystów, zwracania ich uwagi i sympatii w kierunku Polski. Także poszerzania wiedzy, nie bez pewnych efektów. Jednak były one wątki.

Powiem jeszcze o ledwo się zarysowujących wtedy inicjatywach, działaniach tych, którzy mimo wszystko chcieli podjąć grę o Polskę. Wręcz spektakularnym przykładem tego były dwie równoległe podróże do Japonii Dmowskiego i Piłsudskiego w czasie wojny polsko-rosyjskiej. Kierowali się odmiennymi założeniami, ale obaj zamierzali sprawdzić, czy kartę polską da się w tej sytuacji wyciągnąć. Akcja Piłsudskiego – „zagończykowska”,

nie przyniosła rezultatu. Nie potrafił on dostatecznie mocno zainteresować japońskich rozmówców. Dmowski nie musiał się wysilać, by krzyżować jego plany, które uważał za niebezpieczne, sprzeczne z własnymi koncepcjami. Niemniej, jeśli szukać inicjatorów działań, którzy chcieli, chociażby wbrew nadziei, w ograniczonym stopniu, wprowadzić sprawę polską z powrotem na arenę międzynarodową, to trzeba ich szukać w kręgu Józefa Piłsudskiego. Można tu przywoływać pewne projekty, inicjatywy sprzed 1914 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Mówimy przede wszystkim o takich inicjatywach, jak choćby działalność Witolda Jodki-Narkiewicza. Można wskazać też inne, czasami egzotyczne pomysły – jak powołanie w 1912 r. Towarzystwa Polsko-Tureckiego, które starało się kwestię polską rozgrywać, choć nie było na to większej nadziei. Pojawiał się już w naszej debacie wątek wyboru różnych ścieżek aktywności zewnętrznej obozów związanych z Piłsudskim i Dmowskim. Można zapytać: kto był pierwszy? Kto zaczął? Najistotniejsze są bowiem te pierwsze inicjatywy. Pierwsze kroki, które w ramach polskich wysiłków dyplomatycznych wówczas uczyniono.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Pytanie o to, kto zaczął akcję dyplomatyczną, jest nieco prowokacyjne. Kojarzemy tę wielką akcję dyplomatyczną głównie z Romanem Dmowskim i – później – z Ignacym Paderewskim. Tymczasem akcję dyplomatyczną rozpoczął Józef Piłsudski, wysyłając jesienią 1914 r. swojego dyplomatę do Londynu i Paryża. Mowa o Stanisławie Patku, wyekspediowanym z misją poinformowania polityków Ententy o tym, że Legiony walczą przeciwko Rosji, a nie przeciwko Entencie. Musimy jeszcze pamiętać, że ośrodkiem, który zaczynał akcję „dyplomatyczną” – choć nie była to dyplomacja *sensu stricto* – był krakowski Naczelny Komitet Narodowy. Stanisław Patek wyjechał na Zachód także z ramienia NKN. Jednak instrukcje otrzymał od Piłsudskiego i przekazał te informacje politykom francuskim i brytyjskim.

Misja Patka wówczas nie przyniosła żadnego rezultatu, bo nie mogła przynieść – była to dopiero jesień 1914 r. Pamiętajmy jednak, że przecież w sierpniu 1914 r. pojawiła się słynna odezwa księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, zawierająca mgliste obietnice dotyczące przyszłej Polski

- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

u boku Rosji. Choć były to tylko obietnice, Ententa traktowała je jako istotny znak ze strony Imperium Rosyjskiego, ukłon w stosunku do Polaków. Tymczasem tu były Legiony, które walczyły przeciwko Rosji. Zatem jesienią 1914 r. zaczęła się akcja dyplomatyczna o charakterze informacyjnym i taki cel został osiągnięty, choć głębszego wymiaru ta akcja nie miała. Nie zmieniła naszego położenia.

Co do działań Józefa Piłsudskiego warto wspomnieć także rok 1915 i wysłanie do Londynu Augusta Zaleskiego, który też współpracował z NKN, ale otrzymał instrukcje od Piłsudskiego. Zaleski przekazał Brytyjczykom podobne informacje jak wcześniej Patek. To były misje w gruncie rzeczy sondażowe, informacyjne. Miały powiadomić polityków Ententy, że Legiony walczą przeciwko Rosji.

Prof. dr hab. Tomasz Schramm

Ad vocem. Pani profesor wspomniała o powiązaniach Zaleskiego z NKN. Mało znany jest natomiast fakt, że on miał też oparcie z drugiej strony – w Aleksandrze Lednickim w Rosji. To przykład akcji Polski na forum międzynarodowym, ale i współpracy Polaków ponad podziałami politycznymi, która zarysowała się dość wcześnie.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Mamy zatem wówczas dwie orientacje – antyniemiecką i antyrosyjską. Nie ulega wątpliwości, że działania o charakterze informacyjnym są podejmowane niejako równolegle. Jednocześnie trudno dostrzec, żeby na zewnętrznym gruncie polscy przedstawiciele się „zderzali”, lansując swoją koncepcję, a dezawuuując koncepcję przeciwną. Jesteśmy zatem na etapie działań informacyjnych z lat 1914–1915. Warto zarysować ich skalę.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Zgadzam się z tym, że na terenie Zachodu akcję informacyjną zaczął Józef Piłsudski. Miał w tamtym czasie wizję rozwoju wydarzeń I wojny światowej. Znamy relację Wiktora Czernowa (działacza rosyjskiej Partii Socjal-Rewolucjonistów – eserów) z Paryża, z wykładu Piłsudskiego w Towarzystwie Geograficznym i wywiad udzielony Józefowi Hłasce, że zwycięstwo pójdzie od Zachodu na Wschód. Piłsudski twierdził wyraźnie, że Niemcy przegrają na Zachodzie, ale mogą zwyciężać, walcząc przeciwko Imperium Rosyjskie-





mu. Potem jednak i tak przegrają wojnę. Wychodząc z takiego założenia, obóz Piłsudskiego podjął kroki, aby zainteresować kwestią polską – na miarę ówczesnych możliwości – mocarstwa zachodnie. W ówczesnych realiach to jednak niczego nie zmieniało. Sprawa polska była *de facto* sprawą wewnętrzną Rosji. Tak to było postrzegane przez mocarstwa Zachodu. Stanisław Patek odbył rozmowę z Georgesem Clemenceau we wrześniu 1914 r., ale będący wówczas w opozycji polityk francuski nic nie mógł obiecać.

Druga uwaga. Mój wcześniejszy wywód nie oznacza, że swojej wizji nie miał Roman Dmowski, który celowo prowadził niezwykle ostrożną politykę. Nie żądał niepodległości dla Polski, kiedy koniunktura międzynarodowa na to nie pozwalała. Trzeba to docenić. Dostrzegał bowiem, iż Rosja, przeczuwając zagrożenie na skutek coraz mocniej podnoszonej kwestii polskiej, może opuścić obóz Ententy. Byłaby to dla naszego narodu tragedia. Dalekowzroczność i zręczność Romana Dmowskiego polegały na tym, aby w newralgicznym momencie umieć ograniczać żądania. A kiedy geopolityczny układ sił na to pozwoli, upomnieć się o wiele więcej.

I trzecia uwaga. Opinia historyka, dyplomaty, prawnika Tytusa Komarnickiego. Jego zdaniem mimo całego antagonizmu i sporu o oblicze Polski, działania tych dwóch obozów na forum międzynarodowym, symbolizowanych postaciami Piłsudskiego i Dmowskiego, się uzupełniały. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że Komarnicki miał rację. Stary spór „orientacyjny” nie powinien nam tej prawdy przesłonić. Można sobie wyobrazić rozmaite scenariusze historyczne, jednak działania na ziemiach polskich, aby stworzyć załazek sił zbrojnych i przystąpić do budowy elementów państwowości, to była droga faktów dokonanych. A w takiej sytuacji liczyć się musi realna polityka, w tym przypadku – światowa. Ale z drugiej strony, gdyby nie było orientacji na mocarstwa zachodnie, czyli umiejętnej akcji zagranicznej, nic by nam nie dało działanie w kraju, wewnątrz uwarunkowań, jakie oferowały nam mocarstwa centralne. Bylibyśmy jako naród tylko kandydatami do ofiarowanego przez Niemcy państewka w ich Mitteleuropie.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Istotnie można odnieść wrażenie, że graliśmy wówczas na dwóch fortepianach...

Prof. dr. hab. Marek Kornat

To przykład, który ma analogię historyczną: weźmy Włochów – Camillo Cavour i Giuseppe Garibaldi osiągają wspólnie wielki cel, podążając własnymi drogami i wyznając zupełnie inne systemy wartości.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

To daleko idąca analogia. Można powiedzieć jednak, że Piłsudski krępować sobie ręk nie dał, a Dmowski miał świadomość skrępowania ścieżką oficjalną. Nim jednak przejdziemy do opisu zasadniczego, intensywnego wysiłku dyplomatycznego skierowanego na Zachód, upomniałbym się o rzut oka na działania krakowskiego Komitetu. Wprawdzie miały one przede wszystkim informacyjny charakter, warto jednak wskazać na skalę działań, przez owych „agentów” NKN prowadzonych.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Przypomnę, że choć nie mieliśmy oficjalnie uznanych placówek dyplomatycznych za granicą, niemniej kilka tygodni przed zakończeniem wojny, w październiku 1918 r., w Warszawie powstaje Ministerstwo Spraw Zewnętrznych, które zaczyna przejmować zagraniczne placówki NKN, w tym biura prasowe. Warto ponadto wspomnieć o efektywnej pracy księcia Janusza Radziwiłła, mistrza dyplomacji, człowieka wielkiej odwagi i wyobraźni politycznej. Historia odrodzenia Polski nie zaczęła się od Dmowskiego i nie zakończyła na Piłsudskim.

Szukając odpowiedzi na pytanie o polską aktywność międzynarodową, trzeba odnieść się do szerszego kontekstu dziejowego. Po pierwsze, istotne jest to, że wybuch wojny spowodował wzrost aktywności nie tylko Polaków, ale także narodów niemających własnej państwowości. Zabiegając o pomoc w Europie i Ameryce, napotykalismy często, w tych samych państwach, przedstawicieli narodów, którzy mieli podobne cele jak Polacy. Cele te niejednokrotnie kłóciły się z naszymi. O wsparcie aliantów obok Polaków zabiegali m.in. Czesi, Słowacy, Litwini, mający nadzieje na uzyskanie tych samych terytoriów, o jakich myśleli i o jakie zabiegali polscy politycy. O pomoc na Zachodzie dobijali się również Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy, a w USA – Irlandczycy, dążący do powstania wolnej republiki irlandzkiej. Dlatego gdy polscy politycy rozpoczęli zabiegi o pomoc materialną dla umęczonej przez

wojnę Polski, głównie w USA, okazało się, że ich wysiłki są blokowane przez działania przedstawicieli innych narodów, z których każdy pragnął przekonać Amerykanów i europejskich aliantów, że los jego narodu jest najtragiczniejszy. Niemniej wsparcie Amerykanów dla polskiej akcji pomocowej, zwanej też ratunkową, przelożyło się na coraz lepsze rozumienie przez administrację amerykańską sprawy polskich aspiracji.

Po drugie, debatując na temat polskich działań zmierzających do umiędzynarodowienia sprawy polskiej, nie możemy zapominać o politykach – posłach do rosyjskiej Dumy i austriackiej Rady Państwa, którzy rozpoczęli starania mające na celu nagłośnienie sprawy polskiej. Było to drążenie skały, kropla po kropli. W Piotrogradzie działa m.in. Roman Dmowski. Próbuje przekonać władze rosyjskie, poczynawszy od cara, przez członków rządu, że sprawa polska powinna Rosję interesować, że Polska w ramach Imperium Romanowów jest szansą również dla Rosji, gdyż ponownie będzie blisko Berlina.

Także Zygmunt Wielopolski, lider realistów, przekonuje cara, by poszedł dalej, niż zapowiadało to orędzie wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Okazało się jednak, że muru niechęci i niezrozumienia nie może przebić. Rozmowy i negocjacje zakończyły się fiaskiem. Dmowski wcześniej niż Wielopolski zrozumiał, że już nic więcej w Piotrogradzie nie uzyska. Dobrze odczytał intencje cara i rosyjskich polityków, że orędzie wielkiego księcia zawiera maksimum tych obietnic, które Rosja gotowa jest spełnić. Aktywność Dmowskiego i innych polskich polityków w Piotrogradzie nie była bezproduktywna, gdyż w czasie pobytu nawiązali kontakty z ambasadorami i politykami reprezentującymi zachodnich aliantów. Dzięki nim trafili do tych najważniejszych w Paryżu, Londynie, Rzymie. Zyskali kapitał zaufania aliantów, co okazało się być cennym dobrem w misternej grze dyplomatycznej.

Natomiast co do roli NKN – to bardzo ważna instytucja, reprezentująca najważniejsze polskie środowiska polityczne Galicji i Śląska Cieszyńskiego. NKN chciał realizować tzw. wizję trialistyczną, czyli projekt przekształcenia Austro-Węgier w Austro-Węgry-Polskę. O to polscy politycy, w tym posłowie do Rady Państwa, zabiegali od początku wojny, a nawet przed jej wybuchem. Lecz zasługi NKN polegały nie tylko na tym, że był on patronem Legionów

Polskich, lecz także próbował – w związku z trializmem – stworzyć zaplecze polityczne w Królestwie, aby wraz z Galicją stanowiły one jeden podmiot. W ten sposób NKN podkreślał, że Polacy z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Cieszyńska są razem – chciał tę solidarność Polaków zademonstrować c. i k. monarchii, dowodząc tym samym, że idea trialistyczna jest do zrealizowania. Ale nie przekonał.

Istotne jest również to, że NKN tworzy poza granicami c. i k. monarchii własne nieoficjalne placówki dyplomatyczne, biura prasowe. Dociera m.in. do polityków szwajcarskich, a na terenie Szwajcarii – do polityków francuskich, brytyjskich, amerykańskich. We wszystkich stolicach państw – obu stron konfliktu są placówki NKN. Z punktu widzenia interesów Polski po wojnie była to wielka wartość. Członkowie enkaenowskich biur wykonali piękną pracę na rzecz RP.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Pojawił się wątek, iż nadszedł moment, kiedy to Dmowski zaczął rozumieć, że od Rosji nic nie uzyska. Tu bym polemizował – chyba od początku na to nie liczył...

Prof. dr. hab. Jan Żaryn

Zacząłbym od przypomnienia zdania jednego z nieżyjących już historyków, że tym, co na pewno łączyło Piłsudskiego i Dmowskiego, był fakt, że oni – w odróżnieniu od innych polskich polityków tego pokolenia – od początku do końca byli suwerenni. To bardzo ważne i wiodące określenie polskiej polityki, która była prowadzona przez tych ludzi nie w perspektywie obcych interesów, tylko – polskich interesów, niezależnie od lojalności. Czyli niezależnie od tego, w jaki sposób incydentalnie – wobec zmieniającej się rzeczywistości podchodzili oni do „tymczasowych” sojuszników.

Dotyczy to zarówno Dmowskiego, który w 1915 r. orientuje się, że od Rosji dla sprawy polskiej nic już nie uzyska i wyjeżdża na Zachód, rozpoczynając tam akcję niepodległościową, i podobnie Piłsudskiego. Ten jednak, podkreślny, jest postrzegany na Zachodzie przede wszystkim negatywnie – jako „strona” austriacka. Piłsudski, którego politykę prof. Schramm określił jako „zagończykowską”, od razu przekracza barierę uwikłania go w pozorny lojalizm. Wtedy rzeczywiście mógł być oceniany wyłącznie przez pry-





zmat owej zależności, toteż np. Stanisław Kozicki, reprezentant Dmowskiego w Londynie nie mógł się dogadać z Zaleskim ani z innymi wysłannikami Piłsudskiego, bo uważał ich za aktywistów realizujących niemiecką politykę.

Zacząłbym jednak od zasady suwerenności, która jest kluczowa dla obydwu tych postaci – „zagończyka” i realisty. Oni wybierają dwie różne drogi, ale mają cel suwerenny, przy czym nie zawahają się przed podejmowaniem działań, które można potocznie nazwać „zdradą”. Zdradzają dotychczasowych sojuszników, ponieważ nie zdradzają sprawy polskiej. To teza aktualna także dla dzisiejszej polityki.

Podejmę jednak polemikę na temat tego, kto był pierwszy. Trzeba widzieć nie tylko japońską wizytę, cenną dla Piłsudskiego i dla Dmowskiego, te jednakże godzin rozmowy w cztery oczy niewątpliwie było istotne z punktu widzenia wzajemnego rozpoznania i pewien obopólny szacunek u nich pozostał. Pobyt, a w jego wyniku ową rozmowę, jak wiemy dzisiaj, zainicjował wywiad angielski. Japońska wyprawa okazała się również początkiem myślenia, spotkania się z wielką polityką, światem, który zaczynali rozumieć. Także z perspektywy zrozumienia ukrytego mechanizmu politycznych akcji, np. dotyczących wywiadu. To „rozpoznanie” przed wojną już jest początkiem tego, co możemy nazwać akcją dyplomatyczną, prowadzoną przez tych dwóch panów i nie tylko przez nich.

W pierwszym rządzie chodzi jednak o rozpoznanie rzeczywistości politycznej. Dmowski pisze w 1908 r. swą książkę pt. *Rosja, Niemcy a kwestia polska*, w której wyklada swoje *credo*, dlaczego należy wystąpić przeciwko Niemcom. Będzie obstawać przy tej tezie, która go doprowadzi do Wersalu. Akceptując zasadę realizmu w polityce międzynarodowej, gotów jest ponadto układać się nawet tak daleko z Rosją, że chciał wejść w projekt panslawizmu. Z jego perspektywy nie jest to projekt antypolski, tylko projekt polityczny, międzynarodowy. Możemy dyskutować, czy on był mądry, ale chodzi o cele. W ten sposób Dmowski chciał wyrwać sprawę polską ze szponów rosyjskich, ponieważ właśnie prowadził dialog między Polakami a Czechami, który zaowocuje tym, że Narodowa Demokracja paradoksalnie będzie miała najlepsze relacje z Czechami na terenie świata zachodniego. Podobnie Piłsudskiego można „cofnąć” nie do 1914 r., tylko do decyzji

podjętej w zaborze austriackim o utworzeniu tajnej struktury, która będzie się wyłamywała z lojalnego podporządkowania politycznym celom austro-węgierskim. I Związek Walki Czynnej stanie się podstawą do późniejszych działań całego środowiska, w imieniu którego Piłsudski będzie wysyłał ludzi w miejsca leżące poza austro-węgierskim czy niemieckim kontekstem wojny.

Chciałbym też rozwinąć myśl prof. Chwalby, iż rozwój sprawy polskiej od 1914 r. wiąże się ze swoistym „żłobieniem”, aby przestała ona być wewnętrzną sprawą mocarstw. Działanie to jest dużo skuteczniejsze dzięki działalności charytatywnej czy „ratunkowo-pomocowej”. Wskażmy tu na olbrzymi wkład polskich intelektualistów, takich jak Ignacy Paderewski, Henryk Sienkiewicz, jak późniejsza święta Urszula Ledóchowska, która uczy się języków skandynawskich po to, by jeździć po Skandynawii i tam opowiadać o Polakach – mówić o narodzie, którego przedstawiciele od początku wojny stają przeciwko sobie w okopach. Ona opowiadała o naszych dramatycznych dziejach. To przyniesie wymierne efekty w przyszłości.

Patrząc z perspektywy lat 1918 i 1919 zobaczymy, że pozytywnych opinii o Polsce i Polakach z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, będzie przybywać. To olbrzymi sukces bardzo wielu ludzi, którzy intensywnie pracują od roku 1914, żeby o Polsce i Polakach mówić i zdobywać sympatię innych dla sprawy polskiej.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Spointuję: dobrze byłoby spróbować wyznaczyć granicę – przy założeniu, że akcja zewnętrzna, symbolizowana przez Piłsudskiego i Dmowskiego, była akcją suwerenną i podmiotową, a inne działania, o których mówimy, np. akcja odnosząca się do placówek NKN, były to poczynania pomocnicze, informacyjne. Od jakiego momentu możemy mówić, że wątek *stricte* informacyjny zaczyna się zamieniać w wątek związany z inspiracją – w różnych obszarach, prowadzoną głównie na Zachodzie?

Prof. dr. hab. Marek Kornat

Nie wiem, czy należy używać określenia „suwerenność” w odniesieniu do realiów, o których mówimy. Słowo „samodzielność” wydaje mi się lepsze, w polityce bowiem może być suwerenny tylko ten, kto ma własne terytorium. Piłsudski i Dmowski podczas I wojny światowej mogą prowadzić dyplomację

„bez listów uwierzytelniających”, tak jak to robił Adam Jerzy Czartoryski, kiedy istniał Hotel Lambert.

Po drugie, to, co nazywamy dyplomacją – w moim przekonaniu, na wyrost – w latach 1914–1917, czyli do upadku caratu i do runięcia Imperium Rosyjskiego, to raczej preliminarza dyplomacji czy też uprawianie *quasi*-dyplomacji, bardziej akcja sondażowo-informacyjna. Dyplomacja w wielkim stylu to jest to wszystko, co nam umożliwił przewrót w Rosji i co Roman Dmowski w sposób doniosły wykorzystał dla Polski. On również prowadził licytację sprawy polskiej wzwyż.

Widzę trzy momenty zwrotne – moment, kiedy Dmowski wyjeżdża z Rosji w grudniu 1915 r. Drugi – to lato 1917 r., kiedy sobie uświadamia, że powstaje geopolityczna próżnia w naszym regionie Europy, w wyniku krachu Imperium Rosyjskiego, a to daje szansę wywalczenia Polski znaczącej terytorialnie. Jeśli chodzi o Piłsudskiego, nie wolno zapomnieć o tym fundamentalnym fakcie, że on zrywa z państwami centralnymi latem 1917 r. Gdyby to nie nastąpiło, inaczej mogłyby się potoczyć wypadki.

Zgadzać się z tym, co mówił prof. Chwalba o zasługach NKN, np. dla przygotowania kadr dyplomatycznych, widziałbym jeszcze jedną zasługę tego gremium. NKN w pewnym sensie uratował Legiony w 1914 r. Gdyby nie było akcji politycznej Komitetu w Wiedniu, Legiony mogły być wcielo-
ne do Landsturmu. A przynajmniej taka perspektywa w owym czasie była brana pod uwagę przez Austriaków. Lojalizm proaustriacki to nie jest coś godnego dobrej pamięci. Ale NKN miał swoje przysłowiowe „pięć minut” w historii sprawy polskiej.

I jeszcze jedno, gdyż mówimy o Ignacym Paderewskim. Symbolem akcji na terenie Szwajcarii jest jednak Erazm Piltz i jego Agencja Lozańska, potężna akcja informacyjna na terenie państw neutralnych. Dzięki temu postępowo upowszechnianie świadomości sprawy polskiej wśród elit politycznych i umysłowych Zachodu.

W moim przekonaniu mamy do czynienia z akcją samodzielną, prowadzoną o Polaków pozostających w konflikcie, ale jednak się dopełniającą. Po geopolitycznym zwrocie, który przynosi krach Imperium Rosyjskiego, zaczyna się dyplomacja w wielkim stylu, dająca Polsce nowe możliwości

- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

istnienia. Koniunktura gra na naszą korzyść, jak nigdy wcześniej od czasów napoleońskich.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Co do obszaru informacyjnego możemy to skonkludować tak: „mówmy o sobie jak najwięcej, nie mówmy o sobie źle, ale mówmy rzetelnie”. Te elementy w działaniach Agencji Lozańskiej czy placówek NKN i innych struktur trzeba uwzględnić.

Dr. hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Przywiązuję bardzo dużą wagę do działalności krakowskiego NKN i jego wysłanników. Natomiast ten moment, o którym możemy mówić jako o wejściu na salony dyplomatyczne, to koniec roku 1916 i rok 1917. To jest przełom. Chciałabym zwrócić uwagę na różne płaszczyzny działań dyplomatycznych. Nam dziś trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie działali, skąd czerpali informacje, analizowali je. Żyjemy w czasach internetu, więc to zupełnie inna perspektywa. Wtedy analizowanie rzeczywistości, szukanie dróg i prób dotarcia do polityków zachodnich było bardzo trudne. Ale polscy dyplomaci potrafili to robić. Orędzie Wilsona było niezwykle ważne dla nas, ale tam była także mowa o pokoju bez aneksji. Dmowski wówczas się obawiał, że wojna może się zakończyć. Gdyby w tym momencie tak się stało, to byłby to „biały pokój”, jak to określali Francuzi. Dla nas byłoby to bardzo niekorzystne. Nic by się nam nie udało osiągnąć. Warto zatem zwrócić szczególną uwagę na tę politykę wielkich kroków w wykonaniu Dmowskiego, tzn. umiejętności stosowaniu we właściwej chwili odpowiedniego nacisku, wymuszanie przyspieszenia.

Erazm Piltz reprezentuje zupełnie inną optykę – prorosyjską. Jego zapatrzenie w Rosję było niezwykle naiwne. On wierzył w Rosję liberalno-postępową. Uważał, że Rosja, nawet po obaleniu cara, może współpracować z Polską. Decyzje, czy w wyniku tej kooperacji otrzymamy autonomię czy niepodległość, odkładał na później. W jego ocenie Rosja w 1917 r. nie wypadła z gry. Na tym tle warto wskazać na wątpliwości i obawy Dmowskiego z wiosny 1917 r. Przekonania, że wojna będzie kontynuowana, nabiera później – czyli w kwietniu 1917 r., gdy USA przystępują do wojny. Okres pierwszej połowy 1917 r. to u Dmowskiego opcja skierowana na państwa





anglosaskie – Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Później dopiero będzie mówić: „Francji byliśmy pewni”. Natomiast wcześniej uważał, że będą nas popierali przede wszystkim Anglosasi.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Na jeszcze jedną rzecz chciałbym zwrócić uwagę, bo pojawia się ona niejako w tle. Warto sobie uświadomić liczbę osób zaangażowanych nie tylko w informacyjne poczynania. Gdyby zestawić listę, byłaby bardzo długa i zawierałaby najrozmaitsze postacie – od intelektualistów poczynając, po osoby, które potem na dyplomatycznym gruncie zrobiły karierę. Są także postacie, które funkcjonują w obrębie innych dyplomatycznych struktur, przykładowo austro-węgierskich. Mówię o Władysławie Skrzyńskim, który też na rzecz sprawy polskiej działał.

Prof. dr. hab. Tomasz Schramm

Warto raz jeszcze powrócić do pytania, kiedy coś się zmieniło: po 5 listopada. Przed 5 listopada i potem Rosja carska przegrywała sprawę polską, a wraz z nią przegrywali alianci zachodni, bo szli na pasku Rosji. Podmiotowość ośrodka polskiego w Warszawie jest jeszcze skromna. Aktywiści warszawscy nie byli marionetkami niemieckimi, tylko starali się być partnerami. Dużo słabszymi, ale partnerami w rozgrywce z okupantem o sprawę polską. Ponadto jest bliskość w czasie tych dwóch wydarzeń – Aktu 5 listopada i rewolucji lutowej, upadku caratu. To się spleta w całość. Te dwa czynniki określają nowe możliwości działania na rzecz sprawy polskiej.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Wiedza Europejczyków o Polsce była skromna, ale też niewiele przed 1914 r. było zainteresowanych Polską. Politycy szybko zrozumieli, że jeśli chcą przekonać aliantów do sprawy polskiej, to wcześniej muszą zainteresować europejskie elity Polską, jej historią i kulturą. Dzięki pomocy dobrodziejów, takich jak Maurycy Zamoyski, Mikołaj Potocki, Antoni Sobański, uruchomiono na Zachodzie polskie instytucje zajmujące się prezentacją polskiej kultury i tradycji. Wydano wiele publikacji, zaangażowano do akcji promocyjnej ówczesne osobistości, takie jak Ignacy Jan Paderewski – największy wówczas pianista świata, Joseph Conrad, Maria Skłodowska-Curie, Władysław Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz. Zadaniem polskich wielkich

nazwisk było m.in. wyszukanie sojuszników, „ambasadorów polskiej sprawy” w świecie i w Europie. Z misjami propagandowymi ruszyli też polscy politycy z Dmowskim na czele, który wygłaszał odczyty o Polsce w Szkocji, Anglii, Walii, Francji. Po jednym z przemówień zanotował: „Przecież oni nic nie wiedzą o Polsce”. Dmowskiego wspierał wybitny brytyjski pisarz Gilbert Keith Chesterton, który po wojnie przyjedzie do Polski, będzie naszym sprawdzonym przyjacielem. Mimo że był katolikiem, anglikanie go słuchali i chcieli go słuchać, bo miał im coś ważnego do przekazania. Z kolei w Szwecji w promocję polskich spraw zaangażowała się noblistka Selma Lagerlöf. Polscy politycy dobrze wiedzieli, że sami, w pojedynkę sobie nie poradzą. Muszą mieć sojuszników, którzy będą ich wspierać. I znaleziono takich, którzy chcieli iść razem z polskimi politykami i przecierać szlaki. W Ameryce takich sojuszników odszukał Paderewski. Miał nie tylko wielki talent artystyczny, ale i znaczny kapitał, który zainwestował w kampanię wyborczą prezydenta Wilsona. Wilson wygrał, a to znaczyło, że wygrał także Paderewski. W Ameryce obowiązuje zasada wdzięczności. Jak wykazał znakomity historyk francuski Henri Rollet, Paderewski należał do największych sponsorów Wilsona, czyli miał prawo oczekiwać rekompensaty. W rozmowie z prezydentem wymienił tylko jeden postulat: żeby Wilson nie zapomniał o Polakach i ich aspiracjach do życia we własnym państwie.

Prof. dr. hab. Jan Żaryn

Wróciłbym do dat przełomowych, kiedy od akcji informacyjnej przechodzimy do akcji dyplomatycznej. Te dwie drogi są równoległe, przesunąłbym jednak tę granicę aktywności polityczno-dyplomatycznej na moment, kiedy w Lozannie powstaje Agencja. Zarówno w swojej nazwie, jak i celach jest ona już na tyle wyrazista, że można domniemywać, iż twórcy Agencji wiedzą w szczególach, o co im chodzi na terenie zachodnim. Z jednej strony w akcję zaangażowane są pieniądze, czyli przede wszystkim kapitał przekazany przez Maurycego Zamoyskiego – trzeba podkreślić jego zasługi – prywatne pieniądze oddał na sprawę polską. To owocowało akcją tworzenia placówek informacyjno-dyplomatycznych na Zachodzie. Warto przywołać również postać Macieja Loreta. To ważna osobistość w tamtym czasie we Włoszech, próbująca przetrzeć ścieżkę do Stolicy Apostolskiej, dzięki czemu Romano-

wi Dmowskiemu udaje się tam dotrzeć. I nie jest to rozmowa pozytywna, bo Stolica Apostolska widzi sprawę polską i jej rozwiązanie, szczególnie po 5 listopada 1916 r., w sojuszu z Niemcami.

Trzeba zdać sobie sprawę, że zasięg oddziaływania dyplomatycznego zaczyna się od Lozanny i jest planowo realizowany. Także w samej nazwie (Centralna Agencja Polska) odwoływano się do agencji, która w końcu XVIII w. – po upadku Polski – zaowocowała m.in. utworzeniem Legionów Jana Henryka Dąbrowskiego. Tę agencję z wieku XX stworzyli ludzie, którzy rozumieli historię Polski i wiedzieli, do czego nawiązują. Mieli świadomość, że budowanie armii po właściwej stronie jest również ich celem. Stąd i dyplomacja, i wojsko – dwa ważne obszary działalności agencji.

I druga data – przypomniał ją prof. Schramm – to oczywiście 5 listopada 1916 r. Od tej pory druga strona musiała już „pójść piętro wyżej” w naszej sprawie, bo Niemcy tak ustawili poprzeczkę. Tyle że Akt 5 listopada – o czym mówiła prof. Gmurczyk-Wrońska – ma fatalne konsekwencje w postaci potencjalnego zagrożenia pokoju europejskiego. Wprawdzie im mniej ludzi ginie, tym lepiej, gdyby jednak wojna wcześniej się zakończyła i wstępna propozycja prezydenta USA Wilsona została zaaprobowana, to Polski by nie było. Szczęśliwie dla sprawy polskiej wojna trwała. Wiosna 1917 r. stała się zatem „nasza”. Od czasu tej wiosny Dmowski, Paderewski mogli budować polską politykę już na forum światowym, to znaczy we współpracy z naszymi zachodnimi partnerami.

Chciałbym też nieco inaczej spojrzeć na wspaniałą wypowiedź prezydenta Wilsona w Kongresie ze stycznia 1917 r. Ani Francja, ani Anglia nie mogły wtedy mówić o konieczności budowania pokoju i obecności niepodległej Polski tak jak prezydent neutralnych jeszcze wówczas Stanów Zjednoczonych. Na tym polegała też wielkość Paderewskiego i Dmowskiego, że wybierają Wilsona, który za chwilę stanie się częścią świata Ententy, a jego wypowiedź będzie obligować sojuszników – Francję i Anglię do odpowiedzi: zgadzają się na tę koncepcję ładu i wolną Polskę czy nie.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Kwestie dotyczące skali aktywności Polaków, kierunków dyplomatycznych działań w znacznym stopniu zostały zasygnalizowane. Dlatego stawiam tu kropkę. I – zgodnie z tradycją – oddaję głos sali.

- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

Prof. dr. hab. Jan Rydel

Chciałbym podkreślić cudowną komplementarność polskich działań tamtej epoki i ich niezwykłą nowoczesność. Chcę wspomnieć o akcji informacyjnej NKN na terenie niemieckojęzycznym. Potem przez kilkadziesiąt lat czerpano wiedzę o Polsce z przekładów, jakie wtedy przygotowano. Powstały polskie czasopisma niemieckojęzyczne, które próbowały odpowiednio „ustawić” wiedzę o Polsce. To była dyplomacja, jakiej nie mieliśmy nawet w okresie międzywojennym.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Przywołajmy osobę, która była instytucją na niemieckim terenie, czyli Wilhelma Feldmana i jego „Polnische Blätter” – to dzieło bardzo istotne.

Mec. Krzysztof Uczkiewicz

Chciałbym podkreślić wagę koncepcji egoizmu narodowego, o jakim pisał i mówił Roman Dmowski przed I wojną światową. Potem rozwijał ją i zarażał koncepcją polskiego egoizmu narodowego kraje zachodnie. A te dostrzegły pożytek z jego wykorzystania jako czynnika neutralizującego inne wrogie egoizmy narodowe.

Prof. dr. hab. Andrzej Nowak

Nawiążę do tego wątku. Hasło egoizmu narodowego nie pomagało sprawie polskiej na arenie międzynarodowej w czasie I wojny. Ono zasadniczo jej przeszkadzało. Polityczna poprawność języka dyplomacji z roku 1916 i 1917 była zupełnie inna. Kiedy się czyta memoriały ministra spraw zagranicznych Artura Balfoura, Davida Lloyd George’a czy francuskich polityków, widać, że używali języka praw narodów, federalizmu. Niemcy też przyjmują ten ton w koncepcji Mitteleuropy – to nie jest koncepcja egoizmu narodowego. Mówią: proszę, ustępujemy, dajemy innym prawa. Kiedy się czyta dzienniki polityków rosyjskich czy opinie polityków brytyjskich z roku 1918–1919 – a to moja perspektywa badawcza – widać takie opinie: „Jacy ci Polacy są cwani. Piłsudski udaje szczerego demokratę, federalistę, a to w gruncie rzeczy taki sam nacjonalista jak Dmowski. Oszukali nas. Daliśmy im więcej, niż powinni dostać. Stworzyli wrażenie, że doskonale będą pasowali do nowego porządku międzynarodowego. Tymczasem będą głównie źródłem kłopotów”. Nie doceniamy, ile naszym elitom się udało. Zazdroszczono nam tych elit. „Jak świetnie Polacy to rozegrali” – twierdzono.



- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

Prof. dr. hab. Wiesław Wysocki

Myślę, że podsumowaniem tej znakomitej dyskusji mogłaby być przypomnienie reakcji państw europejskich na oficjalną notyfikację powstania państwa polskiego.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście, te reakcje były problemem. Wracamy do wątku Komitetu Narodowego i tego, co udało się realnie osiągnąć.

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Również pragnę podkreślić wykorzystanie przez polską dyplomację, szczególnie przez Romana Dmowskiego, nowej retoryki, która pojawiła się w języku dyplomatów, polityków w roku 1917. Wtedy była już mowa o wolności narodów. Istnienie imperiów było ważne, pojęcie koncertu mocarstw funkcjonowało, lecz w oficjalnej retoryce języka dyplomacji pojawia się już „wolność”, „samostanowienie narodów”. To Roman Dmowski świetnie wykorzystuje. Wiosna 1917 r. to czas wielkiej akcji memoriałowej Dmowskiego. Liczba tych memoriałów, które składa politykom brytyjskim, a później francuskim jest imponująca. Robią to też inni – chcę przywołać Stanisława Gutowskiego, którego nazwisko jest nieco zapomniane. Gutowski w maju 1918 r. napisał memoriał do władz francuskich (do dyrektora Pierre’a de Margeriego z MSZ). Ten tekst liczył 75 stron! Tam są wnikliwe analizy sytuacji międzynarodowej i podkreślenie konieczności powstania niepodległego państwa polskiego. Autor bazuje też na memoriałach Dmowskiego.

Prof. dr. hab. Tomasz Schramm

Tu pozwolę sobie na kropelkę dziegciu. Czy ktoś przeczytał ten siedemdziesięciostronicowy memoriał?

Dr. hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

Przeczytałam go, gdy pisałam o tym artykuł. Oczywiście pytanie, czy francuski adresat go przeczytał, jest zasadne i postawiłam je w swoim tekście. Nie mam wątpliwości, że de Margerie memoriału nie przeczytał. Niemniej chodzi o fakt, że Polacy wręcz zasypywali stronę zachodnią takimi materiałami.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Trochę było tak, że polski dziad długo przemawiał do zachodniego obrazu. I ten obraz w końcu zaczął reagować jak człowiek.

Prof. dr. hab. Marek Kornat

Skoro mówimy o roku 1917, chciałbym dodać dwie uwagi generalne. Jedną – wpisującą się w to, o czym już mówiliśmy, a chodzi mi o wysoką ocenę Romana Dmowskiego. Drugą – krytyczną. W lipcu 1917 r. powstaje broszura *Problems of the Eastern and Central Europe* pióra Dmowskiego. Jest rozpowszechniana w Londynie, jest na pewno przedmiotem lektury w Foreign Office. Kiedy się czyta ten tekst – a przecież musiał być pisany co najmniej kilka tygodni przed rozpowszechnieniem broszury – to odczuwa się podziw dla jasności wizji przyszłej Europy. Dmowski twierdzi: potęga Niemiec musi być zredukowana. Polska musi mieć terytorialny dostęp do morza. Musi być stworzone państwo czechosłowackie, które będzie częścią nowego ładu terytorialnego, bo ten inaczej się nie ostoi. Austro-Węgry muszą być rozbite. Powiększenie Rumunii jest konieczne. Na południowej flance obszaru Międzymorza potrzebne jest państwo jugosłowiańskie. Wszystko to się spełnia w rok później! Dmowski nie podejmuje tylko jednej kwestii, która zaistnieje – nie domaga się niezawisłości państw bałtyckich. Dla Finlandii prawdopodobnie przewidywał niepodległość, ale tylko o tym wspomniał. Klarowność wizji Dmowskiego robi wrażenie. Bo miarą wielkości polityka jest skuteczność. Bez umiejętności przewidywania przyszłości niełatwo o skuteczność. To niezwykle, jak wizja geopolitycznej rewolucji w Europie w ujęciu Dmowskiego się sprawdziła.

Moja druga refleksja – która być może będzie przedmiotem rozbieżności zdań – jest następująca. Dmowski przemawia głosem teorii równowagi sił i głosem „Machtpolitik”. Nie używa języka „modnego wilsonizmu”. I tym nie zjednuje sobie zbyt wielu zwolenników. Paderewski robi to lepiej. Nasuwa się pytanie, czy tej akcji dla Polski, jaką prowadził Dmowski nie można było podjąć i prowadzić zręczniejsze? To trudne pytanie. Na pewno lider Narodowej Demokracji nie zjednałby sobie brytyjskich mężów stanu. Wydaje mi się jednak, że w tamtym okresie język jego refleksji o polityce światowej, zawarty w memoriałach czy przemówieniach, nie był skuteczny. Dmowski pisał w kategoriach bezwzględnej walki o byt – a to nie była szczególnie zręczna forma dyplomacji. Jednak mimo wszystko można obronić tezę Dmowskiego, wypowiedzianą *ex post* – że osiągnął 90 proc. tego, co zamierzał. Oczywiście

- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

byłoby lepiej, gdyby się udało uzyskać Gdańsk i Górny Śląsk bez plebiscytu, może w całości. Czy było to realne? Moim zdaniem nie.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Nie zależało to od Dmowskiego. By spointować wątek: Dmowski przemawiał do intelektu, Paderewski – do emocji. Na tym ta różnica polegała.

Prof. dr. hab. Tomasz Schramm

Ocena języka zależy przede wszystkim od tego, do kogo przemawiał Dmowski. Jeśli jego materiały były kierowane do praktyków polityki, to chyba lepiej, że nie używał języka poprawności politycznej.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Rok 1917, jak już podkreślaliśmy, jest rokiem kluczowym. Raz – ze względu na rewolucje rosyjskie, dwa – na przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny. Polscy politycy coraz natarczywiej stawiają pytania adresowane do mocarstw obu walczących stron: czy są gotowe do rozbicia starego ładu i do pożegnania „koncertu mocarstw”? Czy potrafią zaprosić do budowania przyszłej architektury europejskiej narody bez własnej, suwerennej państwowości? Tu pojawia się problem przyszłości Austro-Węgier. W 14 punktach Wilson nie zapowiada rozbicia Austro-Węgier. Sprawa dalej jest otwarta. Jeszcze w pierwszej połowie 1918 r. Anglicy, Francuzi i Amerykanie uważają, że wystarczy, jeśli narody otrzymają autonomię w ramach c. i k. monarchii. W sukurs polskim politykom przyszli politycy innych narodów, którzy coraz głośniej i efektywniej zabiegają w Europie i w USA o uznanie ich prawa do samostanowienia. Upominają się o to samo, co my. Zgoda mocarstw na zasadniczą przebudowę Europy Środkowej i Wschodniej przychodzi jednak relatywnie późno. Jej znakiem jest Deklaracja Wersalska z czerwca roku 1918. To jest dowód politycznej efektywności, ale nie tylko polskich polityków.

Co do Komitetu Narodowego Polskiego – 22 lipca 1917 r. Józef Piłsudski został aresztowany, przebywa w Magdeburgu i jest wyłączony z bezpośrednich działań politycznych. Może działać tylko przez swoich współpracowników. Ale ci są zaniepokojeni, bo mózgiem całej pracy jest Piłsudski. Co robić, jak go nie ma? Zostawił wytyczne, ale nie bardzo wiadomo, jak je realizować. Taka sytuacja stwarza szansę aktywności Dmowskiego i jego politycznym partnerów, którzy wzmacniają tempo polskiej akcji dyploma-

tycznej na Zachodzie za pomocą KNP. Komitet jest dużym organizmem, w którym pracuje około 300–400 osób. W jego ramach funkcjonują różne agendy pracujące na rzecz powrotu Polski na mapę Europy.

I ostatnia rzecz – a mianowicie relacje polsko-żydowskie w przestrzeni międzynarodowej. Pod koniec wojny coraz aktywniejsze stawały się amerykańskie środowiska żydowskie, które niekoniecznie były przyjazne polskiej wizji niepodległości. Niechęci tych środowisk doświadczył Dmowski podczas skądinąd dobrze przygotowanej przez Paderewskiego wyprawy do Stanów Zjednoczonych. Podczas rozmowy z sekretarzem stanu Robertem Lansingiem, Edwardem Housem i prezydentem Wilsonem była poruszana kwestia zabezpieczenia praw żydowskiej mniejszości w przyszłej Polsce. Środowiska żydowskie uważały, że Polska może otrzymać niepodległość, jeśli zdecyduje się na utworzenie autonomii narodowej i kulturalno-oświatowej dla Żydów. Tego samego Żydzi oczekiwali m.in. od Rumunii. Pobyt Dmowskiego, uważanego za czołowego polskiego antysemitę w USA, jeszcze zdynamizował aktywność środowisk żydowskich. Także Paderewskiemu Żydzi zarzucali wspieranie przed wybuchem I wojny światowej antysemitycznych gazet. Zatem polska aktywność międzynarodowa zderzyła się z aktywnością środowisk żydowskich, które uznały, że jest to dobry moment dla zabezpieczenia swoich interesów.

Prof. dr. hab. Tomasz Schramm

Krótkie *ad vocem*. Wymienił pan profesor rozmowy z Wilsonem itd. Były także dwie rozmowy z Louisem Marshalllem, które zakończyły się kompletną klapą.

Prof. dr. hab. Jan Żaryn

Akcja dyplomatyczna, memoriałowa Romana Dmowskiego jest idealnie wpisana w zrozumienie ówczesnego klimatu. Z jednej strony Brytyjczycy są nadal zwolennikami równowagi i widzą świat europejski wedle własnego modelu i własnych interesów. Dmowski, rozmawiając z Brytyjczykami, o tym wie. Nie może udawać, że nie ma odniesienia do zasady równowagi. Z drugiej strony, są Amerykanie, czyli nowa idea samostanowienia narodowego, która ma olbrzymie zalety z polskiego punktu widzenia, ale ma też duże wady. Rozumienie idei samostanowienia w wersji etniczności nie daje nam suwerenności. Wracam zatem do słowa „suwerenność”, które wydaje mi się kluczowe.

- *Nie tylko Dmowski i Paderewski. Polska akcja dyplomatyczna 1914–1918...* •

Dmowski, wysyłając memoriały w roku 1917, próbuje przekazać, że Europa uporządkowana po wojnie to Europa, w której nie może być już więcej wojny. A to znaczy, że musi powstać silne państwo polskie, które nie tylko etnicznie odwołuje się do narodu polskiego, lecz także jest silne ekonomicznie. Czyli za suwerennością kryje się cała sfera zasobów ekonomiczno-gospodarczych. Stąd dostęp do morza, stąd Górny Śląsk i Śląsk Cieszyński – i Niemcom trzeba to odebrać, i Austriakom. Takie rozwiązanie może stać się gwarantem tego, co nazwiemy stabilnością w Europie Środkowo-Wschodniej. Fenomen Dmowskiego polega na tym, że polityk zabiega o polskie cele na forum uniwersalizmu, tzn. tego, co jest w języku ówczesnej „poprawności politycznej” zagwarantowaniem pokoju. Pokoju uniwersalnego i na zawsze. To jest wybitna umiejętność dyplomatyczna, którą Roman Dmowski posiadał.

Były też porażki po drodze – początkowo jest nią utworzenie przyszłej armii Hallera przez Francuzów, a nie przez Komitet Narodowy Polski. Nie tylko dlatego, że go jeszcze formalnie nie ma, ale dlatego, że Francuzi jeszcze nie wiedzą, czy chcą, żeby powstał, czy nie. Dmowski to odczytuje jako słabość swej polityki – utworzenie armii polskiej, która może być bezpośrednio zależna wyłącznie od dowództwa francuskiego. Ale ostatecznym sukcesem jest to, że udaje mu się wyrwać tę armię z rąk francuskich. Komitet Narodowy Polski staje na czele tej armii.

Zatem my, wychodząc z wojny, mimo że nie mamy państwa – to z punktu widzenia dyplomatycznego jesteśmy w Wersalu jako strona zwycięska i jesteśmy na defiladzie w 1919 r. jako zwycięskie wojsko. Obie najważniejsze cechy dotyczące udziału państwa lub narodu w wojnie są wypełnione. Dyplomatycznie jesteśmy po właściwej stronie, militarnie jesteśmy zwycięzcami. Czego więcej żądać od osoby czy strony, która nie miała innych narzędzi poza własnym umysłem?

Dr hab. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska

W generacji, która przewodziła na drodze do Niepodległej, rzeczywiście mieliśmy wiele osób wybitnie inteligentnych i zdolnych. Świetnie analizujących rzeczywistość. Włączających się w ten nurt, który pozwalał nam uzyskać niepodległość. Jednak była to także epoka, która stwarzała nam takie możliwości. Nie byliśmy jedynym narodem, który zabiegał o samodziel-

ność, byli też inni. W 1919 r., kiedy już zaczęła się konferencja pokojowa, głos mniejszych narodów był słyszalny. Nie da się tego porównać z okresem II wojny światowej. Mieliliśmy możliwości i potencjał – i to się udało wykorzystać. Mieliliśmy znakomitych polityków i dyplomatów, którzy skutecznie działali bez listów uwierzytelniających. To wszystko, co się stało w okresie 1914–1918, później zaowocowało.

Prof. dr. hab. Marek Kornat

Z pewnością w tym przełomowym momencie historii europejskiej kluczem do naszego losu była geopolityka i działania czynników zewnętrznych. Co nie oznacza usunięcia z pola widzenia czy też deprecjonowania tego, co robiliśmy sami. Ale w tamtych realiach decydujący był fakt „rewolucji geopolitycznej” – to określenie Wiktora Sukiennickiego trzeba przypomnieć – która nastąpiła w Europie w latach 1917–1918. Istniejące możliwości wykorzystaliśmy w sposób znaczący, nawet bardzo dobry. Czy doskonały? To będzie chyba zawsze przedmiotem sporu.

Skoro Roman Dmowski tyle razy był przywoływany, chciałbym dodać jedną kwestię. Był on również świadom nietrwałości tego, co osiągnął. Ponoć świadomość nietrwałości dzieła, które się osiąga w polityce, jest cechą wielkiego męża stanu. Roman Dmowski uważał, że podpisując traktat wersalski, zawiera w imieniu Polski układ, z którym Niemcy się nie pogodzą. Będą próbowały zmienić go przemocą i z tym się trzeba liczyć. W wykładzie, który Dmowski wygłosił na Uniwersytecie Poznańskim przy okazji 10. rocznicy traktatu wersalskiego, świadomość nadchodzącego kataklizmu jest niesłychanie mocna. To świadczy jeszcze bardziej wymownie niż inne elementy o realizmie politycznym przywódcy Narodowej Demokracji.

Pragnę, by raz jeszcze niezwykle mocno wybrzmiała teza o komplementarności wysiłków obydwu obozów. Oczywiście, nie wypieramy z naszej świadomości, jak bardzo były one złożone wewnętrznie. Były pola fundamentalnego konfliktu, np. o celowość wspierania Ukrainy jako państwa. Wiemy zapewne, iż Józef Piłsudski miał wielkie pretensje do Romana Dmowskiego, że tej sprawy nie chciał podjąć w jego duchu. Ale była komplementarność działań, które dały upragniony przez Polaków rezultat finalny.

Prof. dr. hab. Tomasz Schramm

Krótkie *ad vocem* po raz kolejny. Myślę, że prawdziwą wielkość wykazywali ci, którzy w 1919 r. – a nie dziesięć lat później – byli świadomi nietrwałości tego, co zostało osiągnięte...

Nasza dyskusja poświęcona jest drodze ku Niepodległej i temu, co zostało dokonane. W drugiej części wojny KNP wysuwa się na czoło i dostatecznie dużo na ten temat zostało powiedziane. Chciałbym jednak wrócić do wiosny 1918 r., do sytuacji w Warszawie. Kiedy Stany Zjednoczone wypowiadają wojnę w roku 1917, nie są potęgą militarną. Dziś mamy to tak „wbite” w głowę, że nie uświadamiamy sobie, że sto lat temu było inaczej. USA przystąpiło do wojny, lecz nie było wiadomo, jaki będzie jej rezultat. Mamy zlekceważony, nieopublikowany memoriał Jana Kantego Steczkowskiego do rządu niemieckiego, oferujący współpracę w zamian za uznanie niepodległości Polski. To była także brawura: „Wyzyskajmy maksimum sytuacji, kiedy wygląda na to, że Polska pozostanie w Mitteleuropie”. Natomiast latem 1918 r. władze warszawskie szukają kontaktu z Francuzami. Widzą, że Niemcy przegrały i ostrożnie porywają się na działanie, które z perspektywy Hansa von Beselera jest „znoszeniem się z nieprzyjacielem”. Nie miało to ciągu dalszego – historię napisali zwycięzcy, a aktywiści warszawscy nimi nie byli.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Warto podkreślić, jeśli chodzi o dyplomatyczną ścieżkę, to myśmy licytowali wzwyż. Tylko wzwyż.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Trzy kwestie. Po pierwsze, doceniając sukces naszych polityków warto pamiętać, że ich największym sojusznikiem była długa wojna. Gdyby nie ona, zupełnie inaczej byśmy ich oceniali – inna byłaby siła ich instrumentów. Wystarczy prześledzić wystąpienia Wojciecha Korfanteo w Berlinie – z miesiąca na miesiąc są bardziej zdecydowane, coraz silniej antyniemieckie. To dowodzi, że Niemcy słabną i nie potrafią się temu przeciwstawić. Po drugie, problem, który postawił prof. Wiesław Wysocki. Podczas wojny KNP otrzymał znaczące kredyty od Anglii, Francji i USA na swoją działalność i budowę armii. Polska musi zatem powstać, żeby zostały zwrócone kredytodawcom.





I po trzecie, jesienią 1918 r. mamy w Polsce dwuwładzę. Z jednej strony KNP, który jest uznawany za polski rząd przez aliantów, a z drugiej – tymczasowy Naczelnik Państwa i rząd w Warszawie. Sytuacja dalece niekomfortowa. Stąd piękny list Piłsudskiego do Dmowskiego, który autora chyba wiele kosztował: „Drogi Panie Romanie, musimy wspólnie budować historię Polski”. Pan Roman dał się przekonać i dzięki temu Polska, jako wartość najważniejsza dla obu polityków i obozów, mogła zapisywać nową historię.

Prof. Jan Żaryn

Profesor Chwalba już w zasadzie powiedział to, co powinno być powiedziane. Bez wątpienia bez czynnika międzynarodowego, czyli długiego trwania I wojny światowej, najprawdopodobniej Polska byłaby zupełnie inna i – wszystko na to wskazuje – niesuwerenna. Jest paradoksem, że im więcej ludzi zginęło, tym więcej niepodległości. Z drugiej strony akcje Dmowskiego i Paderewskiego oraz bardzo wielu innych powinny zaowocować ich bezwzględny zwycięstwem w kraju. Nawiązując do tego, o czym prof. Chwalba powiedział – do środowisk żydowskich w USA, nieszczególnie zafascynowanych Romanem Dmowskim i jego życiorysem, warto przypomnieć zdanie Dmowskiego wypowiedziane w 1920 r.: „Może to dobrze, że Piłsudski w tej chwili rządzi, a nie my. Dla Polski to lepiej, ponieważ on nie nazywa się Roman Dmowski”.

DEBATA I V

Nie tylko Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918

(5 listopada 2016 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, prof. dr hab. Krzysztof Kawalec, prof. dr hab. Janusz Odziemkowski, prof. dr hab. Mariusz Wołos

Prezydent RP Andrzej Duda

Szanowny Panie Prezesie, Szanowni Państwo Profesorowie, Dostojni Goście, przede wszystkim serdecznie dziękuję. Dziękuję za ten prezent, za piękną publikację o gen. Józefie Hallerze i dziękuję za dzisiejszą debatę, już czwartą.

Te debaty są bardzo ważne. Z racji wielkości uczonych, autorytetów w dziedzinie nauki historii, którzy przychodzą tutaj, za co jestem ogromnie wdzięczny. Każde z tych spotkań jest swoistym świętowaniem stulecia niepodległości.

Dziś mówimy o czynie zbrojnym Polaków, o Legionach, ale nie tylko. O tym, że Legiony Józefa Piłsudskiego walczyły o odzyskanie niepodległości, mam nadzieję, że wszyscy w Polsce doskonale wiedzą. Trzeba też pamiętać o Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera i o I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Wszystkie te formacje były wojskiem polskim. To był trzon sił, które później obroniły Rzeczpospolitą w 1920 r. przed najazdem bolszewickim.

Stulecie niepodległości ma znaczenie nie tylko z punktu widzenia czysto historycznego, ono ma ogromne znaczenie – podobnie jak nasze debaty mają znaczenie – z racji budowania postaw. Dla mnie jako prezydenta Rzeczypospolitej to jest najważniejsze. To, że państwo dzieli się swoją wiedzą, przemysleniami, wynikami badań. To w pewnym sensie poruszenie ogólnonarodowej debaty. Ogromnie bym chciał, aby to promieniowało. By ta dyskusja o historii przechodziła w to, w jaki sposób historia ma wpływ na teraźniejszość. A tak się dzieje dzięki analizie, wyciąganiu wniosków, ucze-





niu ludzi młodych. Przede wszystkim ważne są młode pokolenia. Stulecie niepodległości ma tu znaczenie niezwykle.

Bardzo mocno zdałem sobie z tego sprawę, kiedy niedawno odwiedziłem Wągrowiec. W notatkach, które mi przygotowano, była adnotacja, że w 1919 r., w czasie powstania wielkopolskiego, Wągrowiec niemal błyskawicznie udało się oswobodzić. Dlatego że z małej miejscowości pod Skokami obok Wągrowca był pewien chłopak, który uczestniczył w samym wybuchu powstania w Poznaniu, a następnie szybko zjawił się w Wągrowcu i wzniecił tam – razem z trzema innymi młodymi mężczyznami – powstanie. Zgromadzili, zmobilizowali mieszkańców i w ciągu trzech dni Wągrowiec był wolny.

Podczas spotkania padały nazwiska ludzi z Wągrowca. Moja wypowiedź wywołała poruszenie wśród audytorium zgromadzonego na miejscowym rynku. Zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jest to dla nich ważne – to żyje w tej lokalnej społeczności; temat niezwykle ich dotknął w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. Są dumni z tego, że ich przodkowie sami wyzwolili się spod okupacji zaborcy pruskiego.

To niezwykle ważny element, który można wykorzystać w kontekście stulecia niepodległości. Takie debaty, spotkania powinny się odbywać także na poziomie lokalnym. Chciałbym, aby każda gmina, każdy powiat organizował debaty na temat własnej historii odzyskania niepodległości. Na temat tamtych dni w konkretnej miejscowości. Na temat Kowalskiego, który razem z przyjacielem z gimnazjum odebrali broń Niemcom, Austriakom czy Rosjanom i dzięki temu wyzwolili swoją miejscowość. Trzeba mówić o tym, że na miejscowym cmentarzu jest ich grób, trzeba mówić o ich rodzinie. Zdanie sobie sprawy z własnych korzeni jest bardzo ważne.

Jeżeli mówimy o budowaniu postaw patriotycznych to mówimy, że chcemy, by młodzi czuli, iż państwo suwerenne, silne to państwo, w którym jest budowana sfera bezpieczeństwa i wolności – ono tę wolność gwarantuje. Dopiero wtedy jesteś naprawdę wolny, kiedy to państwo masz. Ludzie byli gotowi oddać życie, aby to państwo odzyskać, a potem je obronić. Tak bardzo cierpieli, kiedy we własnym państwie nie mogli żyć, kiedy przeciwko sobie walczyli w armiach zaborczych. To niezwykle istotne. To wielki skarb, jaki my wszyscy powinniśmy wynieść właśnie z setnej rocznicy odzyskania

niepodległości. Chodzi o dokonanie aktu głębokiego, społecznego samouświadamienia, żeby każdy w danym miasteczku wiedział, jak się nazywali ci, którzy wolność wywalczyli. Kto z miasteczka był Legionach, kto – w Błękitnej Armii, a kto w I Korpusie Polskim. Jak się nazywał, czy spoczywa na naszym cmentarzu, czy może zginął w bitwie? Gdzie jest jego rodzina, gdzie mieszkał? Dla mnie jest to niezwykle ważne w kontekście setnej rocznicy odzyskania niepodległości, lecz także w kontekście budowania świadomości w naszym społeczeństwie na następne stulecie.

Patrząc z uśmiechem na pana profesora Andrzeja Chwalbę, bo pan profesor nawet dzisiaj ubrał się na wzór Błękitnej Armii. Serdecznie państwu dziękuję za debaty, za obecność. One są naprawdę ogromnie dla mnie ważne i z przyjemnością słucham państwa dyskusji – niezwykle pouczających.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Przypomnę, że w 1916 r. kanclerz Rzeszy Niemieckiej Bethmann-Hollweg powiedział, że sprawy polskiej wprawdzie nikt nie chciał, ale postawił ją na porządku dziennym losy bitew. I dziś ten aspekt militarny będzie najważniejszy. Mamy mówić nie tylko o Legionach, ten wątek pozostawimy na debatę następną. Skoncentrujemy się na wysiłku militarnym, początkowo wątplym, później coraz rozleglejszym, obejmującym, z jednej strony, Francję, z drugiej – Rosję. W związku z tym obok aspektu czysto militarnego, dotyczącego polskiej obecności w rozmaitych starciach, do których wtedy dochodziło, podniesiemy kwestie odnoszące się do związanego również ze sprawą polską kontekstu politycznego.

Rozpocniemy od sprawy generalnej. Warto sobie uświadomić, jaka była skala wysiłku militarnego w roku 1914 i w latach następnych. My koncentrujemy się na tym, co sami w drodze do niepodległości wnieśliśmy, ale warto odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie potencjały w 1914 r. się pojawiły? Z czym mieliśmy do czynienia? Dlaczego ranga naszego skromnego z początku wysiłku z upływem czasu rosła?

Prof. dr. hab. Janusz Odziemkowski

Zacznijmy od tego, że rok 1914 był końcem *belle époque*, chociaż wtedy nie zdawano sobie z tego sprawy. Wszyscy uczestnicy konfliktu stanęli w obro-

nie własnej zagrożonej ojczyzny, w obronie wolności; każdy był przekonany o tym, że jego sprawa jest jedyną sprawiedliwą, że będzie wygrana. Plan francuski zakładał w pierwszej fazie wytrzymanie uderzenia niemieckiego. Francuzi pamiętali lata 1870–1871, zdawali sobie sprawę z potęgi armii niemieckiej. Brytyjczycy mogli początkowo udzielić Francuzom niewielkiego wsparcia na lądzie, toteż w Paryżu zdecydowanie bardziej liczono na „walec” rosyjski, na pięciomilionową armię, którą Rosja miała szybko powołać pod broń. W Rosji istotnie poczyniono w latach przed I wojną światową duże inwestycje kolejowe, które miały przyspieszyć mobilizację armii. I rosyjska armia – zgodnie z obietnicami składanymi Francji – miała pójść na Berlin i odciągnąć wojska niemieckie z frontu francuskiego. Wtedy odciążona armia francuska przeszłaby do ofensywy. Taki bieg wydarzeń stwarzał perspektywę wygrania wojny w ciągu kilku miesięcy. Armia rosyjska miała także zmiażdżyć Austro-Węgry uważane za najsłabszego przeciwnika.

Rosja obawiała się natomiast, że Niemcy nie pozwolą jej na zmobilizowanie całej armii. To był problem sztabu rosyjskiego: „nie zdążymy się zmobilizować, bo nasz kraj jest ogromny, nie możemy tak szybko jak Niemcy tego dokonać”. Stąd też widoczny w ostatnich dniach przed wybuchem wojny „kontredans” decyzji cara, polityków, sztabu rosyjskiego w pewnym sensie przyspieszający ten konflikt. Rosyjscy sztabowcy uważali, że Rosja nie może dać się wyprzedzić w mobilizacji Niemcom i Austrii.

Na wojnę szły ogromne armie, jakich do tej pory w Europie nie widziano. Rosyjska liczyła około 5 mln ludzi, francuska – blisko 3 mln, Niemcy miały około 3–4 mln. Ruszano na wojnę z radością, z pieśniami na ustach. Przypominają o tym relacje, filmy nakręcone w tamtych gorących dniach. Nie tylko cesarz niemiecki, Wilhelm II, mówił: „Zanim liście spadną z drzew, wróćcie zwycięzcami!”. Tak samo myślano we Francji i Rosji. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że przyjdzie toczyć długą i ciężką wojnę. Nie zdawano sobie sprawy z możliwości nowoczesnego przemysłu. Wielu mówiło, że wojna nie może trwać długo, chociażby dlatego że „szybko wystrzelamy wszystkie naboje, zużyjemy zapasy, żaden kraj nie będzie w stanie wyprodukować dla wielomilionowych armii takich ilości broni, by wojna trwała długo”. Nie doceniono tego, co może zrobić nowoczesny przemysł. Nie wiedziano, że

I wojna światowa będzie pierwszą wojną, która dotknie całych społeczeństw. Nie tylko żołnierz, ale cała ludność cywilna walczących państw będzie musiała uczestniczyć w wielkim wysiłku, cierpieć poniewierkę, głód, w miarę jak wojna będzie pochłaniać hekatombę ofiar. Nikt tego nie przewidywał.

Załamaly się wszystkie plany strategiczne. Niemiecki, który zakładał, że Francja zostanie pokonana błyskawicznie i można będzie zwrócić główne siły przeciwko Rosji. Rosyjski, bo pierwsza ofensywa zakończyła się klęską w Prusach. Nastąpiły co prawda sukcesy rosyjskie w Galicji, ale straty i zużycie zapasów były tak wielkie, że zabrakło sił do marszu na Berlin. Zresztą Niemcy szybko ściągnęli rezerwy, ruszyli na Łódź i zagrozili Warszawie. W roku 1915 następuje zmiana planu niemieckiego. Skoro nie można Francji powalić, spróbujmy Rosję odepchnąć od naszych granic. Tu rzeczywiście przyszły błyskawiczne sukcesy, które oszołomiły niemiecką opinię publiczną i generalicję niemiecką. Wydawało się, że huk upadających twierdz rosyjskich otwiera raj, że za chwilę wojska niemieckie staną pod Moskwą, Petersburgiem. Nie udało się to jednak ze względu na rozległe rosyjskie przestrzenie, niemożliwe do szybkiego pokonania przy ówczesnych środkach technicznych.

Reasumując, w roku 1915 zaczął się czas wielkich ofiar, w roku 1916 wszystkie strony zaczęły odczuwać wyczerpanie wojną i ogromnymi stratami. Fronty zastygły. Francuzi i Brytyjczycy coraz bardziej liczyli na włączenie się Stanów Zjednoczonych do wojny po stronie ententy. Niemcy zaczęli szukać mięsa armatniego. Wtedy padło spojrzenie na Legiony Polskie i pojawiły się myśli: „a może tych Polaków, za ochłap, za niesprecyzowaną obietnicę jakiegoś państwa, wciągniemy do wojny?”. I ten milion żołnierzy, jak wyliczył gen. Beseler, „z samego Królestwa uzyskamy”.

Żeby przełamać impas, trzeba było nowej krwi, nowych żołnierzy. I na tym tle zaczęła odgrywać rolę sprawa polska. Pojawia się idea pozyskania polskiego żołnierza, który w XIX w. wyrobił sobie świetną opinię. Człowieka wielkiej odwagi, poświęcenia, patrioty gotowego do każdej ofiary dla ojczyzny. Uważano, że to powszechna postawa Polaków, co przecież nie do końca było prawdą. Rzecz w tym, że w XIX w. oceniano nas na Zachodzie głównie przez pryzmat Wielkiej Emigracji i tych, którzy musieli uchodzić z kraju po powstaniu styczniowym: patriotów, ludzi w większości wykształconych.





I to przekładano na resztę społeczeństwa polskiego. Dlatego wielu Niemcom wydawało się w roku 1916, że wystarczy sama nadzieja na odrodzenie Polski, aby Polacy zaczęli masowo zgłaszać się do polskiego wojska, aby walczyć z Rosją. I będą to doskonali żołnierze, nieustępujący tym z Legionów.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Istotnie, wartość polskiego żołnierza, nawet tego potencjalnego, bardzo wzrosła pod koniec roku 1916. Niemniej jednak te pierwsze próby, pomijając epopeję Legionów, i po drugiej stronie frontu od początku wojny były podejmowane. Spójrzmy zatem na pierwsze próby organizowania własnego, polskiego żołnierza na gruncie rosyjskim. Prosiłbym jednak o wstępną refleksję na temat rosyjskich realiów i polskich oczekiwań, które w tamtym czasie były rozbieżne.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Panie prezydencie, siwy strój jest po mojej lewicy (profesor Kawalec) – to są legioniści. Kolor mojego garnituru to rzeczywiście Błękitna Armia. Nasze spotkania mają również charakter rekonstrukcji historycznej.

Kilka podjętych tu wątków warto uzupełnić. Ciekawa jest kwestia mobilizacji. Czy władze państw zaborczych obawiały się dezercji? Niemcy dezercji się nie obawiali. Poziom dezercji w sierpniu 1914 r. w armii Rzeszy wyniósł 0,3 proc. Polacy pomaszerowali do armii niemieckiej bez oporu, nie mieli zresztą wyboru. To było tak dobrze zorganizowane państwo, że nawet myśl o tym, że mogę zostać w domu, uciec do Borów Tucholskich, nie przychodziła do głowy. To było niemożliwe.

W przypadku armii austro-węgierskiej dezercja nie przekroczyła 1 proc. Polacy z Galicji, Śląska Cieszyńskiego radośnie pomaszerowali pod sztandarami ukochanego Franciszka Józefa I. Ale również przedstawiciele pozostałych 10 narodów zamieszkujących monarchię austro-węgierską nie mieli wątpliwości, że należy stawić się do koszar. Przychylny stosunek narodów do decyzji cesarza o wypowiedzeniu wojny królowi Serbii był oczekiwany przez władze Wiednia. Ale w kolejnych latach problem dezercji się nasilił, aby w 1918 r. stać się poważnym zmartwieniem, i to nie tylko dla władz Wiednia, lecz także Berlina.

Dezercji najbardziej obawiały się władze rosyjskie. Tymczasem do wojska nie stawiało się w skali państwa jedynie 1,5 proc. rekrutów. Polacy, mieszk-

kańcy Kresów i Królestwa Polskiego chętnie pomaszerowali na front, aby walczyć w ramach „naszych” armii. Podobnie Polacy z Galicji powiadali o c. i k. wojskach: „nasza” armia.

Dla porównania: kiedy Piłsudski jako Naczelnik Państwa organizował Wojsko Polskie, poziom dezercji w niektórych garnizonach sięgał 30 proc. Wówczas to był poważny problem, ale rozumieli, gdyż był to zupełnie inny okres, czas powojenny.

Jeszcze *à propos* Rosji. Choć mobilizacja została sprawnie i szybko przeprowadzona, niemniej jednak poważnym problemem było dowieszenie żołnierzy na front. Rosja przez lata nie inwestowała w koleje, inaczej niż Niemcy, które to okazały się środkiem transportu o znaczeniu strategicznym. Brak środków transportu był jednym z najważniejszych źródeł porażek armii rosyjskiej. W 1914 r. władze rosyjskie były przekonane o szybkim zwycięstwie swoich armii, dlatego nie były zainteresowane formacjami składającymi się z polskich ochotników.

W Rosji pierwsze inicjatywy polskich polityków i wojskowych w celu tworzenia polskich formacji zbrojnych pojawiły się jesienią 1914 r. Politycy Narodowej Demokracji, partii, która kontrolowała rząd dusz w Królestwie Polskim i na Kresach, mianowicie uznali, że należy dać odpór inicjatywie Piłsudskiego oraz środowisk politycznych Galicji, które za zgodą c. i k. władz utworzyły oddziały strzeleckie, a następnie Legiony Polskie. W związku z tym pojawił się pomysł zorganizowania konkurencyjnych Legionów Polskich – tak też określanych, choć ostatecznie nazwa była inna – u boku armii rosyjskiej. Oponenci powiadali, że to „Legiony bis” lub „antylegiony”.

Armia rosyjska była przekonana, że jeszcze przed nadejściem zimy wkroczy do Berlina, Wiednia i Budapesztu. Oficerowie rosyjscy jesienią 1914 r. żądali szybkiego dostarczenia mundurów galowych, bo już widzieli siebie na defiladzie w Berlinie i Wiedniu. Dlatego pomysł z Legionami u boku armii rosyjskiej wolno się materializował, a przy tym w bardzo ograniczonej postaci. Początkowo miały być to rzeczywiście Legiony i pod taką nazwą, jako Legion Puławski i Legion Lubelski, przeszły do historii. Ostatecznie zamiast Legionów powstały oddziały polskie w ramach rosyjskiego pospolitego ruszenia. Dlatego endecja cofnęła im swoje polityczne poparcie, gdyż zamiast

polskich legionistów Piotrogród wyraził zgodę na formowanie oddziałów kondotierów. Niemniej jednak idea stworzenia wojska polskiego u boku armii rosyjskiej nie zaginęła, czego świadectwem było powstanie Brygady Strzelców Pieszych w Rosji, a później 1. Dywizji Strzelców Pieszych. Ale pamięć o polskich legionistach u boku armii rosyjskiej zaginęła. Nie wytworzyły mitu, nie miały swoich poetów, powieściopisarzy, malarzy. Nie miały poważnej klasy dowódców, a żadna z „polskich” bitew u boku wojsk rosyjskich tego czasu nie stała się częścią historii narodowej.

Prof. dr. hab. Mariusz Wołos

Odniosę się polemicznie do słów profesora Chwalby. Ja bym jednak z taką łatwością nie porównywał tego, co się działo w roku 1918 czy 1919 w Polsce, zwłaszcza liczby dezercji, ponieważ startowaliśmy z punktu „zero”. Państwo polskie nie było, bo i być nie mogło, tak zorganizowane jak mocarstwa zaborcze w 1914 r., poza tym – w odróżnieniu od początków wielkiej wojny – ludzie byli wówczas wojowaniem zmęczeni.

Sytuacja ze wspomnianymi dwiema drużynami, bo tak je nazywano – 739. Nowoaleksandryjską Drużyną i 740. Lubelską Drużyną – czyli Legionem Puławskim i Legionem Lubelskim, była bardzo smutna. Rosjanie zgodzili się na to, by używać symbolu Matki Boskiej Jasnogórskiej, ale już nie zgodzili się na to by używać orła białego. Drażniło ich to, że w Warszawie chodzą ludzie, co prawda w rosyjskich mundurach, ale z jakimiś dziwnymi naszywkami, mówiący po polsku. Przecież ten język był wtedy na dobrą sprawę zakazany. Dlatego też władze bardzo szybko dały do zrozumienia, że skoro już daliśmy zgodę Witoldowi Górczyńskiemu i innym twórcom tych formacji oraz stojącym za nimi siłom politycznym, czyli warszawskiemu Komitetowi Narodowemu Polskiemu, na ich utworzenie, to utrudnijmy Polakom pracę w inny sposób. System był bardzo prosty: jeżeli porucznik X chciał się zapisać do Legionu Puławskiego i siedł do dowódcy pułku, to ten mu odpowiadał: „Dobrze, panie poruczniku, niech pan idzie, dam na to zgodę, ale musi mieć pan świadomość, że w armii rosyjskiej kariery pan nie zrobi”. I to było twardo powiedziane.

Jeszcze jedna kwestia dotycząca tych formacji. Wcale to nie była tak mała skala ofiar, która by nie dała do myślenia sztabowcom rosyjskim czy francu-

skim, bo my może nazbyt lekko traktujemy bajończyków. Ich było co prawda niewielu, ale kiedy walczyli w okolicach miasta Reims, to proszę pamiętać, że z jednego boju – 10 maja 1915 r. – wróciły 53 osoby, a sto zginęło, łącznie z dowódcą. To byli ludzie, którzy oddali życie za Polskę. Walczyli co prawda w Legii Cudzoziemskiej, ale oddali życie jako polscy żołnierze. I to Francuzom otworzyło oczy, że może warto na Polaków postawić. To jest punkt wyjścia do tego, co się później będzie działo z Błękitną Armią. Tu nie ma przypadku.

Po stronie rosyjskiej było to samo, przecież Legion Puławski na ziemi radomskiej wiosną i latem 1915 r. krwawił. Był wówczas pod komendą – rzecz ciekawa – rosyjskiego generała, ale szczerego Polaka, gen. Józefa Leśniewskiego, który potem będzie ministrem spraw wojskowych w wolnej już Rzeczypospolitej. Znowu jest to punkt wyjścia i punkt odniesienia dla późniejszych wydarzeń.

Jest coś jeszcze. Mówimy, że nie było dezercji. Ja się zastanawiałem zawsze, ilu ludzi w mundurach rosyjskich zrezygnowało z nich i przeszło do Legionów. Gustaw Konstanty Dreszer pod Brzegami – 14 sierpnia. Stanisław Paderewski, brat Ignacego Jana, który zginął pod Krzywopłotami, i jeszcze paru innych. Ignacemu Matuszewskiemu, który chciał, już to się nie udało.

W 1914 r. sprawa polska była wyłącznie w sercach Polaków, tymczasem sytuacja w roku 1917 była już zgoła inna. Na początku wojny polscy ochotnicy po obu stronach frontu zgłaszali się dobrowolnie do oddziałów, o jakich mówimy, wiele ryzykując. We Francji Wacław Gąsiorowski założył Komitet Wolontariuszy (Ochotników) Polskich. Tam też ochotniczo się zgłaszano; z dwudziestotysięcznej Polonii, gdzie ludzi zdolnych do noszenia broni było może około 1,5–2 tys., wstąpiło w szeregi kilkuset. Czy to mało? Nie. Oni służyli nie tyle nieistniejącej jeszcze sprawie polskiej, ile marzeniom o własnym państwie. Dla nich były to marzenia realne. Z tą też myślą szli do oddziałów, uczestnicząc w walkach we francuskich czy rosyjskich mundurach. To był pewien kapitał na przyszłość także w relacjach z przedstawicielami mocarstw zaborczych i zachodnich. O tym nie można zapominać.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Te pierwsze akcesy, z którymi mamy do czynienia, dotyczące Legionu Puławskiego i innych formacji, pokazywały to, co może nastąpić. Warto

w tej chwili odnieść się do kontekstu politycznego tego czasu. Zwłaszcza sytuacji w Imperium Rosyjskim. To, co robili czy rosyjski minister spraw wewnętrznych Nikołaj Makłakow, czy gubernator generał Paweł Jengalczew w Warszawie, wyraźnie pokazywało, że zgłoszenie się do polskiego oddziału wiąże się i z osobistym, i z politycznym ryzykiem dla tych, którzy taką decyzję będą chcieli podjąć.

Prof. dr. hab. Krzysztof Kawalec

Zacznę od Legionu Puławskiego – czegoś, co w kategoriach politycznych było porażką; w kategoriach militarnych nie przybrało zbyt wielkiej skali. Natomiast zostawiło po sobie coś, co można traktować jako kapitał żelazny. Tak więc początki tej formacji także z punktu widzenia polityków, którzy realizowali orientację na Rosję w przededniu wojny, podczas pierwszych miesięcy były ambarasujące, bo entuzjazm dla wojny i utożsamianie się z państwem (nawet gdy to państwo nie było własne) miało taki skutek, że wśród części Polaków w obrębie zaboru rosyjskiego zaznaczył się entuzjazm przejawiający się w podejmowaniu różnych działań na rzecz armii rosyjskiej, do tworzenia formacji partyzanckich włącznie. Rzeczywiście, inicjatywa Gorczyńskiego nie była jedyna.

O politykach narodowodemokratycznych można powiedzieć, że w obrębie utworzonego w Warszawie Komitetu Narodowego Polskiego, w porównaniu ze swoimi konserwatywnymi partnerami, byli bardziej sceptyczni co do perspektywy tej współpracy. Także dlatego, że entuzjazm, jaki wokół siebie widzieli, wielu z nich osobiście raczej drażnił, niż radował. Natomiast przystępując do inicjatywy tworzenia polskich sił zbrojnych, starali się stawiać warunki polityczne. Domagali się, aby zgodnie z nomenklaturą armii rosyjskiej nie były to oddziały partyzanckie, ale oddziały armii stałej. To miało znaczenie o tyle, że oddziały partyzanckie są tworzone na czas wojny, po wojnie nie są utrzymywane. Natomiast utworzenie oddziałów polskich jako stałego elementu rosyjskich sił zbrojnych oznaczało, że zostaną one zachowane także po wojnie. A zachowanie własnego wojska stwarzało możliwości stawiania żądań politycznych. Domagano się również, aby oddziały te zostały użyte wyłącznie na froncie niemieckim, a nie południowym – austriackim. To pozwalało uniknąć sytuacji, gdzie przeciwko sobie stali nie tylko Polacy

ubrani w różne mundury, ale również członkowie formacji podkreślającej swój polski charakter, głoszącej hasła narodowe. Rosjanie zgadzali się na to. Relatywnie łatwiej było rozmawiać z reprezentantami wojska, które jakby poddawało się nastrojom solidarności słowiańskiej albo takie wrażenie sprawiało. Natomiast z politykami cywilnymi, a także przedstawicielami administracji rozmowy szły gorzej.

Rosjanie robili różne wstręty: podczas akcji werbunkowych, przy organizowaniu koszar. Traktowali polskie oddziały zbrojne, formalnie sojusznicze, jako zalegalizowaną formę organizowania się polskich buntowników. Poziom tych trudności w końcu osiągnął taki stan, że w marcu 1915 r. Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe cofnęło swe poparcie dla rekrutacji, uznając tę inicjatywę za rosyjską. Na zasadzie: nie chcecie wypełniać zobowiązań, to bawcie się sami. Kamieniem obrazy – czymś, co przecięło współpracę – była perspektywa użycia wojska nie na froncie przeciwniemieckim, ale na militarnie łatwiejszym, a zarazem politycznie kłopotliwym froncie południowym, gdzie ich przeciwnikami mogli być legioniści. Istotne było zatem, że ze strony polityków polskich współpraca militarna z Rosjanami nie miała charakteru sojuszu w ciemno, kiedy zgadza się na wszystko, tylko były dość twardo postawione warunki brzegowe i w obliczu perspektywy, że zostaną one naruszone, miarodajni politycy polscy wycofywali się ze współpracy. Starali się też młodzieży, której nie chcieli wyniszczać w obcej wojnie, dać tego czytelny sygnał.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Było tak, przynajmniej do końca 1916 r., że nawet jeśli istniał potencjał na obszarze najpierw zaboru rosyjskiego, potem samej Rosji, to nie było woli politycznej, by ten potencjał militarnie zagospodarowywać. Tym bardziej nie mogło tego być we Francji, która godziła się ewentualnie tylko na polski oddział w obrębie Legii Cudzoziemskiej i nic więcej. Oczywiście to się potem zmieniło.

Chciałbym dopowiedzieć – *à propos* tego, co mówił profesor Wołos – o trudnościach z przejściem na drugą stronę frontu. Otóż też nie było tak, że np. z szeregów legionowych nie posyłano emisariuszy do Legionu Puławskiego z zachętą, aby ten front przekroczyć. Tam byli nawet ludzie z Legio-

nów, którzy służyli w Legionie Puławskim, nie były to zbyt częste przypadki, ale są odnotowane.

A zatem to wszystko w pewien sposób się przenikało, działało się nadzwyczaj dynamicznie. Oczywiście rację ma profesor Kawalec, mówiąc, że ze strony polityków były realne i wysokie oczekiwania. Nie było białej karty po to, by można było ją w sposób dowolny wypełniać. Sytuacja zmieniła się po Akcie 5 listopada, po rewolucji w Rosji, gdy pojawiły się zupełnie nowe możliwości.

Prof. dr. hab. Janusz Odziemkowski

Pod koniec 1916 r. armie obu stron były wykrwawione, a na froncie panowała stagnacja. Tymczasem polski legionista swoją znakomitą postawą na polach bitew zwrócił uwagę niemieckich wojskowych, wśród których powoli dojrzewała myśl utworzenia bitnej jak Legiony armii polskiej, walczącej na froncie wschodnim przeciw Rosji. Oczywiście gdyby istotnie udało się Niemcom stworzyć milionową armię polską, prawdopodobnie pod względem postawy niewiele różniłaby się od innych armii. W jej szeregach widzielibyśmy żołnierzy walczących z pełnym przekonaniem, zrozumieniem sensu walki, ale i tysiące takich, którzy chcieliby tylko przeżyć. Legiony były przecież formacją ochotniczą, do której wstępowali przedstawiciele z różnych grup i warstw społecznych, ogarnięci wspólnym pragnieniem zbrojnej walki o niepodległość. To nie był rolnik, z całym szacunkiem dla polskiego chłopca, oderwany od ziemi przez przymusowy pobór, czy pracownik zabrany od warsztatu pracy i skierowany do walki, z której sensem nie zawsze się utożsamiał, ale człowiek gotów umrzeć za ideą wolnej ojczyzny. Z taką postawą mamy do czynienia także w przypadku ochotników polskich we Francji, o których mówił profesor Wołos. Tego typu żołnierze są najlepsi. Podobni będą w następnym pokoleniu ginąć na barykadach Warszawy.

Pod wpływem wysokich opinii o polskim żołnierzu jego cena u schyłku roku 1916 rosła. Erich Ludendorff mówił: „Moje oczy są zwrócone na Polskę”. Czy był przyjacielem Polaków? Oczywiście nie. Czy gen. Beseler był orędownikiem wolnej Rzeczypospolitej? Również nie. Próbowano więc Polaków zachęcić do walki u boku Niemiec, składając niejasne, zwodnicze obietnice.

Na przełomie 1916 i 1917 r. pojawiły się symptomy silnego wyczerpania armii francuskiej. Niebawem miał ją osiągnąć ostry kryzys. W 1917 r.

przyjdą bunt oddziałów, wielu żołnierzy nie wytrzyma traumy frontu. W tej sytuacji pojawienie się na froncie nowych sił niemieckich, na przykład zwolnionych ze wschodu po wysłaniu tam armii polskiej walczącej u boku Niemiec przeciwko Rosji, stanowiłoby ogromne zagrożenie. Jednakże Francja nie zabierała głosu w sprawie polskiej, aby nie zrażać Rosji, nawet słabnące imperium carów było bowiem cennym sojusznikiem.

Przyglądając się politykom rosyjskim z tych lat, nadal wierzącym w zwycięskie dla Rosji zakończenie wojny, zauważymy, że niezależnie od tego, jaką opcję polityczną reprezentowali, nie było jeszcze w ich gronie zwolenników budowy niepodległej Polski. Jeżeli brano pod uwagę powstanie Polski, może nawet powiększonej o Poznańskie, odebrane Niemcom po zwycięskiej wojnie, to w ramach Imperium Rosyjskiego, ewentualnie z bliżej nieokreśloną autonomią.

Reasumując, na przełomie roku 1916 i 1917, w warunkach stagnacji frontu i wyczerpania obu walczących stron, pojawia się idea wykorzystania żołnierza polskiego jako tego, który na szali wojny może w sposób znaczący zaważyć. Jednocześnie nie ma ochoty dawania Polakom czegoś więcej niż nadziei na państwo całkowicie uzależnione od mocarstw centralnych lub na – być może – autonomię w ramach Rosji. Najżyczliwsi dla sprawy polskiej są Włosi, przeżywający ostry kryzys po kolejnych klęskach na froncie, którzy gotowi są ofiarować nam niepodległość mniej więcej na tej samej zasadzie jak Zagłoba ofiarowywał królowi szwedzkiemu Niderlandy. Ani w Rosji, ani we Francji, która nie może sobie pozwolić na utratę sojusznika rosyjskiego, nie mówi się jeszcze o niepodległości Polski.

Podobnie zresztą podczas II wojny światowej Winston Churchill – postępując jak najbardziej logicznie z punktu widzenia interesów imperium brytyjskiego – będzie, między innymi kosztem interesów Polski, wspierać żądania rosyjskiego sojusznika dysponującego dziesięciomilionową armią. Polski sojusznik, który nie mógł w tym momencie wystawić nawet stutysięcznego wojska, nie miał dla Wielkiej Brytanii większej wartości w sensie militarnym.

Prof. dr. hab. Krzysztof Kawalec

Przypomnę kilka elementarnych faktów. Tworzenie polskich jednostek w Rosji doszło do skutku po upadku caratu. Tu nie chodzi o to, że carat





się bronił przed korektą polityki wobec kwestii polskiej, że administracja cechowała się inercją, tylko istotne jest, że upadek caratu był początkiem destrukcji państwa. Ona się dokonywała coraz szybciej, jeszcze przed rewolucją. Początek tego rozkładu zbiegł się z początkiem wojny, bo Rosja nie była przygotowana, by poradzić sobie z wyzwaniem na taką skalę. Po abdykacji cara nastąpił zupełny rozkład aparatu państwowego i wojskowego. Miał on różne formy, w przypadku korpusu oficerskiego to było nasilenie się konfliktów wewnętrznych. Dla części korpusu oficerskiego ich państwo skończyło się wraz z abdykacją cara i zwierzchników, polityków liberalnych, ministrów. Rząd porewolucyjny uważali za coś, co było dla nich w najlepszym wypadku obojętne. Rewolucja dla masy żołnierzy oznaczała zaś zapowiedź pójścia do domu, chociaż początkowo nikt im tego nie obiecywał. Natomiast ambasadom sojuszniczym w Petersburgu, Brytyjczykom i Francuzom wydawało się, że dopiero teraz Rosja ruszy do walki, skoro żywoły proniemieckie w rządzie carskim zostały pogiębione.

Natomiast dowódcy wojskowi nie mieli złudzeń co do tego, jakie są nastroje wśród wojska. Jednym z pomysłów na rozwiązanie problemu było tworzenie jednostek narodowych, nie tylko polskich, lecz także spośród innych narodowości, z takim nastawieniem, że jeżeli ludzie nie chcą słuchać swoich oficerów, autorytetu cara nie ma, to może dobrowolnie pozostaną w imię patriotycznych haseł i przekonania, że wrogiem jest Niemiec. To stworzyło bardzo szczególną koniunkturę polityczną dla polskiego czynu zbrojnego, ale tłem tego były rozkład państwa i desperackie usiłowania rządów (w czasie między obaleniem caratu a przewrotem bolszewickim), aby Rosję utrzymać w wojnie, nawet za cenę jej destrukcji wewnętrznej. Bo w dłuższej perspektywie przecież tworzenie jednostek narodowych w armii rosyjskiej niesło groźbę dla jedności rosyjskiego państwa.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Mówiliśmy o tym, że Legiony u boku armii rosyjskiej nie należą do polskiego panteonu narodowego. One w zasadzie przegrały, kiedy się tworzyły. Ten obraz utrwalił obóz piłsudczykowski po roku 1918, zwłaszcza po roku 1926, kiedy to inicjatywy wojskowe konkurentów z Narodowej Demokracji stopniowo wymazywano z historii, do której dzisiaj wracamy. Obecnie

młodzież szkolna, nawet studenci historii nie słyszeli o Legionie założonym w Puławach czy Lublinie i słyszeć nie chcą. Co pozostało z Legionów Puławskiego i Lubelskiego? Żurawiejki. Może kiedyś będzie możliwość wspólnego śpiewania.

Była mowa o dezercji. Jej skala wskazuje na poziom emocji i stan państwa. To, że pod koniec wojny nawet w armii niemieckiej ostatnia mobilizacja się nie udała, co ma zresztą wpływ później na 11 listopada, wynikało z tego, że emocje już były inne – stały się w znacznej mierze antywojenne.

Jeśli chodzi o korpusy polskie w Rosji, ważne jest również to, że alianci zachodni nie czuli się już związani z Rosją carską wcześniejszymi porozumieniami. W związku z tym sami zachęcali zarówno Rząd Tymczasowy księcia Lwowa, jak i później Kiereńskiego, by tworzyły oddziały narodowe w ramach armii rosyjskiej. Co prawda Rząd Tymczasowy kontynuuje walki z państwami centralnymi, ale wartość bojowa zrewolucjonizowanej armii rosyjskiej jest coraz mniejsza. Władzę w pułkach niejednokrotnie przejmują bolszewicy. Zaczyna się rozstrzelywanie oficerów, powiewają czerwone flagi, żołnierze nie chcą się bić. I w tej sytuacji Kiereński, po zasięgnięciu opinii gen. Kornułowa, naczelnego wodza, wyraził zgodę na tworzenie, obok oddziałów czeskich, słowackich i serbskich także polskich oddziałów, korpusów w ramach armii rosyjskiej.

Polacy przebywający w głębi Rosji wcale nie byli zgodni co do tego, czy powinniśmy stawiać u boku Rosji. Sceptycy powiadali, że po rewolucji powstała nowa Rosja, jeszcze nie republikańska, ale być może będzie republikańska, niemniej jednak czy można jej władzom zaufać mimo deklaracji w sprawie polskiej. Przecież, podkreślano, jej nowe elity w znacznej mierze były starymi elitami. Pozostali carscy generałowie i dawni politycy. Poziom nieufności wielu Polaków był zatem znaczny, co m.in. negatywnie odbiło się na wynikach rekrutacji. Profesor Suleja wspominał o 700 tys. potencjalnych polskich żołnierzy. A w sumie w trzech korpusach, bo tyle powstało, służyło jedynie nieco ponad 30 tys. osób. Czyli wstąpiło do nich tylko kilka procent potencjalnych żołnierzy. W rzeczywistości wstąpiło jeszcze mniej, gdyż niejednokrotnie żołnierzami korpusów stawali się miejscowi mieszkańcy, pochodzący z ziem zabranych, oraz wychodźcy.

Nie wspominaliśmy również podczas poprzednich dyskusji o wielkiej fali wychodźców, którzy zostali zmuszeni przez wojska rosyjskie do opuszczenia Królestwa i ziem zabranych. W latach 1915–1916 musiało opuścić swoje domy około 3,5 mln osób. Blisko połowa to Polacy. Tysiące zginęły, zmarły po drodze. Polscy wojskowi liczyli na to, że wychodźcy polscy, którzy chcą wrócić do domów, wstąpią do korpusów. I w dużym stopniu tak było. Inni wstąpili do polskich formacji wojskowych w okresie późniejszym, już po przewrocie bolszewickim, m.in. na terenie Syberii czy Kubania.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście, skala zorganizowanego wysiłku zbrojnego przynajmniej na początku – mówimy o Rosji – nie wyglądała imponująco. Aczkolwiek proszę zwrócić uwagę na to, że są trzy korpusy, mamy rozmaite inicjatywy: i w Murmańsku, i na Kubaniu, i na Zakaukaziu, i na Syberii. A zatem możemy stawiać tezę i proszę o jej weryfikację, że w miarę rozkładu Rosji, ale też w miarę upływu czasu, te inicjatywy zaczęły pączkować. Dynamika zaczęła być znacznie większa niż w początkowym okresie.

Sprawa druga, na co zwrócił uwagę profesor Chwalba – niejednorodność postaw politycznych wśród tych, którzy stanowili o kształcie wysiłku zbrojnego. Sytuacja była nadzwyczaj skomplikowana i w tym wszystkim polscy żołnierze, którzy chcą wrócić do kraju, też się muszą odnaleźć.

Prof. dr. hab. Mariusz Wołos

Mogę zażartować? „Masz lampasy i ordery, bo zamiatasz Belwedery”. To jest żurawiejka, ta oficjalna. O nieoficjalnych mówić nie będę, bo przy paniach i głowie państwa nie wypada.

Bardzo istotna sprawa, która musi wybrzmieć mocniej. Dlaczego te korpusy powstały? Otóż wtedy nie mamy jednej Rosji. Mamy dwie Rosje, czyli Rząd Tymczasowy i rady delegatów, które mówią, że będzie państwo polskie. Skoro będzie państwo polskie, to dlaczego ma nie mieć armii? Oczywiście ma być ono w granicach etnograficznych, to było dla Rosjan jasne, ale była zgoda, by owe korpusy jako załączki siły zbrojnej sojuszniczego wobec Rosji państwa powstawały.

Druga sprawa, mieliśmy na terenie Rosji co najmniej pięć wielkich jednostek, aczkolwiek nie w tym samym czasie. Jeszcze w 1918 r. powstała 4. Dywi-

zja Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego, a w 1919 r. – 5. Dywizja Strzelców Polskich na Syberii. Istniał również cały szereg mniejszych jednostek polskich w różnych zakątkach Rosji. Nie wszyscy w tak olbrzymim państwie byli w stanie dotrzeć tam, gdzie formowały się te trzy korpusy. Polacy czynili, co mogli, wysiłek był duży. I jeszcze Błękitna Armia. Rosja dała i na nią zgodę ustami ministra spraw zagranicznych Pawła Milukowa i attaché wojskowego we Francji Pawła Ignatiewa.

Prof. dr. hab. Janusz Odziemkowski

Uważam, że wysiłek Polaków w formowaniu oddziałów polskich w Rosji był ogromny. Pamiętajmy o kłopotach z utrzymaniem łączności i komunikacji między skupiskami żołnierzy polskich, jakie trzeba było przewyciężyć na wielkich rosyjskich przestrzeniach. Nie znamy też do końca liczebności formacji polskich. Powstawały one w rozmaitych zakątkach Rosji i zapewne nie o wszystkich jeszcze wiemy.

Co do rekrutacji do armii gen. Józefa Hallera, to tak naprawdę zaczęła się ona w USA jeszcze w pierwszej dekadzie XX w. Mamy wtedy do czynienia z fenomenem, który pokazał, jak wielkie siły żywotne tkwiły w amerykańskiej Polonii. Do Stanów Zjednoczonych trafiała głównie emigracja zarobkowa, w większości rolnicy i niewykwalifikowani robotnicy. W pamiętnikach i rozmaitych opisach ukazujących ich postawy uderza fakt, że wielu było obojętnych na sprawę polską. Nie zapomnieli ojczystej mowy, kultywowali polskie obyczaje, ale ojczyzna pozostała gdzieś daleko. I oto co się dzieje? Demokracja amerykańska, stwarzająca szerokie możliwości działania, pozwoliła stosunkowo skromnym liczebnie elitom polskim na zorganizowanie się i zaczęcie ogromnej pracy edukacyjnej, społecznej. W ciągu jednego pokolenia dziesiątki tysięcy młodych Polaków, które nigdy nie widziały lub nie pamiętały ojczyzny, zostały pozyskane dla sprawy niepodległości. Za własne, ciężko zarobione pieniądze kupowali mundury, broń, prowadzili ćwiczenia wojskowe, marzyli o służbie w polskiej armii. To jest fenomen pokazujący, jak w sprzyjających warunkach działania można było szerokie kręgi społeczeństwa pięknie pozyskać dla sprawy niepodległości i wolności Rzeczypospolitej.

Oczywiście podczas wojny światowej, kiedy nastąpiła mobilizacja armii amerykańskiej, wszyscy Polacy, którzy jej podlegali, musieli przywdziać ame-

rykański mundur i do Wojska Polskiego nie trafili. Do Błękitnej Armii będą wstępować siedemnasto-, osiemnastolatkowie albo starsi, ponadtrzydziestoletni. Mimo to zebrało się kilkadziesiąt tysięcy polskich ochotników. Przyjechali do Francji, tworząc rdzeń armii polskiej. Do tego doszli ochotnicy francuscy, a potem wyciągnięci z francuskich obozów jenieckich Polacy, którzy na wojnę poszli w szeregach armii niemieckiej i armii austriackiej. To był żołnierz, który dostał się do niewoli, często bardzo trudnej dla niego, i mocno przeżywał rozłąkę z rodziną. A mimo to dzięki propagandzie niepodległościowej wielu poszło do polskiego wojska z przekonania, nie licząc na łatwiejsze życie i lepsze zaopatrzenie. Są piękne opisy ich zapału, wzruszenia, kiedy otrzymują broń i mundury z polskimi emblematami.

Francuzi, którzy wiosną 1918 r. przeżywali bardzo trudne chwile pod naporem ofensywy niemieckiej, widzieli w armii polskiej cenne wsparcie na froncie zachodnim. Jednak wojna, o której jeszcze w czerwcu 1918 r. sądzono, że przeciągnie się do roku 1919, zakończyła się nadszpiegowaniem szybko pod naporem sojuszników wspartych przez duże siły amerykańskie. Tylko jedna z polskich dywizji Błękitnej Armii zdążyła wziąć udział w walkach na froncie. Ale wystąpiła bardzo pięknie i zyskała szacunek sojusznika francuskiego.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Ważną kwestią jest pytanie: jak to się dzieje, że armia, która jest formowana na warunkach francuskich, staje się jednak armią w pełni sojuszniczą i tym samym stajemy się uczestnikami obozu zwycięzców.

Prof. dr. hab. Krzysztof Kawalec

Wątkiem, który jest w tym wypadku kluczowy, jest przyzwoleń rosyjskie na tworzenie tej armii. Bez niego prezydent Francji nie wydałby dekretu, nie rozpoczęłyby się prace. Natomiast chyba nie można zrozumieć tego, co się wokół tej armii działo, jeżeli się nie uwzględni desperackich starań polskich elit politycznych o to, by wyrwać żołnierza z zasięgu oddziaływania ambasady rosyjskiej. Tu trzeba powiedzieć, że personel tej ambasady do pewnego momentu działał bardzo skutecznie. Nie było tak, że rewolucja październikowa pozbawiła go chęci i woli działania – dyplomaci rosyjscy pracowali nadal. Ponieważ jednak perspektywy kontroli nad wojskiem stawały się coraz bardziej iluzoryczne, działali na rzecz tego, aby to wojsko rozbić, by złamać

jego dyscyplinę. I tu haniebną rolę odegrał zrusyfikowany Polak – płk Adam Mokiejewski – członek polsko-francuskiej misji wojskowej.

Była mowa o tym, jak w Stanach Zjednoczonych instytucje demokratyczne dawały możliwość polskiego odrodzenia narodowego. W przypadku tworzenia na ziemi francuskiej wojska polskiego podobną rolę odegrał demokratyczny standard, że siły zbrojne muszą mieć nad sobą cywilną kontrolę. Po powołaniu przez prezydenta Francji armii polskiej pojawiło się w obozie alianckim zapotrzebowanie na reprezentację polityczną, która mogłaby nad tą armią objąć zwierzchnictwo. Taką instytucją był Komitet Narodowy Polski, utworzony w połowie sierpnia 1917 r. w Szwajcarii, skąd przeniósł się – we wrześniu – do Paryża. Istotne było to, że choć nasi sojusznicy uważali początkowo, iż rola KNP będzie formalna, to politycy kierujący Komitetem – przede wszystkim Dmowski – starali się o to, żeby ich kontrola nad armią polską była jak największa. Chcieli mieć wpływ na dobór kadry oficerskiej i treść przekazu kierowanego do żołnierzy. Dążyli też z wielką determinacją i rosnącą skutecznością do tego, by wyeliminować wpływy rosyjskie z tej armii. Program szkolenia politycznego, który się pojawił, obejmował prelekcje z zakresu m.in. powstania kościuszkowskiego. Było to trochę dziwne, zważywszy na to, że armia miała być użyta na froncie antyniemieckim, a opowiadano o powstaniu skierowanym przeciwko Rosji. Jak sądzę, chodziło o to, aby żołnierzy uodpornić na oddziaływanie ludzi powiązanych z ambasadą rosyjską.

I ostatni element, który trzeba odnotować: politycy polscy, sprawujący zwierzchnictwo cywilne nad tworzonymi siłami zbrojnymi w dość elastyczny sposób pojmowali swoje obowiązki sojusznicze związane z uczestnictwem w wielkiej wojnie. Francuzi chcieli wprowadzić jednostki polskie do walki już wiosną 1918 r., po podjęciu przez armię niemiecką ostatniej ofensywy, która doprowadziła do lokalnego przełamania frontu i ciężkich strat po stronie aliantów. Na przykład armia brytyjska, na którą poszło główne uderzenie, w roku 1918 straciła więcej żołnierzy niż w ciągu całej II wojny światowej. W tej sytuacji wysiłek polityków polskich polegał na tym, aby tego wojska nie wprowadzić do akcji. Użyto różnych środków. Opóźniono moment przysięgi i wręczenia sztandarów. Sprzeciwiano się, aby armia wchodziła do walki częściami (dywizjami, a nie całością). A trzeba powiedzieć, że wów-

czas alianci wprowadzali rezerwy nawet i batalionami, jeśli tylko je mieli. I w końcu doprowadzono do tego, że kiedy wojska polskie znalazły się już na froncie, był to odcinek relatywnie spokojny, dlatego poziom strat nie był duży. W tym wszystkim chodziło o to, żeby wojsko zachować na potem, by zostało użyte w Polsce i walczyć wyłącznie o polskie cele.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście, ta armia miała być kadrą. To jest efekt umowy z lutego 1918 r. między Komitetem Narodowym Polskim a rządem francuskim. Dopełniłem, że musiała być wola polityczna, by inicjatywa tego typu doszła do skutku, bo przecież na inicjatywę powołania do życia stutysięcznej Armii Kościuszki w Stanach Zjednoczonych z kwietnia 1917 r. właściwie odzewu nie było. Stąd ten ochotnik poszedł potem na front francuski.

Prof. dr. hab. Andrzej Chwalba

Nawiążę do tego, co mówił pan profesor Suleja. Oczywiście był ruch sokoli (Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”), który narodził się w Galicji i przeniósł się m.in. do Ameryki. Członkowie gniazd sokolich w pierwszej kolejności zasilili armię polską we Francji. Oprócz nich do armii wstępowali ci, którzy nie zostali przyjęci przez amerykańskie komisje poborowe. A to wcale nie był gorszy sort ludzi. Każdy z odrzuconych chciał jechać do kraju, bo poza innymi profitami, jak powrót do rodziny, otrzymywał miesięcznie 20 dolarów. Wówczas taką sumę pieniędzy robotnik zarabiał w trzy tygodnie.

Początkowo armia polska, która zaczęła się formować w czerwcu 1917 r., nie miała statusu armii sojuszniczej, alianckiej. Była nadzorowana przez Francuzów. Ten stan rzeczy postanowili zmienić politycy KNP. Rozpoczęły się wielomiesięczne starania, zakończone ostatecznie sukcesem, aby armia stała się sojuszniczą. Był to sukces Romana Dmowskiego i Komitetu Narodowego Polskiego, ale wynikało to również ze zmiany sytuacji politycznej. Politycy francuscy i brytyjscy dostrzegli, że stary system polityczny w Europie się rozsypuje. Wojna zbliżała się do końca i Francja chciała mieć nowego sojusznika na wschodzie, gdyż perspektywy dalszej stawki na Rosję jako sojusznika nie wyglądały zachęcająco. Stąd również zgoda na inwestowanie w armię polską we Francji. Kojarzymy armię polską we Francji z nazwiskiem gen. Józefa Hallera, który został naczelnym wodzem, aczkolwiek war-

to pamiętać, że armia tworzyła się już od kilkunastu miesięcy. Prace nad jej rozbudową kadrową trwały w kolejnych miesiącach po zakończeniu wielkiej wojny, w czym zasadnicza zasługa jej dowódcy. Ostatecznie armia Hallera liczyła 63 tys. dobrze uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy, z tego 23 tys. przybyłych ze Stanów Zjednoczonych.

Prof. dr. hab. Mariusz Wołos

Trzonem Błękitnej Armii byli rzeczywiście ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Inną grupę żołnierzy, liczącą około 40 tys., stanowili jeńcy narodowości polskiej z armii austro-węgierskiej i niemieckiej. Ale trzeba pamiętać o jeszcze jednym komponencie tej armii, niewielkim, o Polakach z armii rosyjskiej: czy to z rosyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego walczącego na froncie zachodnim, czy tych, którzy przedarli się do Francji.

Pierwszym – polskim Amerykanom – Francuzi niespecjalnie ufali: to były dla nich żółtodzioby. Drugim nie ufali jeszcze bardziej – do niedawna to byli ich przeciwnicy. Tym trzecim, wywodzącym się z armii rosyjskiej, ufali najbardziej, bo to byli ich wierni sojusznicy. Przypomnę tylko jedną zapomnianą postać – mjr. Aleksandra Kiersnowskiego, który tłumaczył regulaminy z języka francuskiego na polski na potrzeby Błękitnej Armii. Chciałbym na koniec zwrócić uwagę na błękitnego generała – Józefa Hallera, bo trzeba tę postać uwypuklić. Żołnierze go kochali jako symbol polskiego generała, wysokiego rangą dowódcy (wcześniej wśród nich takiego nie było). I jako tego, którego już wówczas otaczała legenda żołnierza walczącego z bronią w rękę przeciwko wszystkim trzem zaborcom, najpierw Rosjanom w szeregach Legionów, potem – Austriakom pod Rarańczą, wreszcie przeciw Niemcom pod Kaniowem i na ziemi francuskiej. To Haller, który wciąż jest wielkim symbolem. Ten symbol powinniśmy mieć przed oczyma.

Prof. dr. hab. Włodzimierz Suleja

Myślę, że to bardzo dobre zakończenie, dlatego, że wiąże się zarówno z tematem dzisiejszej debaty, jak i z debatą, która odbędzie się w październiku tego roku. Wiaże dlatego, że rzeczywiście Józef Haller zaczynał od Legionu Wschodniego, który został rozwiązany, a on został w szeregach – stanął na czele II Brygady Legionów. Pozostał – mimo rozmaitych kryzysów – wierny legionowemu mundurowi aż do momentu, kiedy uznał, że na czele swoich





żołnierzy musi przejść na drugą stronę, ponieważ sprawa polska tego wymaga – tak było po pokoju brzeskim. Stoczył walkę z Niemcami pod Kaniowem (wcześniej walczył z armią austriacką, a jeszcze wcześniej – z Rosjanami). I rzeczywiście, choć dopiero w lipcu 1918 r. Haller dotarł na ziemię francuską (zresztą *via* Murmańsk), możemy powiedzieć, że on tę armię symbolizuje. Jednocześnie symbolizuje związek z Legionami tym zbrojnym wysiłkiem, który ma swoją legendę i swoich bohaterów, a któremu poświęcimy następną debatę.

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Panie Prezydencie, Szanowni Państwo. Chcę tylko dodać, że dzisiejszej debacie przysłuchiwała się wnuczka gen. Józefa Hallera, pani Barbara Haller. Dziękujemy!

DEBATA V

Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918

(20 października 2017 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab., prof. UJ Janusz Cisek, prof. dr hab. Michał Klimecki, dr hab., prof. UJK Urszula Oettineg, prof. dr hab. Grzegorz Nowik, prof. dr hab. Mariusz Wołos

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Wędrówkę po historii, po wydarzeniach, które rozgrywały się przed 100 laty, rozpoczęliśmy przed rokiem, 5 listopada. To nasza piąta debata. W międzyczasie słuchaliśmy dyskusji, rozmów znakomitych autorytetów, wspaniałych historyków, ekspertów o sytuacji międzynarodowej, o zaangażowaniu polskiej dyplomacji, Polaków, o czynie zbrojnym. Ale dzisiaj, w dyskusji *Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918* wracamy do roku 1914. Będziemy rozmawiać o historii, ale też o naszej tożsamości, bo przecież Legiony to nie tylko jedno z kluczowych wydarzeń w naszej historii, lecz także zjawisko, które mówi coś ważnego o nas, Polakach – o naszej niezłomności, o sile charakteru, o dążeniu do wolności, o uмиłowaniu wolności i o tym, że Polacy są gotowi rzucić swój los, by poświęcić się dla najwyższych wartości, a jedną z tych wartości jest Rzeczpospolita.

Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Podążamy szlakiem naszych przodków już od roku. Dzisiaj naszym tematem są Legiony. To szczególne wojsko, wojsko wyjątkowe, wojsko będące ziszczeniem marzeń pokoleń Polaków o własnej armii, o polskim mundurze, a także wojsko stworzone z ludzi wyjątkowych. Wspomnieć tu można





jednego z nich: generała, później naczelnego wodza Kazimierza Sosnkowskiego – poliglotę, erudyte, artystę. Ale iluż takich ludzi było w Legionach? To oni przyczynili się do tego, że Legiony przetrwały – w obrazie, w pieśni, w wierszach, że zawładnęły naszą świadomością. I trwają one w naszej świadomości już od wieku. Proszę państwa, gdy „Siódemka” Beliny wyruszała na pierwszy patrol z Oleandrów, właśnie szef sztabu Sosnkowski, żegnając ich, powiedział: „Z pewnością będziecie powieszzeni, zawisniecie, ale dobrze wykonacie swój żołnierski obowiązek i na pewno przejdziecie do historii”. Nie wiem, czy myślał o takim przejściu do historii, że już ponad sto lat funkcjonują oni w naszej wyobraźni, w naszych marzeniach. I że ta pieśń o rzuceniu swego losu na stos, chyba jedna z najsłynniejszych pieśni, trwa do dzisiaj. Przez lata była zakazana, a dzisiaj jest oficjalną pieśnią Wojska Polskiego.

Dzisiaj odżyło też wiele innych pamiątek legionowych, nawet poza granicami Polski. Dzisiaj znów na przełęczy Rogodze stoi Krzyż Legionów – II Brygady Legionów Polskich. Tam prosty rzeźnik Adam Szania z Krakowa wyrzył jakże znamienne słowa:

„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż!
Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry, lasy i wały
Do Ciebie, Polsko, i dla twojej chwały!”

Ta chwała miała swoją cenę. Autor słynnej pieśni legionowej, tej najsłynniejszej, Andrzej Tadeusz Hałaciński, został zamordowany w Katyniu. Taki był los tego pokolenia – najszcześliwszego, bo w roku 1918 i później mogli się oni cieszyć odzyskaną niepodległością. Odzyskana Polska wyglądała w rzeczywistości inaczej niż w ich marzeniach; ale my wiemy, że przeszło przez to również pokolenie „Solidarności” – inne były marzenia, a inna jest rzeczywistość. Ale tak to już bywa w historii.

Za kilka miesięcy rozpoczniemy rok 2018 – rok stulecia odzyskania niepodległości. Są planowane setki, a myślę, że i tysiące przedsięwzięć na następne lata. Ważne jest, by nie była to jednorazowa celebra, ale żeby taka dyskusja jak ta nasza w Belwederze przeniosła się do domów wszystkich Polaków. Właśnie gen. Sosnkowski, który doznał goryczy życia na emigracji, bo tu nie było dla niego miejsca, w Kanadzie w 1964 r. napisał słynny tekst. Mówił, że

obchody rocznic – a wiele było świąt pułkowych, bo emigracja żyła pamięcią – nie mogą być jałowe, że zawsze obchody rocznic historycznych muszą być dyskusją nad teraźniejszością, bo jest to praca dla przyszłości. Myślę, że nasze debaty są taką pracą i że – można tak powiedzieć – wypełniają to wezwanie gen. Sosnkowskiego.

Jeszcze ostatnia refleksja. Legioniści w PRL, zepchnięci w niebyt, zawsze kilka razy do roku spotykali się na Wawelu na mszach świętych. Była ich coraz mniejsza garstka. Pokazują to zdjęcia, np. z 1974 r., z kolejnej rocznicy. Co roku było ich coraz mniej. I wtedy stało się coś niezwykłego: na te ich spotkania, już staruszków, zaczęli przychodzić studenci krakowskiej uczelni. Było ich dwóch, trzech, ale było to już następne pokolenie! Jeden z legionistów, uczestników tych spotkań, powiedział mi po latach: „Oto przyszło młode pokolenie, ta garstka – my już możemy umrzeć”. Tamto pokolenie odeszło, ale my niesiemy ich testament o wolnej, dumnej, wielkiej i niepodległej Polsce. Ta dyskusja jest również jego wypełnieniem.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Spotykamy się tutaj po raz piąty i dziś mówimy o formacji szczególnej, którą, jak to portretował Juliusz Kaden-Bandrowski – pisząc wprawdzie o piłsudczykach – wzięła na swoje skrzydła historia.

Ta debata jest pierwszą częścią debaty poświęconej Legionom. Zakładam, że zamkniemy dzisiejszą narrację chronologicznie na przełomie lat 1915–1916, tak żeby móc bez szczególnego pośpiechu podnieść te kwestie – również formacyjne, również tego, w jaki sposób Legiony zapisały się w pamięci.

A wprowadzając nas w przedmiot rozważań, chciałbym sięgnąć głębiej, znacznie głębiej, bo do przedostatniego dziesięciolecia XIX stulecia. Wtedy to wprawdzie nie legionista, ale uczestnik powstań, zmarły w 1915 r. Zygmunt Miłkowski, czyli Teodor Tomasz Jeż, napisał niewielką broszurę zatytułowaną *Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym*. Broszura ta zelektryzowała ówczesne młode pokolenie, to, które nie miało możliwości, z różnych zresztą powodów, sięgnąć po broń, by walczyć o niepodległość. Oczywiście były tam poruszone dwa elementy: narodowy skarb, który trzeba było stworzyć, i obrona czynna, po którą trzeba było sięgnąć. Ale przy tym było to, po

pierwsze, nawiązanie wprost do tradycji militarnych, a po drugie, pokazanie, że ta formuła walki się nie wyczerpała. I tak jak Żeromski w swoich *Dziennikach* odnotował wrażenie z tej lektury, tak i inni młodzi ludzie, a zresztą nie tylko młodzi, uważali, że w nieodległej przyszłości będzie ich czas i że będą oni musieli z tego czasu właśnie w taki sposób skorzystać. Później przełożyło się to na wysiłek – momentami dramatyczny, okupiony też wielkimi ofiarami – członków Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, tej, która starała się zmienić rewolucję rosyjską w polskie narodowe powstanie i w której przypadku już oczywiste są bezpośrednie związki z Legionami choćby dlatego, że przecież spora grupa bojowców znalazła się w obrębie Legionów. I to są te dwa swoiste kamienie milowe na drodze do formowania się Legionów Polskich, które trzeba pokazać.

Chciałbym rozpocząć od pokazania środowisk, które złożyły się na Legiony. Czyli sięgamy do początków przygotowań paramilitarnych na gruncie galicyjskim, gdzie Piłsudski przeniósł swoją aktywność po akcji pod Bezdanami, i spróbujemy rozpocząć właśnie od tego, kim byli ci, którzy znaleźli się w legionowych szeregach.

Dr hab. Janusz Cisek

W ramach najogólniejszego przypomnienia trzeba powiedzieć, że istotnie kwestia walki o niepodległość nie obumarła, a jej renesans związany był w dużej mierze z sytuacją międzynarodową. Oto, z jednej strony, Porta Otomańska, czyli dzisiejsza Turcja, przechodziła okres odrodzenia i sekularyzacji. Oczywiście ten proces był rozłożony w czasie, ale dla obserwatorów u nas, w kraju, był to bardzo inspirujący przykład państwa, które choć toczono wewnętrzną chorobą, nieumiejętnością zreformowania się, zostało zmuszone do korekty swojego zachowania na arenie międzynarodowej, do zredukowania swojej zewnętrznej roli, do wzmocnienia wewnętrznego. W rezultacie tego w czasie I wojny światowej Turcja była bardzo skutecznym elementem przymierza państw centralnych. Dlaczego Turcja jako taka była tu ważna? Dlatego że była narażona na bardzo silny napór ze strony bardzo wzmocnionych i coraz bardziej agresywnych czynników na Bliskim Wschodzie. Gdybyśmy chcieli dzisiaj, dosłownie w jednym czy dwóch zdaniach, nakreślić to, co wówczas było bardzo istotne, to w pierwszej kolejności byłoby

to, że Turcja panowała nad znaczną częścią basenu Morza Śródziemnego. To, co nawet dzisiaj widzimy w polityce tureckiej, to jest pewien resentyment widoczny w mocarstwowym podejściu do własnej roli w tej części świata. Dla Polaków, którzy obserwowali cały proces, oznaczało to – bardzo możliwe – próbę projekcji nowego podejścia do problemu narodów kresowych, co w konsekwencji w pewnym odcinku czasowym, po zakończeniu I wojny światowej, znalazło swój wyraz w polityce federacyjnej.

Drugim elementem, który w sposób dramatyczny przyspieszył przygotowania i ferment w środowiskach młodzieżowych – o których za chwileczkę może nieco szerzej powiemy – była oczywiście wojna rosyjsko-japońska. Rosja była traktowana jako główny zaborca Rzeczypospolitej, dlatego wszystkie podejmowane usiłowania i zabiegi, które prowadzono w XIX w., opierały się na tym, aby Rosję osłabić, zneutralizować, a główną część ziem Rzeczypospolitej, którą kontrolowała Rosja, odzyskać.

Na to wszystko nakładały się nadzieje związane z Austro-Węgrami. Myślę, że to państwo jest niedoceniane. A przecież Legiony – tu wybiegnę nieco w przyszłość – musiały coś jeść, ranni legioniści musieli przebywać gdzieś w szpitalach, chorzy, inwalidzi i wdowy po legionistach musieli mieć jakieś zaopatrzenie. Bo, jak pokazuje wiele przypadków w XIX w., można wywołać rewolucję, można wywołać powstanie, ale kwestia zaplecza jest absolutnie kluczowa.

Mając na względzie to wszystko – a więc pewne nadzieje związane z Austro-Węgrami, przykład Turcji jako państwa wewnętrznie osłabionego, które dąży jednak do reformy, osłabienie Rosji związane z przegraną wojną z Japonią – można powiedzieć, że doprowadziło to do skokowego wzrostu potencjału polskiej irredenty. Ale chronologicznym kluczem wewnętrznym byłyby tu niewątpliwie akcja bojowa pod Bezdanami, którą traktować można jako próbę zabezpieczenia finansowego tego ruchu na przyszłość. W istocie był to kamień milowy, pewien sygnał dla społeczeństwa, głównie oczywiście w Galicji, ale do pewnego stopnia też w Królestwie Polskim, gdzie ambicje polityczne były nieco bardziej ograniczone i niekoniecznie związane z irredentą, tak jak ją rozumiano w Galicji.

Przygotowuję słownik legionistów i gdy jest mowa o jakimś trwałym pomniku, to dopominam się o to, by nie zapomniano, iż to wojsko – a to





jest 48 tys. biogramów ludzi, którzy weszli do Legionów i w nich służyli – jak każda armia, było przede wszystkim ludowe. Oczywiście w historii, w debacie i w potocznym rozumieniu bardzo się podkreśla – i słusznie – udział intelektualistów, rewolucjonistów, byłych bojowców, o których mówił profesor Suleja. Ale te szeregi musiały być też wypełnione młodzieżą, która, aby potem mogła być tak uświadomiona, musiała przejść przez polską szkołę. I właśnie to jest jednym z bardzo słabo opisanych fenomenów okresu przed 1914 r. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że dosłownie w każdym galicyjskim powiatowym miasteczku istniały organizacje nawiązujące do irredenty? Nazywały się bardzo różnie, np. w Mielcu była organizacja „Przebojem”, a także „Związek Jastrzębi”. Nie były to organizacje typowo strzeleckie czy nawet sokole, niemniej jednak trzeba powiedzieć, w nawiązaniu też do wspaniałej pracy polskiego nauczycielstwa w owym czasie, do tej tradycji irredenty, do której nawiązywano – niezależnie od tego, czego chciała ogólna polityka galicyjska, bardziej konserwatywna i po powstaniu styczniowym nieco bardziej stonowana, choć z biegiem czasu stawało się widoczne, że już nie tak definitywnie mu przeciwna – że to wszystko nakładało się na fakt, iż w 1914 r. do Legionów poszła naprawdę niesłychanie liczna grupa młodzieży, która nie miała wykształcenia i w wielu przypadkach została oderwana od prostego zajęcia, jakiemu się poświęcała. Byłoby tu ważne zadanie dla socjologów: zastanowić się, co takiego animowało tych ludzi, jaka była ich idea polskości, dlaczego poszli do wojska, nie mając jeszcze wówczas, w pierwszej fazie wojny, możliwości ewentualnego zabezpieczenia emerytalnego, rentowego czy na wypadek śmierci. Niewątpliwie istotna w tym wszystkim była rola polskiego szkolnictwa i galicyjskiej autonomii.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

To są sprawy bardzo istotne, jak i teza postawiona tutaj na podstawie znajomości biogramów tych właśnie 48 tys. ludzi – znacznie wykraczająca poza wiedzę potoczną, według której w formacjach legionowych widziano trzydzieści czy najwyżej trzydzieści parę tysięcy ludzi. To jest pierwsza istotna korekta tego obrazu.

Drugi element, ten dotyczący formowania świadomości na gruncie galicyjskim, też jest w moim przekonaniu niedoceniany i powinien zostać pod-

niesiony. Jeżelibyśmy sięgnęli do tych organizacji, które przed 1914 r. właśnie w Galicji zaczęły, w sposób już systematyczny, przygotowywać się do wystąpienia militarnego, to zobaczylibyśmy, że rzeczywiście przedstawioną tu tezę potwierdza fakt, że najliczniejsze były Drużyny Bartoszwowe, czyli organizacja, która funkcjonowała na wsi. Przed I wojną światową zorganizowane Drużyny Bartoszwowe to jest około 10 tys. ludzi. Dopiero na drugim miejscu są strzelcy w wersji krakowskiej i lwowskiej – było ich ponad 7 tys. Trzecie miejsce zajmuje ruch sokoli i Polowe Drużyny Sokole, które dorównują mniej więcej tym podanym wielkościom. I dopiero na czwartym miejscu są drużyniacy. To są te cztery największe grupy, które najpierw złożyły się, po części, na ruch strzelecki, a potem przede wszystkim na legionowy.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Każda z tych grup to jest zupełnie specyficzne środowisko. Ruch strzelecki rozwijał się w dwóch odrębnych grupach, lwowskiej i krakowskiej – reprezentowały je Związek Strzelecki i Towarzystwo „Strzelec”. Byli to w dużej mierze ludzie związani z organizacją młodzieży postępowo-niepodległościowej, z Organizacją Bojową PPS, byli w zasięgu ideowego oddziaływania Polskiej Partii Socjalistycznej czy PPSD w Galicji. Z kolei Polskie Drużyny Strzeleckie to ruch, który był jawną emanacją Armii Polskiej, co z kolei jest secesją z ruchu narodowego – byli to głównie członkowie Związku Młodzieży Polskiej (Zet) „Zarzewie”. Środowisko to po napisaniu przez Romana Dmowskiego książki *Niemcy, Rosja i kwestia polska* uważało, że to nie sojusz z Rosją, ale sojusz przeciwko Rosji i walka z Rosją jest kluczowym zadaniem i ogłosiło secesję z obozu narodowego. A więc, z jednej strony, mamy Związek Walki Czynnej i jawne emanacje w postaci drużyn i związków, a drugiej strony, mamy „Zet” zarzewiacki, Armię Polską i jawną emanację w postaci Polskich Drużyn Strzeleckich. Innymi słowy: niepodległościowi socjaliści i narodowi niepodległościowcy. I jeszcze są wspomniane tu formacje, a więc Drużyny Bartoszwowe i Polowe Drużyny Sokole, które pozostają w kręgu oddziaływania Narodowej Demokracji, ale niekoniecznie blisko są z nią związane, a które poszły za ruchem niepodległościowym. Do tego powinniśmy dodać jeszcze Drużyny Podhalańskie. I nie powinniśmy zapominać o skautingu, który również dał kilka tysięcy młodych ludzi, przy czym to są

także ci, którzy przyjeżdżają z zaboru rosyjskiego na ćwiczenia i na kursy do Galicji autonomicznej.

Gdybyśmy badali przynależność organizacyjną legionistów i sprawdzili, jaka ich część przeszła przez różnego rodzaju organizacje paramilitarne, te, które wcześniej wymieniałem, to zobaczylibyśmy, tak sądzę, że w pierwszym okresie stanowili oni zdecydowaną większość. Myślę, że to było kilkadziesiąt procent, ponad 50, 60 czy nawet 70 proc. w pierwszych dniach – im wcześniej, tym bardziej znaczące było to nasycenie młodzieżą zorganizowaną we wspomnianych związkach. Dopiero kolejne lata przyniosły budzenie się świadomości i budzenie się takiej postawy w społeczeństwie polskim – wtedy doszli ci, którzy przez tego typu organizacje nie przeszli.

A więc oprócz wspomnianego czynnika, jakim była szkoła polska w Galicji, w autonomicznej Galicji najważniejszym czynnikiem były organizacje paramilitarne. Mnie się wydaje, że ten czynnik był absolutnie dominujący, nawet wyprzedzał pod tym względem szkołę polską.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Pewnie można być w sporze co do tego, co legło w tej kwestii u podstaw, a co rzeczywiście przełożyło się na konkretne działania. W każdym razie, uwzględniając zmianę kontekstu – o czym wcześniej też szeroko mówiliśmy – i biorąc pod uwagę tę bazę, która formowała się na gruncie galicyjskim, trzeba też powiedzieć, iż potrzebni byli ludzie, którzy nadali temu potencjałowi odpowiedni kształt. I trudno w tym momencie nie przejść do postaci twórcy ruchu paramilitarnego – do Józefa Piłsudskiego. Przypomnę tylko, że w 1906 r. na łamach redagowanej przez Artura Śliwińskiego „Trybuny” opublikował on swój pierwszy podstawowy artykuł *Polityka walki czynnej*. Potem, dwa lata później, napisał *Jak mamy się gotować do walki zbrojnej?*, a następnie zajmował się geografią militarną, czyli terenem przyszłej walki w Królestwie Polskim.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Nie można pominąć postaci Józefa Piłsudskiego, podejmując temat, którym się dzisiaj zajmujemy. Piłsudski był dla swoich strzelców, potem legionistów, wzorem, ale najważniejsze chyba było to, że był uosobieniem czynnej walki o niepodległość. Właśnie dlatego tak chętnie za nim poszli, widząc w nim wodza – bo tym wodzem faktycznie się stał.

Podejmę jednak wpraw w wywołane już wątki. Szkoły polskie w dobie autonomicznej istniały na terenie Galicji. Po rewolucji 1905–1907 prywatne polskie gimnazja pojawiły się również na terenie Królestwa Polskiego. Między innymi to spowodowało, że ziemia świętokrzyska i Kielce dały Legionom około tysiąca żołnierzy. To nie byli ludzie, którzy przeszli przez szkoły polskie w Galicji. Ówczesna polska młodzież przechodziła tak naprawdę przez dwie szkoły: jedną była szkoła państwowa austriacka, rosyjska czy niemiecka, jeśli to było w zaborze pruskim, drugą zaś – szkoła nieoficjalna, którą mieli w domu, ze wskazaniem na rolę wychowawczą matek. Pokolenie legionistów czytało w domu to, czego w szkole czytać nie pozwalano. Wychowywało się ono na legendzie napoleońskiej i legendzie powstań narodowo-wyzwoleńczych XVIII i XIX w. Z tego też powodu ci młodzi ludzie szukali kogoś, kto ich poprowadzi. A tym kimś był Piłsudski.

Proszę zwrócić uwagę na coś jeszcze, o czym też wypada powiedzieć. Otóż to wszystko nie dotyczy bynajmniej tylko i wyłącznie Polaków, bo największą mniejszością narodowościową służącą w Legionach – ja zresztą określam ją też mianem Polaków – byli polscy Żydzi lub jeszcze lepiej Polacy żydowskiego pochodzenia. Marek Gałęzowski znalazł ich w Legionach mniej więcej 640, ale ja gwarantuję Państwu, że było ich znacznie więcej. Myślę, że być może nawet około tysiąca. Legiony są doskonałym przykładem ukazującym proces asymilacji Żydów z polskością. Ludzie ci wstępowali dobrowolnie i ochotniczo do formacji legionowych po to, żeby walczyć o Polskę. I również dla nich Józef Piłsudski był wodzem, dla zdecydowanej większości pozostawał autorytetem niepodważalnym.

Teraz chciałbym jednak – nie abstrahując bynajmniej od osobowości Piłsudskiego – postawić tezę dotyczącą tego, czy rzeczywiście w 1914 r. szykował się on do powstania. Przecież w latach 1905–1907 na terenie Królestwa Polskiego doszło do rewolucji niepozabawionej elementów powstańczych. Nie udało się wówczas wywalczyć Polski. Zadam zatem pytanie: czy w latach 1912, 1913 czy nawet 1914 istniały na terenie Imperium Rosyjskiego warunki tak dobre do wszczęcia walk powstańczych jak w roku 1905 czy 1906, kiedy to rewolucja trwała też na innych terenach Rosji, osłabionej przegraną wojną z Japonią? Nie. Sądzę raczej, że pojęcie „powstanie”, tożsame zresztą

z „rewolucją” w ówczesnym języku, było wabikiem – czasami potrzebnym, a w większości wypadków pewnie nie tak niezbędnym – dla młodych ludzi po to, by przyciągnąć ich do polskiej formacji wojskowej. Piłsudski dobrze wiedział, i w tym przejawiał się jego geniusz, iż posiadanie przez Polaków własnej siły zbrojnej w obliczu konfliktu światowego będzie procentowało. Wiedział, że ta siła zbrojna – im większa, tym lepiej – będzie instrumentem politycznym i że w momencie, kiedy mocarze ówczesnego świata, przede wszystkim zaborcy, będą się coraz bardziej wykrwawiać, będzie proporcjonalnie rosnąć znaczenie tej właśnie siły. Budowa polskiej siły zbrojnej jest chyba kluczem do zrozumienia Piłsudskiego i fenomenu Legionów, lecz także działalności irredentystycznej jeszcze przed 1914 r.

Bez 1914 r. nie byłoby roku 1918, bez Legionów trudno by było wyobrazić sobie formowanie tego, co Francuzi nazywają *esprit de corps* Wojska Polskiego w okresie międzywojennym, lecz także, proszę państwa, Wojska Polskiego dzisiaj. My z nich wszyscy!

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Właśnie kwestia powstania to ten temat, który powinien być rozważany na samym wstępie. Istotne są tu trzy teksty Józefa Piłsudskiego dotyczące tej kwestii, przy podstawowym założeniu, że Piłsudski nie był żadnym doktrynerem i że potrafił niezwykle elastycznie traktować atut taki jak wojsko, aby wykorzystywać go dla sprawy polityki.

Pierwsza grupa tekstów to jego badania dotyczące powstania styczniowego. Powstanie styczniowe w Zagłębiu, a później rewolucja 1905 r., węzeł kolejowy przy Trójkącie Trzech Cesarzy z łącznością telegraficzną, z liniami kolejowymi, a w 1905 r. orły carskie zastąpione obrazami Matki Boskiej Częstochowskiej – to były elementy, na których bazie, jak liczył Piłsudski, da się w tym „Piemoncie zagłębiowskim”, gdzie PPS miała swoje zaplecze, rozpocząć powstanie. Kolejny tekst to analiza pt. *Geografia militarna Królestwa Polskiego*. Piłsudski zdawał sobie sprawę z tego, że Rosjanie, wysadzając i niszcząc pewne elementy fortyfikacji na prawym brzegu Wisły, wycofają się za tę barierę i w ten sposób stworzy się pewna próżnia militarna, a za nią również polityczna. Jako kolejny wymienię tekst Józefa Piłsudskiego *Zadania praktyczne rewolucji*. Jeżeli tylko ten tekst – przygotowany na podsta-

wie wykładów, wydany w Krakowie przed I wojną światową – przełożymy w ten sposób, że słowo „rewolucja” zamienimy na „powstanie” i do tego wszędzie w odpowiednich miejscach wstawimy jeszcze „rząd narodowy”, to dopiero wtedy zrozumiemy cały kontekst roku 1914 i próbę zorganizowania powstania.

I ostatnie słowo. Otóż przed wybuchem I wojny światowej Piłsudski polecił Waleremu Sławkowi zakupienie w Wiedniu radiostacji polowej – a to jest zupełnie nieznany epizod. Możemy sobie zadać pytanie: po co? A chodziło dokładnie o to samo, co zrobił w listopadzie 1918 r. – o deklarację niepodległości, o depezę notyfikującą powstanie państwa polskiego. W tym celu radiostacja miała być zakupiona przed 1914 r. i dzięki niej z tego opanowanego skrawka, z tego „Piemontu”, w którym miało się zacząć powstanie, miała ona popłynąć w świat.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Obecnie podnosimy dwie kwestie. Pierwsza sprawa to baza, na której ruch irredentystyczny się kształtował i został wprawiony w dynamiczne działania. Ale problem kluczowy to zagadnienie: czym był początek roku 1914, czy mamy do czynienia z powstaniem, z próbą powstańczą robioną nieco na wyrost, czy z innymi elementami? Myślę, że ten wariant wymaga głębszego, pełniejszego potraktowania. Dorzucę do tego jeszcze coś z wystąpienia Piłsudskiego sprzed samego wybuchu wojny. Otóż bardzo wyraźnie widać, że Piłsudski mówił o potrzebie czegoś, co nazwał agitacją czynem, i to niekoniecznie musiało być regularne powstanie, które przyniosłoby określony powstańczy efekt. Ale rzeczywiście, zwłaszcza *Zadania praktyczne rewolucji* – jeśli pominąć terminologię – okazują się wykazem tego, co i jak powinno się robić.

Prof. dr hab. Michał Klimecki

Jestem przekonany, że Piłsudski rozważał bardzo wiele możliwości, bo sytuacja dosyć szybko się zmieniała. Gdy siedział w Krakowie w „Esplanadzie” – to była kawiarnia, którą zajął na swój sztab przygotowawczy – był zainteresowany dwiema sprawami: uzyskaniem maksymalnie swobodnego działania na terenie Królestwa i wywołaniem akcji, działań, które sparaliżują rosyjską mobilizację na tym obszarze. Wkraczając na ziemie Króle-





stwa Polskiego, strzelcy wkraczali pod mianem wojska polskiego, a Piłsudski oficjalnie tytułował się komendantem wojska polskiego. Zaczęto budować administrację pod postacią komisariatów – to były komisariaty wojskowe, ale najczęściej słowa „komisariat” używano jako określenia administracyjnego. Ale czy Piłsudski, dysponując kilkusetosobową grupą i wiedząc już, że nie stworzy 12 kompanii kadrowych – bo był projekt mówiący o 12 kompaniach kadrowych, a nie o jednej – myślał, że jedynym jego działaniem może być powstanie? Co do tego nie jestem przekonany. Kiedy na początku trzeciej dekady sierpnia w Tumlinie rozważają to dowódcy batalionów z jego otoczenia i oficerowie, którzy są przygotowywani na dowódców batalionów – np. Narbut-Łuczyński – Piłsudski zadaje pytanie: idziemy do lasu jako siła insurekcyjna czy podporządkowujemy się decyzji Naczelnego Komitetu Narodowego z 16 sierpnia i tworzymy Legiony Polskie? Sam Piłsudski mówił wtedy wyraźnie: nie ma warunków do powstania, nie idziemy do lasów, tworzymy siłę zbrojną taką, jaką możemy stworzyć, i zobaczymy, co będzie dalej. Myślę, że umiejętność Piłsudskiego jako przywódcy politycznego i wojskowego polegała na tym, że nie znając wszystkich ówczesnych uwarunkowań – a przypomnę państwu też to, że nie udało się w tym czasie nawiązać rozmów z dowództwami niemieckimi – potrafił szybko podejmować decyzje. Piłsudski był więc w zasadzie niejako zawieszony na strukturach wywiadu austriackiego, a potem na strukturach Ministerstwa Obrony Krajowej – podejmował decyzje tak, jak mu na to pozwalała sytuacja. On sam kiedyś nazwał to „licytacją sprawy polskiej wzwyż”.

I jeszcze jedna uwaga. Chciałbym jakby spointować to, co mówiliśmy o składzie Legionów. Otóż jeżeli przyjrzymy się niektórym dokumentom, to zobaczymy, że w I Brygadzie mamy ponad 50 proc. uczniów, studentów, urzędników, nauczycieli miejskich i wiejskich oraz przedstawicieli wolnych zawodów. Ponad 50 proc.! Proszę znaleźć inną taką formację, która w tym czasie była na frontach I wojny światowej. Ja jedną znam – to jest Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych, który również powstał na podstawie tych samych austriackich rozkazów. I to pokazuje insurekcyjny charakter tych formacji.

A to, czy Piłsudski mógł wykorzystać ideę insurekcyjną, czy nie mógł jej wykorzystać, w zasadzie zależało od czynników zewnętrznych. Austriacy

nie mieli jasnej wizji tego, co zrobić z Legionami. Im zależało tylko na tym, aby Legiony Polskie paraliżowały działania rosyjskie na tym niedużym, ale istotnym skrawku terytorium. Bardzo słusznie profesor Nowik powiedział, że teren ten to taki wysunięty półwysep, który można zaatakować od północy przez Niemcy i od południa przez Austrię, ale też z tego półwyspu mogą wyjść i na północ, i na południe rosyjskie ofensywy, mogą więc zarówno zagrozić Prusom – i można przeprowadzić to, czego bardzo bano się w Niemczech, tzn. uderzenie na Poznań i pójście w kierunku Berlina – jak i mogą pójść na Kraków i przez przełęcz karpackie na Węgry. Austriacy, licząc się ze strategiczną wagą Królestwa Polskiego, robili wszystko, m.in. wykorzystując polskie marzenia niepodległościowe z tamtego czasu, aby maksymalnie ograniczyć groźbę tego, że Królestwo Polskie stanie się zawiązkiem olbrzymiej operacji. Jeżeli potem będziemy mówić o działaniach Legionów, to należy uwzględnić to, gdzie Legiony walczą. Związek II Brygady broni Karpat, czyli wejścia na Węgry; Legiony od początku 1915 r. walczą w Królestwie – oczywiście jako jedna z bardzo wielu sił – aby ofensywa rosyjska nie szła na zachód, w kierunku Poznania.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

O tym, gdzie bili się legioniści, będziemy jeszcze mówić. Austriackie widzenie spraw w tym czasie było bardzo proste. Franz Conrad von Hötzendorf powiedział: „je mehr Bajonette, desto besser” – i to oddawało ówczesną filozofię Austriaków.

Powróćmy jednak do planów Piłsudskiego i do tego, czym wabik powstańczy mógł być dla tych, którzy szli do Legionów. Był to również wabik dla wojskowości austriackiej – przecież Austriakom cały czas przedkładano, że powstanie będzie. A więc oczekiwanie było niejako dwustronne.

Pojawiły się tu jeszcze dwa wątki. Pierwszy dotyczy kontekstu wejścia Legionów, jak się powszechnie w literaturze przyjmuje, na niesprzyjający czy wyjątkowo mało sprzyjający teren. Jeżeli rzeczywiście teza o tym, jak duża grupa mieszkańców poszła do Legionów, jest do udokumentowania, to zarysowanie społecznego kieleckiego kontekstu staje się tu szczególnie istotne.

Pojawił się też drugi wątek, który na razie również został tylko zasygnalizowany – chodzi o cenę, jaką płacono za kontakt z Austriakami, o cenę

związaną z uwikłaniem wywiadowczym, tym, które przełożyło się potem na zarzuty dotyczące agenturalności.

Dr hab. Urszula Oettingen

Pochodzę z Kielc, myślę więc, że tym bardziej też jako historyk zajmujący się tym okresem będę miała coś do powiedzenia, zwłaszcza że sprawa przyjęcia strzelców przez mieszkańców Kielc w czasie pierwszego wejścia tych oddziałów do miasta jest ciągle żywa. To jest właściwie symbol tego, jak społeczeństwo Królestwa Polskiego odnosiło się do strzelców. Możemy o tym mówić w dwóch aspektach: jeden to aspekt o charakterze szerszym, o charakterze politycznym, a drugi aspekt ma charakter militarny i dotyczy też tego, jak przebiegało wejście do Kielc, jak grupa Józefa Piłsudskiego działała w Kielcach i co było rezultatem działań oddziałów Piłsudskiego.

Przypomnę, że Józef Piłsudski planował pierwotnie wejście do Królestwa przez teren Zagłębia Dąbrowskiego, jednak w wyniku zajęcia go przez wojska niemieckie plan ten został zmieniony i dlatego Piłsudski wkroczył właśnie na Kielecczynę. Generalnie możemy też mówić, że w tym czasie były trzy główne ośrodki, w których formowały się oddziały strzeleckie, oddziały legionowe, oddziały, które miały walczyć z Rosją, bo podstawowym warunkiem powołania do życia Legionów Polskich była właśnie walka z Rosją. Otóż te ośrodki to Lwów, Kraków i oczywiście Kielce, o których czasem się jednak zapomina, dlatego że tam wydarzenia miały trochę inny charakter.

Wejście strzelców na teren Królestwa Polskiego – oprócz tego, że rozpoczęło wojnę z Rosją – stało się jednocześnie bardzo ważną kartą przetargową dla polityków galicyjskich, bo strzelcy już byli na froncie, już walczyli, w Krakowie formowały się kolejne grupy strzeleckie, kolejne wyruszały za I Kompanią Kadrową, a właściwie za Batalionem Kadrowym. Przypomnę, że 6 sierpnia strzelcy przekroczyli granicę zaborów – ich szlak bojowy to Michałowice, Miechów, Jędrzejów, Chęciny. 12 sierpnia było wejście do Kielc. Badałam problem, jak kielczanie przyjęli strzelców, analizując różne dokumenty. Skupiłam się przy tym na pamiątnikach legionowych, które powstawały później, ale też na tych, które powstawały na gorąco, i to te dokumenty są najcenniejsze. Rzeczywiście 12 sierpnia przynajmniej kilkadziesiąt osób witało wchodzących do miasta strzelców, ale były to osoby, które spodzie-

wały się takich działań, były w jakiś sposób poinformowane o tym, że może nastąpić takie wydarzenie. Większość mieszkańców jednak właściwie o tym nie wiedziała. Mundurów nie rozpoznawano, nie wiedziano, kim byli strzelcy, czy to byli Austriacy, czy Niemcy. A jeszcze trzeba zaznaczyć, że choć cały batalion strzelecki, liczący około 350 osób, wkroczył do Kielc około godziny 14.00, to już o godzinie 11.00 pojawił się oddział ułanów Beliny-Prażmowskiego. Jednym z członków tego oddziału był Roman „Wojnicz” Horoszkiewicz, który potem napisał, że okiennice w mieście były pozamykane. Mówię o tym, bo zastanawiałam się, kto pierwszy użył tego wyrażenia o zamykanych okiennicach. W każdym razie powitanie strzelców 12 sierpnia było po prostu adekwatne do sytuacji, a więc kto wiedział, co się dzieje, to wyszedł, a kto nie wiedział, to nie wyszedł.

Trzeba też wspomnieć, że strzelcy wchodzili do miasta trzy razy: 12 sierpnia, a później, 13 sierpnia, się wycofali; 19 sierpnia wkroczył II Batalion i oczywiście ułani Prażmowskiego; główne wejście nastąpiło dopiero 22 sierpnia. Wtedy przez trzy tygodnie, do 10 września, Kielce były bazą, w której formował się 1. Pułk Piechoty Legionów Polskich. Muszę dopowiedzieć, że w swoich tekstach cały czas mówiłam o Kielcach jako o mieście Legionów, bo było to jedyne miasto na terenie Królestwa Polskiego, które w bardzo widoczny sposób pomagało w rozbudowie 1. Pułku, i to w różnych zakresach. Podkreślę raz jeszcze, że blisko tysiąc osób wstąpiło do Legionów, działała też Liga Kobiet Pogotowia Wojennego, która pomagała strzelcom, została stworzona odpowiednia administracja, wspominaliśmy tutaj o komisariatach wojsk polskich, które później przekształcono w Polską Organizację Narodową.

Ważne jeszcze jest coś, co nam trochę umyka. Padły tutaj słowa dotyczące rządu narodowego. Otóż 3 sierpnia została z inicjatywy Piłsudskiego wydana odezwa mówiąca o tym, że w Warszawie zawiązał się rząd narodowy, że wzywa się ludność do udziału w walce i że powstaje wojsko polskie pod dowództwem komendanta Józefa Piłsudskiego – i tu ten element powstańczy był widoczny. Przychyliłabym się ponadto do wypowiedzi profesora Wołosza, że mowa o powstaniu miała w pewnym sensie charakter propagandowy, miała być – i była – dla Piłsudskiego takim jakby ubezpieczeniem w kontekście stosunku ludności Królestwa, Galicji i władz austro-węgierskich.





Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Proszę zwrócić uwagę na to, że do Królestwa wkraczają strzelcy, ale potem są to już Legiony. I to jest zmiana, która wynika z przejścia w zupełnie inny status organizacyjny. Wspomniano tu o rządzie narodowym, a to też była inicjatywa Piłsudskiego, która niejako zajmowany teren zagospodarowywała politycznie. Rzeczywiście są różnice między inicjatywą legionową a całkowicie samodzielnym wysiłkiem, próbą wejścia awangardy powstańczej, która zadaje pytanie: czy społeczeństwo na to odpowie, czy nie? Piłsudski jasno artykułował swoje podejście: jeżeli odpowiedź będzie pozytywna, pójdziemy w stronę powstania, a jeżeli nie będzie odpowiedzi pozytywnej, to nasza droga się wydłuży, stanie się o wiele trudniejsza. Ważne, że to pytanie zostało zadane. W inny sposób wykorzystali negatywną odpowiedź społeczeństwa Królestwa, po części przymuszeni, politycy galicyjscy – bo w Galicji przecież odbywały się rozmaitego rodzaju konwentykle. Powołanie 16 sierpnia Naczelnego Komitetu Narodowego było istotnym wydarzeniem, bo przecież stworzono swoistą czapkę polityczną dla zawiązku wojska polskiego. Dopełniamy, że komitet krakowski przez długi czas, aż do swojego rozwiązania, sprawował opiekę nad Legionami.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Nawiążę jeszcze przez chwilę do tego rzekomego sporu. Tu sporu nie ma, jest tylko pytanie: czy powstanie było celem nadrzędnym, czy było środkiem. Jeżeli powstanie by wyszło, to armia sformowałaby się jeszcze szybciej, a skoro nie wyszło, to trzeba było szukać innych dróg do tworzenia własnego wojska. Musiała pojawić się kwestia: no dobrze, wygramy powstanie i co potem, utrzymamy zajęty teren bez armii? Odpowiedź na to jest przecież bardzo prosta. W moim przekonaniu nie ma żadnej sprzeczności, tu jest tylko kwestia odpowiedniego ustawienia poruszonych elementów politycznej układanki.

Chciałbym jeszcze odnieść się do atmosfery pierwszych dni wielkiej wojny i do stosunku mieszkańców ziemi kieleckiej do wkraczających do miasta strzelców, co zostało potem oddane w słowach wiersza Edwarda Słoińskiego:

„Szliście naprzód, bez broni i zbroi,
wróg przed wami stał, wróg siedł za wami
i, jak wrogów, witali was swoi

zamkniętymi na sto ryglów drzwiami,
nasłuchując uważnie dokoła,
czy ich czasem sam car nie zawoła”.

Ale to nie do końca tak było, proszę państwa. Przypomnę Miechów, luty 1963 r.: powstańcy przegrywają walkę, są dobijani bagnietami, część jeszcze żywych jest wrzucana do dołu z cementem. Mieszkańcy to oglądają, potem na miasto spada kontrybucja, zostaje ono rozgrabione przez soldateskę i spalone. Przygląda się temu także lekarz powiatowy w Miechowie Józef Buchner, matczyny dziadek Janusza i Wacława Jędrzejewiczów. I co, w 1914 r. ludzie tego nie pamiętają? Pamiętają! A więc jak patrzą na strzelców? Myślą: może znowu nas to czeka, bądźmy więc ostrożni. Trudno się temu dziwić i trzeba obie racje zrozumieć. Do tego mamy jeszcze sprawę rekwizycji – one też musiały być przeprowadzane, dlatego że żołnierz strzelecki nie miał logistycznego zaplecza, jak to się dzisiaj pięknie nazywa, i sam musiał złapać kurę, zerwać jabłko, zabić krowę, bo nie miał co jeść. Ten wymuszony sposób postępowania nie każdemu się podobał. Ale nie było innego wyjścia. To są sprawy trudne i tragiczne.

Proszę zwrócić jednak uwagę na coś wyjątkowego: o ile ta postawa wobec strzelców, a potem legionistów w sierpniu czy we wrześniu jest wstrząsająca – zresztą różnie to wyglądało w różnych miastach, bo tu wchodzi w grę takie doświadczenia, o jakich mówiłem, a więc inne są doświadczenia miechowian, a inne są doświadczenia mieszkańców Kielc – o tyle przecież po roku czy po dwóch latach w zasadzie zdecydowana większość społeczeństwa ich popiera, tworzą się komitety pomocy, legionisci są fetowani, odbywają się różne uroczystości im poświęcone. Jest to ich wielkie zwycięstwo, które się dokonuje gdzieś na zapleczu frontu. Oczywiście, że w niemałym stopniu jest ono efektem przebytych przez legionistów walk i bitew.

Uważam zresztą, że prawdziwym sprawdzianem dla grupy bojowej Piłsudskiego, wtedy jeszcze nie I Brygady, była bitwa pod Laskami. To był koniec października. Wcześniej legionisci brali udział w zasadzie w potyczkach, mniejszych czy większych, ale wciąż były to potyczki. Tymczasem pod Laskami stanęli przed obliczem rosyjskiej artylerii strzelającej z Dębłina. Szedł zmasowany ogień. Tu widać było urwaną rękę, tam leżał zabity kolega...

Wystąpiły tam elementy paniki, choć pamiętnikarze wstydliwie je ukrywały. Kiedy Piłsudski żegnał odchodzących spod Lasek do szpitala rannych żołnierzy, pytał ich, czy wrócą. Wrócili. A przecież to był żołnierz, który w większości nie miał przygotowania frontowego! To był żołnierz, który mundur założył dwa czy trzy tygodnie wcześniej, niekiedy po raz pierwszy, i który wcześniej niejednokrotnie nie miał nawet możliwości trenowania na strzelnicy. Ale przetrwał, a po kilku miesiącach stawał do walki lepiej niż żołnierze armii zaborczych. Przecież ta nazwa, którą Niemcy nadali trochę później legionistom, *Die Heldenbande* – banda bohaterów, nie wzięła się znikąd. Był to rezultat tego, o czym mówimy.

Natomiast jeżeli chodzi o kwestię przekształcenia oddziałów strzeleckich w Legiony, to oczywiście dla Piłsudskiego wiązał się z tym wielki dylemat: czy obronić własną siłę zbrojną, czy też spowodować, że zostanie ona rozpędzona na cztery wiatry? I ten dylemat został rozstrzygnięty na „tak”: bądźmy legionistami, a nie strzelcami, ale walczmy przede wszystkim o własną autonomię, a także o to, aby nie nosić opaski pospolitego ruszenia, żeby salutować dwoma palcami, a nie całą ręką, walczmy o polską komendę i o to, by nie ubierać się w biskupie czapki – a tak wtedy mówiono o tych, którzy nosili czapki niestrzeleckie – itd., itd. Taka była codzienna walka o polski charakter formacji legionowych. I została ona zwieńczona zwycięstwem.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Strzelcy weszli w ramy organizacyjne armii austro-węgierskiej. Ale choć z Oleandrów ruszali jako strzelcy, to w Kielcach okrzykli już jako legionieści. Tu pojawiają się jeszcze dodatkowe elementy i myślę, że będziemy musieli je podnieść. To jest przede wszystkim kwestia tego, dlaczego ostatecznie był tylko jeden legion, skoro miały być dwa legiony. Wracam też do kwestii opieki politycznej, którą stronnictwa galicyjskie roztoczyły nad Legionami. Ale mówiąc o tej wcześniejszej cenie uwikłań, powiedzmy, wywiadowczych, można wskazać i na cenę późniejszą – przysięgę, którą wtedy, we wrześniu, składano.

Dr hab. Janusz Cisek

Istotnie, nie ma sporu, czy chodziło o powstanie, czy o rewolucję, bo te kwestie były zamienne. Ale to, co warto podkreślić i co w warunkach pol-

skich jest fenomenem, to dojrzałość środowisk politycznych w Galicji. Bo dominowali konserwatyści, którzy swoją siłę koncentrowali na tym, aby nie dopuścić do nieprzygotowanego wystąpienia zbrojnego, aby uchronić młodzież przed niewczesnym wystąpieniem, bo rozwój techniki i siła państwa z każdym rokiem pograżały możliwość skutecznego wystąpienia powstańczego, a właściwie skazywały na porażkę przygotowania tego rodzaju. I co wtedy się dzieje? Oczywiście socjaliści – czyli Daszyński, jeżeli szukalibyśmy tam kluczowej postaci – nie byli członkami Koła Polskiego, ale gdy strzelcy Piłsudskiego wyruszają w pole, gdy widać, że armie austriackie doznają pierwszych porażek i że dynamizm konfliktu przechyla się na stronę Rosji, że Rosja zagraża Lwowowi, z którego 29 sierpnia wychodzi Legion Wschodni i przez Sanok udaje się do Mszany Dolnej, gdy widać, że te wszystkie elementy burzą przygotowania powstańcze Piłsudskiego, oto Juliusz Leo, Władysław Leopold Jaworski, a nawet z czasem Leon Biliński, nie mówiąc już o wybitnym historyku Michale Bobrzyńskim, postanawiają wówczas wesprzeć tę polską irredentę. Mało mamy w historii tak szlachetnych przykładów, gdy właściwie przeciwnicy polityczni postanawiają roztoczyć parasol ochronny nad środowiskiem, które dotychczas zwalczali. Co więcej, peregrynują do Franciszka Józefa, do Ministerstwa Wojny, do Ministerstwa Obrony Krajowej, aby nadać odpowiednie ramy temu ruchowi. I myślę, że nie będzie to kontrowersyjne, jeśli stwierdzimy – zresztą pojawia się to w literaturze – że właściwie ci konserwatyści uratowali życie Legionom Polskim. Bo istotnie, gdyby okazało się, że trzeba pójść do lasu, to los Legionów byłby absolutnie przesądzony. Trwanie tego ruchu, tej irredenty, oczekiwanie na pozytywny z polskiego punktu widzenia wynik wojny musiało się opierać na poparciu ze strony najbardziej liberalnego z mocarstw zaborczych. Piłsudski był tego świadom i z tego skorzystał.

Jak się do tego odnosiły inne środowiska? Otóż, niestety, było jedno środowisko, które wkładało, jak to się mówi potocznie, kij w szprychy. To byli narodowi demokraci, którzy właściwie w sposób nieco uzurpatorski zaczęli reprezentować środowiska legionowe w rozmowach. To byli Skarbek i Głębiński, którzy jeździli do Wiednia i starali się zmusić austro-węgierskie władze wojskowe do negatywnego potraktowania zapowiedzi niezależnego

i możliwe, że rewolucyjnego wystąpienia polskiego. Na szczęście do tego nie doszło, ale skutkiem negatywnym było to, iż w Mszańcu Dolnym doszło do rozwiązania Legionu Wschodniego i do tego, że kilka tysięcy naprawdę ideowej młodzieży z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej musiało pójść do armii austro-węgierskiej albo też uległo rozproszeniu.

Wybiegając nieco w przyszłość, trzeba by dodatkowo fortyfikować ową dojrzałość polityczną galicyjskich statystów politycznych. Bo proszę pamiętać, że w 1916 r. Akt 5 listopada przenosi ciężar sprawy polskiej z układów wewnętrznych na arenę międzynarodową i dopiero wtedy Woodrow Wilson mówi, że politycy wszędzie zgodni są co do tego, że musi powstać wolna Polska z dostępem do morza, a Legiony uruchamiają sprawę polską. A co wtedy się dzieje z konserwatystami galicyjskimi? Oni grzecznie oddają pałeczkę do Warszawy, gdzie tworzy się Tymczasowa Rada Stanu. To jest jeden z takich fenomenów i długo trzeba szukać na kartach naszej historii podobnego przykładu dojrzałości politycznej.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Podjąłbym w tym miejscu polemikę, bo tak grzecznie jej nie oddali...

Dr hab. Janusz Cisek

Ale w rezultacie oddali.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Oddali, bo w sumie musieli. Istotnie, to swoisty paradoks, ale też i świadectwo dojrzałości, że ideowi przeciwnicy tego, co nazywali *liberum con-spiro*, angażują się w popieranie czegoś, co jest czystą emanacją tego właśnie złowrogiego pojęcia. Tak to jest z jednej strony. Ale z drugiej strony, właśnie Skarbek czy niewymieniony tutaj Cieński, czy też Głębiński – bez przesadzania roli, jaką odgrywali – początkowo także się w tę sprawę angażują. To była fala, która niosła właściwie wszystkie środowiska. 16 sierpnia był elementem zgody narodowej, przynajmniej na gruncie galicyjskim, tam nie było jakiegos zasadniczego sporu. To czas późniejszy, gdy się pojawiły klęski, gdy rzeczywiście było widać, że być może wariant związany z opcją antyniemiecką, bliższą Rosji, może być bardziej czytelny.

Ale wracam do kluczowej sprawy, tj. do odbioru przysięgi, którą – to też dodaję w tym kontekście – wtedy legionieści musieli składać w znacznie

ostrzejszej formule niż w 1917 r., kiedy przeciwko nowej przysiędze zaprotestowano i to z jakimś skutkiem. Sądzę zatem, że ten element związany z Krakowem, Kielcami, ale też z Mszaną trzeba byłoby tutaj podnieść.

Dr hab. Urszula Oettingen

Przysięga w Krakowie odbyła się 4 września, następnego dnia, 5 września, była w Kielcach. Ale ta przysięga była kartą przetargową, zwłaszcza jeżeli chodzi o Legion Wschodni. Mówiliśmy o tym, że powstał Legion Zachodni, Sekcja Zachodnia NKN, Legion Wschodni, Sekcja Wschodnia NKN – tutaj właśnie działali ci politycy związani z Narodową Demokracją, których ukrytym celem, a później właściwie jawnym było zaprzepaszczenie działalności czy powstania Legionu Wschodniego. I rzeczywiście on w Mszanie Dolnej został rozwiązany. Do Legionu Wschodniego we Lwowie i w okolicznych miejscowościach zgłosiło się ponad 5 tys. żołnierzy, do Mszy Dolnej doszło mniej więcej 800 osób. I oprócz tego, że stawiano różnego rodzaju utrudnienia, tym podstawowym elementem była sprawa przysięgi. Nagłaśniano wątpliwości co do tego, jak to Polacy mogą przysięgać wierność jednemu z zaborców, a jednocześnie drugiemu zaborcy – Niemcom.

Wróć teraz do samej przysięgi w Krakowie. Tutaj przede wszystkim istotna była rola dowódców, komendantów, którzy tłumaczyli, że żołnierze muszą złożyć przysięgę, żeby walka mogła być dalej prowadzona. Zresztą Naczelny Komitet Narodowy wydał specjalny manifest, w którym nawiązywano do powstania styczniowego, do walk Polaków o wolność, tak że czynnik ideowy był bardzo mocno podnoszony. Zresztą sytuacja w Galicji była trochę inna, a uroczystość, która odbyła się na Błoniach, miała odpowiednią oprawę. W Kielcach wyglądało to inaczej. Gdy badałam dokumenty i zastanawiałam się nad tym, to dotarłam do informacji mówiących o tym, jak legionieści w Kielcach odbierali tę przysięgę. Dla nich to była totalna katastrofa. Część z nich w ogóle zaczęła wątpić w intencje Piłsudskiego wobec jego wcześniejszych działań i deklaracji, że jest powstanie, że jest wojsko polskie, że będzie niezależność. Jednak napotkałam też wypowiedzi mówiące o tym, że wiara w Piłsudskiego była tak silna, iż tłumaczono to sobie tak: komendant wie, co robi. Rzeczywiście doszło do przysięgi. Józef Piłsudski uważał, że osoby pochodzące z Galicji powinny złożyć przysięgę, natomiast królewiakom dał





wolność wyboru. Ale wielu strzelców niby to udawało się na jakieś patrole, niby miało służbę i gdzieś tam wyjeżdżało, tak że wielu z nich nie złożyło tej przysięgi.

Był tam też taki ciekawy wątek, że składano tę przysięgę na wierność cesarzowi austriackiemu – w tekście przysięgi wymieniano różne jego tytuły: król Węgier itd. – a nagle pojawiło się sformułowanie: wierność królowi polskiemu. Czyli składano przysięgę cesarzowi jako królowi polskiemu. I właściwie do dzisiaj trwają dyskusje, skąd się wzięło to stwierdzenie. Podobno Włodzimierz Zagórski, widząc panujące nastroje, sam to dołożył, a może zrobił to na polecenie Józefa Piłsudskiego. W każdym razie to stwierdzenie osłodziło przysięgę i rzeczywiście mogło być nawet umyślnie wypowiedane, ponieważ bez tego przysięga mogła się nie udać, gdyż żołnierze nie powtarzali słów przysięgi, zachowywali się, i to za przyzwoleniem przełożonych, w sposób lekceważący, np. część osób w momencie przysięgi biegała w miejscu, niektóre osoby powtarzały jakieś słowa niecenzuralne czy np. śpiewały *Hej, Madziar pije...* Chciano ośmieszyć fakt przysięgi, ta przysięga nie była ważna dla legionistów.

Podsumowując, można powiedzieć, że 4 i 5 września – a 5 września dla 1 Pułku – to były dni zamykające pewien etap. Od 5 września 1. Pułk Piechoty Legionów Polskich stał się częścią armii austro-węgierskiej – bo należy przypomnieć, że Legiony Polskie działały na zasadzie pospolitego ruszenia – a więc jest to bardzo ważna data, która sytuuje Legiony Polskie w już innym kontekście. Od tego momentu szła walka o to, żeby zachować jak największą niezależność Legionów. Zaczęło się to od I Brygady, a potem dotyczyło pozostałych brygad.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście sformułowanie „i królowi polskiemu” przypisuje się Włodzimierzowi Zagórskiemu, *notabene* wtedy oficerowi wywiadu. On się z tego później tłumaczył, w oficjalnym raporcie kategorycznie zaprzeczał, twierdził, że nic takiego nie powiedział. Jednak powiedział, bo słyszało to nie tylko najbliższe otoczenie, więc co do tego nie ma wątpliwości. To pokazuje też kontekst, bo samo zachowanie ówczesnych dowódców 1. Pułku było co najmniej ambiwalentne. Nie wiadomo, co mogło się tam wydarzyć, choć było

oczywiste, że przysięga musi być złożona, jeżeli pułk ma funkcjonować, jeżeli ma istnieć. Ale trudno się nie zgodzić z tym, że to jest inny etap, że potem przyszło inne wyposażenie, że rzeczywiście to wojsko stało się elementem znacznie szerszej militarnej układanki austro-węgierskiej.

Epizod kielecki pokazuje, że istotnie wielkim szczęściem było to, iż znalazło się miejsce, gdzie naprawdę można było okrzepnąć. Przygotowywałem do druku dziennik Stefana Dąba-Biernackiego z tego okresu i pamiętam, że opisał epizod, jak to żołnierze ćwiczyli tyralierę, poszli sobie do przodu, ale zapomniano im powiedzieć, w którym momencie mają skrócić. Część skróciła jak trzeba, ale część wyszła na placówki kozackie – Kozacy uciekli... Mamy tutaj do czynienia z totalną improwizacją.

I mamy do czynienia z przeciąganiem liny, jeśli chodzi o kwestie polityczne. Wprawdzie w Krakowie nie było większych dyskusji, w Kielcach był właśnie wspomniany problem z tekstem przysięgi, ale w Mszanie zadziałało to zupełnie inaczej. A to też była ideowa młodzież. Rzeczywiście, skoro z tych kilku tysięcy, ponad 5 tys. młodych ludzi, którzy wyszli ze Lwowa, ostatecznie razem z Hallerem 800 osób weszło do podstawy 2. Pułku, a on jeszcze był wzmocniony ochotnikami ze Śląska Cieszyńskiego i doszło jeszcze około 500 ochotników z Podhala, to był ten początek następnej formacji. Bardzo wyraźnie zresztą widać, że ta idea nie mogła umrzeć. W Kielcach zaczął się już regularny epizod wojenny.

Była tu mowa o bitwie pod Laskami, ale pierwsze starcia – pomijając kampanię na ziemi kieleckiej – wiążą się z obroną linii Wisły, z tą „ofensywną defensywą”, jak Piłsudski ironicznie nazywał to, co mu kazano w tym rejonie robić. I być może trzeba by było zacząć od tego elementu kształtowania się wojska – choć o etosie też będziemy mówili, gdyż to rzeczywiście było wojsko wyjątkowe – czyli od tego, w jaki sposób doświadczenia bojowe przekładały się na powstanie formacji rzeczywiście wyjątkowej, także w tym wymiarze.

Prof. dr hab. Michał Klimecki

Żadna idea, jeżeli nie ma narzędzi, nie będzie funkcjonowała. Dlatego też jeżeli Piłsudski chciał – a chciał – dysponować argumentem wobec Austriaków, iż jest poważnym graczem, sprawa polska zaś będzie istotna w przyszłych rozmowach, chociażby pokojowych, to musiał mieć armię. W czasie

wojny nie mógł jej szkolić na zapleczu. Szkolenia, które wcześniej przechodzili strzelcy, chociaż bardzo przyzwoite, łącznie z manewrami, to były szkolenia organizacji militarnych: kilka karabinów, przeważnie jednostrzałowych, starych, brak odpowiednich regulaminów. Te regulaminy dopiero tworzone przed 1914 r. Korzystano przy tym z doświadczeń oficerów austriackich narodowości polskiej jako instruktorów, a oni po prostu nie zawsze się sprawdzali. A więc armia powstawała w czasie wojny. Bataliony stworzono w Kielcach, te bataliony były przezbrajane i dostawały wreszcie manlichery. Wraz z przezbrajaniem odbywały się ćwiczenia strzeleckie, ale to były ćwiczenia polegające na pokazywaniu, jak takiego karabinu można użyć, jak trzymać kolbę, aby zęby nie zostały wybite, jak go załadować i jak go czyścić.

Bitwa pod Laskami jest rzeczywiście pierwszą bitwą, w której strzelcy mogli się rozsypać. Istniało olbrzymie niebezpieczeństwo, że w jakimś momencie duch strzelecki opadnie, że żołnierze będą chcieli się wycofać, powrócić do Królestwa Polskiego, ewentualnie gdzieś na tyłach czekać na to, co będzie dalej. Piłsudski to wiedział. Jesienią 1914 r. doskonale sobie zdawał sprawę z tego, że tworzy nie tylko siłę zbrojną, lecz także jej ducha.

Dla mnie drugim takim elementem była bitwa pod Krzywopłotami i marsz przez Ulinę Małą. W tym czasie decydowały się dwie sprawy. Po pierwsze to, jak Piłsudski będzie traktowany przez komendę austriacką. A chcę powiedzieć, że przekaz austriacki w tym czasie nie był korzystny dla Legionów: nie było oznaczeń stopni oficerskich, tylko jakieś dziwne kościane rombiki, które nosili urzędnicy wojskowi, oficer legionowy nie miał tych samych praw co oficer austriacki, chociażby przewozowych, dostępu do kasyn, pomocy lekarskiej, był traktowany jako pospolitak, tak jakby nie miał szarży oficerskiej – mówimy teraz o jesieni i początku zimy 1914 r. Sam Piłsudski dostał wtedy tytuł brygadiera. A nie ma takiego stopnia w armii austriackiej! To jest bardzo miłe, że rozkaz mianujący Piłsudskiego na brygadiera podpisał osobiście naczelnny wódz, arcyksiążę Fryderyk, ale w gruncie rzeczy ten stopień się nie mieścił w żadnej hierarchii wojskowej. Kto miałby salutować brygadierowi, skoro nie ma takiego stopnia?

To wszystko się piętrzy. I dochodzi do marszu przez Ulinę Małą, kiedy część oddziału zostaje na froncie, a część, aby był jednak zawiązek wojska,

gdyby Austriacy nie utrzymali frontu, idzie na Kraków. I jest to marsz, który pokazuje umiejętności dowódcze Piłsudskiego, znakomitą rolę przyszłego marszałka, a także jego następcy Edwarda Śmigłego-Rydza, który w pewnym momencie nie waha się powiedzieć Piłsudskiemu: „Proszę się nie wtrącać w dowodzenie strażą, bo ja ponoszę odpowiedzialność”. Piłsudski to uznaje. Wtedy z tyłu, z przodu i z boków były oddziały rosyjskie. Pod Uliną Małą trzeba było tak manewrować, aby się przemknąć między oddziałami rosyjskimi. Pod Krzywopłotami walczy reszta legionistów.

A *clou* tego jest bitwa pod Łowczówkiem w Wigilię w roku 1914. Czyli od sierpnia przez wrzesień, październik, listopad... A więc to był piąty miesiąc, kiedy cała siła, którą zgromadził Piłsudski, jego pułk był swego rodzaju korkiem we froncie austriackim, chwiejającym się wobec nacierających na Kraków. To nie było jakieś boczne pole walki, które nie miało znaczenia dla operacji – pod Łowczówkiem blokowaliśmy drogę na Kraków. Toczyła się wielka ofensywa rosyjska, chyba ostatnia tak dobrze zmontowana. Dramatem 1. Pułku stało się to, że nie było przy nim Piłsudskiego, gdyż prowadził rozmowy polityczne. Dowództwo musiał objąć Kazimierz Sosnkowski, podpułkownik, mianowany od razu na ten stopień przez Piłsudskiego. Ta nominacja, z października 1914 r., była pierwszą od czasu powstania styczniowego. Sosnkowski zwierzał się: „Nie boję się walki, tylko boję się, że zmarnuję wysiłek kilku lat tworzenia organizacji strzeleckiej – Związek Walki Czynnej powstał przecież w 1908 r. – związków strzeleckich. Jak rozjadą nas Rosjanie, zmarnuję wysiłek organizacyjny Piłsudskiego”. Bitwa trwa 2 dni, jest bardzo krwawa, giną naprawdę znakomici dowódcy – jednym z nich jest Kazimierz „Kuba” Bojarski. Żołnierze wykazują się nie tylko twardością, lecz także inicjatywą. Sławoj Składkowski, przyszły premier, który jest lekarzem, nie tylko organizuje tam zaplecze sanitarne, lecz także walczy na pierwszej linii frontu. Walczą kucharze, kanceliści. Wszyscy, których można zgromadzić, są w walce. Kiedy okazuje się, że skrzydła zaczynają być puste, bo oddziały austriackie i węgierskie gdzieś wyciekają, Sosnkowski podejmuje decyzję o wycofaniu się i to jest odwrót znakomicie dowodzonego oddziału. To nie jest już ten oddział, który pod Laskami mógł się rozpaść. Odchodzą tabory, odchodzą w porządku wozy służby sanitarnej i wycofują się w porządku legionieści. Pułk

przetrwał tę bitwę. Może wspomnę jeszcze pewien epizod, bo jest wart pamiętania: w Wigilię po obydwu stronach śpiewano te same kolędy, śpiewano je razem. Według jednej z legend w czasie tej bitwy ojciec spotkał się z synem. Ojciec w rosyjskim mundurze spotkał się z synem w legionowej szarej kurtce.

Jeżelibyśmy się zastanawiali, co stworzyło po raz pierwszy obraz Legionów jako znakomitego wojska, to trzeba wskazać bitwę pod Łowczówkiem. Po raz drugi stworzyła go bitwa pod Kostiuchnowką. Generał Sadowski, legionista, potem znakomity dowódca w II Rzeczypospolitej, mówił, że ta ścieżka prowadząca do niepodległości zaczęła się właśnie w grudniu 1914 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Trzeba powiedzieć o jeszcze jednym: to było wojsko rzeczywiście wyjątkowe również przez to, że – chociaż wyjątkowo śmiałe – miało mnóstwo szczęścia. Choćby ten przywołany epizod Uliny... Kazimierz Świtalski w następnym roku opisał to, o czym sam Piłsudski wspominał, że gdy przechodzili z Uliny do Krakowa, to on sam miał powiedzieć tak: „Na mnie wtedy wszystkie pchły ze strachu umierały”. To przejście było pokazaniem czegoś, co wiązało się z materią wojny, ale wynikało też z niedopracowania tej materii. Bo Piłsudski był głęboko przekonany, że on się przemknął przed jednym korpusem rosyjskim, a wszedł między dwa rosyjskie korpusy. I wtedy mógł nastąpić koniec epopei legionowej. To jest ten pierwszy epizod, który warto przywołać.

Potem są epizody związane z walkami na Podhalu, bo ci żołnierze poczuli wtedy, że są w Polsce. To było zupełnie inaczej, kiedy prowadzili tam kampanię. Rozpoczęli z przytupem, gdy wzięli do niewoli cały rosyjski oddział konny, łącznie z oficerami, co wtedy na froncie austriackim w ogóle się nie zdarzało; a więc przyjechało od razu kilkunastu wyższych oficerów, z gen. Nagyem na czele, żeby to w jakiś sposób ufetować. Ale jest i drugi epizod – specjaliści od wydarzeń wojennych mogą mnie tu poprawić – kiedy Piłsudski, przekonany, że wojsko rosyjskie się cofa, wydał rozkaz ataku na jakoby wycofujące się tabory, a tymczasem to było przygotowanie rosyjskiego korpusu do ofensywy. Taki epizod też się zdarzył i też nie było tam strat. Te elementy przekładają się na budowanie wspomnianego *esprit de corps*, który wtedy zaczął się bardzo wyraźnie formować.

Dopowiem jeszcze, że legioniści byli traktowani przez armię austriacką wyjątkowo źle, a jednak tam była podwójna hierarchia. Proszę zwrócić uwagę na to, że zwłaszcza I Brygada rządziła się swoimi prawami. A zakończę, nawiązując jeszcze do tego „puszczania” frontu przez oddziały boczne. Niemcy opowiadali taką oto frontową anegdotę, że kiedy zwracali się o pomoc do wojska austriackiego, to prosili albo o dwa pułki czeskie, albo o kompanię Legionów...

Dr hab. Urszula Oettingen

Piłsudski w ramach swoich działań chciał zachować niezależność oddziałów. Oczywiście możliwości były ograniczone, ale na wszelkie sposoby, w życiu wewnętrznym, w umundurowaniu, w sposobie odnoszenia się do siebie – np. było używane słowo „obywatelu” – chciano podkreślić, że jest to inne wojsko, że jest to wojsko narodowe. Warto wspomnieć o tzw. nominacji jakubowickiej, która miała miejsce 9 października 1914 r. Był to czas, kiedy wojska państw centralnych wycofały się za Wisłę, pod koniec września rozpoczęły ofensywę na Dęblin i Warszawę, potem były właśnie te bitwy pod Laskami i Anielinem. Otóż w Jakubowicach 137 żołnierzy legionistów otrzymało nominacje na wyższe stopnie oficerskie. I to było właśnie pokazanie niezależności, bo wiadomo, że oprócz tego nominacje oficerskie nadawała Komenda Legionów; oczywiście dotyczyło to tylko wyższych stopni.

Z tym wiąże się jeszcze jedna sprawa, tzw. Kasy Oficerskiej – bo był taki organ, który powstał na początku stycznia 1915 r. Z czego wynikało działanie właśnie takiej instytucji w I Brygadzie Legionów Polskich? Z tego, że liczba osób mianowanych przez Piłsudskiego na oficerów była o wiele większa niż liczba mianowań otrzymywanych ze strony władz austriackich. W związku z tym wszyscy ci, którzy byli mianowani przez władze austriackie i otrzymywali żołd, wkładali go do wspólnej kasy i z tej wspólnej kasy wszystkim oficerom, których było o wiele więcej, wydawano żołd. To jedna sprawa. Od razu chcę też powiedzieć, że ta niezależność, a właściwie ta walka o niezależność uzewnętrzniła się już w późniejszym okresie – dotyczy to powołania do życia Rady Pułkowników. W szeregach legionowych mamy też do czynienia z elementami wyraźnej niesubordynacji: przejście pod Uliną Małą do Krakowa nie było przecież w ogóle uzgodnione z armią austro-węgierską.





Podobna sytuacja miała miejsce w listopadzie 1915 r. na Wołyniu. Piłsudskiego wezwano nawet do komendy i chciano go po prostu zdymisjonować.

Powróć raz jeszcze do wątku kieleckiego. 10 września 1. Pułk opuścił Kielce. Była to tragedia dla żołnierzy. Pisano: „Rzeczpospolita Kielecka przestała istnieć”, „Wolne państwo na terenie Królestwa Polskiego przestało istnieć”. Pułk wycofał się nad Wisłę i jako jedyna jednostka bronił Wisły w rejonie Opatowca i Nowego Korczyna. W Nowym Korczynie Józef Piłsudski po raz pierwszy i jedyny – o czym właściwie się nie wie – wprowadził stan wojenny. Spotkał się tam z nieprzychylnym nastawieniem ludności Nowego Korczyna, zwłaszcza ludności żydowskiej, dlatego zdecydował się na taki właśnie krok.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Mówiliśmy tutaj o podwójnej hierarchii. Chciałbym dopowiedzieć, że na tym początkowym etapie oficer legionowy stał niżej od podoficera austriackiego. Trudno się zatem dziwić, że tej armii, mówiąc delikatnie, nie lubiano.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Mówimy o tych polskich działaniach tak, jak gdyby były one równe operacjom prowadzonym przez wielomilionowe armie. A to była garść ludzi, ich rzeczywiście było kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy. I trzeba by określić, jaką rangę, jaką wagę to miało w społeczeństwie polskim i w jaki sposób to mogło ważyć na polityce europejskiej.

Jeśli chodzi o społeczeństwo polskie, to strzelcy, a później Legiony, okazali się iskrą, która budziła, która padała na odpowiednio przygotowany materiał. I jeśli byśmy porównali wejście do Kielc z wejściem do Lublina rok później, toby się okazało, że były to dwa całkowicie różne wejścia. Lublin witał Legiony entuzjastycznie, to był zupełnie inny obraz niż w Kielcach. To pokazywało, co dokonało się w ciągu roku – pomijam przy tym oczywiście specyfikę Lublina, gdzie środowiska niepodległościowe miały może większe wpływy niż w Kielcach, a na pewno większe niż w samej Warszawie. I drugi przykład związany ze zmianą oceny społeczeństwa co do działań Legionów. W tej chwili przygotowywane są do druku i wydawane dzienniki Michała Römera, które recenzuję i do których piszę uwagi. Michał Römer to ochotnik, który wstąpił do Legionów – mecenas, adwokat, dojrzały pan z brzuszkiem, który pojechał do Legionów z Wilna przez Rumunię. To jest oczywiście

epizod, to jest jego czyn, jego decyzja. Ale on pisze o nich w Wilnie w 1914 i 1915 r., bo informacje o Legionach docierają do Wilna. Istotne jest to, że te iskry padają również tak daleko.

Trzeba też powiedzieć, że działania sierpniowe w Królestwie miały swoje konsekwencje i nad Nową, i nad Sekwaną. Ogłoszenie, że jest jakiś rząd narodowy w Warszawie, oznaczało niepokój dla Rosji, bo Rosjanie mieli przecież 50 lat wcześniej taki Rząd Narodowy, który musieli ścigać, i tajne państwo polskie. I to była zapewne praprzyczyna odezwy arcyksięcia Mikołaja Mikołajewicza. Następna konsekwencja to formowanie się Legionu Bajończyków. Ponadto jest również konsekwencja w postaci odezwy niemieckiej. Przecież próby Koła Polskiego dotyczyły nie tylko powstania NKN i stworzenia Legionów, lecz także wymuszenia na Franciszku Józefie odezwy do społeczeństwa polskiego, żeby przelicytować innych.

Ta iskra – iskra sierpniowa i z kolejnych miesięcy – to nie było tylko to, co się stało w samym społeczeństwie polskim. To jest również to, co zaowocowało w myśleniu o sprawie polskiej w Europie. Przed 1914 r. istniała w świadomości sprawa Bośniaków, istniała sprawa Greków, sprawa Turków, Albańczyków, różne sprawy narodowościowe były podejmowane w Europie, ale nikt nie mówił o sprawie Polski – ona nie żyła, umarła. Lecz te iskry sierpniowe budziły sprawę polską na arenie międzynarodowej. Uważam, że to jest prapoczątek licytacji sprawy polskiej wzwyż.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wprawdzie zderzenie między zaborcami musiało wywołać problem Polski, ale skala wywołania tego problemu zależała od siły czynu, który się pojawił w sierpniu 1914 r. To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Na zakończenie pierwszej części debaty chciałbym podnieść kwestię, która zresztą się już pojawiała, kwestię wyjątkowości formacji, formacji jako całości, choć jednostki miały swoją specyfikę. Bo inna była I Brygada, inna była II Brygada, a pojawia się jeszcze III Brygada. To się działo szybko, w ciągu niecałego roku. Było to i wojsko ludowe, i wojsko obywatelskie, i wojsko inteligenckie, ale całkowicie odmienne od wszystkich innych – być może poza Strzelcami Siczowymi – formacji, które pojawiły się w I wojnie. Chciał-

bym, żebyśmy o odmienności tego wojska, o odmienności mentalnej, ale też o odmienności formalnej słów parę powiedzieli.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Jeżeli chodzi o odmienność I Brygady, to chciałbym podkreślić jeszcze jedno: Piłsudski nie chciał walczyć poza ziemiami polskimi. To jest ewidentne i to różni go od oddziałów II Brygady, które walczyły w Karpatach Wschodnich. Wróć na moment do wspomnianej nadwiślańskiej „ofensywnej defensywy”. Piłsudski chciał swoim chłopcom pokazać, że nie jesteśmy jak powstańcy styczniowi, nie opuścimy Królestwa, my do niego wrócimy. O to też chodziło. A w grudniu 1914 r., jeszcze przed bitwą pod Łowczówkiem, nie chciał opuszczać Galicji. Na szczęście nie musiał, ale zastanawiał się, co by było, gdyby... Wtedy właśnie rozważał po raz kolejny przejście do partyzantki.

Na czym polegała wyjątkowość I Brygady? Oczywiście była ona naszpikowana inteligentami, nie wyłączając wybitnych indywidualności, nie brakowało w jej szeregach ludzi pióra, którzy robili wokół działalności Legionów, wokół każdej bitwy czy nawet potyczki to, co dzisiaj nazywamy PR-em, ale w sensie bardzo pozytywnym. Przecież temu służył swoim wybitnym piórem wspomniany na początku Kaden-Bandrowski. Sam zastanawiałem się wielokrotnie, kiedy pojawia się określenie „piłsudzczy”. Kiedy? Nie spotkałem go w źródłach w odniesieniu do okresu przed I wojną światową. Oczywiście do szerszego obiegu wprowadza je swoją książką zatytułowaną *Piłsudzczy* Kaden-Bandrowski, ale już w czasie walk pozycyjnych nad Nidą, a zatem wiosną 1915 r., jeden z rozkazów kpt. Leon Berbecki wieńczy słowami: „Piłsudzczy, naprzód!”. To zapewne wówczas owo określenie się pojawia i robi nieprawdopodobną karierę. Wyjątkowość tego wojska wynika z wyjątkowości jego żołnierzy, wyjątkowości wodza i olbrzymiej liczby inteligentów, którzy potrafili o tym wojsku pisać, mówić, przekonywać, tworzyć. To trafiało do przekonania niemal całego narodu.

Prof. dr hab. Tomasz Szarota

Od razu pierwsza uwaga co do tytułu dzisiejszej debaty. Ja bym apelował, żeby włączyć do tematu, o którym mówimy, oprócz Legionów także Polską Organizację Wojskową. Wtedy tytuł byłby taki: *Legiony jako czyn zbrojny i POW jako jeden z początków polskiej konspiracji w XX wieku*. Bo to się łączy.

A dlaczego ośmielałem się w ogóle przed państwem wystąpić? Pierwsza przyczyna jest taka, że przeszło 30 lat temu, bo w 1983 r., opublikowałem biografię jednego z legionistów, czyli Stefana Roweckiego, późniejszego gen. „Grotą”. Pisząc tamtą książkę, miałem obowiązek zapoznania się także z historią Legionów. Drugi powód mojego wystąpienia jest taki, że miałem przyjemność, zaszczyt czy szczęście rozmawiać z kilkoma legionistami i właśnie o tych rozmowach pragnę państwu opowiedzieć. A trzeci powód jest taki, że mam także pewne związki rodzinne z legionistami.

Zacznę od tego, że zabierając się do gromadzenia materiałów do biografii gen. Roweckiego, rozpocząłem – tak się złożyło – od końca, krótko mówiąc, od jego pobytu w Sachsenhausen. Wtedy dowiedziałem się, że wykonawcą testamentu miał być brat, adwokat Stanisław Rowecki, zamieszkały w Warszawie. Wówczas wziąłem do ręki książkę telefoniczną – nie miałem żadnej informacji, czy on żyje, co się z nim dzieje – i nagle się okazuje, że mam adres: ulica Żurawia 2, m. 20, mecenas Stanisław Rowecki. W pierwszej rozmowie zadałem ileś tam pytań, takich rodzinnych, ważnych dla mnie: o matkę, o ojca, o rodzinę. Przyszedłem drugi raz i zauważyłem, że właściwie jest pewna bariera. Zapytałem siebie: jak ja mam zdobyć zaufanie tego człowieka? Wtedy powiedziałem, że mój dziadek ze strony matki, doktor Marceł Szarota, był legionistą. I proszę wierzyć, że ten człowiek po osiemdziesiątce zerwał się z krzesła, podał mi rękę i powiedział: „Proszę pana, od tego momentu mam do pana stuprocentowe zaufanie”.

W pewnym momencie zrozumiałem, że dla mojej książki o Roweckim bardzo ważna jest rozmowa z żyjącym jeszcze wówczas, mającym 91 lat, Michałem Żymierskim. I tak się złożyło, że dzięki jakimś znajomościom doszło do tego spotkania. W mojej książce, biografii „Grotą”, opisuję to spotkanie, ale nie do końca opowiedziałem wszystko to, czego w czasie spotkania się dowiedziałem, a dowiedziałem się rzeczy niesłychanie ciekawych. Otóż, co było dla mnie zupełnie pasjonujące, Michał Żymierski dokładnie mi opowiedział, jak on zapamiętał Stefana Roweckiego, młodziutkiego chłopaka, z dwóch kursów Polskich Drużyn Strzeleckich: w Rabce i w Nowym Sączu. I pamiętam, co podkreślał: „Niech pan sobie zdaje sprawę z tego, czym było dwukrotne przekroczenie granicy pomiędzy Królestwem i zaborem austriackim”. On to

traktował jako niesłychany dowód oddania. Ale jeszcze jedno zdanie, dotyczące pewnej rewelacji. Rozmawiałem z historykiem Jerzym Poksińskim na temat tego, czy rzeczywiście Rola-Żymierski w jakimś momencie stał się sowieckim agentem. Nie mnie rozstrzygać te sprawy, wiem, że są poważne podstawy do twierdzenia, że do tego doszło. Jednak to, co mi wtedy, w maju 1981 r., powiedział Michał Żymierski, utkwiło w mojej pamięci. Oto jego słowa: „Ja panu teraz coś powiem, ale błagam pana, niech pan tego za mojego życia nikomu nigdy nie opowie”. I on mi wtedy powiedział, że w latach trzydziestych – niestety bez informacji, który to był rok, czy 1936, czy 1937, to jest do sprawdzenia – były narady między Sikorskim i Żymierskim w sprawie powołania w Paryżu ni mniej, ni więcej tylko Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Tego, w jakiej mierze to jest prawdziwe, nie wiem, ale są pewne poszlaki, że to nie jest zupełnie wykluczone.

Chcę jeszcze bardzo króciutko państwu powiedzieć o innych spotkaniach, dosyć wzruszających, z legionistami, o tym, jak poznałem płk. Stefana Jellentę. Rozmowy z Jellentą były zupełnie wzruszające, bo ja nagle rozmawiałem z tym żywym kimś, kto nie tylko był dumny, że był legionistą – rozmawiałem z człowiekiem, który mi opowiadał, że rokrocznie 5 sierpnia wyrusza z Warszawy, gdzie mieszkał, jedzie do Krakowa, żeby w tę noc z piątego na szóstego wyruszyć z Oleandrów...

A teraz jeszcze chciałbym wspomnieć o braciach, o których powinniśmy pamiętać. Chodzi o braci, którzy najpierw nazywali się Vorzimmer, a potem się nazywali Wereszyccy. Otóż ci dwaj rodzeni bracia, zarówno Henryk, jak i Tadeusz, byli żołnierzami Legionów. W moim przeświadczeniu Henryk Wereszycki jest jednym z najwybitniejszych polskich historyków dziejów najnowszych. Losy jego brata są bardzo tragiczne, dlatego że Tadeusz Wereszycki zginął zamordowany przez Sowieców w Charkowie. W książce Marka Gałęzowskiego, pięknej książce poświęconej Żydom legionistom, na końcu tekstu o Henryku Wereszyckim powiedziano, że był on tym legionistą, który dożył trzeciej niepodległości (zmarł w 1990 r.).

Wreszcie, a mówię to z wielką przyjemnością, wśród żołnierzy I Kompanii Kadrowej był jeden z moich krewnych po kądzieli – Artur Jerzy Spitzbarth, wybitny architekt warszawski, również zamordowany w Charkowie.

A wracając do mojego dziadka Marcelego – teraz wiem, że był legionistą, ale niestety wtedy, gdy umarł w 1951 r., miałem lat 11 i z nim na ten temat rozmawiać nie mogłem.

Dr Małgorzata Ptasieńska

Ja również będę mówiła w tonie bardzo osobistym. Jestem z Kielc, mój dziadek był legionistą i zostałam wychowana w kulcie Józefa Piłsudskiego, w kulcie Legionów. Dziadek zmarł w 1943 r. na zapalenie płuc, był w tajnym nauczaniu, był zresztą kierownikiem szkoły w Kielcach, odznaczony Srebrnym Wawrzynem za krzewienie czytelnictwa przez Polską Akademię Literatury. Chciałabym jednak powiedzieć o tych zamkniętych oknach. Moja babcia do śmierci wspominała, że to była ogromna niesprawiedliwość wobec mieszkańców Kielc, dlatego że ówczesna rzeczywistość nie była czarno-biała. Oni nie do końca wiedzieli, kto wchodzi do Kielc, jak mają się zachować, dla nich to był naprawdę problem. Później ten cytowany wiersz Słoińskiego był wielką niesprawiedliwością. Mam zresztą w moim archiwum rodzinnym zdjęcia Józefa Piłsudskiego i Legionów na rynku w Kielcach, pielęgnuję je, tak samo jak pielęgnuję wiele pamiątek po dziadku, różnych odznaczeń, medali... I nie jest to zjawisko w mych rodzinnych Kielcach odosobnione.

Dr hab. Urszula Oettingen

Dopowiem, że teraz Kielce już są nazywane i w literaturze, i w gruncie rzeczy powszechnie miastem Legionów. Warto przywołać jeszcze jeden kielecki epizod. Do 1. Pułku wstąpiła orkiestra ochotniczej straży ogniowej z Kielc. A melodię do *Pierwszej Brygady* ułożyła właśnie ta orkiestra, wykorzystując rosyjski marsz nr 10, który był grywany na ulicach Kielc.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Kielce wyjątkowo mocno dzisiaj wybrzmiały. Wypowiedź profesora Wołosy nie była postawieniem kropki, raczej wielokropka i ten wątek będzie rozwinięty w czasie następnej debaty. Bardzo wyraźnie widać, że wszystkie wątki, które dotyczą kwestii społecznych, politycznych, militarnych wreszcie, a które są też osadzone w biografiiach tu obecnych, muszą wybrzmiewać z takiej okazji. I jest też głęboki sens w tym, że owe wątki mogą tu publicznie wybrzmieć i powrócić.



DEBATA VI

Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918, cz. II

(25 stycznia 2018 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab., prof. UJ, prof. UJK Janusz Cisek, prof. dr hab. Grzegorz Nowik, prof. dr hab. Mariusz Wołos

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Mamy 25 stycznia 2018 r., a w *Kalendarzu Niepodległości* – w wydawnictwie, które Archiwum Akt Nowych przekazało Kancelarii Prezydenta – pod dzisiejszą datą dzienną mamy następującą informację: „Powołanie przez cara Mikołaja specjalnej komisji złożonej z 11 osób do ustalenia znaczenia słów »Wolna Polska«, użytych w ogłoszonym przez cara rozkazie do armii w miesiącu grudniu r. ub. Komisja złożona z polakożerców – miał znaleźć formę do zrealizowania obietnicy – sprawę utracą”. Rzecz miała miejsce 25 stycznia 1916 r., o czym informuje *Kalendarz Niepodległości* wydany w 1939 r.

Dzisiejsza debata to druga poświęcona Legionom: „Przed wszystkim Legiony... Czyn zbrojny 1914–1918”.

Dr Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Od 15 miesięcy podążamy śladem naszych przodków. Zaczęliśmy 5 listopada, w stulecie ogłoszenia Aktu 5 listopada. Za nami już Komitet Narodowy Polski, Rada Regencyjna, Tymczasowa Rada Stanu, rząd premiera Jana Kucharskiego, kryzys legionowy... Długo by wymieniać. Za nami również orędzie prezydenta Wilsona. Coraz bliżej jest do 11 listopada. Nasi przodkowie nie wiedzieli, że to jeszcze 11 miesięcy. Wiele w tym czasie, przed stu laty, się zmieniło; wiele też zmieniło się w naszym życiu po tych stu latach. W związ-

ku ze 150. rocznicą urodzin Józefa Piłsudskiego Instytut Pamięci Narodowej inaugurował wielkie przedsięwzięcie: Akademię Niepodległości. Dziś dyskutujemy w miejscu szczególnym, symbolicznie związanym z niepodległością, ale chciałbym zaprosić panów profesorów i wszystkich państwa do udziału także w tym przedsięwzięciu – do Akademii Niepodległości. W ramach niej dyskutujemy w małych miasteczkach, od Włodawy po Wejherowo, Bochnię, Zieloną Górę. Co miesiąc spotykamy się w kilkunastu, a nawet w kilkudziesięciu miastach Polski i dyskutujemy na te tematy w ramach Akademii Niepodległości.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Przystępujemy do drugiej już debaty o Legionach. Ta pierwsza zakończyła się na roku 1915 – mam nadzieję, że dzisiaj omówimy najważniejsze sprawy dotyczące tego, co w roku 1915, 1916, 1917, ale też w 1918 na legionowym gruncie się działo.

Powinniśmy rozpocząć od tego, co jest solą żołnierskiego rzemiosła – od szlaku bojowego Legionów. Na poprzedniej debacie mówiliśmy o tym, skąd legionści się wzięli, jaki był kształt, pod względem czysto socjologicznym, legionowego wojska, legionowego żołnierza. Mniej mówiliśmy o szlaku bojowym, o tym, jak legionowy żołnierz w walce się tworzył. Ruszymy znad Nidy, ale chciałbym, żebyśmy pokazali przy tym nie tylko wysiłek zbrojny, ale też coś, co można nazwać sensem tego wysiłku, pojmowanym tak i przez żołnierza, i przez dowódcę, czyli chodzi o to, w jaki sposób żołnierz był prowadzony – i jak czasami to prowadzenie żołnierza skutkowało niepotrzebnymi chyba ofiarami, bo mówię tu i o *casusie* Jastkowa, i o *casusie* szarży, która zniszczyła przecież szwadron Dunin-Wąsowicza. To po pierwsze.

Po drugie, chciałbym, żebyśmy też mówili o wytwarzaniu się w trakcie walk wewnętrznych relacji, czyli chodzi o przypadek z jednej strony wiarusa, z drugiej – legionowego „sitwesa”.

I trzecia sprawa: zamknijmy ten szlak bojowy jego zwieńczeniem, tj. bitwą pod Kostiuchnowką. Chodzi zarówno o znaczenie bitwy pod Kostiuchnowką, o to, czy rzeczywiście możemy mówić, że ten szczególny epizod przełożył się na późniejsze decyzje polityczne walczących mocarstw, w pierwszym rzędzie państw centralnych.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Rzeczywiście na temat szlaku bojowego Legionów można bardzo długo rozmawiać, tym bardziej, że mimo licznych prac jeszcze nie wszystko, co istotne, zostało ustalone. Ważne są natomiast konsekwencje polityczne i wizerunkowe walk Legionów. Początkowo strzelcy, a później legionieści, są żołnierzami lekceważonymi, ale po dwóch latach są już żołnierzami podziwianymi. I to wszystko stało się w ciągu dwóch lat!

Na znakomitą ocenę zapracowały wszystkie trzy brygady. W pierwszych tygodniach walk strzelcy/legionieści nie byli traktowani przez c. i k. dowództwo jako pełnowartościowi żołnierze., między innymi dlatego, że w ramach armii austro-węgierskiej nie było formacji strzeleckich. W sierpniu 1914 r. strzelcy uzyskali status pospolitego ruszenia. Skojarzenia z „pospolitakami” w Austrii nie były najlepsze. Nie mogło to być dobre wojsko. Lecz polscy ochotnicy, „pospolitacy”, postanowili udowodnić, że wbrew stereotypom będą wojskiem doskonałym. I to im się udało. W 1916 r. nie było lepszego żołnierza na froncie wschodnim, poczynając od Rumunii, a kończąc na Łotwie czy Estonii. I nie jest to zdanie wyłącznie apologetów Legionów. Jest to opinia nade wszystko Rosjan – znamy dowody mówiące o tym, że na Wołyniu w 1916 r. Rosjanie na wieść o tym, że mają naprzeciwko siebie legionistów, niejednokrotnie odmawiali ataku. Taka jest też opinia Niemców – to, że na Wołyniu niemieccy generałowie oddają pod polską komendę swoich żołnierzy, też o czymś świadczy, o szacunku i zaufaniu do Legionów.

Co z walk legionowych zostało w pamięci polskiej ludności? Mieszkańcy Wolbromia i Skały pamiętają o Ulinie Małej, mieszkańcy Tarnowa i okolic – o Łowczówku, a Lublina – o Jastkowie i wkroczeniu do miasta dwóch szwadronów ułanów, w tym Beliny-Prażmowskiego, co wywołało entuzjazm tłumów. Ukraińscy mieszkańcy Karpat pamiętają o walkach Brygady Żelaznej Hallera, o Rafajłowej, o Mołotkowie, o szarży pod Rokitną, o przełęczy Legionów. Szczególną sympatią darzą do dzisiaj legionistów Hucułowie, wspominając ich walki i opiekując się cmentarzami.

Najważniejsze walki z udziałem legionistów rozegrały się na Wołyniu w 1915 i 1916 r. Symbolem odwagi, znakomitych umiejętności wojskowych, ale i krwawych strat jest Kostiuchnówka – z roku 1915 i z roku 1916. Po tej





pierwszej Kostiuchnowce, z roku 1915, Niemcy zaznaczyli na mapach woj-skowych takie nazwy, jak Polski Mostek, Polskie Wzgórze, Polski Lasek. Do dzisiaj są one miejscami i znakami pamięci. Kostiuchnowka to w istocie nie jedna duża bitwa, lecz szereg rozmaitych potyczek rozgrywających się na długości około 60–70 km frontu w ciągu wielu tygodni walk, które później nazwano bitwą pod Kostiuchnowką.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W takim razie, czym należy tłumaczyć to, że z żołnierza kompletnie nie-opierzonego wyszedł więcej niż wiarus, bo wyszedł ktoś, kto był rzeczywiście najlepszy na froncie wschodnim?

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

To było pozorne, tylko się wydawało, że jest to żołnierz nieopierzony. Pamiętajmy, że ci żołnierze, choć nie mieli za sobą doświadczenia drylu w koszarach armii austro-węgierskiej, to mieli za sobą służbę ochotniczą. I pamiętajmy, że ten żołnierz był żołnierzem ideowym, był wstępnie prze-szkolony w najrozmaitszych organizacjach paramilitarnych, wreszcie – i to jest chyba najistotniejsze – średnio był to żołnierz o stosunkowo wysokim wykształceniu. W zasadzie w historii Polski możemy wyróżnić tylko dwie grupy takich żołnierzy – ta druga grupa to harcerskie bataliony w powstaniu warszawskim; generalnie można tu mówić też o innych oddziałach z powsta-nia warszawskiego, które wykonywały każde niewykonalne zadanie, a świa-ductwem tego są krzyże *Virtuti Militari* na ich sztandarach. I tak samo było w przypadku żołnierza legionowego. Taki młodzian bardzo szybko, ze wzglę-du na swoją ideowość, wykształcenie i praktykę, którą zdobywał na froncie przez 1,5 roku, do przełomu 1915 i 1916 r., stawał się rzeczywiście wykształ-conym, wyszkolonym, doświadczonym żołnierzem. Na tę ideowość ogromny wpływ miał też czynnik zwany *esprit de corps*, czyli duch oddziałowy, który kształtował się już długo. Bo pamiętajmy, że Grudziny i 19 marca 1915 r. to pierwsze imieniny Marszałka na froncie. I te pieśni, które powstawały na postoju w Kętach, w Oświęcimiu czy gdzieś na Śląsku, w Sławkowie, też weszły do legendy. Takiego bogactwa pieśni jak te, które powstały w tym cza-sie, nie ma w innym okresie – to znowu jest porównywalne jedynie z tym, co było w okresie II wojny światowej. I właśnie to wszystko kształtowało

tego ducha oddziałowego, który był niezwykle istotny i pozwolił przetrwać wszystkie zakręty wojennego losu i doczekać wolnej ojczyzny.

Istotny jest jeszcze jeden czynnik. W roku 1915, gdy Legiony wchodziły do Lublina, czuły już entuzjazm społeczny. To jest inne wejście niż do Kielc; aczkolwiek relatywizowaliśmy już to słynne kieleckie zamykanie okiennic, bo mimo wszystko w ciągu miesiąca do Legionów wstąpiło tam tysiąc ochotników, a to nie jest mało jak na nieduże wtedy Kielce – zwane przez Żeromskiego Klerykowem i znajdujące się przecież pod dużym wpływem Narodowej Demokracji. A więc wejściu Legionów do Lublina, po roku walki i mimo bliskiej granicy frontu, towarzyszył już zupełnie inny stosunek społeczeństwa. Bo skoro informacje o działaniach Legionów docierają do Wilna, to znaczy, że takie informacje docierały także do Lublina.

Dodałbym tutaj jeszcze jeden element, niezwykle istotny. Mianowicie to, że właśnie przed pierwszą bitwą pod Kostiuchnowką na front dociera Batalion Warszawski POW, który jest swoistym symbolem współzależności służby: z jednej strony, Piłsudski kieruje oficerów Legionów, po szkole frontowej, do działań w konspiracyjnej POW, a z drugiej strony, peowiacy przechodzą czasową służbę w Legionach. I takie przykłady możemy mnożyć. Tak więc ci młodzi ludzie, chłopcy, ale i kadra oficerska, wiedzą, że oprócz nich jest jeszcze coś więcej, że jest zaplecze.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Wracam jednak do pytania, które już tutaj zadałem: czy zawsze ta żołnierska krew była odpowiednio ceniona? Oczywiście ci żołnierze się wyrabiali, chcieli walczyć – co do tego wątpliwości nie ma. Ale posłużę się konkretnym przykładem, który już dzisiaj się pojawił. Chodzi o bitwę pod Jastkowem, gdzie to trzykrotne podrywanie przez Roję żołnierzy do ataku, okupione olbrzymimi stratami, wielkiego sensu nie miało. Również w innych wypadkach były przecież zachowania tego typu – na przykład w funkcjonowaniu II Brygady, gdy chodzi o postawę Küttnera.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Oczywiście nie zawsze miało to sens. Chciałbym przypomnieć o szarży pod Rokitną 13 czerwca 1915 r. To była klęska tych chłopców: szarżuje ich 64, a wraca sześciu. Co prawda nie wszyscy zginęli, niektórzy spadli z koni. Ale

ta piękna szarża, która w naszej tradycji nawiązuje do szarży pod Somosierrą – zresztą pod Rokitną byli potomkowie właśnie tych wcześniej szarżujących – została kompletnie niewyzyskana przez piechotę. Złe dowodzenie świadczy więc o tym, że nie zawsze sobie radzono. I takich przykładów można oczywiście podać więcej.

Nie wszystko było takie piękne – mówię to, bo my chyba zaczynamy ten temat troszeczkę idealizować. Wejdę tu zapewne w rolę polemisty. Bitwa pod Kostiuchnowką jest największą polską bitwą I wojny światowej. I nie ulega wątpliwości, że wszystkie – już wówczas trzy – polskie brygady stanęły bardzo dzielnie, o wiele lepiej niż oddziały austriackie, na pewno nie gorzej niż oddziały pruskie. Są tego świadectwa – przytoczę tutaj chociażby fragment znalezionej i opublikowanego przez Jakuba Hoffmana, żołnierza I Brygady, dziennika żołnierza niemieckiego. Otóż w tym dzienniku było napisane, że legionści polscy to najlepsze wojsko, jakie ma Austria, i to bez wątpienia. Ten sam niemiecki świadek napisał również, co jest ich wadą – żołnierze są za młodzi, bo mają tylko 16 czy 17 lat. Jednakże Kostiuchnowka to jedno, ja zaś chciałbym przypomnieć o Trojanówce. Bo pod Trojanówką wybuchła panika, także wśród legionistów, wśród „beliniaków”, których tak wychwalamy pod niebiosa. Panika powodująca gwałtowny odwrót i jeszcze większą panikę w szeregach austriackich. I to wszystko znalazło swój wyraz w tym, że dwaj ludzie, którzy stali na czele 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich, tj. Władysław Belina-Prażmowski i Gustaw Orlicz-Dreszer, rozeszli się. Dreszer zarzucił wówczas Belinie ucieczkę z pola walki. Fakty te wskazują, że nie wszystko jednak było takie piękne i proste. Tam ginęli ludzie. Była śmierć, był strach, było rozprężenie. Po prostu była okrutna wojna.

Oczywiście, że żołnierz legionowy z roku 1914 i ten z roku 1916 to są dwa różne światy, dwie różne wartości, bo ten późniejszy to jest żołnierz otrząskany na froncie. I pełna zgoda z prof. Nowikiem co do tego, że podstawową kwestią była motywacja, bo ten żołnierz był przecież ochotnikiem. A myśmy tych ochotników w czasie Wielkiej Wojny aż tak wielu nie mieli. Chciałbym też jednak przypomnieć, że była jeszcze jedna grupa ochotników, która zapłaciła chyba nawet większą cenę krwi niż legionści. To bająńczycy. Bająńczyków nie tylko zdziesiątkowano – bo to jest za mało powiedziane –

ale tam straty były tak potężne, że trzeba było te oddziały po prostu rozwiązać, bo nie miał kto w nich służyć.

Wróć jeszcze na chwilę do poprzedniego wątku, bo chciałbym przypomnieć o bitwie, o której chyba jeszcze nie wspomnieliśmy, a warto ją wymienić. Jest to zapomniana bitwa w rejonie Konar w maju 1915 r., kiedy Rosjanie próbowali dosyć gwałtownie zatrzymać rozpoczynającą się właśnie kontr ofensywę wojsk niemieckich i austro-węgierskich. Legioniści stawali tam nadzwyczaj dzielnie. Faktycznie odsunięty od dowodzenia własnymi oddziałami, Piłsudski okazał się mimo to wyśmienitym dowódcą, myślącym o podkomendnych o wiele intensywniej niż jego austriaccy koledzy. Popychał on tam do okopów małe grupki żołnierzy, a więc nie jakiś duży oddział, bo to ściągnęłoby artylerię, lecz właśnie grupki, po kilka osób, i do tego stopnia zadziwił stojącego obok generała czy pułkownika austriackiego, że ten zapytał go: czy pan brygadier kończył Akademię Sztabu Generalnego w Petersburgu?

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Różnica między Konarami a Kostiuchnowką jest również taka, że podczas bitwy pod Konarami legionowy żołnierz był traktowany jak zapchajdziura, tzn. posyłano go tam, gdzie akurat pojawiła się taka konieczność. I to nie posyłali go dowódcy legionowi, jak to było pod Kostiuchnowką, gdzie trzy brygady walczyły razem. A to jest rzeczywiście szalona różnica.

Przejdę do innej kwestii. Możemy dyskutować o wyzyskaniu żołnierza na froncie – w niektórych wypadkach bardzo sensownego, a w innych, tak jak pod Jastkowem czy wspomnianej paniki, inaczej odbieranego – jednak w moim przekonaniu równie wielką wagę, oprócz sprawy tworzenia nowej wartości, nowej tradycji wojskowej, miało też bardzo sensowne wyzyskanie żołnierza legionowego jako wartości politycznej, tzn. jako wartości do gry politycznej. Spróbujmy zatem pokazać, jak grał tym atutem przede wszystkim Piłsudski, zwłaszcza od lata 1915 r., kiedy możliwości gry politycznej rzeczywiście się pojawiły.

Dr hab. Janusz Cisek

Może tytułem dopowiedzenia do elementów już poprzednio wyłuszczone, jeśli chodzi o wartość żołnierza legionowego, dodam sprawę ścisłego związku dowódców nawet z szeregowymi żołnierzami. A prawie wszyscy

dowódcy brygad brali udział w pracy niepodległościowej przed 1914 r. I to zwracanie się do siebie w takiej fraternalistycznej, bardzo przyjacielskiej formie tworzyło szczególną więź. Ten związek wraz z wysokim poziomem intelektualnym żołnierzy sprawiał, iż mieli oni świadomość tego, że ich przełożeni prowadzą ich w słusznej sprawie. A więc wszyscy byli świadomi tego, o co walczą. Ponadto walczyli – powiedzmy to głośno – na polskiej ziemi. A przecież trudno wymagać takiego samego bohaterstwa na froncie wschodnim, w walce przeciwko Rosji, na przykład od Tyrolczyka, skoro on nie ma takiego negatywnego doświadczenia historycznego, jakie ma Polak. Poza tym istotna była kwestia czasu, tzn. wydarzenia z lat 1914 i 1916 dostarczyły tylu okazji do wyszlifowania umiejętności wojskowych, że mogło to już stanowić o bardzo dobrym wyszkoleniu i zachowaniu legionistów.

Mówiliśmy tutaj o pewnych negatywnych przykładach, ale gdy chodzi o politykę, to można powiedzieć, że to był *masterpiece*, bo Piłsudski potrafił bardzo małą siłą, siłą praktycznie nieistniejącą, nieliczącą się w kalkulacjach w momencie wybuchu wojny, zainteresować sztab austro-węgierski, Ministerstwo Obrony Krajowej i potrafił – we współpracy z politykami galicyjskimi, z Naczelnym Komitetem Narodowym – doprowadzić do powołania Legionów. I to był pierwszy sukces, już bardzo poważny, sukces, który Rosjanie próbują kopiować. To był też sukces, jakiego do 1917 r. nie miała Narodowa Demokracja – bo ona nie miała swojej formacji zbrojnej, mogła się na coś powoływać czy krytykować inne oddziały, w tym i piłsudczykowskie, ale sama nie dysponowała niczym podobnym, po prostu straciła kilka lat, nie budując żadnego zaplecza wojskowego.

Gdy chodzi o politykę, to akurat tak się składa, że bitwy pod Jastkowem czy pod Rokitną wiążą się czasowo, chronologicznie, z odzyskaniem Przemyśla, z wyzwoleniem Lwowa, z wejściem 5 sierpnia do Warszawy. To oznacza, że mamy już wtedy nową sytuację polityczną. Jest też pewne napięcie, o którym tutaj mówił znakomicie prof. Nowik, wyrażające się mobilizacją POW i wejściem części tych struktur do I Brygady. I to zwróciło uwagę Niemców. W słynnym liście z sierpnia 1915 r. Piłsudski pisał do Jaworskiego, że choć kiedyś był i ciągle jest zwolennikiem rozwiązań trialistycznych, to teraz ma wątpliwości, dlatego że sprawę polską po wejściu do Warszawy

niewątpliwie przejmują Niemcy. Austro-Węgry dwukrotnie miały szansę postawienia sprawy polskiej – pierwszy raz w 1914 r., do czego czyniono pewne przygotowania i były co do tego pewne obietnice wobec polskich czynników politycznych, ale tego nie wykorzystano, podobnie zresztą, jak to było w przypadku zajęcia Warszawy – jednak sprawa polska została przejęta przez Niemców. I to Niemcy ją rozgrywają. To Niemcy doprowadzają w konsekwencji do Aktu 5 listopada, który jest wynikiem znakomitej oceny polskiego wojska, czyli Legionów Polskich, i który pewnie, zdaniem Niemców, umożliwi rekrutację Polaków, gdy da się im pewną zachętę polityczną w postaci Królestwa Polskiego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Proponowałbym spojrzeć na ten problem polityczny właśnie przez pryzmat podstawy legionowej. Bo, z jednej strony, Piłsudski od sierpnia 1915 r. rzeczywiście deklaruje prowadzenie „licytacji wzwyż”, a z drugiej strony, mamy jego oponenta w postaci płk. Sikorskiego, który ma zupełnie inny pomysł na to, w jaki sposób należy polskie wojsko tworzyć. Dodam jeszcze, żeby posłużyć się tu personaliami, że jest też w tej grze kpt. Zagórski – później major – który pilnuje austriackiego interesu w obrębie komendy Legionów. Pomijam tu już samych komendantów Legionów, bo oni są mniej wyraziści, może poza Szeptyckim, i w kreowaniu tej polityki jakoś specjalnie nie uczestniczą. Tak więc jeden element jest związany z osobami, które w swoich działaniach próbują odwoływać się do tej podstawy legionowej.

Proszę także zwrócić uwagę na to, że Legiony, mimo tego swojego znakomitego ducha bojowego, są na tle regularnej armii żołnierzami bardzo nietypowymi, bo w Legionach przecież przez cały czas mamy do czynienia z rozmaitymi kryzysami. O kryzysie przysięgowym będziemy mówili oddzielnie, ale przecież był też kryzys odznakowy, był kryzys dymisyjny. Gdzie w normalnej armii tego typu sytuacja może się pojawić? A więc to są także istotne elementy gry, na które warto zwrócić uwagę.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Powracając na chwilę do tematu szlaku bojowego legionistów warto podkreślić, że na Wołyniu rzeczywiście nie zawsze dochodziło do dobrej współpracy trzech brygad. Miały one różne tradycje, odmienne dowództwa, a ich





komendanci mieli własne interesy polityczne, które próbowali rozgrywać, co niekoniecznie prowadziło do dobrych rozwiązań w czasie walk. To po pierwsze. Po drugie, nie wolno nam zapominać, że Legiony, choć polskie, podlegały dowództwu austriackiemu, a w związku z tym to c. i k. generałowie decydowali o kierunkach działań, o zaopatrzeniu i o dzieleniu poszczególnych brygad czy pułków na mniejsze jednostki. W Karpatach dzielili pułki II brygady na trzy czy cztery części między innymi z tego powodu, żeby nie było tam wyraźnego znaku polskiej obecności i żeby nie można było później do tego wracać. Rozkaz do szarży pod Rokitną wydał dowódca austriacki...

Dowódcą II Brygady jest Austriak. Dlaczego jest to istotne? A to dlatego, że Piłsudski, zabiegając o to, by Legiony rzeczywiście były polskie, cały czas walczył z Komendą Legionów (zwaną „mendą”), której zadaniem było zagwarantowanie c. i k. zwierzchności nad Legionami. Austriacka z ducha Komenda miała nie dopuścić do przekształcenia Legionów w samodzielne wojsko polskie. I to z tego powodu piłsudscy upierali się przy takich, wydawało się, drobiazgach jak maciejówka, uważana za znak polskiej samodzielności, czy własny, inny niż w c. i k. armii, sposób oddawania honorów, jak wężyki na kołnierzach – takie właśnie drobiazgi. Ale tak naprawdę to nie były drobiazgi, bo w tym wyrażała się idea samodzielności Legionów. Samodzielne wojsko polskie ma doprowadzić do powstania niepodległej Polski jako suwerennego państwa. Wizja przyszłej Polski i dróg do niej prowadzących skonfliktowała Piłsudskiego z Sikorskim jako szefem departamentu Wojskowego NKN. Sikorski twardo stoi na gruncie trializmu i do końca uważa, że przyszła wspólna monarchia o nazwie Austro-Węgry-Polska jest jedynym sensownym i realnym rozwiązaniem. W związku z tym napięcia rosną, konflikty się gromadzą, aż wybucha wojna polsko-polska, która stanie się widoczna w okresie międzywojennymi, a nawet w czasie II wojny światowej. Choć Polska się odrodziła, konflikty między legionistami nie słabną – i to nie tylko między Piłsudskim a Sikorskim, lecz także Zagórskim, Szeptyckim czy Hallerem.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Skoro jesteśmy jeszcze przy tym szlaku bojowym, to chciałbym zwrócić uwagę na epilog ostatniej bitwy pod Kostiuchnowką, czyli tej z okresu

powstrzymywania walca Brusilowa – letniej ofensywy rosyjskiej z 1916 r. To było, można powiedzieć, ukoronowanie legendy Józefa Piłsudskiego, dlatego że to on, a nie tzw. CK-menda, czyli Cesarsko-Królewska Komenda Armii, dowodził w tym czasie Legionami, ponieważ komenda wycofała się pierwsza, zostawiając te oddziały na pierwszej linii, bez łączności, bez rozkazów. Wtedy dowództwo objął Józef Piłsudski i wyprowadził legionistów wszystkich oddziałów, w zasadzie wszystkich trzech brygad, z tego wielkiego kotła pod Kostiuchnowką.

Chciałbym również zwrócić uwagę na pewien fakt mało kojarzony przez polskich historyków. Otóż bitwa pod Kostiuchnowką miała nie tylko konsekwencje polityczne, ale również daleko idące konsekwencje w dziedzinie militarnej. Otóż pierwszego dnia, 4 lipca, do ataku zostały rzucone dwie dywizje kawalerii rosyjskiej. I to była sytuacja, która miała dotkliwe konsekwencje, dlatego że ten atak liczącej parę tysięcy konnicy na tych otwartych łąkach nad Styrem w ogniu artylerii i karabinów maszynowych załamał się, całkowicie się załamał. I to dało wielu dowódcom, również Józefowi Piłsudskiemu, przeświadczenie i pewność tego, co w 1920 r. nazywał neglizowaniem znaczenia armii konnej w pierwszym etapie wojny, to znaczy nie przypuszczał, że wtedy, w dobie karabinu maszynowego i artylerii, można jeszcze cokolwiek zdziałać kawalerią.

Dodam również w kwestii legendy – bo to też jest istotne – że w tym samym czasie, w drugą rocznicę wymarszu z Oleandrów, została ustanowiona odznaka „Za wierną służbę”. I po Kostiuchnowce żołnierze są nią dekorowani, honorowani według pewnej kolejności, pewnej hierarchii. A więc mit wodza, który wyprowadził żołnierzy spod Kostiuchnowki, z ofensywy Brusilowa, i odznaka „Za wierną służbę” to dwa bardzo istotne elementy budujące tę legendę. Znajduje ona w Polsce silny rezonans.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Wróćmy jeszcze do wątku, który rozpoczął prof. Chwalba, a mianowicie do kwestii politycznego wykorzystania żołnierza legionowego – jak mówiłem, z pewnego punktu widzenia żołnierza skrajnie niezdyscyplinowanego. Proszę też zwrócić uwagę, że jeżeli patrzymy na te sprawy przez pryzmat personalny, to widzimy, że Piłsudski najpierw stawiał warunki, a potem mówił, że będzie

robił wojsko, i to polskie wojsko, podczas gdy Sikorski stawiał sprawę zupełnie inaczej, bo mówił: róbmy najpierw wojsko, a potem zobaczymy, co będzie. I jeżeli przyjrzymy się funkcjonowaniu Sikorskiego w czasie II wojny światowej, to zobaczymy, że ten mechanizm się powtarzał, czyli to jego podejście miało istotnie dalsze konsekwencje. Oczywiście czym innym jest tu pilnowanie czysto austriackiego interesu przez Zagórskiego i – w jakimś stopniu – przez dowódców legionowych. Ale to jest właśnie problem, który pokazuje odmienność podejścia do atutu politycznego, jakim staje się wojsko. A przy tym jest jeszcze jeden element, który chcę dopowiedzieć. Otóż kolejnym wyzyskiwanym przez Piłsudskiego czynnikiem jest właśnie to wspomniane wojsko, nie legionowe, ale cywilne, czyli Polska Organizacja Wojskowa.

Dr hab. Janusz Cisek

Pan profesor raczył skrócić mi pewną tezę, którą chciałem wygłosić. Mianowicie chodzi o porównanie postawy Piłsudskiego w I wojnie światowej i jego skuteczności do nieskuteczności Władysława Sikorskiego w czasie I wojny światowej, ale i do jego ponownej nieskuteczności w czasie II wojny światowej. Otóż Piłsudski, nie dysponując poważnymi argumentami, zdołał jednak wyrobić sobie taką pozycję, dzięki której sprawa polska została uruchomiona. Oczywiście nie będziemy tu rozstrzygać, czy Legiony były jedynym czynnikiem, ale na pewno były czynnikiem pierwszym i najważniejszym. Z kolei Sikorski w okresie II wojny światowej, posiadając dużą siłę zbrojną, bo co najmniej 200 tys. żołnierzy na Zachodzie, i powołując się na atrybut pierwszego państwa, które z bronią w ręku przeciwstawiło się nazistowskiemu Niemcom, nie był jednak w stanie zabezpieczyć polskich interesów tak, jak one mogłyby być zabezpieczone. Mamy tutaj do czynienia z kwestią wyboru pewnego sposobu myślenia, podejścia filozoficznego: czy kraj średniej wielkości, a często bardzo słaby, jest w stanie prowadzić niezależną politykę w skali ogólnoeuropejskiej i światowej, zdobyć się na niepodległość, uzyskać ją własnymi siłami, umiejętnie grając politycznie, czy też, tak jak rozważał Sikorski podczas I wojny światowej, Polska, która nie istniała – bo musimy to sobie uświadamiać, nie powinniśmy oglądać tego procesu historycznego z dzisiejszej perspektywy – jest w ogóle uprawniona do obecności na mapie Europy i czy wobec niesprzyjającego otoczenia jest w stanie się na niej utrzy-

mać bez protektoratu ze strony któregośkolwiek z państw zaborczych? Taka właśnie była filozofia wynikająca z krakowskiego konserwatyzmu, do którego, w sensie swoistej filozofii i sposobu myślenia, zbliżył się Władysław Sikorski. I w tym była właściwie zasadnicza różnica. Były więc dwa trendy: jeden niezależny, niepodległościowy, według poglądu Piłsudskiego, i drugi – choć to będzie zbyt brutalne określenie – do pewnego stopnia, tylko do pewnego, klientystyczny, zgodny z poglądem Władysława Sikorskiego, który uznawał, że Polska sama nie jest w stanie wybić się na niepodległość i musi czy powinna mieć wsparcie najbardziej liberalnego z zaborców, który zresztą umożliwił postawienie tej sprawy polskiej i przygotowanie polskiej irredenty.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Gra Piłsudskiego polegała na tym, że opierał ją na „sfinksowatym” Królestwie i nieposłusznych Legionach. A zatem, czy bez Legionów ta gra byłaby w ogóle możliwa?

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

To jest najbardziej zasadnicze pytanie. Myślę, że byłaby możliwa – choć może jest to teza dyskusyjna – aczkolwiek byłaby o wiele trudniejsza. Odwołam się tu do kwestii politycznych. Być może rację mają ci, którzy piszą, że Władysław Sikorski zawsze, w całym swoim politycznym działaniu, chciał się na kimsz opierać – najpierw były to Austro-Węgry, potem była to Francja, potem Wielka Brytania, a potem Stany Zjednoczone – i nigdy specjalnie dobrze na tym nie wychodził. Może rację miał też Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który w jednym ze swoich wspomnień zanotował takie słowa Piłsudskiego: „Faktycznie chyba jestem romantykiem, bo w przeciwieństwie do moich politycznych konkurentów opieram się nade wszystko na narodzie polskim”.

Ale tu kluczem jest instrumentarium. Powtórzę raz jeszcze, że dla mnie teoria powstańcza nie jest tak naprawdę żadną teorią powstańczą, bo celem nadrzędnym Piłsudskiego była budowa choćby skromnej narodowej polskiej siły zbrojnej. I to właśnie z takim podejściem, że ma to być instrument polityczny. Przy czym bynajmniej nie chodziło tylko o Legiony, bo równie skuteczną formą owego instrumentarium politycznego, a może nawet skuteczniejszą, była Polska Organizacja Wojskowa. Stąd też wstrzymanie

rekrutacji – choć nie do końca ściśle, bo nie wstrzymano jej tak od razu – do Legionów, do I Brygady. W rzeczywistości Legiony, nie mówiąc już o samej I Brygadzie, były bardzo wąłym instrumentem politycznym. Mimo to w rękach Józefa Piłsudskiego został on kapitalnie wykorzystany.

Chciałbym w tym kontekście zwrócić uwagę na jedną datę. Kiedy Piłsudski złożył dymisję? Po bitwie pod Kostiuchnowką. To nie jest przypadek. On dobrze wiedział, że bitwa pod Kostiuchnowką odbije się szerokim echem co najmniej w państwach centralnych i że postawa Polaków jest pewną wartością dodaną, którą można wykorzystać politycznie. I to zrobił, licząc na to, że ta dymisja nie zostanie przyjęta, ale przede wszystkim na to, że cokolwiek dla sprawy polskiej zostanie uczynione przez Berlin i Wiedeń. Wówczas jeszcze się przeliczył.

Teraz, proszę państwa, znowu będzie wątek polemiczny w stosunku do wypowiedzi jednego z moich prześwietnych przedmówców. Zawsze będziemy się spierać o to – robiono to zresztą już w międzywojniu – czy Akt 5 listopada był wynikiem tego, o czym rozmawiamy, czyli heroizmu Legionów i pokazania się Polaków jako świetnych żołnierzy, czy wynikał on przede wszystkim z kalkulacji, zwłaszcza sztabowców niemieckich. Przypominam, że Akt 5 listopada to jest coś, co wydarzyło się kilka tygodni po bitwie pod Verdun, gdzie poniesiono potężne straty, także przecież strona niemiecka je poniosła. Niemniej ten instrument polityczny w postaci Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej był w rękach Piłsudskiego i został on wykorzystany w sposób perfekcyjny. Przy tak skromnych możliwościach lepiej tego wykorzystać nie było można.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Proszę państwa, jeżeli są na sali zwolennicy gry w brydża, a zwłaszcza w winta, to oni wiedzą, że Piłsudski, nie mając atutów, licytował skrajnie wysoko. To po pierwsze.

Po drugie, wiem, że będą zaraz nawiązania polemiczne pana prof. Chwalby i pana prof. Nowika, więc udzielam im głosu.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Rzeczywiście, o Akcie 5 listopada, jak sądzę, już chyba nie powinniśmy wspominać, natomiast powinniśmy wymienić opinie o Sikorskim, który nie był odosobniony w swoich wyobrażeniach politycznych i swojej wizji.

Stała za nim potężna rzesza polityków, zwłaszcza z Galicji, w tym z NKN. Czyli to nie było tak, że tylko on bronił poglądów trialistycznych. Przecież poważni politycy z Galicji, jak również politycy z Królestwa uważali, że jest to jakaś sensowna droga.

I jeszcze jedno. Wizja Piłsudskiego była wizją demokratyczną i republikańską, podczas gdy wizja Sikorskiego była wizją monarchiczną, w zgodzie z tradycją: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. Piłsudski nie chciał stać przy żadnym panu.

Kolejna rzecz. W sierpniu 1914 r. stolicą polskiej akcji niepodległościowej jest Kraków, a Galicja jest polskim Piemontem. Stąd mieli wyjść w pole przeciwko Rosji strzelcy, którzy – jak uważano – przyniosą Polsce niepodległość. Podczas wojny Sikorski i politycy z NKN uważali, że to Galicja dalej jest polskim Piemontem, że do Galicji zostanie przyłączone Królestwo. I stąd problem. Piłsudski zaś powiada: sytuacja się zmienia, naszym Piemontem jest Królestwo, tutaj jest serce Polski, a więc przenosimy stolicę po raz kolejny z Krakowa do Warszawy. I tak się dzieje. Centrum życia politycznego przenosi się do Warszawy. Dlatego również Piłsudski zabiega – dodajmy, że skutecznie – aby otrzymać zgodę Beselera na przyjazd do Warszawy.

I ostatnia sprawa, stale powtarzana w mediach i w literaturze. Otóż w sierpniu 1914 r. nie istniał plan powstania przeciwko Rosji autorstwa Piłsudskiego jako pełna, zamknięta wizja. To mit. Zatem nie jest prawdą – jak powiadali przeciwnicy Piłsudskiego – że jego plan powstania był porażką, gdyż w istocie go nie było. Zatem nie ma planu powstańczego. Czy się zgadzamy? (*Głosy z sali*: Nie, nie.)

Nie? To świetnie. Mamy ciekawy wątek, który z pewnością ożywi naszą debatę...

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Skoro mówimy o przeniesieniu tego polskiego Piemontu, to powiem, że nie całkiem tak to wyglądało.

Padło tu już nazwisko Hansa von Beselera. O Akcie 5 listopada była mowa, mówiliśmy o koncepcji kanclerza Bethmanna-Hollwega, o koncepcji Mitteleuropy. Ale w historii, oprócz wielkich procesów, działają również takie czynniki jak przypadki. I takim przypadkiem był właśnie Beseler. Któż to





był? Wyciągnięto go z emerytury. A dlaczego go wyciągnięto i postawiono go na czele Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego? Otóż był to przykład Prusaka polonofila – jeśli można w ogóle użyć takiej zbitki...

Beseler w niemieckiej akademii wojskowej przygotowywał pracę dyplomową o powstaniu listopadowym. Tak zafascynował się walką tego niewielkiego Królestwa Polskiego z Rosją, że nawet zbierał na ten temat relacje od żyjących uczestników, przestudiował wspomnienia polskich weteranów, przestudował też rosyjskie wydawnictwa. Był zafascynowany duchem walki. Był też tym, który uważał, że jeżeli odpowiednio się pobudzi i poprze Polaków, to za to – a myślał kategoriami doświadczeń z lat 1830–1831, oczywiście bez uwzględniania w tym Wielkopolski, Pomorza i Śląska – Królestwo Polskie będzie wspomagało państwa centralne w walce z rosyjskim molochem.

Co do powstania Piłsudskiego: w 1908 r. Piłsudski wygłaszał w Krakowie, w Szkole Nauk Społeczno-Politycznych, jak również w szkole wojskowej wykłady. I potem na podstawie tych wykładów wydana została broszurka *Zadania praktyczne rewolucji*. I jeśli w tej broszurce zamieni się słowo „rewolucja” na „powstanie narodowe”, to otrzyma się program działania Józefa Piłsudskiego nie tylko na rok 1914, ale również, w niektórych elementach, na czas całej I wojny światowej, a już na pewno jest to program na rok 1918 i 1919.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Beseler był sympatycznym Prusakiem i – jak mówił Piłsudski – to on chciał go patriotyzmu uczyć. Widocznie za bardzo się swoją rolą pedagoga przejął – jak dopowiada prof. Chwalba.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Co do *Zadań praktycznych rewolucji*, to ja jednak obawiałbym się zastępować słowo „rewolucja” słowem „powstanie”. Przecież opis przyszłej rewolucji był pomysłem jednego z liderów Organizacji Bojowej PPS, który żył wspomnieniami z lat 1905–1908. Piłsudski z przegranej rewolucji próbował wyciągać wnioski i zastanawiał się, co należy uczynić w przyszłości, aby rewolucja przeciwko Rosji zwyciężyła. Te rozważania są zresztą na poziomie daleko idącej ogólności. Ale nie to jest najważniejsze. Najistotniejsze jest to, że w ciągu kolejnych lat Piłsudski wraz z irredentystami doprowadził do zmiany wizji walki o Polskę, bo zmieniły się okoliczności, czego

świadcstwem jest formowanie się oddziałów strzeleckich. Teraz cała energia Piłsudskiego i irredentystów skupia się na strzelcach w Galicji i na ich możliwym wejściu do Królestwa z armiami sojusznicznymi, jak wybuchnie wojna. Dlatego w tekstach z lat 1911–1914 Piłsudski nie wraca już do idei powstania czy rewolucji. To nam wyjaśnia, że w momencie wybuchu wojny irredentyści nie mieli programu powstańczego. Nie było planu przygotowania kadr powstańczych, szpitali, ośrodków zaopatrzenia, pozyskania broni w skali masowej. Jeśli zdaniem panów miało to miejsce, proszę o dowody. Czyli wspomniana broszura czy też broszury (bo jeszcze z tego samego czasu wydano broszurę o geografii militarnej) należą do wcześniejszego i zamkniętego etapu. W sierpniu 1914 r. merytoryczna wartość broszur jest już jedynie archiwalna. To nam wyjaśnia brak kadr powstańczych na terenie Królestwa Polskiego, brak organizatora, brak przywódcy. W Królestwie na wolności było kilkudziesięciu konspiratorów. Ani w Warszawie, ani nawet w Zagłębiu Dąbrowskim nie było kadrowych formacji powstańczych. Podsumujmy: w latach 1909–1910 Piłsudski zarysował ogólnikowe zadania, które w przyszłości miał przepracować, ale do nich już nie wrócił, bo nastał inny czas, a wraz z nim nowe szanse i nowe wyzwania.

Jest mi przykro występować przeciwko profesorowi z Krakowa...

(Wesołość na sali)

...jednak muszę dodatkowo przypomnieć o geografii militarnej Królestwa Polskiego, która jest wskazówką co do tego, jak powinny działać wojska polskie.

Czego dotyczyły rozmowy Piłsudskiego ze sztabowcami austriackimi przed 1914 r.? Otóż pozwolenia na działanie. I jeżeli mówimy, że impreza powstańcza się nie udała, to niestety częściowo – oczywiście częściowo, bo nastroje były trudne do przewidzenia – przez to, że Austria wypowiedziała wojnę Rosji jako ostatnia, czyli 6 sierpnia. Zagłębie Dąbrowskie, które miało być bazą, zostało już zajęte przez Niemcy, które z kolei weszły w stan wojny z Rosją jako pierwsze.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Może nie kompromisowo, ale chciałbym przypomnieć, że te wątki dadzą się pogodzić, przede wszystkim dlatego, że Piłsudski przed I wojną światową

wyraźnie mówił, że on przygotowuje awangardę, która pójdzie zadać pytanie, czy społeczeństwo odpowie na nie pozytywnie, czy też nie. Społeczeństwo nie odpowiedziało, symbolicznie i praktycznie.

Prof. dr hab. Janusz Odziemkowski

Żałuję, że nie ma tu prof. Moczulskiego, bo wtedy dyskusja o powstaniu byłaby pewnie bardzo żywa.

Ale może odniosę się do głosu panów profesorów. Legioniści – panika czy złe dowodzenie? Badam historię wojen od wielu lat i, szczerze mówiąc, jeszcze nie zetknąłem się z wojskiem, nawet najlepszym, w którym kiedyś nie wybuchłaby panika. Po prostu jest ona immanentnie związana z wojskiem i z wojną. Jeżeli weźmiemy pod uwagę nawet wojnę polsko-bolszewicką i walczące w niej jednostki: 1. Dywizję Piechoty Legionów – no, to był kwiat żołnierzy, 1. Dywizję Litewsko-Białoruską (Piłsudski zaliczał je do najlepszych) czy również bardzo dobrą 18. Dywizję Piechoty gen. Krajowskiego... we wszystkich możemy odnotować wypadki paniki. Nie możemy wydawać o legionistach opinii, że być może nie było to wojsko najlepsze, skoro kiedyś wybuchła w ich szeregach panika.

Jak dowodzono? Błędy też się zdarzają, bo wojna jest grą błędów. Leczważenie życia ludzkiego? W każdej armii możemy zaobserwować takie przypadki.

Do czego zmierzam? Legioniści byli częścią ówczesnego społeczeństwa. Zgoda, że z perspektywy pojęcia niepodległości to była elita, która świadomie rzuciła na stos swój życia los. To rzeczywiście był wybór: bo mogli stracić wszystko – rodziny, przyszłość... Ale pamiętajmy, że legioniści byli częścią społeczeństwa początków XX w. i myśleli jego kategoriami. Inny był wtedy stosunek do takich kwestii, jak choćby poświęcanie zdrowia i życia w obronie idei, gotowość do umierania za coś, w co się głęboko wierzy. A przecież ochotnicy zaciągali się do Legionów, aby zrealizować wielką ideę odbudowy wolnej ojczyzny. Przywiązanie do niej i gotowość oddania życia za nią czyniła z nich znakomity materiał na żołnierza. A żołnierz jest jednym z najważniejszych czynników owego *esprit de corps*.

Nie jesteśmy w stanie ująć tego zjawiska naukowo, ale ono istnieje. I kształtuje wartość jednostki wojskowej, wartość oddziału. Do tego dodajmy polski

XIX-wieczny etos walki za ojczyznę, przyprószonego pozytywizmem, który jednak pozostał w pamięci i wybuchł z wielką siłą w Legionach. Dzisiaj nie potrafimy myśleć tak jak legioniści i tak jak tamto społeczeństwo. Dlatego jestem przekonany, że zrozumienie tego, czym były Legiony i jak funkcjonowały, wymagałoby głębszego poznania ówczesnego pokolenia, z jednej strony pozytywistycznego, z drugiej – wychowanego na legendzie napoleońskiej, z jednej strony zachowawczego, a z drugiej – wpatrzonego we Francję republikańską, która ma nam przynieść wolność czy pomoc w odzyskaniu wolności. W zachowaniu i rozumowaniu pokolenia Legionów są zatem kwestie, które nie przystają do naszego sposobu rozumowania.

I ostatnia sprawa. Odnosząc się do dyskusji o tym, czy rzeczywiście Legiony spowodowały zaangażowanie niemieckie i przesądziły o Akcie 5 listopada, powiem, że ja też nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Tylko wydaje mi się, że gdyby nie było Legionów, to ten głos, jak sądzę, decydujący, głos wojskowych niemieckich, oceniających bardzo pozytywnie legionowego żołnierza, mógł nie wybrzmieć tak głośno. A pamiętajmy, że opory przeciwko wykorzystaniu Polaków były bardzo silne w Niemczech, do ostatniej chwili.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Oczywiście pan profesor ma rację, że kiedy ruszano na wojnę, to wcale nie było pewne, że „Pierwsza Kadrowa gwardyją zostanie” – to przyszło troszeczkę później. I istotnie możemy powiedzieć w odniesieniu do tego finału, jakim z politycznego punktu widzenia był 5 listopada, że oprócz przekonania, że legionista to jest znakomity żołnierz, Niemcy z tyłu głowy mieli myśl, że tych potencjalnych znakomitych żołnierzy jest jeszcze milion do wzięcia. A więc to są elementy, które na pewno musiały wystąpić.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Powiem krótko o sprawie oczywistej. Chyba nie ma w tej sali nikogo, kto sądziłby, że podczas I wojny światowej rację miał płk Sikorski, a nie Józef Piłsudski. To jest jasne. Jednak podchodziłbym z dużą rezerwą do dosyć łatwego porównywania Piłsudskiego i Sikorskiego w odniesieniu do II wojny światowej. Po 22 czerwca 1941 r., po stworzeniu się najpierw sojuszu sowiecko-brytyjskiego, a potem trójstronnego, sowiecko-anglosaskiego, gen. Sikorski, nie mając znikąd poparcia, nie mógł wygrać ze Stalinem. Wygrać ze Stalinem

to ponad siły jakiegokolwiek męża stanu, kogokolwiek będącego w tej roli. I wydaje mi się, że to w imię zasady *audiatur et altera pars* trzeba dodać.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Skoło jesteśmy w okolicach 5 listopada, to nie ulega wątpliwości, iż rola Legionów się zmienia, zmieniała się po krzysie dymisyjnym, kiedy legionieści rzeczywiście są już tak naprawdę wojskiem zbuntowanym. Nie chcę tu dodatkowo wywoływać widm związanych z radami żołnierskimi – choć one w Legionach też były, były właśnie w tamtym czasie, i to też jest charakterystyczne dla klimatu roku 1916, roku 1917 – ale trzeba dopowiedzieć, że rozpoczyna się wtedy coś, co można nazwać eksperymentem niemieckim: to próba zagospodarowania tego potencjału przez Niemców, łącznie z przejściem Legionów, od kwietnia 1917 r., już pod komendę niemiecką. Czy – jeśli uwzględnimy tę tezę, że Beseler był jeden – była szansa na to, że dojdzie tutaj do realnej kooperacji, gdy weźmie się przy tym pod uwagę fakt, że pomysły dotyczące tworzenia armii, zgłaszane znów paralelnie przez Piłsudskiego w grudniu i przez Sikorskiego, też zmierzały w różne strony?

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Zacznę moją wypowiedź od takiego wierszyka śpiewanego przez legionistów, zwłaszcza I Brygadę, na Wołyniu: „Jak skończym z Mikołajem, pójdziem na Wilhelma/ Zabrać Wielkopolskę, co ją gnębi szelma”.

(Prof. dr hab. Grzegorz Nowik: „Co zrobimy z trzecim, diabli jeszcze wiedzą/ Może nam jaskółki po drodze powiedzą”.)

To pokazuje nastroje, ale to jest, proszę państwa, głos płynący gdzieś tam z dołu. Odpowiadając na pytanie, czy ten eksperyment niemiecki mógł się udać, powiem tak: odesłanie do Baranowicz Legionów wycofanych z frontu było działaniem podjętym przez Austriaków z dużą premedytacją, ponieważ wiedzieli oni, że nastroje w Legionach są wybuchowe. Sami sobie nie ufali co do tego, że będą w stanie te nastroje okiełznać, i właśnie dlatego oddali legionistów, wówczas jeszcze tam, na wschodzie, pod kuratelę niemiecką. I tu wracam do kwestii zasadniczej. Od Niemców oczywiście warto było uczyć się sztuki wojennej. I to legionieści robili, zwłaszcza w pierwszej połowie roku 1917. Jednak absolutnie jestem zdania, że nie było szans na pogodzenie tych dwóch żywiołów i tendencji, tzn. owej właśnie orientacji, nazwijmy to, niemieckiej. Bo jak można sobie

wyobrazić uległą wobec II Rzeszy postawę legionistów oglądających na terenie Królestwa rozgrabiane przez Niemców dobro polskie – i to do tego stopnia, że ściągano dzwony z wież kościelnych i przetapiano je na działa! No przecież to nie mogło się udać. To się wyklucza. Bardzo szybko dochodziło więc gdzieś tam na dole do konfliktów, łącznie z przypadkami postrzelenia żołnierza niemieckiego, zabicia żołnierza niemieckiego. Były pobicia, stawanie w obronie tych, którym zabierano resztki majątku. Tak więc to nie mogło się udać.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Z tym że oczywiście to była też kwestia woli politycznej. A i kontekst się zmienia, bo następowała zmiana sytuacji w Rosji, więc spojrzenie na możliwości tworzenia armii też musiało być inne.

Warto zatem odnieść się do procesu radykalizowania się żołnierza legionowego. Przywołam przykład spotkań robionych w maju 1917 r., zmierzających do tego, żeby zbrojnie zająć Warszawę, łącznie z pierwszym pomysłem takiego swoistego zamachu majowego, czyli dokonania go 3 maja 1917 r. To jest też kontekst, którego trudno nie dostrzegać. Jednak jest to również prosta droga do tego, co się wydarza w lipcu – do właściwie już jawnego buntu w realiach też całkowicie odmiennych, buntu przekreślającego w sposób jednoznaczny, przynajmniej na tym etapie, możliwości realizacji przez Niemców ich politycznych pomysłów.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Rzeczywiście wspominaliśmy Beselera, ale nie będziemy się tutaj spierali, czy był on polonofilem, czy też był rozsądnym hakatystą, takim miłym, sympatycznym weteranem wojennym...

Pomysł Beselera jest następujący: skoro powstaje Królestwo Polskie, to musi mieć wojsko, ale nie może być to wojsko oparte na poborze rekruta, bo konwencja haska zakazuje poboru rekruta z terenów okupowanych.

Niemcy w tej wojnie w niektórych przypadkach przestrzegali konwencji haskiej. Beseler zapowiada organizowanie armii ochotniczej. Legioniści są przekonani, że jej komendantem będzie Piłsudski. Ale Beseler wyklucza takie oczekiwania, sam chce stanąć na jej czele, bo uważa, Polacy nie są w stanie stworzyć sensownego wojska z Legionów, bo to jest wojsko niekarne i rozpolitykowane. Legioniści, zamiast walczyć, kłócą się, spierają i ciągle mówią

o Polsce niepodległej. Z takiego wojska nic nie będzie. Zapowiada powołanie nowej armii, ochotniczej, bez szerszego udziału legionistów, i staje na jej czele. Ale do takiej armii Polacy nie chcieli się zgłaszać. Niemcy – o czym wspominał profesor Wołos – nie byli nadmiernie szanowani ze względu na wspomnianą politykę kontrybucji, rekwizycji, porywania ludzi, również łapanek, totalnego zniszczenia przemysłu. To po pierwsze. Po drugie – i to jest istotne – zmienia się na niekorzyść Niemiec sytuacja międzynarodowa. O jednym jej składniku wspominał Włodzimierz Suleja: mianowicie rewolucja rosyjska to pierwszy, bardzo sympatyczny i korzystny dla nas sygnał. Drugi bardzo ważny sygnał: Stany Zjednoczone przystępują do wojny po stronie aliantów. Piłsudski jest przekonany, że skoro państwa centralne nie wygrały wojny do wiosny 1917 r., to już jej nie wygrają. W związku z tym nie może już stawiać na państwa centralne, bo przegra sprawa polska... i on sam. Odmowa przysięgi w lipcu 1917 r. to doskonała okazja wyrwania się ze skomplikowanej sytuacji. Piłsudski w lipcu 1917 r. wie, że już nie może iść dalej z Niemcami i z Austriakami. Szczęśliwie dla niego i dla Polski zostaje aresztowany i odstawiony do Magdeburga.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Oczywiście trudno polemizować z panem profesorem co do tego, że właściwie rękami niemieckimi ten problem został niejako rozwiązany.

Chciałbym jeszcze wrócić na moment do tego szczególnego rozpolitykowania żołnierza legionowego. Chciałbym jeszcze przypomnieć właśnie tę sprawę i prosić o pokazanie mechanizmu tych kryzysów, które były kryzysami czysto politycznymi. Nie mówiliśmy też o takiej instytucji, która w normalnym, regularnym wojsku jest nie do przyjęcia, to znaczy. o Radzie Pułkowników. Gdzie to jest możliwe, żeby wyżsi oficerowie się zbierali i uzgadniali stanowisko polityczne – bo o takie przecież chodziło?

A kryzys, po którym Piłsudski ostatecznie ląduje w Magdeburgu... Notabene dowiedziałem się nie tak dawno, że z Wesel przeniesiono go do Magdeburga, dlatego że nasi robotnicy, którzy tam byli, zorganizowali demonstrację, przy wsparciu robotników niemieckich, żeby było jeszcze ciekawiej. Ale można powiedzieć, że kryzys przysięgowy jest czymś, w czym żołnierz legionowy był już wytrawnym weteranem. To nie był pierwszy raz, ale szczególnie w tym w przypadku ostatni.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Wiosna 1917 r. to jest okres, kiedy Legiony są już w Królestwie, Legiony są przeformowywane na kadry przyszłego wojska, odbywają się najrozmaitsze kursy i wtedy Niemcy popełniają – mimo osoby Beselera, tego Prusaka polonofila – gafę za gafą. Najpierw chodzi o niemiecki jako język komendy. Przecież to jest iskra na proch – język niemiecki jako język komendy! Dalej: regulaminy i instrukcje są niemieckie – a to znowu iskra na proch. Po trzecie, jest to, co przemawia do każdego żołnierza, czyli bardzo słaby wikt. Ci żołnierze byli rzeczywiście głodni. Jak się czyta dzienniki, zapiski Römery, to widać, że oni regularnie cały żołd, jakkolwiek mieli – a jeśli ktokolwiek miał jakieś dochody przesyłane z domu do wojska, to je również – przeznaczali na zakup artykułów żywnościowych u okolicznej ludności. I te rady żołnierskie, a szczególnie właśnie sytuacja kryzysowa w maju 1917 r., to jest coś bardzo, bardzo wybuchowego.

To narasta, można powiedzieć, samoistnie, ale struktura jest scentralizowana i kierowana przez zdymisjonowanego Piłsudskiego już z Warszawy. I wtedy właśnie, wiosną 1917 r., aż do lata, było najwięcej dymisji z Legionów i przechodzenia do Polskiej Organizacji Wojskowej, przeznaczania tych już doświadczonych, zaufanych i, co najważniejsze, pewnych i posłusznych komendantowi Piłsudskiemu oficerów na teren Królestwa.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Tylko że problem polega na tym, iż właśnie wiosną 1917 r., wiosną, ale bliżej lata, ten żołnierski „dół” zaczyna się radykalizować. Bo kiedy do Piłsudskiego przychodzą delegaci – ci, którzy zebrali się w Ostrołęce – i mówią, żeby już się bić, i to bić się z Niemcami, to on jest zaskoczony. I mówi, że nie, że pójdą za to siedzieć, że będzie inne rozwiązanie. Ale rzeczywiście trudno też tego elementu nie uwzględniać. Trudno także dodatkowego elementu, który spowodował, że w lipcu, mimo całego napięcia i rozpolitykowania, żołnierz legionowy okazał się jednak żołnierzem karnym i rzeczywiście wiedział, co go będzie czekać.

Epizod niemiecki rzeczywiście, tak jak mówił pan profesor Chwalba, przyszłości nie miał i nie mógł mieć z tych względów, o których mówił również profesor Nowik.

Dr hab. Janusz Cisek

Zwróciłbym jednak uwagę na znaczny wpływ polityki niemieckiej na odbudowanie państwa polskiego. Odbudowa szkolnictwa, tworzenie źródeł sądownictwa, wiele innych elementów – a już nie mówię o tym całym podparciu dla wojska – to jest coś, co zaczęto realizować jeszcze w czasie I wojny światowej. Pamiętajmy też, że był tam jakby wspólny interes, choć my ekstrapolujemy te wewnętrzne rozgrywki, odrywamy je od sytuacji międzynarodowej. Oczywiście, rewolucja w Rosji jest bardzo istotna, ale ona oznaczała, że front wschodni odpada, Niemcy zaś chcą wygasić front wschodni w tym sensie, że chcą znaleźć zastępstwo – nie mówię, że w stu procentach, ale w jakimś dużym stopniu – i możliwość dozorowania tej linii frontu przez coś, co powstanie z Legionów, co będzie nazywać się „wojskiem polskim”, a co byłoby niewątpliwie także w polskim interesie. Nie było też ze strony Niemców – wyjąwszy może jakieś elementy dotyczące terytorium dzisiejszej Ukrainy – czegoś takiego, że oni stawialiby zaporę w kwestii odzyskania przez nas terytorium do granicy z II rozbioru. Gdyby popatrzeć na to logicznie i bez obciążenia tego spojrzenia doświadczeniem II wojny światowej, to okazałoby się, że Niemcy bardzo wiele – nie mówię, że najwięcej, ale na pewno więcej niż Austro-Węgry – uczyniły dla sprawy polskiej.

To jest także kwestia Tymczasowej Rady Stanu i Rady Regencyjnej. Ostatecznie można było od kogoś przejąć władzę – mimo że to była władza stygmatyzowana zaborcą. Rada zachowała się zresztą bardzo rozsądnie, przekazując władzę polityczną i wojskową Piłsudskimu po jego powrocie do Polski.

Jeśli chodzi zaś o radykalizację, to radykalizacja była właściwie od początku kampanii. Proszę zwrócić uwagę na stosunek do przysięgi, która 4 września odbyła się w Krakowie, później w Kielcach, i proszę zwrócić uwagę na to, jaki silny był wobec niej opór. Zaraz później, w 1915 r., była kwestia wstrzymania werbunku. Piłsudski wtedy jeszcze chciał wyrzucić presję na władzy austriackiej w zakresie zmian politycznych, w celu wydania jakiejś enuncjacji o sprawie polskiej.

To wszystko oczywiście eksploduje po tym, kiedy naturalna, choć nie historyczna stolica Polski staje się centrum życia politycznego, czyli kiedy

to wszystko, co dotychczas działo się w Krakowie przenosi się do Warszawy. Tu radykalizacja jest jeszcze większa, jako że wynikająca z faktu, iż Legiony powoli są wycofywane z frontu – one są rozlokowywane i w Warszawie, i w Zegrzu, i w okolicach. I mamy w postaci obecności umundurowanego, choć może nie najlepiej uzbrojonego, żołnierza tę wspomnianą presję na kwestie polityczne.

To, o czym profesor Suleja pisał i mówił, tzn. kryzys majowy polega na tym, że już wtedy przymierzano się – a maczał w tym palce także Eustachy Sapieha, późniejszy minister spraw zagranicznych – do powołania rządu polskiego. Z różnych powodów wówczas jeszcze do tego nie doszło.

I wreszcie – w konsekwencji kryzysów, ciągłego wzburzenia, mamy do czynienia z aresztowaniem Piłsudskiego. I to jest to, o czym powiedział profesor Chwalba – w ten sposób Niemcy właściwie dali Piłsudskiemu dobry pretekst do wyjścia z twarzą ze związku z państwami centralnymi.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Ale czy w takim razie można zaryzykować tezę, że to, co w lipcu 1917 r. już właściwie nie było kryzysem, ale raczej buntem wojskowym – bo takie znamiona zaczynało przybierać, psując radykalnie przede wszystkim plany niemieckie – nie było też z polskiej strony, ze strony Piłsudskiego, próbą zabezpieczenia kadr, jako że legioniści już nie walczą, na przewidywany koniec wojny? Czy taka teza może się obronić?

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

Chciałbym przypomnieć jeszcze jedną kwestię, zanim odpowiem na postawione przez profesor Suleję pytanie. Ta data nam umknęła. Kiedy Austriacy oficjalnie przekazali Niemcom Polski Korpus Posiłkowy? 10 kwietnia 1917 r. Skąd się brała ta radykalizacja? Ano zaistniała niejako na fali wydarzeń, które działy się w Rosji. Bynajmniej nie mówię tego w takim sensie, że legioniści byli rewolucjonistami, tylko chodzi o to, że jest to tuż po ogłoszeniu przez obie konkurujące ze sobą władze rosyjskie ważnych deklaracji w sprawie Polski.

Przed wszystkim to niemalże się nakłada, prawie co do dnia, z wejściem Stanów Zjednoczonych do wojny. Przecież owe fakty nie mogło pozostać bez wpływu na zachowanie legionistów. Oni doskonale wiedzieli, że na are-

nie międzynarodowej dzieją się rzeczy wielkie, dla sprawy polskiej dobre, a tymczasem u nich jest coś zupełnie innego: nie ma ustępstw, a jest wręcz przeciwnie. Były więc nastroje buntu. Piłsudski sam je w maju temperował. Było to racjonalne i rozsądne, bo jakiz mógł być wtedy bunt? Przecież byłby utopiony we krwi. Nawet jeżeli przyjmiemy, że wzięłoby udział w buncie całe wojsko legionowe i jeszcze POW, to ile to by było ludzi? 50 tys.? Nawet mniej...

Ale jest jeszcze inna kwestia. Jeżeli Legiony były instrumentem politycznym, to jakżeż mogły nie być rozpolitykowane? Musiały być rozpolitykowane. Do tego to przecież zmierzało.

I wreszcie – chciałbym przypomnieć jeszcze jedno: byli tacy, którzy przysięgę jednak złożyli. I wcale nie było ich tak mało. Przysięgi nie złożyli ci, którzy wiernie szli za Piłsudskim, mimo najróżniejszych wahań – z pewnymi małymi wyjątkami...

Myszę, że teza postawiona w pytaniu profesor Sulei da się obronić. To był sposób, ażeby tych przeszkolonych, pewnych, wiernych, polskich żołnierzy zachować. Zachować, to znaczy sprawić, by oni nie zostali rzuceni gdzieś na odległe fronty. Jedynie po części to się udało, dlatego że poddanych Habsburgów wysyłano na front włoski – daleko od ziem polskich, i to nie był przypadek. Ale całą resztę zachowano w tym sensie, że trafili oni do obozów internowania. Tak, to jest teza, pod którą bym się podpisał.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Spróbujmy bilansować ten moment. Tacy żołnierze jak Lis-Kula, poddani austriaccy, trafiają na front włoski; do obozów – do Szczypiorna, do Beniaminowa – trafiają oficerowie i żołnierze; część przechodzi z powrotem pod komendę austriacką i wraca w szeregi Polskiego Korpusu Posiłkowego. Nie ma, przynajmniej formalnie, polskiego wojska. Jest w podziemiu Polska Organizacja Wojskowa, która przecież wojskiem w tym momencie nie jest. I wtedy ten eksperyment znów przybiera postać austriacką: żołnierz, głównie ten znajdujący się pod gen. Zielińskim, znów zostaje przetransferowany na front wschodni. Ale trwa to krótko, to jest epizod w okresie jesień 1917 – zima 1917 i 1918 r. I potem mamy już do czynienia nie tyle nawet z kryzysem, ile rzeczywiście z czymś więcej niż buntem, bo to jest wypowiedzenie

dyscypliny wojskowej i przejście przez front. A więc mamy sygnał nie tyle nawet radykalizacji, ile innego podejścia do kwestii znów czysto politycznej i innego postawienia przez te szeregi legionowe, które ostały się przy Austrii, sprawy polskiej. Czy możemy mówić o zamknięciu w tym momencie epopei legionowej?

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Tak, rzeczywiście jest to koniec. Jesień 1917 r. zapowiadała czwarty i ostatni kryzys legionowy i jego bolesny epilog, który nastąpi w lutym 1918 r. Jak do niego doszło? Niemcy od Aktu 5 listopada budują niemiecką Europę na wschodzie. To jest coś więcej niż Mitteleuropa, bowiem ta niemiecka Europa ma objąć tereny sięgające aż po Finlandię, a na południu po Rumunię. W czasie tajnych rokowań w Brześciu w lutym 1918 r. z delegacją Ukraińskiej Republiki Ludowej Austriacy wyrazili zgodę na przekazanie, i to jeszcze w czasie wojny, Chełmszczyzny i Podlasia państwu ukraińskiemu. Obiecali też, że Galicja zostanie podzielona na dwie części: część zachodnia będzie polskim krajem koronnym ze stolicą w Krakowie, a wschodnia z Przemyślem, Lwowem, Tarnopolem, Stanisławowem – ukraińskim krajem koronnym. Trudno było zachować to w tajemnicy. Na wieść o Brześciu zaczął się największy bunt na ziemiach polskich i nie chodzi tylko o to, że szyby poleciały w konsulatach niemieckich...

Brześć poruszył nawet włościan polskich. Ci często niepiśmienni polscy włościanie zaczęli identyfikować się ze sprawą polską. Austriacy doprowadzili do radykalizowania mieszkańców miasteczek, miast o wsi. Ludność polska od lutego zdecydowanie stanęła – i stała mocno – przeciwko państwom centralnym. I to jest nie tylko kres Legionów, ale to jest również kres orientacji na Wiedeń i na Berlin. Już nigdy w ciągu kolejnych miesięcy ani Niemcy, ani Austriacy nie będą w stanie odbudować tych nadziei, które mieliśmy jeszcze jesienią 1917 r. wiązali z Berlinem i Wiedniem.

Haller, który jest dowódcą II Brygady w ramach Korpusu Polskiego, podejmuje heroiczną decyzję. Uderza na swoich dotychczasowych sojuszników, na c. i k. wojska i przekracza dogasający już front rosyjsko-austriacki. Przebija się pod Rarańczą. W rzeczywistości była to potyczka, ale w naszej narodowej mitologii ważna bitwa, a jednocześnie sygnał wysłany na Zachód, że oto cała

Polska jest z aliantami. Zwycięski Haller ostatecznie melduje się w Paryżu, stając na czele polskiej armii we Francji. A pozostałych legionistów czeka ciężki proces przed c. i k. sądami wojennymi.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Dopowiem tak: nigdy poza tym czasem się nie zdarzyło, żeby tak duża ilość psów biegła po wsiach galicyjskich w austriackiej gali orderowej.

Rzeczywiście – tak jak mówił profesor Chwalba – Rarańcza jest zamknięciem epopei legionowej w wersji z sierpnia 1914 r. To się definitywnie kończy. Ale nie kończą się Legiony i wkład w to, co się dzieje, zwłaszcza na wschodzie. Nie bez przyczyny pojawia się tu nazwisko Józefa Hallera, który dowodzi przebicciem się przez front. Tabory zostają jeszcze po drugiej stronie – stąd potem procesy, w których sądzony był choćby właśnie Sikorski. Legioniści pojawiają się poza frontem i zaczynają łączyć się z korpusami.

Prosiłbym teraz o refleksję na temat realnego wkładu oficera, żołnierza legionowego w ten wysiłek na wschodzie, o którym rozmawialiśmy przed dyskusją o Legionach.

Prof. dr hab. Mariusz Wołos

To są sprawy bardzo skomplikowane i niełatwe do ujęcia w krótkiej wypowiedzi. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że główny nurt działania Polskiej Organizacji Wojskowej, już bez Piłsudskiego, polegał na tym, ażeby skierować swoją uwagę właśnie na wschód, na istniejące tam polskie formacje zbrojne, zwłaszcza trzy korpusy. I za tym poszło wysłanie najlepszych ludzi, emisariuszy i wojskowych, i politycznych, i wojskowo-politycznych. Tam znajdziemy m.in. bardzo jeszcze wówczas młodego i mało komu znanego Józefa Becka, który jako Halicki przedziera się do akurat III Korpusu. Po co wysłano tam Wieniawę, Struga, Sokolnickiego, Hołówkę, Becka i wielu, wielu innych? Po pierwsze, po to, ażeby ten duch antyniemiecki i wymierzony w państwa centralne zdominował korpusy. To się nie udało, bo i było bardzo trudne. Wysłannicy mieli zbyt mało argumentów, aby przekonać dowódców. W największym stopniu widać to na przykładzie I Korpusu, gdzie próbowano wręcz dokonać przewrotu i odsunąć gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, co się nie udało żołnierzom POW. To samo próbowano zrobić w III Korpusie i to też się nie udało.



Drugi powód, dla którego ci emisariusze zostali tam wysłani, to kwestia nawiązania kontaktów z państwami Ententy, tzn. z misjami wojskowymi, które tam przebywały. Całkiem niedawno znalazłem – wreszcie, bo szukałem tego przez dwadzieścia parę lat – dokumenty na temat rozmów delegatów POW w budynku konsulatu francuskiego w Moskwie w lipcu 1918 r. Otóż rozmawiano o wywołaniu powstania na terenie Królestwa Polskiego. Powstania antyniemieckiego i antyaustriackiego. Liczono przy tym na wybuch rewolucji w obu tych państwach. Zresztą sensownie, bo te rewolucje faktycznie wybuchły. To nasze powstanie tymczasem nie wybuchło. Ono było planowane na marzec, kwiecień 1919 r., a więc już nie było potrzeby, żeby wybuchło. Ale to pokazuje nam, jakimi drogami biegły myśli piłsudczyków bez Piłsudskiego.

No i wreszcie ta sprawa, która jest może najbardziej znana: chodziło o to, by wyciągnąć stamtąd możliwie dużo żołnierzy polskich. To częściowo się udało, częściowo się nie udało. Sporo jednak w tym zakresie osiągnięto, dlatego że przecież żołnierze z tych rozformowanych korpusów takimi czy innymi drogami czy to przenikali do Królestwa Polskiego, czy to czasami bardzo okrężną drogą, gdzieś tam przez Murmań, Armię Polską we Francji, wracali do Polski, a bywało, że wracali do Ojczyzny i przez Władywostok.

Byłych legionistów, piłsudczyków, żołnierzy-emisariuszy POW widać tam było bardzo wyraźnie. Byli bardzo aktywni. Mieli oczywiście konkurenta – ale czy tylko konkurenta, czy nie partnera zarazem? – w postaci Narodowej Demokracji. Podjęto rozmowy. Okazało się, że można znaleźć wspólny język w wielu kwestiach. A nie jest łatwo przekonać Francuza, a nawet Polaka innej orientacji, że oto teraz my, piłsudczycy, my, legionieści, my, peowiaci, jesteśmy po stronie państw Ententy. To był dalszy element owej politycznej rozgrywki, o której tutaj mówiliśmy.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Istotnie, możemy powiedzieć, że jest to pewien paradoks, polegający na tym, że w końcu bardzo proaustriacki legionowy dowódca przedziera się do Francji i jest tam symbolem zupełnie innego pod względem orientacji związku, jeżeli można te sprawy w taki sposób pokazywać.

Chciałbym, żebyśmy kończąc, spróbowali przynajmniej sygnalnie – bo to też jest temat na zupełnie oddzielną debatę – powiedzieć kilka słów, kil-

koma refleksjami się podzielić na temat tego, co Legiony wniosły do armii II Rzeczypospolitej, do Wojska Polskiego.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Jeślibyśmy prześledzili kadrę dowódczą formowanego od 1918 r. już regularnego Wojska Polskiego odradzającej się Rzeczypospolitej, to moglibyśmy podzielić tych wszystkich ludzi, czyli kadrę oficerską, na trzy dominujące grupy. Pomijam tu wywodzących się z armii niemieckiej, bo ich było bardzo niewielu, głównie to byli rezerwiści: pierwszy to był przecież gen. Raszewski, a drugi to gen. Taczak.

Były zatem trzy główne grupy. Oficerowie z armii rosyjskiej to są głównie dowódcy liniowi. Gdybyśmy spojrzeli na dowódców frontów, potem spojrzeli na dowódców armii i dywizji, tobyśmy zobaczyli, że duża część z nich to są oficerowie z armii rosyjskiej, dlatego że w armii rosyjskiej oficerów Polaków, absolwentów Akademii Sztabu Generalnego, można było policzyć na palcach, a pierwszy to byłby oczywiście Dowbor-Muśnicki.

Druga grupa to są oficerowie z armii austriackiej. Ci z kolei, ze względu na dosyć liberalny stosunek do kwestii narodowej, kończyli Akademię Tereziańską albo austriacką akademię techniczną w Wiener Neustadt. W zasadzie *gros* stanowisk sztabowych w armii i w Sztabie Generalnym zajmują ci „Austriacy”.

I trzecia grupa – po pierwsze, zdecydowanie młodsza, a po drugie, niemająca za sobą akademii wojskowych, czasami nawet szkół wojskowych – to są legioniści. Oni mają za to, po pierwsze, brak rutyny, a po drugie, ideowość, zaufanie do Komendanta, no i to są ludzie, którzy wykonują wszystkie niewykonalne zadania. Są też bardzo wysoko ulokowani w strukturze. Jakbyśmy popatrzyli na strukturę Wojska Polskiego w 1920 r., to zobaczylibyśmy, że dowódcą frontu północnego jest Haller, legionista (ale fatalnie dowodził), dowódcą frontu środkowego jest Rydz-Śmigły, dowódca frontu południowego jest akurat z armii rosyjskiej, ale już np. dowódca 5. Armii to przecież legionista Sikorski, aczkolwiek na froncie tylko kilka dni w czasie I wojny miał okazję służyć w Legionach, a cały czas dowodził, jak mówiono złośliwie, książkami w Departamencie Wojskowym NKN. No i jest wiceminister spraw wojskowych, wtedy już minister, Sosnkowski. A więc są oni bardzo

wysoko ulokowani. I duża część dowódców dywizji, brygad, dowódców pułków, batalionów to jest kadra legionowa i peowiacka, bo do niej było po prostu ogromne zaufanie. I to są ludzie, którzy rzeczywiście awansują dosyć wysoko, dlatego że doskonale dowodzą i wykonują niewykonalne przedsięwzięcia – można by tu mnożyć przykłady, nie wypowiadam tych słów bezpodstawnie. To się zmienia w 1939 r., kiedy jest już inna wojna i w niej te elementy nie wystarczają.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

To znaczy ten czynnik ludzki tu jest oczywisty i pan profesor bardzo syntetycznie i pięknie to wydobyl. Chodzi mi jednak również o kwestie nieprzeliczalne, o te imponderabilia, które się przeniosły z Legionów do polskiej armii.

Dr hab. Janusz Cisek

Oprócz ujęcia statystycznego trzeba by wziąć pod uwagę jeszcze jakoś tego żołnierza w okolicznościach bardzo trudnych, mianowicie w walce o granice Rzeczypospolitej, bo przecież kilka frontów zostało otwartych zaraz w 1918 r. Trzeba powiedzieć, że pierwszymi, którzy stanęli na wysokości zadania, byli właśnie peowiacy, zdemobilizowani legioniści, którzy w takich bardzo małych miejscowościach jak Andrychów, jak, powiedzmy, Mielec, Krosno...

(Prof. dr hab. Grzegorz Nowik: Kolno, Łomża.)

To oni, będąc jakby zaszczerpieni tą ideą i przejmując inicjatywę... Bo prawdopodobnie nie każdy wpadłby na pomysł, aby po raz kolejny organizować jakąś milicję czy straż bezpieczeństwa – bo tak to się najczęściej nazywało – albo tworzyć takie pułki powiatowe, które były właściwie w każdej większej miejscowości. Ale to była też – jeśli byśmy zechcieli wejść tu na nieco wyższy poziom – kwestia doktryny strategicznej i umiejętności taktycznych. Bardzo szybko Wojsko Polskie porzuciło przecież myślenie kategoriami wojny pozycyjnej, takiej, jakiej ci ludzie doświadczyli i jaka toczyła się jeszcze dwa czy trzy lata wcześniej. Wojna z 1920 r. jest wojną bardzo manewrową, oczywiście w innym wymiarze i z innymi środkami transportu niż te, które były później, ale tu jest wyczuwalna właśnie myśl, którą Piłsudski zaczerpnął jeszcze z czasów napoleońskich, zaszczerpił i stosował w Legionach, a wykorzystał praktycznie w wojnie 1920 r., która była

oczywiście wojną bardzo szczególną, ale która rzuciła bardzo długi cień, w zdecydowanej mierze korzystny, na wojsko II Rzeczypospolitej. I wreszcie było to doświadczenie dla tych oficerów, o których mówił profesor Nowik. Oni kończyli służbę w Legionach w stopniu, powiedzmy, podporucznika czy porucznika albo chorążego, który to stopień był traktowany jako pierwszy oficerski w armii austro-węgierskiej, a doskonalili się w latach 1920–1921 i później awansowali.

Myślę, że w statystycznym ujęciu około 27 tys. oficerów przyjęto do końca 1919 r. z różnych armii, z czego 5 tys. to byli legioniści i oficerowie z POW. Ale gdybyśmy na to chcieli nałożyć kalkę ważnych stanowisk, to trzeba by powiedzieć, że niewątpliwie na początku szefowie sztabu byli z armii austro-węgierskiej, ministrowie spraw wojskowych – z rosyjskiej. Przecież szef wywiadu, mjr Bołdeskuł, był z armii austro-węgierskiej. Tak więc było tam absolutne pomieszanie, przy czym stopniowo na front czy raczej na czoło wysuwają się ci, którzy przeszli przez Legiony. Ale to nie była droga na skróty, to była droga okupiona bardzo, bardzo solidnym doświadczeniem wojskowym.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Wracam do pytania, co Legiony wniosły do armii Rzeczypospolitej. Co nade wszystko podkreślano? To, że legioniści osiągnęli sukcesy dzięki morale, ideowości, duchowi walki, silnej woli. Po 1918 r. uznano, że te cechy należy implantować wśród żołnierzy Rzeczypospolitej. Z historii Legionów wywieziono przekonanie o szczególnej wartości wojsk ochotniczych. Kiedy nastał rząd Moraczewskiego, to zdecydował się na tworzenie armii ochotniczej. Dopiero później, gdy powstał Sejm Ustawodawczy i Narodowa Demokracja wraz z sojusznikami przejęła władzę w sejmie, przyjęto ustawę o poborze. Wciąż jednak sądzono, że ochotnik jest prawdziwym, najlepszym żołnierzem i że on wygra na froncie.

Powrócono do doświadczeń legionowych, że wojsko musi być otoczone sympatyczkami, gdyż to jest dowodem, że także kobiety stoją twardo przy swojej armii. Po roku 1918 powracano do historii służby kobiet w Legionach, oczywiście w przebraniu męskim. Kazimiera stawiała wówczas się Kazimierzem, Józefa – Józefem. W sumie w Legionach służyło w charakterze żołnie-

rzy kilkadziesiąt kobiet. Jest to piękny przykład niezwykle patriotycznego zaangażowania. Piłsudski uważał, podobnie Aleksandra Szczerbińska, że ruch obywatelski kobiet, który narodził się wokół Legionów, należy przenieść do II Rzeczypospolitej. W wojnie z bolszewikami w 1920 r. to się potwierdziło, bo obywatele i obywatelki stanęli razem przy polskiej armii.

I ostatnia sprawa, bardzo istotna. Mianowicie uznano, że żołnierz musi mieć dużo czasu na czynne uprawianie sportu. Dlatego podobnie jak w Legionach, w wojsku propagowano piłkę nożną. Powróciły doświadczenia z Wołynia... To tam z piłkarzy-legionistów dwóch krakowskich drużyn, Wisły i Cracovii, w 1916 r. powstała trzecia drużyna, czyli Legia.

I pamiętajmy o popularyzowaniu przez legionistów piłce ręcznej, czyli szczypiorniaka.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Jest jeszcze jeden bardzo istotny element, tak oczywisty, że go po prostu nie dostrzegamy. Otóż to jest to, co ukształtowało w myśli Józefa Piłsudskiego przeświadczenie, że wojsko, armia jest niezwykle ważnym w naszych warunkach czynnikiem państwowotwórczym. To między innymi dlatego *Mazurek Dąbrowskiego*, a nie *Boże, coś Polskę*, stał się hymnem narodowym w 1927 r. – bo tam śpiewano, że nie zginęła, póki my żyjemy. To do tamtych Legionów nawiązywano symbolicznie, a każda próba wybicia się na niepodległość w XIX w. zaczynała się – no, poza powstaniem listopadowym – najpierw od wojska, a potem była dopiero cała reszta.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Wszystkich wątków, nawet tych sygnalizowanych, nie jesteśmy w stanie w pełni wyczerpać, ale taka jest uroda każdej, nawet naukowej, debaty.

DEBATA VII

Wznoszenie zrębów państwa

(5 kwietnia 2018 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab., prof. UMCS Robert Litwiński, dr hab., prof. UMCS Waldemar Kozyra, dr hab., prof. UJ Janusz Mierzwa

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

To już siódma debata. Mamy już z nich tyle publikacji, że zbliża się moment, w którym te debaty będą mogły skutkować książką.

Spotykamy się tu zaraz po świętach Wielkiej Nocy. Dla osób wierzących są to święta, które pokazują istotę wiary w zmartwychwstanie, a dla wszystkich ludzi, też niewierzących, jest to symbol zwycięstwa dobra nad złem. Może więc szczególnie dzisiaj dla nas, tutaj obecnych, ta myśl, że 100 lat temu dla naszych rodaków odzyskanie niepodległości wiązało się z obrazem Polski, która powstaje z martwych, jest bardzo bliska. A zatem rozmawiamy dzisiaj o Polsce zmartwychwstałej.

Dr Mateusz Szpytma, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Już po raz siódmy spotykamy się, by dyskutować o ważnych kwestiach dotyczących odzyskania naszej niepodległości. Wznoszenie zrębów państwa. Mnie osobiście też przez dłuższy czas zastanawiało to, jak to się stało, że Polska, mimo tylu dziesięcioleci niewoli, tak szybko się zorganizowała i tak szybko zaczęły działać różne instytucje polskiego państwa. Pewnie była to w dużej mierze zasługa tego – choć to też jest oczywiście do dyskusji – że pewna namiastka polskiego państwa istniała dzięki Aktowi 5 listopada, od którego to tematu zresztą zaczęliśmy te spotkania.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rozpoczynamy dzisiaj debatę, która pokaże swoisty paradoks dotyczący budowania państwa w momencie, kiedy jeszcze tego państwa nie ma. A rozpocząć chciałbym od kwestii związanej z budową państwa w czasie wojny, ale w nawiązaniu do bardzo określonych tradycji. Bo przecież to nie było tak, że rozwiązania formalnoprawne i pomysły na to, w jaki sposób wznosić owe zręby, były zawieszone w próżni. Polacy sprzed stu lat dysponowali różnymi rozwiązaniami w obszarze myśli politycznej, choć niepraktykowanymi – poczynając od rozwiązań z czasów I Rzeczypospolitej, przez to, co przecież funkcjonowało realnie, choć wynikało z różnych tradycji, w czasie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, przez doświadczenia doby zaborów, związane z funkcjonowaniem w obrębie zaborczych struktur administracyjnych, ale też z różnymi odniesieniami, choćby takimi jak galicyjska autonomia, która miała lokalny, właśnie polski wymiar.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Problem jest bardzo rozległy, co najmniej na kilkudniową konferencję. Kiedy po Akcie 5 listopada, bo to jest początek, początek wszystkiego, początek budowy państwa polskiego. Kiedy po Akcie 5 listopada polscy politycy zabiegali u generalnego gubernatora warszawskiego Hansa von Beselera o to, aby przyspieszył proces budowy państwa polskiego, ów odpowiedział, że Polacy nie mają w tej mierze wystarczających tradycji państwowych i że ich tradycje romantyczne, powstańcze nie służą czy nie przysłużyły się wyedukowaniu solidnych, mądrych, profesjonalnie pracujących urzędników. Dlatego należy zachęcać młodych do pobierania nauk w spolonizowanym za jego zgodą Uniwersytecie Warszawskim, aby jak najszybciej wykształcić profesjonalnych urzędników i prawników. Z tych samych powodów władze austriackie, kompletując służby cywilne w Generalnym Gubernatorstwie Lubelskim, sięgnęły do zasobów urzędniczych Galicji. Lecz stosunek mieszkańców Królestwa do urzędników galicyjskich był, delikatnie mówiąc, niechętny. Uważano ich za zbiurokratyzowanych formalistów, kochających tylko Najjaśniejszego Pana, który panuje w Wiedniu; za urzędników nadmiernie skoncentrowanych na przepisach i pasywnych. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pozostały wśród nich silne sentymenty austriackie, jak choćby

u Leona Bilińskiego, byłego ministra skarbu w c. i k. rządzie. Nie był to może najwybitniejszy minister, niemniej był ministrem i przed wojną, i w czasie wojny. Po wojnie otrzymał propozycję objęcia funkcji ministra skarbu w rządzie Ignacego Jana Paderewskiego, ofertę tę przyjął, przyjechał do Warszawy z Krakowa z walizką i z portretem Najjaśniejszego Pana, który kazał powiesić za biurkiem. Jego misja nie trwała zbyt długo, po kilku tygodniach pożegnał się z urzędem i wrócił, wraz z Najjaśniejszym Panem, do Krakowa.

To pokazuje problem napięć wynikających z tradycji służenia innemu panu.

Natomiast nie można było sięgnąć do zasobów zaboru pruskiego, gdyż tam prawie w ogóle nie było polskich urzędników. Polska administracja nawiązywała zasadniczo do czasów sobie znanych i znanej praktyki administracyjnej. Raczej nie sięgano do tej bardzo odległej, bo to były zupełnie inne wzory. Niemniej w praktyce administracyjnej odnajdujemy wzory z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Częściej i chętniej sięgano do wzorców z zakresu wojskowości, do historii polskich formacji i polskich barw.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście istotne jest tu przywołanie Księstwa Warszawskiego, niemniej musi się też pojawić pytanie związane z tym, że mogliśmy – i dyskusje na ten temat, w jakimś sensie, się toczyły – albo nawiązywać do pewnego wzorca, który był wzorcem kolegialnym, sięgającym właśnie czasów I Rzeczypospolitej, albo można było korzystać z rozwiązań znanych z administracji pruskiej czy też z administracji galicyjskiej. Ale również można było korzystać z francuskiego wzorca centralistycznego, który dotarł do nas wraz z Napoleonem. I to też był dylemat, który w tamtym czasie się pojawił.

Dr hab. Janusz Mierzwa

Wydaje mi się, że w ramach szukania takich odniesień do tradycji można było sięgnąć do dwóch płaszczyzn. Pierwsza płaszczyzna to ogół kwestii związanych z tradycjami samoorganizacji społeczeństwa. Chodzi tu o struktury, które w warunkach zaboru były dopuszczalne i które powodowały zagospodarowanie energii społeczeństwa polskiego. Ta energia w warunkach odzyskania niepodległości mogła zostać spożytkowana dla budowy struktur państwowych. Druga płaszczyzna to odwołanie się do istniejących struk-

tur państwowych, przy czym to oczywiście zależało od sytuacji, odmiennej w każdym z zaborów. Jak wspomniano i jak wiemy, najlepsze warunki w tym względzie panowały na terenie zaboru austriackiego.

Tak więc odpowiedź na pytanie, z którego zaboru administracja II Rzeczypospolitej wzięła najwięcej, brzmi: z zaboru austriackiego. Może nie dlatego, że były to rozwiązania najlepsze – pruski model administracyjny wydaje mi się nieco bardziej skuteczny, i jeśli brać pod uwagę braki w zakresie posiadania wykształconych kadr urzędniczych, to on być może byłby lepszy – ale jest to kwestia tego, iż na dobrą sprawę w pierwszych miesiącach to urzędnicy wywodzący się przede wszystkim z administracji galicyjskiej tworzyli zręby niepodległego państwa polskiego i siłą rzeczy przenosili wzorce zachowania oraz model, w którym wzrastali i funkcjonowali, na model państwa niepodległego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Pojawił się tu problem samoorganizowania się społeczeństwa. Dotyczyło to w zasadzie wszystkich zaborów, aczkolwiek jeżeli spojrzymy na to z perspektywy XIX-wiecznej, to przyznamy, że generalnie najwięcej pod tym względem działa się w zaborze pruskim. Czy więc możemy tu mówić o sięganiu – zresztą w perspektywie trójzaborowej – także do tego typu rozwiązań, by je wykorzystać w poczynaniach administracyjnych?

Dr hab. Waldemar Kozyra

Gdy chodzi o polską tradycję administracyjną czy ustrojowo-administracyjną, to mamy z tym duży problem, bo ta tradycja jest, ale też jej nie ma. O co w konsekwencji tu chodzi? Niestety chodzi o kwestię rozbiorów. Gdy Polska była pod zaborami, w Europie wykształciły się tak zwane narodowe modele administracji. Do najważniejszych z nich zaliczamy: model francuski, niemiecki (pruski), anglosaski w wersji angielskiej i amerykańskiej, hiszpański, szwedzki, a nawet rosyjski. Niestety, polski model ustrojowo-administracyjny w zasadzie się nie wykształcił.

Polska odradza się w pierwszych dziesięcioleciach XX w., a przecież to wiek XIX jest czasem tworzenia się – wraz z tymi modelami – tak zwanego państwa prawnego (konstrukcji państwa prawnego) – bo chodzi o model konstrukcyjny państwa prawnego. Jego konstytutywnymi elementami były:

suwerenność narodu, konstytucjonalizm, trójpodział władzy, administracja scentralizowana, samorząd terytorialny, sądownictwo administracyjne i tym podobne. W szczególności, w ramach narodowych modeli administracji i konstrukcji państwa prawnego, powstała nowożytna i najnowsza administracja publiczna, której podstawowymi zasadami były zasady: centralizacji i decentralizacji, koncentracji i dekoncentracji, jednoosobowego kierownictwa (monokratyczna) i wieloosobowego kierownictwa (kolegialność) i tym podobne.

W konsekwencji Polska, odzyskując suwerenność, musiała jednocześnie stworzyć swój system prawno-administracyjny według obowiązujących w Europie standardów ustrojowo-politycznych i administracyjnych. Była to wyjątkowa trudność, gdyż w budowaniu państwa polskiego podczas I wojny światowej tak naprawdę odwoływaliśmy się do XIX-, XX-wiecznej tradycji aktywności społecznej, samoorganizacji, a w aspekcie administracyjnym jedynie do niektórych nazw administracyjnych, powstałych w okresie Polski przedrozbiorowej, Księstwa Warszawskiego czy konstytucyjnego Królestwa Polskiego, takich jak: wojewoda, starosta, wójt, burmistrz, departament, gmina itp. Jednak twórcy zrębów państwowości polskiej podczas pierwszej wojny światowej odwoływali się przede wszystkim do zaborczych i okupacyjnych modeli ustrojowo-administracyjnych, istniejących na ziemiach polskich w XIX w. i wprowadzanych podczas Wielkiej Wojny.

Konkludując, należy wskazać, że polski model administracji publicznej przed rokiem 1914 nie istniał, a jego zasadnicze zręby powstały po listopadzie 1918 r. Tak więc II Rzeczpospolita jest fundamentem polskiego modelu ustrojowo-administracyjnego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Pan Profesor zwrócił tu uwagę na szczególnie, w moim przekonaniu, kontekst. Otóż rzeczywiście w XIX w. pojawia się model państwa prawnego, a polskie nieszczęście polega na tym, że wówczas 80 proc. polskiego terytorium jest w obrębie państwa *samodzierżawnego*, które państwem prawnym, jako żywo, nie jest. Swoiste nieszczęście polega również na tym, że jeśli chodzi o państwo prawne najbardziej rozwinięte, czyli pruskie, to my z tym państwem walczyliśmy, walczyliśmy z tym ogarnięciem przez własne instytucje,





choć wykorzystujemy przy tym modele prawne. Ale zagospodarowuje się to tak naprawdę jedynie w obszarze galicyjskim. Stąd pytanie, które wiąże się z realną sytuacją czasu wojny: tworzymy państwo, praktycznie rzecz biorąc, na obszarze Królestwa Kongresowego, wykorzystując rozwiązania prawne z pozostałych zaborów, a organizują to Niemcy. Czy to jest uprawniona teza?

Dr hab. Robert Litwiński

Profesor Suleja podniósł bardzo ważną sprawę, ale ja może nawiążę jeszcze do pierwszego wystąpienia, tego odnoszącego się do autonomii.

Gdy zapoznawałem się z reakcjami społeczeństwa Lubelszczyzny i ziem kieleckiej na autonomię galicyjską, mogłem odnaleźć sygnały pewnego rodzaju wyczekiwania: kiedy do nas dotrze tego rodzaju mechanizm, kiedy i my będziemy mogli partycypować w jakiś sposób w zarządzaniu naszą małą ojczyzną, miasteczkiem, gminą? A pamiętajmy, że po powstaniu styczniowym samorząd został zlikwidowany *de facto* do zera. Miasta oczywiście mają prezydentów, ale pochodzą oni z nadania gubernatorów, i w zdecydowanej większości są to osoby narodowości rosyjskiej. Dlatego, kiedy rzeczywiście powstała szansa na to, że będzie tak jak w Galicji, to niektórzy, np. na Lubelszczyźnie, z nadzieją witali najpierw okupację niemiecką, a potem okupację austriacką.

Szybko jednak doszło do rozczarowania, co było konsekwencją pewnego rodzaju polityki władz. Bo, jak tu wspominaliśmy, rzeczywiście te modele funkcjonowały najlepiej w zaborze pruskim, jednakże – i to było paradoksem, o którym wspominał profesor Chwalba – pomimo tego, że tam te rozwiązania mieliśmy stosunkowo najlepsze, to nie posiadaliśmy odpowiednich kadr. I gdy odradza się II Rzeczpospolita, następuje wewnętrzny eksport kadry urzędniczej z Galicji.

Doszło do pewnego paradoksu, bo już w roku 1923 „Galileusz”, czyli Galicjanie, są w Poznaniu traktowani gorzej niż Niemcy – była to reakcja na wędrówki kadr. Kadry administracyjne, urzędnicy administracyjni czy też urzędnicy samorządowi peregrynują po kraju, bo jest niesamowite zapotrzebowanie na tego rodzaju pracowników, i to pracowników dobrze wykształconych. Jest to widoczne nie tylko w administracji, lecz także chociażby w przypadku służb bezpieczeństwa publicznego, jest to widoczne również

w wypadku samorządów, które będą się odradzały w latach Wielkiej Wojny. W 1916 r. radca Babiński z Rady Miejskiej Warszawy w jednej z odezw mówił: oto będziemy mieli szansę na odbudowywanie niepodległej Rzeczypospolitej.

Proszę zwrócić uwagę: oto urzędnik samorządowy, a mówi o rzeczach ogólnopaństwowych. I był on jednym z nielicznych, bo takich elit, czy to urzędniczych, czy politycznych, rzeczywiście mieliśmy w tym momencie stosunkowo mało. Ich niedobór chociażby w terenie, na przykład w Kielcach czy w Lublinie, był znaczny. Ale bardzo chętnie spoglądano na niemiecki wzorzec administracyjny, samorządowy, na rozwiązania dotyczące chociażby organizowania sił policyjnych i tak dalej, bo uważano go rzeczywiście za pewnego rodzaju wzór, który mógłby zostać zaadaptowany w państwie polskim.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Profesor Suleja, podkreśla jednoznacznie, że powinniśmy się skoncentrować, przynajmniej w tym momencie, na kwestiach prawnoustrojowych, do jesieni 1918 r. W związku z tym może warto przypomnieć, że latem 1915 r. doszło do podziału dotychczas rosyjskiego Królestwa Polskiego. Części północna i zachodnia przypadły Niemcom, które utworzyły Generalne Gubernatorstwo Warszawskie ze stolicą w Warszawie, a południowa i wschodnia ze stolicą w Lublinie przypadła Austro-Węgrom, którzy powołali Generalne Gubernatorstwo Lubelskie. W związku z tym modele administracyjno-prawne, które są tam wprowadzane, są kopiami rozwiązań państw macierzystych. Czyli GGL staje się jakby filią Galicji, a z kolei Niemcy w GGW implantują swój model prawno-administracyjny rodem z II Rzeszy.

Beseler ma zaufanie wyłącznie do urzędników i ziemian pochodzących z zaboru pruskiego, dlatego w służbie cywilnej GGW znajdują oni zatrudnienie. Jego stosunek, podobnie jak i cywilnych władz niemieckich, do urzędników dotychczas pracujących w służbie Moskali był negatywny. Zdaniem władz niemieckich rosyjski model prawnoustrojowy prowadził do anarchii, do zniszczenia idei tworzenia nowoczesnego państwa.

Warto może wspomnieć, że w przeddzień Aktu 5 listopada cesarz Franciszek Józef I podpisał akt prawny, w którym zapowiadał powołanie do życia nowego państwa o nazwie Małopolska, oczywiście w ramach Austrii Habsburgów. Tym samym cesarz nawiązuje do obietnic z poprzednich lat

wyodrębnienia Galicji z Przedlitawii (subdualizm). Nie chodziło zatem o powstanie takiej konstrukcji państwowej, jak pragnęli trialści, to znaczy Austro-Węgro-Polska. Ale by państwo małopolskie mogło powstać, cesarski akt musiał uzyskać akceptację trzech czwartych posłów do Rady Państwa. W praktyce, z uwagi na jej wewnętrzne podziały polityczne i narodowe, nie było to możliwe. Niemniej polscy politycy uznali, że to jest doskonała wiadomość. Przewidywali między innymi uformowanie nowego sejmu we Lwowie i powstanie polskiego rządu odpowiedzialnego przed sejmem, na czele rządu miał stanąć... kanclerz. Trudno powiedzieć, czy polscy politycy nawiązywali do tradycji kanclerskich z czasów Metternicha czy raczej do kanclerstwa niemieckiego. Być może – jak sugerują niektórzy historycy państwa i prawa – chciano w istocie nawiązać do staropolskiej instytucji kanclerza. W sumie wszystkie te modele ustrojowe, polskiego lub okupacyjnego autorstwa, wskazują na monarchię jako optymalną formę ustrojową dla Polski lub ziem polskich.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Profesor Chwalba zarysował dodatkowe punkty komplikacyjne. Rzeczywiście był taki problem, czy Polska ma powstawać jako monarchia.

Powiedzmy sobie od razu też to, że nie znamy jej terytorium, bo nawet na tym terytorium, na którym teoretycznie miałyby powstawać, są dwa porządki – porządek pruski, właściwie bardziej pruski niż niemiecki, i porządek austriacki. Jest w obrębie monarchii próba wyodrębnienia Galicji, ale ona rzeczywiście się nie powiodła – choć i Michała Bobrzyńskiego do tego angażowano. Pomijam już fakt, że w monarchii habsburskiej jest jeszcze Księstwo Cieszyńskie, do którego też będziemy aspirować. I jest zabór pruski, a ujmując rzecz precyzyjniej ziemie polskie pod pruskim panowaniem, o różnych częściach składowych. A za gubernatorstwami, za tą ewentualną inaczej urządzoną Kongresówką, są jeszcze obszary przyfrontowe, do których także aspirujemy.

Stopień komplikacji w tym okresie, po roku 1916, jest znacznie większy niż ten, który był przed wojną – to po pierwsze. Po drugie, rzeczywiście jest próba narzucania modelu zewnętrznego z przewagą modelu pruskiego. I po trzecie, jest jeszcze oczekiwanie, że to jednak my sami będziemy sobie z tym wszystkim w jakiś sposób radzić, będziemy tym zarządzać.

Podajmy w tym miejscu wątek samorządowy. To jest opcja, która realnie wraca w 1915 r. i powoduje – tu odwołuję się do wystąpienia wspomnianego radnego – że zwłaszcza samorząd warszawski zaczyna pełnić rolę faktycznego sejmiku polskiego. Ten model samorządowy, występujący na różnych obszarach staje się, w moim przekonaniu, pierwszym krokiem do budowy realnych rozwiązań państwowych.

Dr hab. Waldemar Kozyra

Skoro mówimy o czasach już I wojny światowej, to trzeba pewne rzeczy uporządkować i przypomnieć. Otóż na obszarze Królestwa Polskiego, dawniej Kongresówki, powstały dwie administracje okupacyjne. Musimy to podnieść, ponieważ to był obszar bezpośredniej podległości wobec państwa austriacko-węgierskiego, jeśli chodzi o zarząd okupacji austriacko-węgierskiej, i była przynależność drugiej części, tej warszawskiej, Królestwa Polskiego, do państwa niemieckiego. Tutaj wchodzi w grę kwestia prawa międzynarodowego publicznego czy też prawa wojennego. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że to państwa okupacyjne decydują o kształcie ustrojowo-administracyjnym tych terenów. Tutaj czynnik polski był, niestety, może nie „wtórnym”, ale tak było, że Polacy byli bardziej petentami.

I teraz trzeba postawić sobie pytanie: dlaczego okupanci postanowili stworzyć tak zwane emancypacyjne polskie organy państwowo-administracyjne na obszarze obu okupacji? To, jakie były powody, zwłaszcza niemieckie, jest już dość dobrze opisane w polskiej historiografii: potrzebny był żołnierz polski. Ale nie tylko o niego chodziło. Były też głębsze powody – budowanie Mitteleuropy. To dlatego okupanci wybrali opcję ograniczonej współpracy ze społeczeństwem polskim. I teraz mamy Akt 5 listopada. Zapowiada on powstanie Królestwa Polskiego, podmiotu prawnomiędzynarodowego. Jest ono *in statu nascendi*, czyli jest w trakcie tworzenia, ale jeszcze nie istnieje, jednak w przyszłości będzie uznane za państwo, będzie istnieć jako podmiot prawnomiędzynarodowy.

Rozpoczyna się budowanie, z woli i pod kontrolą państw centralnych, polskiego państwa. Powstają jednolite polskie struktury państwowo-prawne, działające na obszarze obu okupacji. Proszę zwrócić uwagę: Tymczasowa Rada Stanu została powołana w Warszawie, ale składała się z dziesięciu





przedstawiciele obszaru austriackiego i piętnastu przedstawiciele obszaru niemieckiego, gdyż okupacja niemiecka była pod względem terytorialnym i ludnościowym rozleglejsza. Nie jest więc do końca prawdą to, że tworzące się Królestwo Polskie nie miało granic. Ono ich formalnie nie miało, gdyż nic o nich nie mówił Akt 5 listopada, ale faktycznie zostały one bardzo szybko określone. Tworzyły je linie graniczne okupacji niemieckiej poza północno-wschodnim terytorium Kongresówki (gubernia suwalska i część guberni siedleckiej) oraz linia graniczna okupacji austriackiej.

Należy więc podkreślić, że polskie organy administracyjne i samorządowe były budowane w zasadzie według jednolitych założeń organizacyjnych w obu okupacjach. W tym czasie powstały na wzór niemiecki dwa szczeble polskiej administracji ogólnej (politycznej), to jest szczebel gminny i powiatowy, a zlikwidowano zostały okręgi wyższego rzędu, prowincjonalne, jakimi były gubernie. Samorząd terytorialny również był tworzony na podstawie wzoru pruskiego (niemieckiego) przez powoływanie samorządu gminnego (wiejskiego i miejskiego) oraz powiatowego.

Należy więc podkreślić, że kształt tworzącej się polskiej scentralizowanej administracji i struktur samorządu terytorialnego został tworzącemu się państwu polskiemu narzucony przez Niemcy. Jednocześnie należy stwierdzić, że był to nowoczesny model administracji publicznej, model dualistyczny, składający się z administracji scentralizowanej i samorządu terytorialnego, nieznanym dotąd na ziemiach polskich. Wynikał on z bardzo postępowego na owe czasy wzoru państwa liberalnego, konstytucyjnego, nazywanego też państwem prawnym. Niemcy, chcąc upodobnić ziemie polskie do Rzeszy, budowali w praktyce polskie państwo w ramach projektu Mitteleuropa. Niemniej korzyści były takie, że Polska uzyskała, dość przypadkowo czy też nieprzypadkowo, nowoczesny model administracyjno-samorządowy, jeden z najnowocześniejszych modeli w Europie na przełomie XIX i XX w.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Warto zwrócić uwagę, że w dotychczasowych debatach interpretując zawartość Aktu 5 listopada mówiliśmy o widocznym terytorialnym rozmyciu, jednak profesor Kozyra pokazał wyraźnie zamiysł określonego terytorium – nawet bardziej Księstwa Warszawskiego niż Królestwa Polskiego. To po pierwsze.

Po drugie, rzeczywiście mówimy o przenoszeniu modelu administracyjno-ustrojowego, przede wszystkim niemieckiego, przede wszystkim pruskiego. I porównując to z późniejszymi doświadczeniami czy też odnosząc się do już późniejszej okupacji, można odnieść wrażenie, że to stąd brały się złudzenia, przynajmniej na początku okupacji po roku 1939, że Niemcy powtórzą doświadczenia sprzed dwu dekad. Z polskiej perspektywy pierwszowojenne doświadczenie zaburzało społeczną świadomość. Ale w przypadku I wojny światowej można powiedzieć, że to jednak była próba kształtowania sobie sojusznika, wprawdzie w niewielkim zakresie terytorialnym, ale takiego, który będzie do niemieckiego modelu państwowo przysposobiony.

Dr hab. Robert Litwiński

Najpierw nawiążę do wypowiedzi profesora Chwalby, kiedy wspomniał o polonizacji za zgodą Niemców Uniwersytetu Warszawskiego. Proszę zwrócić uwagę, że w momencie budzenia się w ogóle kwestii samorządowej w latach Wielkiej Wojny, I wojny światowej, mieliśmy dwa stanowiska. Pierwsza sprawa to aktywność miejscowego społeczeństwa. Gdy czytamy na przykład dokumentację Jana Steckiego, to widzimy, że w poszczególnych ośrodkach miejskich była ogromna wola elit społecznych – przemysłowców, lekarzy, nauczycieli, kadry profesorskiej – by współuczestniczyć w życiu miasta. Z różnych przyczyn – przede wszystkim aprowizacyjnych, chociażby w zakresie pomocy lekarskiej czy w kwestii bezpieczeństwa – powoływane są liczne komitety obywatelskie. To jest pewnego rodzaju namiastka późniejszej samorządności. Co robią wtedy władze rosyjskie? Tolerują to.

Odwołajmy się do przykładu Warszawy. Wzrost przestępczości kryminalnej – mówię tylko o przestępczości kryminalnej – spowodował, że już latem 1914 r. pojawił się pomysł powołania do życia Straży Obywatelskiej. Rosjanie mówią: nie. Potem, po paru miesiącach, mówią: dobrze, rozpocnijcie działania. Potem następuje wycofanie tejże zgody. I dopiero sierpień 1915 r. jest momentem rzeczywistego pokazania się Straży Obywatelskiej na ulicach Warszawy. Tak sytuacja wyglądała również w innych ośrodkach.

Początkowo elity lokalne starają się współpracować z Rosjanami, ale ta chęć współpracy szybko ucieka, gdy te elity widzą, co robią władze carskie, wycofując się – to znaczy likwidują zakłady przemysłowe, wywożą maszy-

ny i wykwalifikowaną kadrę. Z nadzieją czeka się więc chociażby na wojska austro-węgierskie. I co robią Austriacy, chociażby w Kielcach, Piotrkowie, Lublinie? Otóż zgadzają się na poszerzenie granic miasta – czyli na coś, czego od Rosjan ani kielczanie, ani piotrkowianie, ani lublinianie nie mogli się przez kilka ostatnich lat doczekać. Był to gest pewnego rodzaju kupowania sobie społeczeństwa.

Drugi przykład: przecież to właśnie władze okupacyjne zgadzają się na przeprowadzenie w 1916 r. w poszczególnych miastach wyborów samorządowych. System ma być oczywiście kurialny, czyli taki, który zagwarantuje to, że reprezentanci najbogatszych warstw w poszczególnych ośrodkach miejskich będą w tychże radach dominowali. Ale władze się na to zgadzają i przekazują część uprawnień.

Owszem, to była chęć zapewnienia sobie swego rodzaju wygody. Przykład: Warszawa. Mamy tu problem z aprowizacją, ludność się burzy – no to niech Rada Miejska się tym zajmie, niech Zdzisław Lubomirski, prezydent, się tym zajmie! Był on zresztą osobą bardzo znamienitą, jednym z niewielu, o których gubernator Beseler akurat zabiegał, gdyż jako jeden z niewielu arystokratów nie wycofał się razem z Rosjanami i warto go było pozyskać. Ten zaś czekał na zgodę cara, na to, aż go zwolni z przysięgi. Pewien koniunkturalizm był tutaj widoczny i widać, że Zdzisław Lubomirski starał się prowadzić swoją politykę.

Mamy więc w tym wypadku dwa elementy: jest oddolne dążenia społeczeństwa polskiego, które samo widziało problemy – na przykład w zakresie aprowizacji, stanu higienicznego, zdrowotności, oświaty, bezpieczeństwa publicznego – a z drugiej strony mamy do czynienia z pewnego rodzaju ustępstwami ze strony władz. I cokolwiek by tu mówić, to właśnie te pierwsze wybory kurialne do rad miejskich rodzaju testem i namiastką samorządności, która będzie kiełkowała w kolejnych latach i będzie u podwalin rad miejskich w poszczególnych ośrodkach II Rzeczypospolitej.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Czyli było to pozyskiwanie, ale na obszarach, na których aktywność społeczną można było zagospodarowywać. Oczywiście władze okupacyjne robiły to przede wszystkim we własnym interesie.

Wybrzmiały tu te kwestie związane z Uniwersytetem Warszawskim, który pojawił się stosunkowo szybko, ale to dotyczyło w ogóle całego obszaru szkolnictwa. Ruszają przecież szkoły na tych terenach, na których była okupacja, i to w wariantcie polskim, a nie w takim wariantcie, jaki był poprzednio.

Dr hab. Janusz Mierzwa

Zdecydowanie zgodziłbym się z tezą, iż Niemcy, jako najważniejsza siła w układzie państw centralnych, starają się wychować sobie sojusznika. Mają świadomość tego, że bilans otwarcia na terenie Królestwa Polskiego jest dość skromny, nie chcą się odwoływać do tradycji administracji rosyjskiej – przy czym udział Polaków w tej administracji przed 1914 r. był ograniczony – w związku z tym działania Niemców będą jak gdyby ukierunkowane na budowanie i wykorzystywanie energii społecznej w taki sposób, by ją w przyszłości spożytkować w budowie struktur państwowych. Zaczyna się to od komitetów obywatelskich, o których wspomniał profesor Litwiński, jeszcze w okresie rosyjskiej obecności w Królestwie Polskim. W roku 1915 i 1916 trwa budowa w zasadzie od podstaw samorządu miejskiego, samorządu powiatowego – bo to, co było wcześniej, to był tylko i wyłącznie samorząd gminny. Jest działanie w duchu współpracy ze społeczeństwem polskim, są ustępstwa mające pozyskać życzliwość społeczeństwa polskiego – bo ten wymiar propagandowy też odgrywał dość istotną rolę. Ale z drugiej strony trwa spychanie na struktury samorządowe odpowiedzialności za niepowodzenia w zakresie spraw aprowizacyjnych, czyli na obszarze, w którym w warunkach wojennych nie mogło być dobrze.

To funkcjonowanie czy powołanie samorządu miejskiego jest chyba też sprawą nie do przecenienia, bo np. w wypadku warszawskiej Rady Miejskiej pojawiły się stwierdzenia mówiące wprost o tym, że Rada traktuje siebie właśnie jako swoisty załączek polskiej państwowości. Myślę więc, że i w tym kontekście można patrzeć na działania podjęte po Akcie 5 listopada przez Niemców z wykorzystaniem tej już zagospodarowanej części aktywności społeczeństwa polskiego – jako przejście na poziom wyższy, na poziom struktur państwowych.

Jest problem szkolnictwa, jest problem wymiaru sprawiedliwości, jest również zapowiedź przekazania, w bliżej nieokreślonej przyszłości, administracji ogólnej. Ale też nie do końca pozbawione podstaw wydaje mi się to,



o czym powiedział pan profesor Chwalba, to znaczy stanowisko Beselera: wy, Polacy, nie jesteście do końca do tego przygotowani. Rzeczywiście, wraz z okupacją austriacką na terenie Królestwa Polskiego pojawiają się urzędnicy galicyjscy, którzy są na ten teren przenoszeni. Polacy też będą się pojawiać w administracji na terenie Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego, to będą Polacy z Wielkopolski – ale to jest niejako na zasadzie: swój do swego, bo w tych kategoriach Wielkopolanie dla Niemców też są „ich” – a więc oni też będą zdobywali szlify w tym obszarze.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jednocześnie – dopowiedzmy – pojawia się realna przestrzeń do odbudowy państwa. Ma ona po 1915 r. wymiar tak naprawdę samorządowy. Ta aktywność jest zagospodarowywana głównie w obszarze rozmaitych rozwiązań samorządowych, częściowo w interesie władz okupacyjnych, które z niektórymi sprawami sobie nie radzą czy też nie chce sobie z nimi radzić, częściowo jednak jest to związane z odczuciem, że zbliża się zmiana, że zmiana jest jednak możliwa i dostrzegalna również z perspektywy administracyjnej.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Jeszcze nawiążę do tego, o czym mówił profesor Robert Litwiński na temat księcia Zdzisława Lubomirskiego. Kariera zaprowadziła go do godności regenta – można powiedzieć głównego przywódcy, który 10 listopada 1918 r. wita Piłsudskiego na dworcu w Warszawie. Jednak dla Beselera, inaczej niż dla Austriaków, Lubomirski nie był postacią ważną politycznie. Swoją przewagę nad nim okazywał nawet w kwestiach – wydawałoby się dzisiaj – trzeciorzędnych. Lubomirski dysponował samochodem, ale nie był w stanie kupić opon, nawet na czarnym rynku. Poprosił o grzeczność Beselera, ale ten odmówił. Natomiast nowy komplet opon przekazali mu, i to w sposób manifestacyjny, Austriacy, sugerując, że mogą być dla Polaków lepszym, solidniejszym partnerem niż Niemcy.

Prusacy nie zdążyli zbudować w Królestwie Polskim takiego państwa, jakie planowali. Pozostawili jednak po sobie dziedzictwo pruskie – niemieckie. Oto garść przykładów. Po pierwsze, wydali zarządzenie, które egzekwowali, aby właściciele psów trzymali je na łańcuchach. Debata z ostatnich lat dotyczy tego, czy psy mogą być trzymane na łańcuchu. Po drugie, wprowadzili podział

czasu na letni i zimowy. Po trzecie, zaprowadzili obowiązkowy czas udawania się na spoczynek, gaszenia światel o godzinie 22. Czyli wprowadzili ciszę nocną. Jesteśmy w hotelu czy gdzieś na wczasach, dochodzi godzina 22:00...

Wracam do tego, o czym mówił pan profesor Włodzimierz Suleja i o czym była mowa – do samorządów. Są one szansą na tworzenie polskich struktur administracyjnych od środka, na budowę i szkolenie kadr. Rzeczywiście samorządy miejskie w Królestwie uruchomiły kursy, z reguły kilkutygodniowe, dla kandydatów na posady. Ale jak się okazało, kandydaci z Królestwa Polskiego niejednokrotnie nie mieli ukończonych żadnych szkół, a chcieli być urzędnikami. Mówili, że w trakcie obsługi petentów nauczą się składania liter. Tak to wyglądało w punkcie wyjścia. Nawet w Łodzi około 60 proc. mężczyzn i kobiet – to byli analfabeci. Jak więc z tego grona rekrutować ludzi, którzy będą odpowiedzialni i będą działali profesjonalnie?

Jeszcze jedna ważna uwaga. Ciągłe dyskutujemy o Królestwie Polskim, o Galicji i zaborze pruskim, a przecież są jeszcze ziemie leżące na wschód od Lubelszczyzny i na wschód od Podlasia, które definitywnie po traktacie ryskim wejdą w skład Rzeczypospolitej. Na tych obszarach w czasach rosyjskich był samorząd, a prezydentami Wilna, Grodna, Mińska byli Polacy. W ziemstwach również istotne wpływy mają polscy ziemianie oraz inteligenci, a ziemstwo to też ciało samorządowe. Czyli tamtejsi Polacy przeszli pewien trening samorządowy.

Z kolei w Królestwie władze carskie, ze względów politycznych, nie pozwoliły na samorządy. Od rewolucji lat 1905–1907 trwały negocjacje polsko-rosyjskie na temat powołania samorządu miejskiego, ale bez efektów. Kiedy władze rosyjskie wydały w końcu zgodę, był rok 1915. Urzędnicy rosyjscy w Królestwie pakują już wówczas walizki i myślą o kierunkach ewakuacji, a nie o tym, żeby zaprowadzać samorząd.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W takim razie, idąc drogą od samorządów do prób rozwiązań już państwowych, będziemy musieli przejść do tych instytucji, które rzeczywiście zaczęły ową aktywność zagospodarowywać na nieco innym poziomie.

Siłą rzeczy musimy rozpocząć od Tymczasowej Rady Stanu, bo to ona najpierw tu się pojawia. Jest to ciało tak naprawdę deliberujące, niemniej jest

ono już wyposażone w określone kompetencje w różnych zakresach. Te kompetencje niekoniecznie funkcjonowały w obrębie rozwiązań politycznych, bo na tym kładli łapę – brutalnie czy mniej brutalnie – przede wszystkim Niemcy, ale na innych obszarach, od kwestii gospodarczych po te późniejsze, dotyczące rozwiązań prawnych i szkolnych, to ich działanie właśnie wtedy się zaczyna, w Tymczasowej Radzie Stanu i Komisji Przejściowej.

A zatem, na ile jest to zagospodarowanie aktywności własnej, suwerennej, a na ile – aktywności dozwolonej przez władze okupacyjne? O jakich proporcjach możemy tu mówić?

Dr hab. Waldemar Kozyra

Tak, jest to problem bardzo interesujący, ale złożony. Zanim do niego przejdę, powiem dwa słowa o wpływach niemieckich.

Otóż w polskim modelu administracji publicznej, który wykształcił się w zasadzie w II Rzeczypospolitej pod koniec lat trzydziestych, mówi się, że jest to model eklektyczny, czyli że składał się on z kilku niejednorodnych elementów. Część tego modelu, obejmująca administrację polityczno-samorządową, to model pruski. Natomiast już sądownictwo to model austriacki. Gdy chodzi o szeroko rozumianą administrację celno-skarbową czy kontrolę państwową – to model rosyjski.

Dlaczego tak było? Otóż Niemcy położyli akcent na budowę administracji politycznej, tej zarządzającej, podstawowej, na część administracyjno-samorządową, ale do jesieni 1918 r. nie oddali Polakom na przykład administracji celno-skarbowej. Słynna komisja Maurycego Jaroszyńskiego do usprawnienia administracji z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX w. odwoływała się jeszcze do wzorów francuskich, w rezultacie podjęła próbę stworzenia już w pełni polskiego, oryginalnego modelu administracji publicznej.

Wracając do czasu przed listopadem 1918 r., stwierdzę, że profesor Suleja postawił kapitalne, a zarazem bardzo trudne pytanie: na ile okupanci pozwalali na tworzenie polskich organów emancypacyjnych, a na ile było to wymuszone, wywalczone przez polskie społeczeństwo? Uważam, że właściwie już od wiosny 1917 r. inicjatywę polityczną przejmują czynniki polskie, polskie środowiska społeczno-niepodległościowe. Okupanci cofają się, próbując ryglować pewne kwestie, pilnować zasadniczych interesów, ale w zasadzie

jest to ich obrona przed naporem polskiego społeczeństwa. Rozpoczyna ono w całej pełni „licytację wzwyż”. Po powstaniu Rady Regencyjnej we wrześniu 1917 r. społeczeństwo polskie rozpoczyna budowę własnego państwa, poczynając od struktur najwyższej władzy państwowej (Rada Regencyjna, rząd, ministerstwa), a kończąc na administracji powiatowej i samorządzie gminnym. Musimy pamiętać, że po roku 1918 w polskim systemie administracyjno-urzędniczym bardzo silne były tradycje zaborowe, zwłaszcza austriacko-galicyskie.

Dam przykład – ciekawostkę. Kiedy w 1934 r. wszedł w życie nowy polski kodeks karny (Makarewicz), pewien sędzia krakowski wydał wyrok na podstawie starego, austriackiego kodeksu karnego. Wezwano go więc do Ministerstwa Sprawiedliwości i zapytano go: panie sędzio, dlaczego, skoro już od roku mamy nowy kodeks, pan wydał orzeczenie – bardzo dobre w aspekcie merytorycznym – według starego kodeksu karnego? A on odpowiedział krótko: u nas, w Krakowie, kodeks Makarewicza się nie przyjął.

I jeszcze coś na koniec. Musimy pamiętać, że Polacy wyrwali okupantom, zwłaszcza Niemcom, po kawałku swoją wolność i prawo budowania własnego państwa. Z Austriakami było o wiele prościej, bo na przykład z generalnym gubernatorem Szeptyckim wiele spraw załatwiano się pozaurzędowo. Dlatego też tworzenie się polskiej państwowości było z pozoru dość chaotyczne. Niemal równolegle prowadzono działania w zakresie ustawodawczym, ustrojowym, administracyjnym, resortowym, samorządu terytorialnego, wymiaru sprawiedliwości, szkolnictwa. Należy postawić tezę, że od co najmniej 1917 r. w zasadzie to polskie społeczeństwo przejęło inicjatywę budowy Królestwa Polskiego w pruskim sztafażu: jeśli chcą Królestwa Polskiego, proszę bardzo, ale pod względem merytorycznym my budujemy własną strukturę.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Teza pana profesora, że od lutego 1917 r. potężnie nacisk na rozmaite sfery w obrębie społecznych inicjatyw – ale nie tylko, bo one są już właściwie ogarnięte tymi *quasi*-państwowymi rozwiązaniami – pokazuje też, że zaborca, cofając się, próbuje utrzymać jedno, czyli wyrwać armię ze strony polskiej. No i oczywiście pilnuje polityki zewnętrznej. Cała reszta właściwie już zaczyna być takim polem... nie powiem, że niczym, bo ci zaborcy też

jednak stawiają rozmaite bariery – niemniej lawinowość działań powoduje, że coraz więcej obszarów zaczyna być modelowanych po naszymu, choć oczywiście na różne, odmienne sposoby.

Dr hab. Robert Litwiński

W zasadzie chciałbym się odwołać do słów pewnego generała, piłsudczyka, który po zakończeniu II wojny światowej przebywając w Palestynie, żałował ogromnie, że w czasie tej II wojny światowej nie mieliśmy takiego szczęśliwego splotu okoliczności jak w latach wielkiej wojny. Całkowicie pominę aspekt międzynarodowy, bo ten był akurat przedmiotem jednej z wcześniejszych debat. Tenże generał, proszę państwa, wymienia, oczywiście oprócz marszałka Piłsudskiego, ojców założycieli niepodległości: Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego, Wojciecha Korfatego, Ignacego Daszyńskiego i wielu, wielu innych, również Sikorskiego i Hallera. Podkreśla również jeden aspekt – nawiązuję tu do wcześniejszego pytania pana profesora o dokonania Tymczasowej Rady Stanu – to znaczy to, że udało nam się wyzyskać to, na co nam pozwolili okupanci, a jak nam nie pozwolili, to i tak udało nam się wykonać prace koncepcyjne, dzięki którym później pewne rozwiązania mogły być wprowadzone w życie. Chyba coś w tych słowach jest.

Wspomnę też chociażby członka Rady Stanu, ministra spraw wewnętrznych w rządach Rady Regencyjnej Jana Steckiego, który włożył wiele wysiłku w organizację administracji i spraw wewnętrznych, a biograf podsumował jego dokonania w ten sposób, że on przegrał. Nie zgodzę się z tym osądem, dlatego że wiele jego rozwiązań zostało wprowadzonych właśnie w II Rzeczypospolitej w ramach organizowania administracji i spraw wewnętrznych.

Oczywiście mamy pewnego rodzaju modelowanie państwa polskiego jako państwa, które będzie ważnym elementem w polityce niemieckiej w tej części Europy. Moi szanowni przedmówcy wspomnieli o Mitteleuropie. Przecież gubernator Beseler jeździł do kanclerza i przekonywał: po to armia jest tam potrzebna, żebyśmy mieli ważny element w naszej polityce wschodniej. Bo wiadomo, że chodzi o ekspansję, wiadomo, że chodzi o surowce, i że te elementy powinny zostać w jakiś sposób zabezpieczone.

A mimo wszystko czy to Tymczasowa Rada Stanu, czy później Rada Regencyjna, w wielu aspektach – od oświaty poczynając, przez sprawy wewnętrzne,





po chociażby kwestię zdrowotności – położyły wiele zrębów pod budowanie tejże naszej państwowości. Bez tego rodzaju prac, prac koncepcyjnych, niepodległa II Rzeczpospolita tak szybko by nie eksplodowała, nie powstałoby w miarę sprawnie zarządzane państwo.

Profesor Chwalba odwołał się do ziem wschodnich. Tak, bo przecież administrację wojewódzką czy powiatową wprowadzamy w 1919 r. nie na całym terenie późniejszej Rzeczypospolitej. Jest Kongresówka, mamy też Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej, także właśnie w wyniku wcześniej przygotowanych konceptów. A struktura organizacyjna państwa tworzy się do 1922 r., włącznie z autonomicznym województwem śląskim. I pewnego rodzaju mechanizmy budowania tychże spraw były kształtowane właśnie w przestrzeni zależnej od tego, co możemy zrobić, na co nam okupanci pozwolą, a czego nie możemy zrobić.

Jan Stecki przygotował, proszę państwa, znamienity projekt organizacji chociażby sił policyjnych. Projekt ten nigdy nie wszedł w życie w latach Wielkiej Wojny, wszedł w życie w 1919 r., kiedy sejm uchwalił ustawę o Policji Państwowej – w przyszłym roku będziemy obchodzili właśnie stulecie tejże ustawy. Takich rozwiązań, o których chociażby w swoich publikacjach wspominają czy pan profesor Mierzwa, czy pan profesor Chwalba, było znacznie, znacznie więcej.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Proszę państwa, to budowanie zrębów odbywa się, tak jak tutaj mówimy, rzeczywiście na kilku poziomach. Najmniej widoczne czy dokonujące się z największymi oporami jest budowanie własnego rządu, choć zaczynamy go mieć od Rady Regencyjnej, od rządu Kucharzewskiego. Ale tu okupanci rzeczywiście mają najwięcej do powiedzenia. Od momentu, kiedy zaczyna funkcjonować Tymczasowa Rada Stanu, zaczyna się to już rozgrywać w większym stopniu na poziomie rozwiązań administracyjnych. Dzieje się to i przez ściąganie kadr, i przez robienie rozmaitych kursów, i tworzenie struktur. Cały czas rozwijają się też obszary samorządowe – bo one przecież nigdy nie giną.

W związku z tym rzeczywiście pojawia się pytanie o mechanizm, o tempo wdrażania tych wszystkich rozwiązań: gdzie wyprzedzamy okoliczności, a gdzie nie jesteśmy w stanie przebić się przez te bariery stworzone przez

okupantów? To nie jest anegdota, rzeczywiście można mówić w taki sposób, że dochodzi przecież do realnego planowania na maj, na 3 maja 1917 r., wręcz zamachu stanu i przejęcia władzy, i to siłowo, na terenie stolicy, czyli tego typu pomysły zaczynają w głowach świtać – choć oczywiście Lubomirski się na to nie godził, odrzucał to też Piłsudski. Ale to jest ten obszar, o którym musimy tu powiedzieć, bo mamy do czynienia właśnie najpierw z Tymczasową Radą Stanu, potem z jej przedłużeniem, czyli Komisją Przejściową, i z Radą Regencyjną i jej rządami.

Dr hab. Janusz Mierzwa

Ja bym rzeczywiście traktował rok 1917 jako taki moment przełomowy, z dwóch względów. Pierwszy to jest kwestia, o której wspomniał profesor Suleja – problem zaostrego się kryzysu w związku z akcją legionową. A druga sprawa to zmęczenie społeczeństwa. To, co zostało społeczeństwu Królestwa Kongresowego podarowane w momencie, kiedy na jego ziemiach pojawili się Austriacy i Niemcy – czyli te swobody przede wszystkim w wymiarze narodowym, kulturalnym, lecz także struktury samorządowe – to wszystko z perspektywy roku 1917 przestaje mieć aż tak duże znaczenie, dlatego że obaj okupanci to psują. Psują to bardzo intensywnie prowadzonymi rekwizycjami, grabieniem obszaru Królestwa Polskiego, jego eksploatacją w związku z potrzebami wynikającymi z prowadzonej wojny, lecz także – i myślę, że w kontekście niemieckiego punktu widzenia możemy w ten sposób mówić – mając w perspektywie to, że państwo polskie, jeżeli ma powstać, ma być państwem uzależnionym od Niemiec, w związku z czym ono nie potrzebuje rozbudowanych struktur, jeśli chodzi o przemysł czy gospodarkę. I w tym kontekście rzeczywiście administracja państw centralnych jest w jakiś sposób na pozycjach defensywnych.

Z drugiej strony mamy Tymczasową Radę Stanu, Radę Regencyjną. Ten proces określony jako wrywanie czy wyciąganie poszczególnych segmentów, związanych z budowaniem struktur państwowych, w zasadzie kończy się dopiero w listopadzie 1918 r. W wymiarze administracji politycznej on nie doszedł do skutku aż do zakończenia I wojny światowej, zwłaszcza jeśli chodzi o okupację niemiecką. Tymczasowa Rada Stanu, Rada Regencyjna generalnie robią to, co mogą. Z jednej strony, starają się wrywać poszcze-

gólne obszary – i oczywiście szkolnictwo czy wymiar sprawiedliwości to są fundamenty, a te drobniejsze rzeczy, administracja miar i wag, archiwa, zdrowotność, pojawiają się zwłaszcza w roku 1918 – a z drugiej strony, jest widoczna dojrzałość polskich elit politycznych, trochę w myśl hasła „los sprzyja przygotowanym”. Bo niepodległość już czai się za progiem, nie wiadomo, kiedy ten moment jej zaistnienia nastąpi, w związku z tym na niepodległość trzeba być przygotowanym.

Przygotowanie to z jednej strony te kursy, o których tutaj już była mowa, prowadzone we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim oraz praktyki administracyjne – bo studia to jest jedna sprawa, a kwestia praktycznej umiejętności, wysyłanie absolwentów do urzędów powiatowych, zwłaszcza na terenie okupacji niemieckiej to druga sprawa. I Niemcy na to pozwalali, bo zdawali sobie sprawę z tego, że ten element praktyczny jest tutaj dość istotny.

Z drugiej strony, jest kwestia tworzenia list osób, które potencjalnie będą, czy mogłyby być, zatrudnione w administracji po odzyskaniu niepodległości. Bo była świadomość tego, że kursy to jest operacja na małą skalę. One były prowadzone i dla wyższych urzędników, i dla średnich urzędników, i dla urzędników samorządowych. Niewątpliwie odgrywały istotną rolę w zakresie podnoszenia kwalifikacji, ale kursy dla administracji wyższej obejmowały 500 osób, a to wobec potrzeb przyszłego państwa polskiego była skala dość ograniczona.

Dodałbym tutaj – poza tym, że można było organizować kursy, można było tworzyć listy, można było przygotowywać projekty aktów prawnych – jeszcze jedno, mianowicie kwestię tego, że w zasadzie w momencie odzyskania niepodległości, gdy wchodził Moraczewski, to, po pierwsze, odziedziczył on po Radzie Regencyjnej, po rządzie Świeżyńskiego czy Wróblewskiego aparat administracyjny, a po drugie, w biurkach były również projekty ustaw, które można było wykorzystać. I to jest proces, który obserwujemy, jeśli chodzi o działalność legislacyjną Naczelnika Państwa, w zasadzie do lutego 1919 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Rzeczywiście ten rozmach jest coraz większy. Dodałbym, że rządy Rady Regencyjnej jednak zdecydowanie więcej mogły w stosunku do tego, czym dysponowała Tymczasowa Rada Stanu. To po pierwsze.

Po drugie, te kursy – tu pomijam właśnie te dla wyższej administracji, bo to rzeczywiście było niespełna 500 osób – są jednak bardzo rozbudowane. Bo robi się kursy dla higienistów, dla mierniczych, ale też dla przyszłych dyplomatów. Skala tego okazuje się właściwie pełna, jeżeli spojrzysz na to, kto potem z tych kursów wyszedł.

I kolejna sprawa, na którą też trzeba zwrócić uwagę: rzeczywiście sporządza się – i to robi się to niezwykle konsekwentnie – listę kadrową, czego w zasadzie wcześniej nie było. I jeżeli teraz patrzymy na decyzje, które wiążą się choćby z tymi wyborami personalnymi dotyczącymi zasilenia kadr administracyjnych w Królestwie, w obszarze przede wszystkim Ministerstwa Sprawiedliwości, sądów, to widać, że rzeczywiście przychodzą tam głównie ludzie z Galicji. Ludzie z zaboru pruskiego w mniejszym stopniu, ale też się tam pojawiają. Ale ja chciałbym zwrócić uwagę na to, że to są ludzie, którzy rezygnują z tego, co mają stabilne w swojej monarchii. To są ludzie, którzy na przykład rezygnują z emerytury, czyli ktoś taki zostawia to i przychodzi tutaj, w 1917 r. przychodzi w sumie na nieznaną. Podobnie jest zresztą w zaborze pruskim. Jest to rezygnacja z obywatelstwa, nie w każdym przypadku, ale to też się zdarza. Czyli: idziemy i teraz jesteśmy obywatelami Królestwa Polskiego, tego *in statu nascendi*. To są elementy, które pokazują, że rzeczywiście ta niepodległość jest już za progiem, ją się czuje, ale podejmuje się też realne ryzyko personalne.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Nie ma wśród nas przedstawiciela Poznańczyków, zaboru pruskiego, więc ja może powiem parę zdań na temat tego, co tam się działo. Otóż do 1916, do przełomu roku 1916 i 1917, niewiele się dzieje w zakresie naszego tematu, dlatego że państwo niemieckie jest zbyt potężne, żeby można tam było myśleć o jakichkolwiek polskich działaniach propaństwowych, niepodległościowych. Ale państwo niemieckie słabnie i w 1917 r. już widać, przynajmniej Poznanianie i Pomorzanie to widzą, że państwo niemieckie może przegrać. Czyli pojawi się być może niezwykła szansa przejścia owych niemieckich kresów wschodnich, a polskich kresów zachodnich, z rąk niemieckich.

Jak przystało na praktycznych Poznaniach i Pomorzan – a są oni praktyczni, może aż do bólu – tworzą oni *quasi*-konspiracyjne lub konspiracyjne struktury sądowe, administracyjne, nie nazywając ich konspiracyjnymi,





bo prawo tego zakazuje. Niemniej je tworzą, bo prawo tego nie zabrania. I kiedy wybucha powstanie wielkopolskie, to oni są gotowi, są gotowi przejąć po administracji niemieckiej urzędy – a 90 proc. posad w administracji niemieckiej w Wielkopolsce zajmowali Niemcy.

W żadnym innym zaborze nie było takiej dominacji jednej nacji. W Poznaniu mawiano nawet, że tylko polski hycel może być urzędnikiem. To dowodzi, że nie było tam dla Polaków przestrzeni, bo gdy stawiał się urzędnikiem, to zostawał Niemcem. I teraz to ci ludzie bez doświadczenia, jak się wydawało, tworzą administrację. Warto pamiętać też o tym, że później akces do Rzeczypospolitej będzie warunkowy, co będzie wynikało między innymi z takiego podejścia: my to wszystko stworzyliśmy, nie potrzebujemy importu ani z Warszawy, ani z Galicji, bo jesteśmy w stanie tworzyć wszystko sami.

Wspominaliśmy podczas poprzednich debat o tym, że po Akcie 5 listopada 1916 r. nasz Piemont jest w Królestwie Polskim, a Warszawa jest już miejscem uprawiania poważnej, najpoważniejszej polskiej polityki. W związku z tym to tam pojawi się – co oczywiste – zamiysł stworzenia przyszłego państwa polskiego. Czyli tam wykuwają się idee, tam gromadzą się politycy faktycznie z wszystkich trzech zaborów, łącznie z tymi, którzy przyjeżdżają z emigracji w 1918 r., by zasilić i myślenie, i tworzenie owych kadr.

Profesor Włodzimierz Suleja pytał o postawy, o to, czy my przyspieszaliśmy ten proces. Powiedziałbym, że można wyróżnić wśród społeczeństwa polskiego Królestwa Polskiego trzy postawy. Większość jest skoncentrowana na swoich bieżących sprawach: głodzie, bezrobociu, braku pracy, fatalnej aprowizacji, chorobach, a w 1918 r. najgorsza przypadłość, która spotkała ludzkość – hiszpance. To tym ludzie żyją. Jak przejrzymy ówczesną prasę czy też wspomnienia ludzi pochodzenia plebejskiego, jak wtedy mówiono, to zobaczymy – bo wyraźnie to widać – że oni na tym się koncentrują.

Jeśli chodzi o klasę polityczną, to ona też jest podzielona. Obóz niepodległościowy z Piłsudskim – dopóki jest on w kraju, a później bez niego – walczy z Niemcami i Austriakami o to, by jak najwięcej od nich wyrwać. To polega dosłownie na wyrywaniu: coś się udaje im wyrwać, udaje się wprowadzić tam polskie urzędy, polskie rozwiązania. I w zasadzie krok za krokiem tak to się odbywało.

A pozostałe polskie elity polityczne skoncentrowane są na czymś zupełnie innym – na tym, kto będzie królem. To jest pytanie i temat wielkiej dyskusji, salony tym się zajmują – nie tym, jaka będzie Polska, ale tym, kto będzie królem. I to powodowało, że ta energia społeczna, ten wielki potencjał polityczny, niestety, rozmieniały się na drobne, bo szukając rezerwowego kandydata, sięgano na przykład aż po Cyryla, syna cara bułgarskiego. A Piłsudski mówił, że król jest nieważny, że Polska ma być Rzeczpospolitą, ma być republiką, że musimy walczyć z Niemcami i Austriakami o nasze.

No i dlatego wygrano to, że całe szkolnictwo było polskie, poczynając od góry – przypomnijmy tu również Politechnikę Warszawską – aż po najniższe szczeble; oczywiście było ono wzorowane na modelu dotychczasowym, rosyjskim, tylko częściowo na pruskim, raczej na rosyjskim. Mamy też nasze sądownictwo – właśnie niedawno świętowaliśmy stulecie Sądu Najwyższego, który zresztą nawiązuje do polskich tradycji, nie niemieckich.

I wreszcie w 1918 r. powstaje Główny Urząd Statystyczny, ale nie z myślą o współpracy z Niemcami, tylko z myślą o tym, że będzie potrzebny Polsce, bo te straty trzeba policzyć, przedstawić na konferencji pokojowej i wystawić zaborcom, okupantom rachunek za szkody wyrządzone w czasie wojny. Kto ma to zrobić? Importuje się więc kadry – Polaków ze Szwecji, Polaków ze Szwajcarii, żeby wspomogli ów Główny Urząd Statystyczny.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Mówimy tutaj o tym Piemontcie z centrum w Warszawie. Czy nie było jednak tak, że i w Lublinie były próby stworzenia takiego wtórnego Piemontu?

Dr hab. Waldemar Kozyra

Otóż Lublin, czy w ogóle Lubelszczyzna, jest obszarem strategicznym Rzeczypospolitej Polskiej, czyli jednym z najważniejszych obszarów, bez których nie może istnieć państwo polskie. Zwłaszcza w okresie międzywojennym Lubelszczyzna była w samym centrum Polski. To, co się działo w Lublinie na przestrzeni dziejów, a zwłaszcza w XX w., bardzo poważnie oddziaływało na funkcjonowanie państwa, społeczeństwa.

Jeżeli mówimy o latach I wojny światowej, o tym, gdzie społeczeństwo polskie uzyskiwało najwięcej i gdzie najszybciej zyskiwało swoje wpływy i możliwości, to były to tereny okupacji austriackiej. Dość powiedzieć, że już

właściwie w 1916 r., kiedy rozpoczęły się wybory samorządowe. To jest oczywiste, że urzędy samorządowe zostały obsadzone przez Polaków, ale administracja rządowa również została bardzo szybko spolonizowana. I w zasadzie administracja austriacka – poza właśnie takimi newralgicznymi administracjami jak podatkowa, skarbową, aprowizacyjną – była w rękach polskich, a nawet i te wymienione administracje również były opanowane przez polski korpus urzędniczy. Tak więc swoista wolność polityczna najszybciej zaistniała na ziemiach polskich. Nie mówię oczywiście o Galicji, zwracam uwagę na to, że mówimy tutaj o obszarze okupacji niemiecko-austriackiej. Na tym obszarze najszybciej społeczeństwo uzyskało swobody polityczne i tam życie narodowe właściwie objawiło się w pełnej formie.

Myślę, że warto wspomnieć również o listopadzie 1918 r., a dokładnie o jego pierwszych dniach, gdy właśnie w Warszawie zapadła decyzja, że rząd, pierwszy rząd centralny lub ogólnonarodowy, ale w wydaniu ludowym, powstanie w Lublinie. Tu nasuwa się pytanie: a dlaczego tam? Bo właśnie Lublin i Lubelszczyzna były w zasadzie wolne. Tam można było tworzyć wszystko, co się chciało, tam już się toczyła polska walka polityczna. Austriacy byli w tle, no a właściwie Austriacy też byli Polakami.

Tak więc postanowiono, że to tam powoła się rząd ludowy, rząd demokratyczny. Ten rząd był, jak już wiemy z historii, rządem przejściowym, ale odegrał on w polskiej historii rolę nie do przecenienia. Tak naprawdę po raz pierwszy społeczeństwo polskie ogłosiło wolę stworzenia w pełni własnego, centralnego zarządu państwowego, rządu narodowego i, co więcej, zaczęło to realizować. Wiemy też dobrze, że był to rząd ludowy, a więc reprezentował szerokie, podminowane nastrojami rewolucyjnymi warstwy społeczne.

Na pewno wiemy też o tym, ale chcę to podnieść, że ten rząd w zasadzie uratował niepodległość Polski. Pamiętamy, jak było: jesteśmy nad Wisłą, a wokół nas szaleją rewolucje – w Niemczech się zaczynała, w Rosji trwała już prawie półtora roku. Rząd ludowy Ignacego Daszyńskiego skierował polski żywioł na tory pokojowej, legalnej i pozostającej w majestacie prawa budowy w pełni niepodległego, wolnego i demokratycznego państwa. Kończąc, powiem, że Lublin i rząd Daszyńskiego przejdą do historii Polski jako jedne z najważniejszych wydarzeń.

Dr hab. Robert Litwiński

Nawiążę do wypowiedzi kolegi. Województwo lubelskie było w środku i było jedynym, które nie posiadało linii granicznej w Rzeczypospolitej, jednak niewiele z tego wynikało. Po prostu był to teren w wielu aspektach zapomniany. I mówię to jako mieszkaniec Lublina.

Skoro pan profesor pyta o Lublin, to ja bym sprawę pokazał przez inny pryzmat, właśnie przez pryzmat zaognionej sytuacji. W stosunkowo przecieź niewielkim ośrodku miejskim, jakim był Lublin, była pierwsza rada delegatów robotniczych – dopiero później pojawiła się w Zagłębiu Dąbrowskim – i pojawia się tam naprawdę bardzo silne napięcie rewolucyjne. Przez kilka dni w mieście funkcjonują trzy milicje ludowe podporządkowane różnym ośrodkom decyzyjnym. Jak reagują przemysłowcy, którzy są w mieście? Skrzykują się i powołują Straż Bezpieczeństwa Publicznego, która ma pilnować otwartych zakładów oraz banków i lokali użyteczności publicznej. Na terenie samego miasta są jeszcze milicja miejska i żandarmeria polowa. Dochodzi do przypadków użycia broni palnej, rozbijania żołnierzy Wojska Polskiego. To tylko tyle, aby pokazać, jaką pewnego rodzaju beczką prochu jest w tym momencie Lublin. Ale podobnie jest również w Kielcach, choć może w nieco mniejszym wymiarze, jeżeli chodzi o radykalizm.

Jednak powstaje w Lublinie rząd, Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. I przez kilka dni lubelska prasa milczy na ten temat. Nie ma rządu na łamach prasy, informacja o nim pojawia się w jednodniówkach. A jeżeli już pojawiają się jakieś enuncjacje prasowe, to tylko właśnie mówiące o groźbie, o widmie radykalizacji społeczeństwa.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Mam jedną sprawę trochę polemiczną. W Galicji od roku 1916 wyraźnie widać – to znaczy może w Galicji pośrednio, a bezpośrednio w Wiedniu – że nasze akcje na austriackiej giełdzie politycznej wyraźnie spadają. Na skutek tego, że spadają akcje na giełdzie politycznej, w Galicji władze austriackie stopniowo wracają do modelu centralistycznego i na stanowiska starostów mianują nie polskich Austriaków, tylko takich najbardziej austriackich Austriaków. To po pierwsze. I w związku z tym w 1918 r., w paździer-





niku niejednokrotnie okazuje się, że to są po prostu przywiezieni w teczce Niemcy z etnicznych obszarów niemieckich, niemiecko-austriackich.

Po drugie, spadek tego kursu polskiego w Wiedniu przyniósł kolejne następstwo, a mianowicie ukrainizację administracji, zwłaszcza w Galicji Wschodniej. Chodziło wprawdzie o administrację niższego stopnia, ale również stanowiska sędziowskie otrzymują tam Ukraińcy. Tak samo jest w żandarmerii, policji. To jest proces świadomie kierowany z Wiednia, i to, jak wiadomo, będzie miało znane następstwa w wojnie polsko-ukraińskiej.

I ostatnia sprawa, tytułem już podsumowania. Zazwyczaj podkreślamy w debatach, powiedziałbym, medialno-publicznych, ten niezwykle fenomen, że w ciągu krótkiego czasu państwo polskie szybko osiągnęło dojrzałość – i tu zgoda – tym bardziej że musiało scalać trzy, a nawet cztery różne obszary. Żadne inne z nowo powstających państw Europy nie miało takiego problemu. No, może Rumunia, ale ona już istniała. Owszem, Wielka Rumunia powstaje z trzech różnych składników, jednak fundamentem jest ta może niewielka, ale mimo wszystko Rumunia. Inne nowe państwa powstały z jednym wcześniejszym właścicielem terenów.

I tu jest to wyzwanie, jak sobie z tym poradzić, bo są różne systemy prawne, różne koleje, telegrafy, systemy pocztowe, monety itp., itd., jest kwestia wyższości rubla, który w tamtym czasie był zdecydowanie mocniejszą walutą niż marka niemiecka. To wszystko stanowi багаż, z którym musieliśmy się uporać. Ale gdyby nie ta praca pozytywistyczna, praca organiczna w latach 1916–1918 wykonana w Królestwie Polskim przez polskie władze, przez polski rząd, polskich ministrów, polskich urzędników, to wszystko byłoby niemożliwe. Projekty prawne, które Piłsudski realizuje czy z rządem Moraczewskiego, czy później z rządem Paderewskiego, były najczęściej przygotowane w okresie wcześniejszym, tylko co najwyżej zmieniano nazwę – słowo „monarchia” przekreślano i wprowadzano słowo „Rzeczpospolita”.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Na koniec chciałbym zapytać, co realnego przeniesiono z tego okresu 1916–1918 do czasów II Rzeczypospolitej.

A tak z tych kadr czy rozwiązań personalnych przywołam jedną postać, Witolda Chodźkę, który zajmował się sprawami zdrowotnymi między rokiem

1917 a rokiem 1923, nieprzerwanie. Robiła to jedna osoba, z różnymi, podobnymi zresztą, aparatami urzędniczymi.

Prof. dr hab. Grzegorz Nowik

Spróbuję przełamać ten monopol galicyjskiej, austriackiej okupacji Kongresówki głosem z Warszawy.

Niespełna miesiąc temu byłem w Białymstoku na konferencji „Pierwsze dni niepodległości”. Konferencję tę otwierała dyskusja koncentrująca się wokół problemu, czy my jako Polacy straciliśmy wiek XIX? Początek dzisiejszej dyskusji właśnie ogniskował się wokół tego. W zasadzie nie mamy polskiej tradycji budowy państwa na początku XX w., ponieważ straciliśmy XIX w. Straciliśmy ten XIX w. w zasadzie we wszystkich wymiarach; prawnym, instytucjonalnym, administracyjnym, infrastrukturalnym i w wielu innych dziedzinach. Te straty były – jak wiemy – do odrobienia, co pokazała II Rzeczpospolita. Ale w największym stopniu straciliśmy ten XIX w. w dziedzinie mentalnej, w sferze kultury politycznej i myśli politycznej, ponieważ państwo było obce, szczególnie zaś państwo bezprawia, państwo rosyjskiego *samodzierżawia* i urzędniczej samowoli. Państwo pruskie było także obce, ale zgodnie z zasadą *dura lex, sed lex* było jednak państwem prawa. Cała polska myśl polityczna, praktyka działania i mentalność społeczna kształtowały się na bazie wrogości, na irredencie, na oporze, a przynajmniej na oporze wobec państw zaborczych. Skutki tego odczuwamy do dziś.

Jakie były w XIX w. atuty, które mogliśmy wnieść w początek budowy niepodległego państwa? W zasadzie były to dwa atuty. Pierwszy – to polski dorobek w dziedzinie państwowej, powstały w Galicji w ramach autonomii. Drugim atutem, z którym wchodziliśmy w wiek XX, jest społeczeństwo obywatelskie, które później, na początku XX w., było podstawowym czynnikiem ciśnienia działającego na zaborców, szczególnie w okresie wielkiej wojny. Słyszeliśmy tutaj, że przecież administracja samorządowa niższych szczebli, gminna i powiatowa, w zasadzie była budowana od zera, głównie na podstawie najrozmaitszych polskich instytucji społecznych, które wywalczyły sobie prawo istnienia, aż do Naczelnej Rady Ludowej i rad ludowych w Wielkopolsce, gdzie w zasadzie w 1918 r. stworzyły one pełną zdublowaną strukturę administracyjną. To samo miało miejsce w Królestwie Polskim po zajęciu go przez państwa centralne.

I drugie zagadnienie. Na tejże konferencji w Białymstoku drugi dzień obrad rozpoczynał się referatem prof. Winnickiego z Wrocławia na temat Rady Regencyjnej i jej przeogromnego, niedocenionego dorobku w zakresie przygotowania struktur, instytucji oraz aktów prawnych, które potem wchodziły w życie z chwilą odrodzenia Rzeczypospolitej, a nawet wcześniej, już w październiku i w listopadzie 1918 r. Przecież departament polityczny wykształcił również strukturę przyszłej służby dyplomatycznej, która wtedy istniała załążkowo. To były nie tylko przywołane tutaj oświata, administracja i sądownictwo stworzone w ostatnich latach, to znaczy w 1917 i w 1918 r. pod rządami gabinetów Rady Regencyjnej, ale to były również zaczątki służby dyplomatycznej, a później także zaczątki struktur wojskowych. I to jest niezwykle istotny aspekt tego, w jaki sposób społeczeństwo, to społeczeństwo obywatelskie, zorganizowane w najrozmaitsze struktury, potrafiło wypełniać pustkę pozostałą po XIX w., pustkę polegającą na braku własnej państwowości.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Bardzo dziękuję za tę perspektywę, bo rzeczywiście w listopadzie 1918 r. szuflady były pełne takich projektów. Dodam jeszcze, że plan mobilizacyjny też jest wcześniejszy...

Prof. dr hab. Marek Drozdowski

Jestem pod dużym wrażeniem wystąpień panelistów, ale chciałbym postawić kilka pytań. Oczywiście rola społeczeństwa obywatelskiego przez wszystkich państwa została wyekspozowana – uważam, że bardzo słusznie – z tym że potrzebne są małe korekty. Weźmy na przykład szkolnictwo, szkolnictwo w Warszawie. Mianowicie był olbrzymi wpływ najpierw rewolucji 1905–1907, Macierzy Szkolnej, Uniwersytetu Latającego, a później było Towarzystwo Kursów Naukowych, czyli załążki wszystkich uczelni warszawskich, załążki, które funkcjonują. Dopiero później jest zgoda i udaje się prezydentowi Drzewieckiemu...

Właśnie, pamiętajmy o olbrzymiej w historii miasta roli prezydenta Drzewieckiego, który został zamordowany przez Niemców w Spandau w 1943 r. To wielka postać, niedoceniana. Dlaczego? Dlatego, że był to wybitny ekonomista, twórca wielu przedsiębiorstw, stworzył kilkadziesiąt tysięcy nowych miejsc pracy, a oprócz tego był mózgiem Komitetu Obywatelskiego miasta

stołecznego Warszawy, w czasie wojny polsko-bolszewickiej zaś był wiceprzewodniczącym Rady Obrony Stolicy. Był także twórcą wielkich inicjatyw inwestycyjnych II Rzeczypospolitej. Na dzisiejszą konferencję przygotowaliśmy dokumentację, antologię Piotra Drzewieckiego, przygotowała ją rodzina, ponieważ miasto stołeczne Warszawa nie miało środków na wydanie antologii swego prezydenta w okresie narodzin niepodległości.

Spółeczeństwo obywatelskie, które funkcjonuje z nowym dynamizmem po rewolucji rosyjskiej, a także pod wpływem rewolucji rosyjskiej, tych, którzy tam byli, przyjechali stamtąd i radykalizowali wizję państwa, jest tu kluczowym problemem.

Druga sprawa, niepodjęta przez nas, to wpływ stosunków narodowościowych na wizję Niepodległej. Przypominam: w 1917 r. 45 proc. mieszkańców Warszawy, stolicy, stanowi ludność żydowska, w 1918 r. – 42 proc. Większość mieszkańców miast kresowych, a także Podlasia stanowi ludność żydowska. I teraz pytanie: jaki jest stosunek tej ludności do tworzenia zrębów naszej państwowości? Jest to jeden z kluczowych problemów, niepodjęty, niepogłębiony, nieanalizowany. Ja mogę tylko przedstawić taką hipotezę, że jeśli chodzi o Królestwo, to jest tutaj konflikt między tradycyjną, ortodoksyjną ludnością żydowską a litwakami, ofiarami carskiej polityki, która ograniczała miejsca zaludnienia. I ten konflikt rozgrywa się boleśnie, czyli konflikt między ortodoksami a powstającym ruchem syjonistycznym, który oczywiście rodzi mnóstwo problemów, także w czasie konferencji wersalskiej. Jest to bardzo trudny problem.

Następny problem. W sytuacji, kiedy nie ma polskiej administracji, olbrzymią rolę odgrywa Kościół, czyli jest wpływ Kościoła na formowanie się zrębów państwowości. Weźmy Królestwo. Oczywiście fakt, że Aleksander Kakowski jest członkiem Rady Regencyjnej, a za nim stoi cała administracja kościelna Królestwa Polskiego, bo metropolia warszawska obejmuje całe Królestwo... To wskazuje, jak olbrzymią rolę odgrywają parafie w działalności charytatywnej, w walce z analfabetyzmem, w ratowaniu głodnych, uchodźców itd. tam, gdzie nie ma naszej administracji. Tam jest ta administracja kościelna i ma ona istotny wpływ. Z tym że Kościół oczywiście jest zwolennikiem monarchii.

A poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Strategia Watykanu to jest strategia ukierunkowana na powstanie trójczłonowej monarchii austro-węgierskiej,





ponieważ monarchia jest sojusznikiem Kościoła. I tu rewolucja rosyjska wprowadza istotną zmianę, z czym wiąże się zaproszenie przez kurię warszawską przedstawiciela Watykanu Achillesa Rattiego.

W każdym razie są nowe problemy do badania: wpływ struktur narodowościowo-wyznaniowych na tworzenie więzów oraz pogłębienie problemu więzi, co wiąże się ze społeczeństwem obywatelskim.

I trzecie zagadnienie. Mamy dwie wizje Polski, bo jest wizja Polski sojuszniczej wobec państw ententy i Stanów Zjednoczonych, czyli ta wizja, którą kształtuje głównie emigracja zdominowana przez emigrację amerykańską i Paderewskiego, i jest wizja krajowa. I ta dwuwładza będzie istniała do 16 stycznia 1919 r. To też jest bardzo ważny problem.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Profesor właśnie wymienił tematy dwóch następnych debat. Wybrzmiały w nich właśnie kwestia Kościoła oraz kwestie narodowościowe.

Dr hab. Joanna Gierowska-Kałuża

Z wielkim zainteresowaniem wysłuchałam wszystkich czterech wypowiedzi, ale jedno mi się nie spodobało – a żaden z panów nie zaprotestował. Mianowicie to, że Niemcy „usiłowali zrobić sobie z Polaków przyjaciół”. To sformułowanie padło dwa razy.

Nie zapominajmy o tym, że Niemcy mieli trudne dla siebie doświadczenie z Polakami z Poznańskiego. Z perspektywy Wilna – a siedzę w tamtejszych archiwach od dwudziestu lat – ewidentnie wygląda na to, że Niemcy od samego początku wojny – a my mówimy oczywiście o wielkiej wojnie, ja na 1918 r. skończę – mieli bardzo określony cel pierwszoplanowy. Prowadzili przede wszystkim politykę antypolską, a polityki: prolitewska i probiałoruska były politykami wtórnymi.

Przypomnę też w tym gronie skromnie, że rozebrano Rzeczpospolitą, a odbudowaliśmy Polskę. Granica została bardzo jasno określona w dniu inauguracji Tymczasowej Rady Stanu: nakazano zasłonięcie Pogoni na godle. Nie można tego było zrobić już bardziej wymownie.

Z perspektywy bliskiego temu serca Wilna Akt 5 listopada i akty wrześniowe 1917 r. Leopolda Bawarskiego to kolejny, prewencyjny rozbiór Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Oczywiście na terenie Warszawy i Królestwa zrobiono piękną złotą klatkę polaną czekoladą, dano możliwości, a jakże... Bardzo się cieszę z tych możliwości. Sama jestem wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego. Czy mam jednak rozumieć, że jestem beneficjentką polityki niemieckiej?

Tak naprawdę zbudowaliśmy państwo na minie. Tu już jednak wychodzę poza rok 1918.

Polski Piemont w Warszawie był pięknym magnesem dla Polaków wileńskich, ogromnie upodlonych przez wyjątkowo restrykcyjną politykę niemiecką. Ja to akurat w tej chwili przerabiam źródłowo. Każdą okupację oczywiście charakteryzuje polityka restrykcyjna. Wyjątkowa polityka grabieżcza była jednak w tym czasie prowadzona w odseparowanym od Królestwa okręgu Wilno–Suwałki i mieście Wilnie, a wiadomo, kto tam mieszkał.

Spróbuję też określić moje stanowisko w odpowiedzi na pytanie o to, jak dawali sobie radę członkowie Tymczasowej Rady Stanu i Rady Regencyjnej. Oni mieli wyznaczoną złotą klatkę, szarpali się, jak mogli, ale wyrwali niesamowicie dużo. Właśnie: wyrwali, to jest odpowiednie słowo. To nie jest hagiografia Tymczasowej Rady Stanu. Hrabia Rostworowski robił błędy, usiłował podporządkować Legiony Beselerowi i trzeba było to „odkręcać”. Niemcy moderowali sytuację niesamowicie. Wśród 1246 legionistów z ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego było 44 rodowitych Litwinów spod Szawli, którzy nie mówili w żadnym innym języku oprócz litewskiego i mieli bardzo wielki żal, że się z nich śmiano, iż polskiego nie rozumieją. Ale Niemcy bardzo szybko doprowadzili do tego, że wszyscy legionieści rozumieli język polski, a Litwini byli u siebie.

Dr Jan Malicki

Zacznę od kwestii Uniwersytetu Warszawskiego, o którym wspomniała koleżanka, czyli zacznę, powiedziałbym, uczelniano-patriotycznie. W tej rewelacyjnej dyskusji – cieszę się, że tu w ogóle dzisiaj trafiłem – profesor Chwalba na samym początku wspomniał o Beselerze, który stworzył uniwersytet. Zatem patriotycznie muszę powiedzieć, że nawet Beseler zdawał sobie sprawę, że odtwarza Uniwersytet Warszawski, odnawia go, a już nie wspomnę tu o władzach Uniwersytetu Warszawskiego. Józef Brudziński,

pierwszy rektor, już w swojej mowie... To było bardzo, bardzo mocno i jednoznacznie powiedziane.

Ale żeby prof. Chwalba z UJ nie poczuł się dotknięty moją wypowiedzią, przypomnę wszystkim zebranym, że wielki Brudziński, wybitny specjalista, wybitny lekarz, specjalista od zapalenia opon mózgowych, dostał na Uniwersytecie Jagiellońskim doktorat bez egzaminów.

Jeśli chodzi o sprawę Uniwersytetu Warszawskiego, to moim zdaniem wszyscy raczej byli świadomi tego, że jest on odtwarzany. A to, jakie cele mieli Niemcy, to jest troszkę inna sprawa.

Sprawa czasu letniego. Panowie dali mi wreszcie mocny argument do oceny tej sprawy! Teraz wreszcie wiem, jakie przyjąć stanowisko. Dziwi mnie tylko, że Putin zniósł czas letni, mimo utrzymywanego przecież sojuszu.

Co do kodeksu Makarewicza, to dodam, że ten wybitny prawnik, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, będący jednym z tych, którzy zostali we Lwowie po wojnie, trafił, jak wiemy, w tryby przedwojennych sporów i dyskusji w Polsce. Ale ta informacja, że w Krakowie „kodeks się nie przyjął”, jest zupełnie rewelacyjna i przypomina czasy współczesne, gdy jedni coś uchwalają, a w innych instytucjach mówią, że tego nie uznają.

Jeśli chodzi o rząd lubelski, to te dostojne sale i poważne grono, ministrowie, to wszystko nie pozwala mi, bym przypomniał, co powiedział Komentant po powrocie z Magdeburga na temat zaangażowania Legionów. Zdaje się, że Śmigłemu-Rydzowi to powiedział.

Na koniec zupełny drobiazg. Ogromnie ucieszył mnie fakt – no, wiadomo, z przyczyn rodzinnych, jako zwolennika Marszałka – przywracania uznania dla tego, co zrobiły Rada Regencyjna i te obydwie rządy. Uważam, że to było niesamowicie ważne dla przyszłego państwa.

Nawiążę tu do wypowiedzi profesora Nowika. Tenże wspomniany chyba Departament Spraw Politycznych... A pod tą zaskakującą nazwą ukrywała się w istocie polityka zagraniczna, był to departament kierowany *notabene* przez Janusza Radziwiłła. Rola Radziwiłła jest znana, a jego zastępcą czy też najpierw szefem jednego z wydziałów był Roman Knoll, późniejszy wice-minister spraw zagranicznych, jedna z kluczowych postaci polskiej polityki

zagranicznej. I tenże departament utworzył chyba 16 swoich przedstawicielstw zagranicznych, od Wysokiej Porty poczynając.

Jeśli idzie o osiągnięcia, to powiedziałbym, że to, iż biurka były pełne przygotowanych dokumentów, to była, wydaje mi się, rzecz absolutnie ważna dla przyszłego państwa.

Prof. dr hab. Marek Kornat

Proszę państwa, ja powiem tylko jedno. Nie ujmując zasług Departamentowi Spraw Politycznych, musimy pamiętać, że geneza polskiej służby zagranicznej jest jednak trójczłonowa. Jest Naczelny Komitet Narodowy i jego placówki, jest oczywiście Komitet Narodowy Polski i jest ta właśnie szkoła dyplomacji. Tak że upominam się o podzielenie zasług przez trzy.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Jak rozumiem, elementy dotyczące przenoszenia wartości sprzed 1918 r. do II Rzeczypospolitej już się pojawiały. Oddam głos panu profesorowi Chwalbie, żeby to zwięźcił, zrobił początek podsumowania.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Rozpoczęliśmy od Beselera – i niech może tak zostanie. Profesor Włodzimierz Suleja pytał o przyspieszenie historii. Na skutek różnych okoliczności, głównie klęsk armii austro-węgierskiej i niemieckiej, nastąpiło przyspieszenie historii. W związku z tym pewne sprawy można było wyrwać okupantom szybciej i można było ich wyrwać więcej niż wcześniej, kiedy czuli się oni pewniej. Na skutek tego powstało choćby Ministerstwo Spraw Zewnętrznych. To jest nie tylko zasługa KNP, ale również NKN. Czyli jednak musimy wrócić do Galicji, bo tam ta historia się rozpoczęła. To NKN tworzy biura prasowe i inne, polityczne, które później zostaną skonsumowane przez polskie poselstwa. Bez niego tego by nie było. Bez Warszawy, Krakowa, oczywiście bez Lublina i innych miast nie jest w stanie to funkcjonować, o Poznaniu też nie zapominamy.

Ale tu wracam po raz kolejny do Beselera. Chociaż czuł on to przyspieszenie historii, wyznaczył moment ewakuacji wojska niemieckiego z Warszawy na dzień 1 grudnia 1918 r. Czyli wygraliśmy co najmniej trzy tygodnie.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Dzisiejsza debata mogłaby wydawać się, przynajmniej sądząc po tytule, jakąś taką najnudniejszą, bo mówimy tak naprawdę o biurokracji, o formo-

waniu biurokracji, o czymś, co dobrej prasy nie miało, nie ma i mieć nie będzie. Ale w moim przekonaniu mówimy o rzeczach fundamentalnych, głównie dlatego – bardzo wyraźnie to wybrzmiewało w debacie i wynika to z materiałów historycznych – że rzeczywiście kształt niepodległości po listopadzie 1918 r. bez tych wstępnych działań byłby z całą pewnością inny. Dzięki nim było o wiele łatwiej – paradoksalnie było o wiele łatwiej – dlatego że podjęto działania wtedy, kiedy jeszcze państwa nie było, działania, które rzeczywiście wiązały się ściśle z jego realną budową.

I ten element powinien chyba wybrzmieć najmocniej, wraz ze wszystkimi dodatkowymi wzmiankami – również terytorialnymi – które tu padały.

DEBATA VIII

Wkład Kościoła w odbudowę Niepodległej (14 czerwca 2018 r.)

Prowadzący: prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Uczestnicy: prof. dr hab. Andrzej Chwalba, dr hab. Paweł Skibiński, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański, prof. dr hab. Jan Żaryn

Minister Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP

Dzisiejsza debata poświęcona jest roli, jaką Kościół katolicki odegrał w odbudowie niepodległej Rzeczypospolitej. Nasze debaty są dyskusjami historyków, znakomitych znawców tematu, ale mają one też formę upamiętnienia naszego wielkiego jubileuszu. Spotykając się i rozmawiając o wkładzie Kościoła w odbudowę Niepodległej, realizujemy zapisy przyjętej przez Sejm Rzeczypospolitej w ubiegłym roku ustawy o narodowych obchodach stulecia odzyskania niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, bo jest tam mowa o uhonorowaniu Ojców Niepodległości, Wojska Polskiego, duchowieństwa różnych wyznań i Kościoła katolickiego oraz ich wkładu w proces odbudowy niepodległego państwa.

15 października 1918 r., właściwie u progu odzyskania przez Polskę niepodległości, papież Benedykt XV wydał orędzie do narodu polskiego, w którym napisał m.in. tak: „Niech będą nieskończone dzięki Panu, że weszła już nareszcie jutrzienka zmartwychwstania Polski! My najgorętsze składamy życzenia, aby Polska – odzyskawszy swoją pełną niezawisłość – mogła jak najrychlej w zespole państw zająć przynależne jej miejsce i dalej rozwijać swoją historię narodu cywilizowanego i chrześcijańskiego”. O odzyskiwaniu tego miejsca będzie zatem dzisiaj mowa.

Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

„Wkład Kościoła w odbudowę Niepodległej”. Co jest misją Kościoła? Misją główną Kościoła jest prowadzenie człowieka do zbawienia. Ksiądz



• *Wkład Kościoła w odbudowę Niepodległej* •



Józef Teodorowicz, późniejszy arcybiskup, w homilii podczas pierwszego spotkania biskupów w katedrze św. Jana, jeszcze w 1917 r., cytował poetę: „Do nieba, bracia, do nieba”. Tak się w naszej historii złożyło, że ta droga do nieba, i to dosłownie, dla wielu wiodła przez służbę Rzeczypospolitej. Długo jest szereg ludzi, wielkich Polaków, którzy tą drogą podążyli. Dzisiaj o nich będziemy mówić. A tak jak różne były drogi narodu do Niepodległej, tak też różnymi drogami ludzie Kościoła podążali ku Niepodległej.

Tuż przed wybuchem powstania styczniowego zmarł wielki arcybiskup warszawski, ks. Antoni Fijałkowski. Zostawił on Polakom, duchowieństwu polskiemu, szczególny testament. Mianowicie tuż przed śmiercią, cztery dni przed wprowadzeniem stanu wojennego – zresztą jego pogrzeb był wielką patriotyczną manifestacją z udziałem 100 tys. osób – powiedział on: „Idźcie zawsze z narodem”. I nie zabrakło w XIX i w XX w., w naszej trudnej historii, duchownych, którzy szli z narodem. Ten wkład w budowę niepodległej Polski nie zakończył się w 1918 r., ale trwał później, gdy przyszły kolejne, także trudne, doświadczenia.

Przedwcześniej byłem w Białymstoku i tak się złożyło, że musiałem po drodze odwiedzić inne miasta. Przejeżdżałem przez Sokołów Podlaski, tam na rynku stoi pomnik z orłem wzlatającym ku niebu – pomnik ks. Stanisława Brzóska, generała, kapelana powstania styczniowego, który wraz ze swym adiutantem dotrwał do końca. A później byłem w Białymstoku, w mieście ks. Stanisława Suchowolca, gdzie jest pomnik ks. Jerzego Popiełuszki. Widać, jak to wszystko razem się zamyka, te nasze dzieje w XIX i XX w.

Debatujemy od dwóch lat, od 5 listopada 2016 r., a po dzisiejszej debacie spotkamy się już po rocznicy odzyskania niepodległości, w połowie listopada na Zamku Królewskim. Belweder to miejsce wspaniałe, ale ta rocznica, stulecie odzyskania niepodległości, wymaga królewskiej oprawy, bo to jest takiej rangi rocznica – powrót Niepodległej na mapę Europy. A Zamek Królewski to wieki polskiej historii. Może przestańmy numerować Rzeczypospolite, bo jest tylko pierwsza i jedyna niepodległa Rzeczpospolita.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Temat jest szczególny. To ósma debata, podsumowująca cykl, a właściwie zamykająca cykl – bo podsumowanie będzie na Zamku Królewskim. Dziś mówimy o problematyce szczególnej: o wkładzie Kościoła w budowę Niepodległej. I choć będziemy się koncentrować na latach 1914–1918, choć będziemy mówić o szczegółowych kwestiach związanych z funkcjonowaniem Kościoła i duchowieństwa w tamtym okresie, to nie sposób nie rozpocząć od przynajmniej syntetycznego przypomnienia tego, co działo się w dobie porozbiorowej. Trzeba to przypomnieć przede wszystkim dlatego, że Kościół pozostał jedynym zwornikiem całości w podzielonej Rzeczypospolitej. Był też tą instytucją, która zachowała największy stopień niezależności. I nie ulega wątpliwości, że zarówno jego udział w zrywach narodowych, jak i utwardzanie, utrwalanie tkanki społecznej – tu odwołam się choćby tylko do problemu Kulturkampf i kwestii unitów – było tym czymś, co wpływało na kondycję społeczną i na kształt najrozmaitszych działań podejmowanych w innych sferach.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Postawy i poglądy kapłanów Kościoła rzymskokatolickiego wobec perspektywy niepodległości Polski czy, szerzej, kwestii narodowej i aktywności społecznej musiały być zróżnicowane w zależności od zaboru, regionu i czasu historycznego. Inaczej sprawy się miały w dobie powstań narodowych, a inaczej w latach poprzedzających światowy konflikt i w dobie wielkiej wojny. Niejednokrotnie różnice były równie głębokie jak w przypadku postaw i zachowań społeczeństwa. I nie mogło być inaczej. W Galicji, podobnie jak i w państwie austriackim, wzajemne relacje Kościoła hierarchicznego oraz aparatu państwowego były więcej niż poprawne. Kościół i państwo wzajemnie się potrzebowały i wzajemnie świadczyły sobie usługi. Kościół propagował lojalizm wiernych wobec monarchii i monarchy, a państwo gwarantowało Kościołowi wyróżniający status i liczne przywileje. Kościół w Galicji zasadniczo promował zachowania i postawy tradycyjne, dalekie od społecznej nauki Kościoła. Nawet po opublikowaniu encykliki *Rerum novarum* nauka społeczna Kościoła w Galicji bardzo wolno się przyjmowała. Zresztą tekst encykliki do 1914 r. nie został opublikowany, gdyż uważano, że jest zbyt

rewolucyjny jak na stosunki społeczne w Galicji i może zaszkodzić łaadowi społecznemu i pozycji kapłanów.

W Galicji oprócz tradycyjnie myślących i patrzących na świat biskupów, choćby tarnowskich, rozpoczął pracę światły biskup formatu europejskiego, który nastąpił po kardynale Puzynie, czyli Adam Stefan Sapieha. Jest to postać szczególna i wyjątkowa, nie tylko na tle Kościoła galicyjskiego, aczkolwiek pierwsze lata jego posługi biskupiej jeszcze tego nie zapowiadały. Sapieha starał się implantować podstawowe treści nauki społecznej, próbował budować wspólnotowość z nowymi środowiskami, jak choćby z robotniczymi i inteligenckimi. Jeśli chodzi o plebanów, to najczęściej zamykali się w tradycyjnej, trydenckiej formacji. Musiało to prowadzić do napięć między ludowcami na czele z Witosem a kapłanami. Jeszcze poważniejsze napięcia dawały znać o sobie między kapłanami a socjalistami z Daszyńskim na czele. Podczas manifestacji socjalistów niejednokrotnie dochodziło do kontrmanifestacji organizowanych przez parafie. Gdy socjaliści śpiewali *Czerwony sztandar*, to kontrmanifestanci śpiewali pieśni religijne, najczęściej maryjne. I te napięcia przeniosły się również w przestrzeń publiczną, bowiem – przypomnijmy – w Galicji odbywały się wybory. Poza jednostkami kapłani nie prowadzili systematycznej pracy narodowej, a przynajmniej w sposób zorganizowany. Propagowali wierność austriackiej ojczyźnie i ukochanemu Franciszkowi Józefowi I. Niemniej niektórzy przypominali o polskich świętych, jak choćby o św. Stanisławie, o Maryi Królowej Korony Polskiej, a przy okazji święta maryjnego 3 maja wspominali o konstytucji trzeciomajowej. Spośród biskupów Galicji jedynie ks. Władysław Bandurski czynnie wspierał polski ruch niepodległościowy i zachęcał kapłanów, by czynili podobnie. Jednak niewielu miał uczniów entuzjastów polskiej idei niepodległościowej. Kapłani, jeśli już wspominali o przyszłej wolnej Polsce, to wyłącznie pod przewodnictwem Habsburgów i w ramach ich państwa.

Aktywniejsi na niwie pracy narodowej byli zakonnicy. Niektóre zakony wykonały piękną pracę na rzecz przyszłej polskiej państwowości. Warto pamiętać nie tylko o pomocy zakonów dla unitów z Podlasia, w tym o tzw. ślubach krakowskich, ale również o podkreślaniu w pracy duszpasterskiej wagi historii Polski i tradycji dla tożsamości narodu oraz o nowoczesnej pracy

wydawniczej, o pismach adresowanych do ludu. Relacje zakonów z ludem układały się nieźle, ale znacznie trudniej z inteligencją, której nie miała część była dosyć daleko od spraw wiary i niejednokrotnie manifestowała antykle rykalizm. Mówiąc o zakonach, warto pamiętać o lwowskich i krakowskich dominikanach oraz o krakowskich jezuitach, których słynne misje były swo istym produktem eksportowym katolicyzmu w Galicji. Na sąsiadującym z Galicją Śląsku Cieszyńskim wspinałą pracę narodową wykonał Związek Śląskich Katolików z ks. Józefem Londzinem, w tym na rzecz uobywatelnienia Ślązaków i uczynienia z nich mocnych duchem i wiarą Polaków.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Prof. Chwalba podjął przede wszystkim wątek galicyjski. Wypada zatem skoncentrować się na Królestwie.

Prof. dr hab. Jan Żaryn

Rozpocznę od abp. Felińskiego, św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, i przywołam cytat z jego pamiętnika, który można traktować jako swoisty testament. Przypomniiał niedawno ten fragment obecny tutaj prof. Wiesław Jan Wysocki w naszej wspólnej publikacji o chrześcijaństwie w Polsce w latach 966–2018, która zresztą niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Sejmowego. Cytat ten brzmi tak: „Polska i Polacy mają prawo, i jest to sprawiedliwe, by dopominać się o odbudowanie swojego państwa, państwa polskiego, nawet w formie zbrojnej, kiedy będzie odpowiednia chwila dziejowa”. Proszę ten cytat zapamiętać, bo jest on kluczem do rozumienia napięcia, które panowało w XIX w., napięcia między trzema podmiotami. Podmiot pierwszy to XIX-wieczny, od 1815 r. najważniejszy, obowiązujący do 1914 r. porządek wiedeński. Według tego porządku miał obowiązywać sojusz ołtarza i tronu, w który to sojusz zostało włączone państwo kościelne – dyplomacja watykańska, jako jeden z podmiotów przeciwstawiających się temu, co przyniosła rewolucja francuska: terrorowi na gruzach chrześcijańskiej Francji, jakobińskiej świątyni na gruzach ołtarza. A na rzekome zdobycze rewolucji francuskiej będą się powoływali wszyscy „nieporządni”, to znaczy ci, którzy będą starali się zniszczyć Europę funkcjonującą w ramach porządku wiedeńskiego z 1815 r. Warto zdać sobie sprawę z tego, że rewolucja francuska to było, mówiąc językiem współczesnym, pasmo zbrodni i ludobójstw, skie-

rowanych przede wszystkim przeciwko instytucji i ludziom Kościoła, w tym wiernym Bretończykom i szuanom z Wandei. Zabijania księży, mordowania ich, topienia ich w Sekwanie nie da się przesłonić żadnym humanitarnym językiem dzisiejszej poprawności. To były po prostu zbrodnie. Stolica Apostolska nie mogła więc uznawać rewolucji francuskiej za nosiciela jakiegokolwiek postępu. Świadczył o tym słynny *Syllabus błędów* z 1864 r., w którym Pius IX piętnował wszystkie „-izmy” pochodzenia rewolucyjnego. A sprawa polska? Ano właśnie... Napięcie, które niejako rozładowywał polski Kościół, polscy biskupi, polscy kapłani, polegało na tym, że należało wyjść nie z propagandową tezą ówczesnego świata, ale z tezą, która burzyła tamten dualistyczny porządek. Tę tezę udało się wprowadzić szczególnie mocno na teren Kościoła i ówczesnego świata po 1831 r., po bulli *Cum primum* Grzegorza XVI, który chciał się wpisać w ówczesny porządek propagandowy i rzekomo bezalternatywny, a został wykorzystany przez dyplomację, do tego rosyjską. Polska dyplomacja, kierowana przez Adama Jerzego Czartoryskiego, czyli Hotel Lambert, wraz z wieloma osobami, w tym będącymi zdecydowanie ludźmi Kościoła, czyli przede wszystkim z zakonem zmartwychwstańców, promowała inną wizję porządku i sprawiedliwości – czyli tych wartości, które wcale nie są najważniejsze w prawie stanowionym, ale w prawie Bożym, a plan Boży nie musi być podporządkowany interesom bieżącej rzeczywistości politycznej. I jeśli chodzi o Stolicę Apostolską, to trzeba to widzieć w takim kontekście.

Będziemy mieli tu też szczególnie porządkujący głos papieża Piusa IX, który dzięki swojej bardzo dużej sympatii do Polski i Polaków, będzie nosicielem tej właśnie prawdy wyrażonej w słowach abp. Felińskiego. Opiszę ją m.in. Włodzimierz Czacki, późniejszy kardynał, w zbiorze pt. *Rzym*. Otóż ta książka *Rzym* Włodzimierza Czackiego, arcybiskupa, kardynała, wychowanka – tak jak Zygmunt Szczęśny Feliński – zmartwychwstańców, to głos, w którym teza brzmi następująco: wszyscy wielcy XIX-wiecznego świata postrzegają sprawę polską tylko i wyłącznie w kontekście własnych bieżących interesów, a jedynym używającym dyplomacji nie w celach polityczno-bieżących, lecz w imię szerzenia wartości, jest Rzym, Kościół, i tego, Polacy, się trzymajcie. I to jest ten niejako podwójny głos: z jednej strony głos Stolicy

Apostolskiej, która odeszła od *Cum primum*, i głos Piusa IX, a z drugiej strony głos hierarchów polskich, w tym przypadku Włodzimierza Czackiego, który był reprezentantem Kościoła powszechnego, a jednocześnie wręcz dwustu-procentowym Polakiem i człowiekiem, który porządkował tę najważniejszą dla nas kwestię, tj. to, czy nasza niepodległość jest dobrem wpisującym się w plan Boży, czy nasza niepodległość jest wpisana w dziedzictwo ludobójczej rewolucji francuskiej. I to właśnie jest tak naprawdę sprawa najistotniejsza w kontekście systematyzowania wkładu Kościoła, ludzi Kościoła, kapłanów w to, by walczyć o Niepodległą i nie mieć w swym sumieniu wątpliwości, że czyni się dobro.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

To frapujący wątek. Powróćmy wszakże z tej wielkiej watykańskiej sceny politycznej na ziemię polskie. Kolej zatem na zabór pruski i te elementy funkcjonowania Kościoła, które na tamtym obszarze były najistotniejsze.

Dr hab. Paweł Skibiński

Patrząc z ogólnopolskiego punktu widzenia, zabór pruski i Kościół katolicki w tym zaborze były niesłychanie istotne. Dlaczego? Ujmując rzecz hasłowo, wskazałbym jako pierwsze hasło Kulturkampf. Wpisuje się w tezę prof. Żaryna o udziale Kościoła w walce o model nowoczesności – o to, czy nowoczesność wyklucza katolicyzm, czy też go nie wyklucza. Niewątpliwie niemieckie poparcie dla Kulturkampfu daleko przekraczało polityczne poparcie dla inspiratora tej polityki, konserwatywnego kanclerza Bismarcka. W walkę o usunięcie katolicyzmu z przestrzeni kultury wpisali się też polityczni przeciwnicy żelaznego kanclerza – liberałowie niemieccy, skłonni poprzeć politykę Kulturkampfu, ponieważ ta zakładała właśnie walkę przeciwko katolicyzmowi w imię nowoczesności.

Polacy byli ofiarami Kulturkampfu niejako podwójnie. Po pierwsze, jako reprezentanci kultury nieniemieckiej, której zresztą Niemcy na ogół nie uważali za jakąkolwiek kulturę, a w każdym razie na pewno nie za kulturę porównywalną z kulturą niemiecką. Po drugie – jako katolicy. Polacy byli istotnymi nośnikami katolicyzmu w Rzeszy, a zwłaszcza w Prusach.

W związku z tym byli podwójnie podejrzani w oczach niemieckich polityków. Nie dość, że byli potencjalnie nielojalni jako nie-Niemcy, to byli również

potencjalnie nielojalni przez to, że byli katolikami. A w tej kwestii liberałowie i protestanci byli zaskakująco zgodni. Przy czym to nie był oczywiście *casus* wyłącznie niemiecki, ale zagadnienie ogólnoeuropejskie.

Drugie hasło to walka o prawa językowe. Jedną z ogromnych wartości, które Kościół katolicki w XIX i w początkach XX w. wносił do polskiej kultury, było użytkowe wykorzystywanie w kościołach języka polskiego w przestrzeni publicznej. Poza przestrzenią Kościoła publicznie używanej polszczyzny (może poza Galicją) było bardzo mało, a w Niemczech poza przestrzenią Kościoła nie było jej w ogóle. Dlaczego konflikt szkolny i strajk uczniowski we Wrześni stały się dla całej Polski symbolem walki o prawa narodowe, prawa językowe Polaków? Przecież chodziło tam o możliwość nauczania religii w języku polskim, czyli o ostatnie prawo, które zostało w przestrzeni niemieckiej szkoły publicznej z polskich praw językowych, czyli praw obywatelskich. W związku z tym to nie był przypadek, że walka o język polski była zarazem właśnie walką o prawo katechizacji dzieci w języku rodzimym, w języku narodowym.

Trzeci aspekt, pokazujący także jedność katolicyzmu i polskości w przestrzeni zaboru niemieckiego, to udział polskiego duchowieństwa w polskim życiu publicznym i politycznym, czego podsumowaniem niech będzie procent katolickich duchownych w Polskim Sejmie Dzielnicowym w roku 1918. W gremium zwołanym do Poznania w grudniu zasiadało bodaj 20 proc. księży. Sejm dzielnicowy w Poznaniu był reprezentacją polskiej społeczności, wybraną w sposób raczej wiecowy niż przez zwykłe głosowanie, niemniej stanowił on reprezentatywne przedstawicielstwo Polaków. Fakt, że 1/5 z ponad tysiąca posłów na Sejm Dzielnicowy zaboru pruskiego stanowiły osoby duchowne, to nie był przypadek.

I czwarty aspekt, który nie jest już tak oczywisty i nie wpisuje się w to twierdzenie o pełnej zgodności katolicyzmu i polskości w tym zaborze, to kwestia Śląska i związane z nią pytanie o szersze relacje między katolicyzmem i polityką niemiecką... Kluczowe znaczenie miały w tym kontekście zwłaszcza relacje między Niemiecką Partią Centrum – główną polityczną reprezentacją katolików w Niemczech, prokatolicką partią antykulturkampfową, walczącą z Bismarckiem, niemniej partią niemiecką – a polskim katolicy-

zmem. Niech dającym do myślenia przykładem będzie tutaj fakt, iż Wojciech Korfanty, przykładowy katolik, zerwał współpracę z niemieckim Centrum i przystąpił do Koła Polskiego, w związku z czym nie mógł zawrzeć katolickiego związku małżeńskiego po niemieckiej stronie granicy. Musiał jechać do Krakowa, do abp. Sapiehy, po to, żeby legalnie, po katolicku się ożenić. Bezpośrednią przyczyną tej gorszącej sytuacji był fakt, że Korfanty krytykował naciski duchowieństwa niemieckiego na śląskich katolików, Polaków, by ci nie występowali w obronie swych praw narodowych. Jest to kwestia i postawy niemieckiego Kościoła katolickiego i katolickiej partii Centrum popieranej przez ten Kościół, a także napięcia, które istniało w tej części dzielnicy pruskiej w kontekście kwestii kościelnych, gdyż tam rzeczywiście katolikami byli nie tylko Polacy, lecz także wielu Niemców.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Pora przejść do kwestii związanych z samą I wojną światową. Rozpocznijmy od momentu wybuchu i od problemu, gdzie sytuował się Kościół. Czy jednoznacznie stanął po stronie monarchii, czy też odwoływał się do swej misji?

Ks. prof. dr hab. Józef Wołczański

Chciałbym jeszcze dwa słowa dorzucić do wypowiedzi prof. Chwalby, do wątku o swoście rozumianym galicyjskim katolicyzmie, bardzo poprawnie, niejako blisko ludu. Myślę, że to także jest ciekawy aspekt, ponieważ na stolicach biskupich w Galicji zasiadali wtedy synowie chłopscy. Arcybiskup metropolita Józef Bilczewski był synem chłopca z Wilamowic spod Kęt; bp Józef Pelczar, kilkakrotny dziekan Wydziału Teologicznego oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny uczony, był synem chłopca z Korczyny; bp Leon Wałęga, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, to także syn chłopski. Kraków również miał skłonności w tym kierunku, ponieważ tam obowiązki biskupa pomocniczego pełnił bp Anatol Nowak, który był z kolei synem kolejarza, dróżnika kolejowego z Kańczugi w diecezji przemyskiej. Ale uznano – dosłownie uznano, bo tak myślał namiestnik Leon Piniński – że Kraków powinien mieć kogoś bardziej reprezentatywnego i że w zasadzie arystokracji też coś się należy. Dlatego zgodzono się na księcia Adama Stefana Sapiechę. Jest jeszcze jedna ciekawa, choć szczegółowa kwestia w odniesieniu

do ks. Stanisława Stojalskiego, ludowca, napiętnowanego przez Kościół za swoją bardzo progresywną naukę społeczną – dziś prawdopodobnie zostałby on uznany za świętego, ale wtedy wyprzedzał swoją epokę o kilka dekad. Otóż po jego stronie stał abp Bilczewski i mimo że musiał go napiętnować za jego bardzo rewolucyjną, radykalną działalność, to jednak był zdania, że trzeba go pozyskać, zdobyć wartościami humanitarnymi, ludzkimi, kościelnymi. W tamtym czasie to był ewenement, ponieważ ówczesny kardynał, a wcześniej biskup pomocniczy lwowski Jan Puzyna, robił wszystko, żeby Stojalskiego usunąć z pola widzenia.

Kościół katolicki po wybuchu wojny z uwagą przypatrywał się wydarzeniom rozgrywającym się w tym czasie na ziemiach polskich. Idea powstania państwa polskiego nurtowała biskupów od zawsze, mówiono przecież: Kościół z narodem. Była to więc organiczna, Kościół rozumiał lud i dbał o jego najżywsze, najbardziej integralne interesy, choć biskupi musieli w tym czasie reprezentować jakąś rację stanu. Arcybiskup Bilczewski jako metropolita lwowski był patriotą najlepszej próby, nie mógł jednak pozwolić sobie na wystąpienia, które godziłyby w austriacką rację stanu. Inną postawę przyjął jego biskup pomocniczy Władysław Bandurski – ten z kolei był szermierzem patriotyzmu na wszystkich możliwych polach. I kiedy ta jego radykalna działalność bardzo dokuczyła namiestnikowi, który musiał zachować przecież postawę lojalności wobec państwa austro-węgierskiego, napisał on do abp. Bilczewskiego list z upomnieniem: Księżu Metropolito, zróbcie coś z Bandurskim, bo on nawet przy poświęceniu ślizgawki mówi o wolnej Polsce! To była – w dobrym rozumieniu tego pojęcia – obsesja Bandurskiego, który każdą okazję wykorzystywał do promowania, propagowania idei polskości i państwa polskiego. Oczywiście abp Bilczewski w swoich notatkach i w dziennikach, które zachowały się do dziś, nie kryje swojej sympatii i tęsknoty za wolną ojczyzną, ale też jako realista wiedział on, że w ówczesnej sytuacji realizacja tej idei nie jest łatwa czy wręcz możliwa. Podobne nastawienie miał lwowski arcybiskup ormiańskokatolicki Józef Teodorowicz. On także był szermierzem idei polskości. Był bardzo wyrafinowany w swoim myśleniu o racji stanu, bardzo inteligentny w swoich publicznych wystąpieniach, przemówieniach, w których wyrażał głębię bardzo radykalnych

postulatów, ale ubranych w szatę tak subtelną i podanych tak inteligentnie, że w zasadzie można było przyjąć to jako akt całkowitej lojalności wobec państw zaborczych.

Oczywiście w innych zaborach biskupi również reprezentowali różne opcje, co najczęściej było spuścizną czasów zaborczych. Arcybiskup Teodorowicz, pisząc do swego przyjaciela Stefana Adama księcia Sapiehy, ówczesnego sekretarza papieża Piusa X i późniejszego biskupa krakowskiego, często narzekał, że biskupi Królestwa Polskiego są podszyci strachem, zbyt strachliwi w swoich działaniach politycznych, to znaczy lękają się jakiegokolwiek śmielszego kroku w kierunku wyrażenia istotnych spraw nurtujących społeczeństwo, a także chyba ich samych, choć nie mają odwagi nazwać tego po imieniu. Prawdopodobnie ciążyła na nich formacja zaborcza, tego ultralojalizmu wobec państw zaborczych, w tym wypadku względem Rosji, która nie pozwalała im zdobyć się na jakiś śmielszy, wyraźny krok. Oczywiście w miarę rozwoju sytuacji i dojrzewania powstania państwa polskiego te wystąpienia biskupów były śmielsze, odważniejsze i bardziej radykalne. I chyba w zasadzie już żaden z biskupów tamtego okresu, z wyższych hierarchów, nie może być posądzony o brak patriotyzmu, o brak lojalności wobec idei narodowej. Być może owa postawa była zbyt słabo wyrażana, niemniej kondensowała się w niej ta istota myślenia o Polsce jako o ziemiach złączonych z trzech zaborów i idea państwa niepodległego.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

To rzeczywiście znakomity wstęp, abyśmy podjęli tu niektóre wątki, choćby te dotyczące czynu legionowego czy kwestię utrzymywania tkanki społecznej.

Warto jednak zasygnalizować wątek związany z innymi wyznaniem, które przecież także były obecne na ziemiach polskich. Chodzi na przykład o problem, który pojawił się w Galicji w odniesieniu do grekokatolików, w odniesieniu do prawosławnych, to jest problem represji związanych z postrzeganiem tych grup narodowo-wyznaniowych jako moskalofilskich, jako nielojalnych wobec państwa Habsburgów.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Rzeczywiście Galicja jest dobrym przykładem rosnącego napięcia między grekokatolikami i rzymskimi katolikami. Rola Cerkwi greckokatolic-

kiej jako akuszerza narodowej tożsamości Ukraińców jest bezdyskusyjna. To Cerkiew zapewniała rozwój ukraińskiej idei narodowej. Kapłani greckokatoliccy organizowali stowarzyszenia oświatowe, kulturalne, spółdzielnie, banki ludowe, wskutek czego ich związek z masami ludności włościańskiej był bardzo mocny. Z tego wynikał również autorytet Cerkwi. Ale inicjatywy cerkiewne nieraz zderzały się z łacińskimi i polskimi inicjatywami społecznymi, biznesowymi i kulturalnymi w Galicji Wschodniej. Prowadzić to musiało do sporów i waśni. Dobrze to widać na przykładzie Lwowa, gdzie z jednej strony, sytuują się abp Bilczewski oraz abp ormiańskokatolicki Teodorowicz, z drugiej zaś strony – abp greckokatolicki Szeptycki. Relacje między nimi były coraz bardziej napięte. Cerkiew mogła liczyć na wsparcie ze strony władz austriackich, które uważały, że silny obrządek greckokatolicki będzie stanowił skuteczną barierę przed propagandą i ekspansją prawosławia rosyjskiego. Podczas wielkiej wojny olbrzymia większość Ukraińców pozostała wierna Cerkwi, niemniej nie brakowało środowisk, moskalofilskich, w tym i kapłanów greckokatolickich, którzy opowiedzieli się po stronie Rosji i prawosławia. Na nich spadły surowe represje c. i k. monarchii. Jawne faworyzowanie Cerkwi przez rządowy Wiedeń potęgowało też napięcia między jednym a drugim obrządkiem katolickim. Politykę tę Austriacy kontynuowali podczas wielkiej wojny. Relacje między Cerkwią a Kościołem rzymskim stawały się coraz trudniejsze. Rosnące napięcie, a także społeczna radykalizacja prowadziły także do wzmocnienia treści narodowych w przesłaniu polskich kapłanów. Szczególnie było to widoczne w 1918 r. w następstwie traktatu brzeskiego, zawartego między państwami centralnymi a Ukrainą (URL), który przewidywał, że jeszcze podczas wojny nastąpi przekazanie Ukraińcom Chełmszczyzny i Podlasia i – co nie mniej istotne – dokonanie podziału kraju koronnego Galicja na dwie części: część wschodnią, ukraińską, ze stolicą we Lwowie, i polską – ze stolicą w Krakowie. Rzeka San miała być mniej więcej granicą, na której stykałyby się ze sobą oba kraje koronne. Ujawnienie tych planów spowodowało, z jednej strony, organizowanie przez kapłanów greckokatolickich manifestacji na rzecz wolnej Ukrainy, a z drugiej – uaktywnienie kapłanów rzymskokatolickich po stronie polskich aspiracji narodowych i niepodległościowych – i to na skalę wcześniej

niespotykaną. Liczni polscy kapłani stanęli na czele manifestacji przeciwko monarchii habsburskiej, a jednocześnie przeciwko „brzeskiej” wizji ukraińskiej państwowości.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Dodajmy, że Kościół prawosławny z początku wojny z powodu represji ma świętego – ks. Maksyma Sandowicza, który został rozstrzelany w Gorlicach 6 września 1914 r., właśnie z powodu jego sprzeciwu wobec monarchii. Powróćmy zatem do stosunku Kościoła do czynu legionowego. Z jednej strony, jest tu bp Bandurski, są kapelani legionowi – wymienię choćby ks. Panasia czy o. Kosmę Lenczowskiego – ale z drugiej strony, mamy biskupa kieleckiego, mamy biskupa sandomierskiego, czyli mamy postawy innego rodzaju. Jak to tłumaczyć?

Prof. dr hab. Jan Żaryn

Moim zdaniem należy to tłumaczyć głównie tym, że księża katoliccy, przede wszystkim z zaboru rosyjskiego, zostali niejako związani wizją odzyskiwania przez Polskę niepodległości, bardzo mocno opartą na tym, co udało się wypracować obozowi narodowemu na przełomie XIX i XX w. Otóż trzeba sobie zdać sprawę z tego, że mówimy tu o pokoleniu, które nazywamy pokoleniem niepokornych, i trzeba być świadomym tego, że w tym pokoleniu mamy do czynienia także z kapłanami. Tak jak Piłsudski, Dmowski, Paderewski, Daszyński i inni, tak i polscy kapłani tego czasu, przełomu XIX i XX w., przeżyli traumatyczne skutki powstania styczniowego, w tym spadek animuszu na rzecz walki o Polskę Odrodzoną, i w tej traumie się wychowywali, a następnie ją przezwyciężyli. W związku z tym żyli oni, jako część polskiej inteligencji, w tej samej rzeczywistości problemów ogólnopolskich co inni. Ale inaczej na to wszystko reagował ks. Piotr Wawrzyniak w zaborze pruskim, a inaczej ks. Marcei Godlewski, tworząc w 1905 r. Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, by przeciwstawić się zgubnym wpływom socjalistów. Reakcje były bardzo różnorodne, bo też paleta możliwości w Kościele katolickim była dużo większa na rzecz podtrzymywania polskości i wiary. Polska XIX-wieczna pobożność była kultywowana przez parafie, przez pielgrzymowanie do kilkuset sanktuariów, w tym na Jasną Górę, była też kultywowana, szczególnie po objawieniu w Gietrzwałdzie w 1877 r., właśnie tam,

gdzie w czasie niemieckiej walki w ramach Kulturkampfu Matka Boża jakże pięknie wpisała się w obronę polskiej racji katolickiej, mówiąc do dzieci po polsku. To wszystko dowodzi wielkiej różnorodności misji Kościoła i jego kapłanów na rzecz budowania nowoczesnego narodu polskiego, pobożnego jednocześnie i przez to nadal polskiego. Mogącego przeciwstawić się prote스탄ckim imperialistom z Niemiec i prawosławnym z carskiej Rosji. Bogactwa patriotycznych postaw kapłanów, którego my tutaj nie wyczerpiemy, jeśli chodzi o ich nazywanie, może pozazdrościć niejedna grupa zawodowa polskiej inteligencji.

Ale w tym bogactwie mieści się wspomniane pokolenie niepokornych. Kapłani, przede wszystkim z zaboru rosyjskiego, niewątpliwie kontestowali hierarchię. Ksiądz abp Wincenty Teofil Popiel-Chościak nie należał do ulubieńców zdecydowanej większości kapłanów z zaboru rosyjskiego, bo zdecydowana ich większość opowiadała się za tym, co robiła Liga Narodowa. Świadectwem niech będzie to, że w grudniu 1905 r. na zorganizowanym w Warszawie zjeździe kapłanów pojawiło się ponad 400 księży z terenów dawnego Królestwa Polskiego czy Kraju Przywiślańskiego, oczywiście w zdecydowanej większości z Warszawy i okolic. Najważniejsze w tym gronie nazwisko to nazwisko przewodniczącego zjazdu, późniejszego biskupa lubelskiego – ks. Mariana Fulmana. Podkreślam to, że był to późniejszy biskup lubelski, ponieważ kapłani związani z Ligą Narodową, czyli z opcją prorosyjsko-endencką w czasie I wojny światowej, bardzo często później zostawali polskimi biskupami i arcybiskupami. Między innymi wspomniany tutaj abp Józef Teodorowicz czy abp kard. Adam Stefan Sapieha znajdowali się w tej intelektualno-polskiej orbicie związanej z myśleniem o polskiej racji stanu: jak Polska ma być odbudowywana i jak w ogóle o nią walczyć, i wpisywali się w szeroko pojęty plan czy orientację obozu narodowego, tworzonego, jeśli chodzi o myśl koncepcyjną, przez Romana Dmowskiego i współpracujących z nim konserwatystów oraz narodowców. Wpisuje się w to też m.in. późniejszy biskup i arcybiskup poznański Walenty Dymek. Podkreślam rangę tych kapłanów, dlatego że to były autentyczne autorytety polskiego Kościoła, szczególnie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Równocześnie, na przełomie XIX i XX w., a więc gdy byli jeszcze młodzi, kontestowali oni

trójlojalizm i daleko idącą czy może – przynajmniej ich zdaniem – zbyt daleko idącą troskę o to, by przez lojalizm wobec władz zaborczych chronić strukturę Kościoła.

Należy też pamiętać, że Kościół w zaborze rosyjskim po powstaniu styczniowym był tak mocno represjonowany, że skoro już udało się Leonowi XIII dać temu Kościołowi choć trochę szans na odbudowę, to hierarchowie – i trudno się temu dziwić – w imię swojej odpowiedzialności raczej troszczyli się o zachowanie minimum egzystencji Kościoła, niż z ochotą zajmowali się wprowadzaniem ludzi do Ligii Narodowej czy do jakiegokolwiek innej struktury nielegalnej o aspiracjach politycznych. Z kolei, z punktu widzenia ideologicznego, niewątpliwie paleta orientacji honorujących ziemski wymiar istnienia Kościoła, jego instytucji i materialnej kondycji, była ograniczona przede wszystkim do partii konserwatywnych. Antyklerykalizm ruchu ludowego krzyżował się z jednoczesną pobożnością chłopów polskich.

Dlatego też w 1914, w 1915 r., kiedy po stronie austro-węgierskiej zaczyna się tworzyć, a potem idą do boju Legiony, bez wątpienia zarówno znaczna część biskupów – m.in. przywołany tu biskup kielecki – jak i znaczna część kapłanów po prostu uznaje, że jest to dla sprawy polskiej mylna droga. Biskup kielecki, który był przez legionistów oskarżany o to, że przez niego miasto zamykało przed nimi drzwi i okiennice – choć jest to wizja nieprawdziwa – był polskim patriotą, ale w swej racjonalnej ocenie rzeczywistości uważał, że była to hucpa kilkuset młodych chłopaków, którym się wydawało, że można pokonać europejskie potęgi za pomocą szabelki. Zapewne myślał: w powstaniu styczniowym też mieliśmy takich rycerzy – i czym to się skończyło? Nie twierdzę, że miał do końca rację, ale z kolei opowieść o tym, że bierność i czynność można przeciwstawiać tylko i wyłącznie na poziomie perspektywy ówczesnych legionistów, jest po prostu ograniczonym i słabym postrzeganiem ówczesnej skomplikowanej rzeczywistości. Podobnie zareagował na pojawienie się legionistów w Oblęgorku jego właściciel Henryk Sienkiewicz. I wyjechał do Szwajcarii, by do końca swego życia organizować pomoc charytatywną na rzecz Polaków.

Bardzo szybko jednak odkryjemy wielu kapłanów polskich zarówno po stronie austro-węgiersko-niemieckiej, jak i po stronie endenckiej. Okazuje się

bowiem, że nie jest najistotniejsze to, jaka jest wizja walki o polskość i o Polskę z punktu widzenia posługi kapłańskiej, skoro we wszystkich pierwszowojennych formacjach zbrojnych odnajdujemy kapelanów wojskowych. Kapelanów wojskowych zobaczymy zarówno w Legionach z bp. Władysławem Bandurskim na czele, w armii gen. Józefa Hallera czy wśród oddziałów powstańczych, szczególnie w powstaniu wielkopolskim, m.in. z ks. Józefem Prądyńskim. Co więcej, jak wspominał Józef Sierociński, szef gniazd Sokoła na terenie Stanów Zjednoczonych, to ambona była miejscem pierwszego werbunku ochotników ze Stanów Zjednoczonych, przez Sokoła, do Błękitnej Armii. Widać w tym tę właśnie wspaniałą rolę ambony i konkretnej grupy kapłanów żyjących na emigracji, podtrzymujących w Polonii niepodległościową tradycję, nawołujących Polaków do tego, by w imię Boga służyli ojczyźnie, jak to powiedział abp Zygmunt Szczęśny Feliński, nawet zbrojnie, kiedy są do tego warunki. Tak więc kapelani wchodzą do armii Hallera i do formacji biorących udział w powstaniach – we wspomnianym powstaniu wielkopolskim i w powstaniach śląskich, szczególnie w III powstaniu śląskim. Nie było takiego miejsca, w którym biliby się Polacy, a nie byłoby obok nich kapłana. Kapelani wojskowi są elementem nie tylko XIX-wiecznej tradycji powstańczej, ale też wielkiej tradycji I wojny światowej i wojny 1920 r., z ks. Ignacym Skorupką na czele, bo byli w Legionach Piłsudskiego i w pozostałych legionach walczących po stronie austro-węgierskiej, jak też wśród tych wszystkich, którzy walczyli po innych stronach – przez co nie byli gorszymi Polakami.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

W armii Hallera czy w korpusach obecność kapelanów – którzy rzeczywiście byli wszędzie, byli również później, także na frontach w czasie walk o granice – była zrozumiała. Tymczasem w potocznym odbiorze, zwłaszcza z początku wojny, do boju o niepodległą Polskę poszli – by użyć kolokwializmu – w zasadzie „czerwoni”, czyli socjaliści. A jednak poszli tam też kapelani. Czym to tłumaczyć?

Dr hab. Paweł Skibiński

Po pierwsze, prawdopodobnie chodzi o to, że Kościół powszechny uważa, iż trzeba pracować nad zbawieniem dusz ludzkich w ogóle, również tych „czerwonych”. To było i jest bardzo trudne zadanie, ale niewątpliwie potrzebne.

Po drugie, już nie żartem: środowiska niepodległościowe to jednak nie tylko „czerwoni”, nie tylko osoby inspirowane socjalizmem. Na przykład Władysław Sikorski nie był socjalistą nigdy, a działał najpierw w ruchu paramilitarnym od jego zarania, potem służył w formacjach walczących po stronie austriackiej. Tak samo było z Józefem Hallerem. Był to przecież legionista, przez całe swoje życie praktykujący katolik i gdyby mu powiedziano, że jest „czerwony”, to, jak myślę, byłby bardzo zdziwiony.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Nie chciałbym, byśmy poszli w stronę nadmiernych uproszczeń. Mówię o odbiorze społecznym, przynajmniej o tym, jaki on był na początku działań legionowych. I jest tu realny problem, że pojawia się dychotomia między tym, jak to jest postrzegane, malowane w przestrzeni publicznej, a obecnością kapelanów.

Dr hab. Paweł Skibiński

Wskażę jednak jeszcze dwie istotne sprawy. W odniesieniu do czynu powstańczego, a ma to znaczenie w kontekście Legionów, istnieje moim zdaniem kluczowa homilia abp. Józefa Teodorowicza z 1913 r. z rzymskokatolickiej archikatedry lwowskiej. W niej arcybiskup podsumował doświadczenia czynu powstańczego Polaków, oczywiście w kontekście przypadającej wówczas rocznicy powstania styczniowego. Znalazła się tam genialna egzegeza tego, czym jest czyn zbrojny Polaków, gdzie są wartości moralne za tym idące, a jakie znaczenie mają ograniczenia polityki realnej, które też istnieją. Ta egzegeza pokazuje całą złożoność stosunku Kościoła do czynu zbrojnego. A jednocześnie jest przepojona własną myślą abp. Teodorowicza, członka Ligii Narodowej.

Natomiast jeśli chodzi o to, jaki jest stosunek Kościoła i duchownych do czynu powstańczego, czynu legionowego, aktywnej polityki w celu odzyskania niepodległości, to trzeba powiedzieć, że on był rzeczywiście bardzo złożony. Był zresztą problem z konkretnymi postaciami, jak bp Bandurski, który do Legionów trafił w znacznej mierze jako człowiek znajdujący się w konflikcie z władzą kościelną. W tle tych wydarzeń znajduje się bardzo skomplikowana relacja między nim jako biskupem pomocniczym lwowskim a abp. Józefem Bilczewskim, ordynariuszem lwowskim.

Powracając do postaci abp. Teodorowicza, to warto zwrócić uwagę, że był on osobą bardzo ważną dla prawej strony polskiej sceny politycznej, był politycznym przeciwnikiem czynu legionowego. Cóż jednak dzieje się w momencie, kiedy zakończyła się I wojna światowa? Arcybiskup Teodorowicz był pierwszą osobą, która na terenie parlamentu austriackiego mówiła o polskiej niepodległości – został nawet za to upomniany i wyrzucony z mównicy, podobno jako jedyny mówca w dziejach izby wyższej parlamentu austriackiego, ponieważ złamał wtedy wszystkie reguły państwa austro-węgierskiego. Z tych obserwacji nie układa się prosta konstatacja, że lwowski hierarcha, jako osoba związana z ruchem narodowym, był wrogiem aktywnego zabiegania o niepodległość Polski. Niewątpliwie jednak był on politycznym przeciwnikiem tzw. obozu niepodległościowego. Jednak spór z tym obozem polegał na tym, że arcybiskup chciał w innym rytmie niż przedstawiciele tego obozu, innymi metodami tę niepodległość osiągać, a nie że jej był przeciwny.

Istotne jest, by zauważyć, że wśród katolickich duchownych, tak jak to miało miejsce także wśród ogółu Polaków, istniały różnice polityczne i że do Legionów jako ich kapelani trafiali nie wszyscy kapłani, ale konkretni ludzie o specyficznej wrażliwości społeczno-politycznej. Jednak bezsporny pozostaje także inny fakt, że większość oficerów legionowych z katolicyzmem rzeczywiście miała niewiele wspólnego. I w ich przypadku ówczesne stereotypy społeczne na temat Legionów byłyby chyba uzasadnione, przynajmniej jeśli chodzi o I Brygadę. Bo w II był właśnie Józef Haller i jego ludzie, w ich przypadku na postawy religijne i światopoglądowe trzeba patrzeć zupełnie inaczej.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Najpierw kwestia natury ogólniejszej. W naszych polskich debatach o Legionach nieustannie odnotowujemy zderzenia dwóch obrazów: dziejów Legionów odczytywanych z dokumentacji źródłowej, z białą, a także z czarną ich legendą. Także w publicznych debatach, w mediach, łatwo dostrzec zderzenie historii Legionów z pamięcią o Legionach. W białej idealizacji Legionów nie znalazło się miejsce na wątki religijne i kościelne. Niewiele też miejsca zajmuje duszpasterstwo legionowe.

Podjęmę jeszcze trzy kwestie szczegółowe. Pierwsza: biskupi wobec czynu legionowego. Trudno oczekiwać, aby biskupi, poza wspomnianym bp. Bandurskim, akceptowali formacje legionowe, gdyż postrzegali je jako socjalistyczne, anarchizujące i jako żydowskie – kapłani, podobnie jak i wierni, zwłaszcza w zaborze rosyjskim tak je widzieli, jako galicyjsko-socjalistyczno-żydowskie. Taki był społeczny odbiór Legionów, co dokumentują liczne i różnorodne źródła historyczne z tego czasu. Dlatego reakcja bp. Łozińskiego, bp. Ryxa, a również niektórych biskupów galicyjskich, nie mogła być inna. Także związany z opcją chrześcijańsko-demokratyczną i narodową bp Sapieha był zdystansowany do Legionów, aczkolwiek skierował do nich znakomitego kapelana.

Druga: legionieści też byli podzieleni, jeśli chodzi o stosunek do religii i Kościoła. W publikowanych tekstach informacyjnych I Brygady, przynajmniej w pierwszym okresie jej walk, nie pojawiało się zdanie o nabożeństwach niedzielnych, inaczej niż w II Brygadzie. Ale legionieści „żelaznej” brygady kojarzeni z Hallerem reprezentowali tradycje lwowskich narodowców. Z tego zresztą brała się sarkastyczna opinia I Brygady o II Brygadzie i określenie „biskupi”.

I ostatnia kwestia: kapelani. W ówczesnych armiach powinni być kapelani, a Legiony stały się normalnym wojskiem. Kapelani oddelegowani do pracy w Legionach w większości się sprawdzili. Byli ofiarni, odważni, zapobiegliwi. Wynosili nawet rannych z pola walki.

Ks. prof. dr hab. Józef Wołczański

Myślę, że godzien podkreślenia jest tutaj wątek ks. bp. Bandurskiego, ponieważ jest to postać dla tego czasu, powiedziałbym, sztandarowa, ale też niezwykle tajemnicza. Jest kilka panegirycznych publikacji na jego temat, ale są to rzeczy powierzchowne i chyba całkowicie niepogłębione źródłowo. A trzeba sobie powiedzieć jasno, że bp Bandurski został biskupem pomocniczym lwowskim przypadkowo – była to intryga bp. księcia Sapiehy, wtedy jeszcze sekretarza papieża. Otóż Sapieha jako ksiądz lwowskiej archidiecezji miał złe kontakty z Bilczewskim – zwolnił się z funkcji wicedyrektora seminarium, wskutek czego popadł u Bilczewskiego w niełaskę i potem siedział kilka lat bez zajęcia. To było trochę frustrujące dla obu stron – i dla Bilczew-

skiego, i dla księcia Sapiehy, i dla całego towarzystwa, że oto młody duszpa-sterz, do tego książę, siedzi tak we Lwowie, wprawdzie w pałacu biskupim z Bilczewskim jako szef społecznych organizacji kościelnych, ale bez żadnej funkcji. I nagle został właściwie kapelanem i sekretarzem papieża. Wtedy, chcąc się „odegrać” na Bilczewskim, podsunął mu osobę Bandurskiego, którego Bilczewski wcale nie proponował, bo Bilczewski miał na oku swojego współpracownika, ks. Bolesława Twardowskiego, późniejszego swojego następcę. Bandurski zaś był w tym czasie kanclerzem kurii krakowskiej przy Puzynie, kanonikiem kapituły krakowskiej, znakomitym mówcą, świetnym konferencjonistą, był też patriotą czystej wody. I gdy przyszedł on do Lwo-wa, doszło do konfrontacji z Bilczewskim. Bilczewski to również złotousty kaznodzieja, wielkiej klasy człowiek, wielkiego formatu. I oto tak spotykały się te dwie wielkie osobowości, tak różne od siebie.

To nie było chyba tak, że Bandurski poszedł do Legionów wskutek jakie-goś konfliktu, bo nie miał innego wyjścia. On po prostu żył taką ideą, a do Legionów poszedł dlatego, że zobaczył tam dla siebie misję narodową, której mógł się z pełnym przekonaniem oddać, i to była jego odpowiedź jako Polaka. Dowodem na to był nawet dość teatralny fakt, że właściwie pozbył się wtedy swoich utensyliów biskupich, czyli łańcucha biskupiego, pastorału, pierścienia – a wtedy to były rzeczy złote, może srebrne złoc-
ne – podarował to Legionom. Niestety, potem zaczął robić kwestę na ten cel wśród inteligencji i Polaków w Wiedniu, co wywołało reperkusje. Nie-bawem odszedł także z urzędu biskupa we Lwowie, ale nie dlatego, że się go pozbyto za działalność polityczną, lecz były po temu powody natury moralnej, bardzo poważne, niezwykle dramatyczne, poświadczane źró-dłowo – w archiwach watykańskich są na ten temat źródła, niepodważal-ne i właściwie niekwestionowane. Został zdeponowany z funkcji biskupa pomocniczego lwowskiego w roku 1917, będąc wtedy, już od początku I wojny, w Wiedniu. Po tym przeniósł się w zasadzie do Wilna i tam mógł już całkowicie oddawać się swojej pasji związanej z Legionami. Bo to była z jego strony czysto ideowa sprawa, nie jakaś determinacja ani też kara, ani zesłanie. Zapewne funkcja tzw. kapelana legionowego to była kwestia jego potrzeby serca i umysłu.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Przejdziemy do jeszcze dwóch, a nawet trzech obszarów. Pierwszy odnosi się do politycznego zaangażowania abp. Kakowskiego. Drugi – podejmowanej przez Kościół wszelkiego rodzaju działalności na polu moralnym i charytatywnym. Trudno też, żeby nie wybrzmiała kwestia obecności na ziemiach polskich w 1918 r. późniejszego papieża Piusa XI.

Prof. dr hab. Jan Żaryn

Rozpocznę jednak od uwagi odnoszącej się do postaci bp. Bandurskiego. Rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że kapłan ten zauroczył się – nie on jeden – konkretną osobą, którą zauroczyli się inni znajdujący się w tej sali Polacy, a był to Józef Klemens Piłsudski. W związku z tym jego życiorys stał się życiorysem kapłana patrioty, który jednocześnie musiał, z różnych powodów, stracić zaufanie zwierzchników Kościoła. Socjalizm nie był bowiem doktryną prokatolicką, a legionści i Brygady stanowili elitę socjalizmu niepodległościowego. I w związku z tym od razu też rozwiążmy problem tego, że nie został on biskupem polowym – został nim późniejszy abp Stanisław Gall – oficjalnie nie ze względu na zaangażowanie w I Brygadzie na rzecz socjalistów, ale ze względu na skutki tego kontaktu, właśnie ze względu na tę „kuchnię”, o której się tu dowiedzieliśmy.

I druga sprawa, którą chciałbym traktować jako porządkującą. Mianowicie kapłani polscy, biskupi w pokoleniu niepokornych – podkreślam tu słowo „niepokornych” – naprawdę mieli prawo być i, co więcej, byli wybitnymi patriotami polskimi, którzy ulokowali swoją wizję odbudowy państwa polskiego nie tylko po jednej stronie. Co więcej, osobiście uważam, że mieli rację ci, którzy zdecydowali się nie popierać Piłsudskiego czy w ogóle koncepcji austro-węgiersko-niemieckiej, ale właśnie tę, która wygrała. Myśmy wygrali I wojnę światową, dlatego że był Dmowski, Paderewski, a nie dlatego, że był Piłsudski. Natomiast Piłsudskiemu zawdzięczamy wiele w okresie od listopada 1918 r. Także kapłani i biskupi w czasie I wojny światowej to rozumieli, oddając się jako ludzie sprawie polskiej po tamtej stronie – jako kapelani, jako biskupi, jako osoby, które także myślały politycznie.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Prawie cała nasza dzisiejsza debata jest poświęcona aktywności politycznej Kościoła instytucjonalnego, aczkolwiek nie była to przestrzeń najważ-

niejsza, gdyż w sferze działań Kościoła najlepiej widoczna podczas wojny jest przestrzeń społeczna.

Skoro jednak wracamy do polityki, to warto przede wszystkim przyjrzeć się aktywności biskupów zaboru pruskiego. Biskup poznański Edward Likowski, który na początku wojny został arcybiskupem metropolitą poznańskim i gnieźnieńskim, uważał, że Niemcy są tak potężne, że Kościół nie może wspierać jakichkolwiek działań antypaństwowych, gdyż spowodowałyby przykre dla Polaków retorsje niemieckiej administracji i armii. Był mistrzem dyplomacji, dlatego jego wypowiedzi zachęcające do lojalności wobec Berlina nie były przez wiernych odbierane jako serwilistyczne. Wiedział, że zdecydowana większość polskiego społeczeństwa zaboru pruskiego nie życzy Rzeszy zwycięstwa. Jego następca, prymas Edmund Dalbor, był związany ze środowiskami, które przygotowywały powrót zaboru pruskiego do Polski, dlatego jego dobrze przemyślane wypowiedzi mogły być odbierane przez Polaków jako znak, że Rzesza nie musi wygrać wojny i dlatego Polacy winni się przygotować na taką ewentualność. W polskiej konspiracji o orientacji antyniemieckiej kapłani nie tylko byli obecni, ale należeli do najaktywniejszych, z których najbardziej znanym i szanowanym był ks. Stanisław Adamski, późniejszy biskup śląski. Wspominaliśmy już, że polscy kapłani zaboru pruskiego, również ze Śląska, sytuowali się na czele pracy narodowej. Posiadali umiejętności nowoczesnej pracy społecznej, w duchu *Rerum Novarum*, dzięki czemu silnie byli związani ze wspólnotami polskimi. Dlatego nie może dziwić, że na czele polskich struktur podziemnych stanął kapłan, ks. Stanisław Adamski.

O Królestwie i Galicji już rozmawialiśmy. Może tylko uzupełnienie odnośnie do abp. Kakowskiego, który spośród hierarchów zaboru rosyjskiego cieszył się największym autorytetem. W pierwszym okresie wojny bliżej mu było do orientacji antyniemieckiej, ale po akcie 5 listopada 1916 r. stopniowo zmieniał poglądy, podobnie jak niektórzy cywilni politycy. Wojska rosyjskie były wówczas już daleko na wschodzie i minął strach, że powrócą. Kakowski, podobnie jak książę Zdzisław Lubomirski, uznał, że jest potrzebny odbudowującej się Polsce. Potrzebnym czynnikiem państwowotwórczym jest także Kościół. Zanim został regentem, wystąpił o zgodę do papieża i ją uzyskał.

Dr hab. Paweł Skibiński

Chciałbym zacząć od abp. Aleksandra Kakowskiego. Powiem przy tym otwarcie, że abp Kakowski nie jest moim ulubionym warszawskim hierarchą, ale jednocześnie muszę mu oddać to, co nakazuje sprawiedliwość.

Arcybiskup Aleksander Kakowski w tradycji warszawskiej jest uznawany za arcybiskupa o niebywalej skromności, bo spoczął nie w katedrze, lecz razem ze swoimi wiernymi na warszawskim cmentarzu komunalnym na Bródnie, na największym cmentarzu warszawskim. Z drugiej strony, trzeba też powiedzieć, że w kwestii reorientacji politycznej abp. Kakowskiego, który – operując pewnym myślowym skrótem – zmienił front z orientacji prorosyjskiej na proniemiecką, najistotniejszym chyba momentem był upadek monarchii rosyjskiej, co zwolniło go z przysięgi, którą jako biskup złożył na wierność carowi.

Druga sprawa, o której należy wspomnieć, to fakt, że abp Kakowski niewątpliwie myślał o skutecznej restytucji polskiego episkopatu jako ciała zbiorowego i działał na rzecz nawiązania przez biskupów współpracy, niezależnie od dotychczasowych podziałów rozbiorowych. W tej dziedzinie, skoro mówimy o jego zasługach, to przypomnijmy, że najistotniejszą заслуżą abp. Kakowskiego było zwołanie w marcu 1917 r. zjazdu polskich biskupów, który ustalał, jak ma działać polski episkopat po odzyskaniu niepodległości.

Był to moment, w którym najistotniejsza w Polsce instytucja społeczna, jaką był Kościół katolicki, oficjalnie powiedziała, że jest jednością ponad podziałami zaborowymi, które się zdezaktualizowały. Na zjeździe polskich biskupów spotkali się hierarchowie ze wszystkich trzech zaborów. Co prawda zabór niemiecki reprezentował samotnie abp gnieźnieński Edmund Dalbor, ale za to reprezentacja bardzo godna, bo to nie była przypadkowa postać. Wszyscy ci biskupi spotkali się w Warszawie, właśnie pod auspicjami abp. Kakowskiego – chociaż ostatecznie to nie on został prymasem Polski, tylko właśnie abp Dalbor.

Jeżeli chodzi o sposób funkcjonowania duchownych katolickich w otoczeniu Rady Regencyjnej, o to, jaką w ogóle rolę odgrywali tam księża, to większość warszawskich duchownych to byli ludzie związani z Narodową Demokracją, a mniejszość była związana z abp. Kakowskim i opcją popierającą Radę Regencyjną, czyli ze środowiskami proaktywnymi.

Wcale nie było więc tak, że abp Kakowski, będąc regentem, reprezentował politycznie Kościół warszawski. Reprezentował przede wszystkim siebie i swoją opcję polityczną. A to, jaką opinię polityczną mieli katolicy warszawscy, uwidoczniło się najlepiej bodajże 14 listopada 1917 r. w wielkim pochodzie narodowym i w hasłach, które tam niesiono. Bynajmniej nie niesiono tam haseł związanych z linią polityczną abp. Kakowskiego, lecz popierało politykę Komitetu Narodowego Polskiego, a w pochodzie uczestniczyło masowo duchowieństwo i sto kilkadziesiąt stowarzyszeń katolickich.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Przejdziemy do istotnej roli Kościoła na innym obszarze. Rozpoczniemy od książęco-biskupiego komitetu w Krakowie.

Prof. dr hab. Jan Żaryn

Dodam jeszcze tylko jedno zdanie dotyczące abp. Kakowskiego. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że gdy w 1917 r. powstaje Rada Regencyjna i abp Kakowski decyduje się na wejście do niej, czyni to także w porozumieniu z dyplomacją watykańską, czyli z papieżem Benedyktem XV, który także ma swoją wizję porządku europejskiego. Wizja Stolicy Apostolskiej i wizja dyplomacji Stolicy Apostolskiej opierała się na założeniu, że najprawdopodobniej wojnę wygrają Niemcy i Austro-Węgry, więc sprawa polska rozwiąże się dzięki sojuszowi z Niemcami i Austro-Węgrami. To drugie państwo – mimo oczywistego nacisku ze strony idei i rzeczywistej woli narodów do samostanowienia – będzie bronione do ostatniej chwili przez dyplomację papieską, z racji prokatolickiej postawy Habsburgów. Arcybiskup Kakowski dostaje więc błogosławieństwo. Gdy w 1917 r. Achilles Ratti przybywa do Polski, też ma błogosławieństwo, żeby wspierać polskie aspiracje, ale ewidentnie w porządku proniemieckim. A wcześniej, bodaj jeszcze w 1916 r., kiedy wysłannik późniejszego Komitetu Narodowego Polskiego przybywa do Rzymu, spotyka się z ówczesnym sekretarzem stanu i tłumaczy, że polską racją jest to, by wygrali Francuzi, Anglicy i Rosja, bo wtedy dopiero Polska odzyska niepodległość i dostęp do morza, to otrzymuje informację, że to jest nieprawdopodobne, jako że siła armii niemieckiej jest tak duża, że nie można liczyć na pokonanie mocarstwa, a zatem i na to, że straci ono polskie ziemie. Aleksander Kakowski jest w związku z tym podwójnie ważną osobą,

bo z jednej strony wpisuje się on w wizję Kościoła powszechnego dotyczącą tego, żeby wojna zakończyła się jak najszybciej i żeby było jak najmniej strat wojennych oraz zmian na mapie Europy. To – dodajmy – jest szalenie ważny wątek, wątek papieża pokoju, jakim chce być Benedykt XV, ale jego wizja idzie w tym kierunku, by w imię powstrzymania cierpień ludzkich nie doszło do totalnej klęski jakiegokolwiek ze stron, a zatem i Niemiec. Aleksander Kakowski próbuje uczynić wszystko, co może, zgadzając się z tą wizją do października 1918 r. A w październiku 1918 r. przestaje się z nią zgadzać. Do października 1918 r. jednak zgadza się z tą wizją i próbuje doprowadzić do tego, by dzięki strukturom Kościoła także sprawa polska miała jak największą siłę przebicia w konfrontacji z potencjalnie zwycięskimi w wojnie Niemcami i Austriakami.

Ks. prof. dr hab. Józef Wołczański

W historii Kościoła w Polsce bp Adam Sapieha, późniejszy kardynał, uchodzi za kwintesencję społecznika. Oczywiście jest to pewien stereotyp – być może zburzę państwa wyobrażenia o kard. Sapieżu, wyrabiane przez dzieściolecia. Otóż on jako zwykły ksiądz lwowskiej archidiecezji został zaangażowany przez abp. Józefa Bilczewskiego, dziś świętego, do pracy społecznej w kurii, gdyż uznano, że nie za bardzo nadaje się na parafię. Nie miał do tego jakichś specjalnych talentów – był dosyć oschły, zamknięty w sobie, był introwertykiem – i uważano, że będzie w kancelarii kurialnej zajmował się sprawami społecznymi. Bilczewski zaczął wtedy interesować się różnego rodzaju akcjami społecznymi w terenie – założył Związek Katolicko-Społeczny, wydał listy o kwestii społecznej, interesował się losem robotników, co było nowością w tym czasie także w Galicji. I właśnie za ten resort pracy społecznej został odpowiedzialny Sapieha. Okazało się jednak, że żadnych z tych działań nie podejmuje. Bilczewski był zrozpaczony, potem zły, potem rozgoryczony, że mimo tych warunków, które mu stworzył, Sapieha nie potrafi albo nie chce działać na tym polu społecznym. Bilczewski był teoretykiem, a Sapieha niczego nie przejął od Bilczewskiego, bo nie chciał, nie potrafił, nie miał, zdaje się, w tym kierunku żadnych skłonności. Kiedy później został kanonikiem kapituły, to oczywiście otrzymywał jakieś wiążące się z tym dochody z dóbr ziemskich, sute nawet, i kiedy oddelegowano go do Rzymu, zażądał przesyłania mu tej pensji kanonickiej do Rzymu. Bilczew-





ski był tym oburzony, gdyż sądził, że te dochody powinny zostać w diecezji, ubogiej przecież, kresowej, potrzebującej wsparcia i wielu środków materialnych. Później Sapieha został biskupem krakowskim. Kiedy sondowano kandydatury na biskupstwo krakowskie, jego najserdeczniejszy przyjaciel Józef Teodorowicz napisał do namiestnika taką opinię o Sapieże: ma szalone kontakty towarzyskie, wpływy europejskie, ale skąpy jest do zenitu – nie da grosza ze swoich pieniędzy na Kościół. To jest opinia jego przyjaciela Teodorowicza, który znał go doskonale.

Oczywiście można by sądzić, że Sapieha to straszny skąpiec. Ale oto, co się dzieje. Przychodzi I wojna światowa i ta sytuacja nagle otwiera go na potrzeby, które go uszlachetniają – Sapieha rozbłyska jako znakomity organizator, jako społecznik. Oczywiście nie była to wyłącznie jego zasługa, ale koncept, pomysł stworzenia owego Książęco-Biskupiego Komitetu Pomocy był genialny: stworzyć na ten cel zaplecze materialne ze składek, z różnych dochodów, środków finansowych publicznych, społecznych i prywatnych. Nie wiadomo, jakie on sam wkładał w to apanaże, prawdopodobnie żadnych... Ale to już sprawa drugorzędna. Dość powiedzieć, że ta idea z czasu wojny, potrzeba społeczna, zrobiła z niego w zasadzie geniusza społecznego. Potem II wojna światowa jeszcze bardziej wzmocniła w nim to wyczulenie na ubogich, na chorych. Oczywiście ekspozytury owego KBK powstały w całej Galicji – we Lwowie, w Tarnowie, w Przemyślu – i niosły ludziom pomoc w sposób bezprzykładowy, a było to potrzebne, konieczne, bo bieda wówczas była ogromna. Ale taka pomoc to nie jest wyłącznie jego zasługa, ponieważ w czasie wojny, zwłaszcza z Ukraińcami, czyli wojny ukraińsko-polskiej w roku 1918–1919, to właśnie Poznań słał całe pociągi żywności dla Lwowa, dla ludzi na Kresach Południowo-Wschodnich, po to, by tym prześladowanym, dziesiątkowanym przez wojska ukraińskie Polakom, mordowanym i właściwie wyrzucanym poza margines życia, dać nadzieję na przetrwanie. Kardynał Edmund Dalbor wysyłał ogromne zasilki finansowe dla Galicji, na ręce abp. Bilczewskiego, żeby pomóc. Oczywiście KBK też działał, ale był za słaby w stosunku do potrzeb społecznych. Tak oto historia stworzyła Sapiechę jako w jakiejś mierze geniusza społecznego – on zaś okazał się autentycznie takim geniuszem, zaangażowanym, szczerym i bezprzykładowie heroicznym.

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba

Kościół potwierdzał swój autorytet społeczny i moralny przez pracę w parafiach razem z wiernymi, którzy żyli zupełnie innymi problemami niż politycznie aktywne elity. I ich problemami żyli również kapłani. Źródła historyczne z czasów wielkiej wojny świadczą o tym, że praca, którą Kościół wykonał wśród mieszkańców zgodnie ze swoją misją, jest imponująca. Kościół jako najważniejsza, trwale działająca instytucja był w stanie, zgodnie z tradycją i wielowiekowym doświadczeniem, organizować pomoc społeczną. A potrzeby były rozmaitej natury i rozległe. Szybko to rozumiał i równie szybko na to zareagował bp Sapieha. Rzeczywiście był typowym centusiem krakowskim, nie możemy tego ukrywać, ale odnajdywał pieniądze na cele ratunkowe w kieszeniach innych, również za granicą. Przekonał papieża, żeby ten wezwał katolików całego świata do pomocy udręczonym katolikom polskim. Płacili Europejczycy, płacili Amerykanie. Może nie były to kwoty imponujące, niemniej były znakiem solidarności z potrzebującymi. To, że na koncie instytucji ratunkowych pojawiły się amerykańskie dolary, franki szwajcarskie i funty brytyjskie, to też był wynik pracy Sapiehy i jego współpracowników świeckich i duchownych. Z pewnością koneksje, jakie miał w Polsce i Europie, wynikające z urodzenia, potrafił doskonale wykorzystać na potrzeby ludzi. Wielokrotnie wspominał o tym Karol Wojtyła.

Sapieha przez KBK oraz inne organizacje, które utworzył, organizował m.in. pomoc dla tych, którzy musieli opuścić Galicję, a było ich kilkaset tysięcy. Żyli w bardzo trudnych warunkach, w obozach na terenie państwa austriackiego. Sapieha organizował także pomoc sanitarną i medyczną. W porozumieniu z władzami oraz uniwersytetem w Krakowie wysłał na teren Galicji studentów medycyny i zespoły medyczne. Zaszczepili przeciwko ospie półtora miliona osób, prowadzili działania profilaktyczne, likwidowali epidemie cholery i tyfusu.

Wspominając o działaniach społecznych Kościoła, nie możemy zapomnieć o bp. Janie Cieplaku, który pracował na Wschodzie i niewiele brakowało, by po przewrocie bolszewickim został rozstrzelany przez czekistów Dzierżyńskiego. Cieplak wraz z kapłanami organizował życie około dwóch milionów katolickich, głównie polskich bieżących. Inicjował pomoc

w obszarze społecznym, kulturalnym, współtworzył teatry, szkoły, ochronki, punkty medyczne, wspierał czynności na rzecz poprawy aprowizacji oraz organizował życie parafialne. To była praca u podstaw: ratujemy nie tylko dusze, ale również ciała. Tylko w roku 1916 przystąpiło do pierwszej komunii świętej, i to w warunkach wojny, w tym w różnych obozach na Wschodzie, 200 tys. dzieci. To dowodzi skali oraz rozmachu pracy służb kościelnych bp. Cieplaka.

Prof. dr hab. Tadeusz Wolsza

W trakcie dyskusji była już wielokrotnie podnoszona bardzo ważna sprawa, o której pragnę powiedzieć coś więcej. Z prostego powodu. Nie została ona niestety rozwinięta. Chodzi o działalność duchowieństwa rzymskokatolickiego, która była nastawiona na inicjatywy oświatowe, ekonomiczne i patriotyczne. Duchowieństwo, nie tylko zresztą w zaborze rosyjskim, ale też na terenie Wielkopolski i Galicji, skupiło swoją uwagę na inicjatywach oświatowych. Chodzi nie tylko o Towarzystwo Czytelni Ludowych w zaborze pruskim – 10 tys. członków, i bliźniaczą Straż – 29 tys. członków, nie tylko o Polską Macierz Szkolną w zaborze rosyjskim – a tam 116 tysięcy młodych ludzi doświadczyło dzięki tej działalności elementarnego nauczania. Mam również na myśli Towarzystwo Szkoły Ludowej w Galicji i kolejne ponad 40 tys. młodych ludzi, którzy zostali dzięki niemu wykształceni. Była to też sieć różnego rodzaju organizacji gospodarczych – np. kółka rolnicze w ramach Centralnego Towarzystwa Rolniczego i inne organizacje gospodarcze (w trzech zaborach ponad 155 tys. członków). Kółka rolnicze wspierała oświata rolnicza w szkołach rolniczych, np. w Nałęczowie, Mirosławicach i Sobieszynie. Obok kółek rolniczych rozwijały swoją działalność straże ogniowe.

Mówię o tym dlatego, że gdybyśmy popatrzyli na składy kierownictw tych organizacji lub inspiratorów, zarówno w zaborze rosyjskim, jak i na terenie Wielkopolski czy Galicji, to zobaczylibyśmy, że pojawiają się tam nazwiska kilkudziesięciu księży zaangażowanych w organizację tych struktur terenowych. Księża ci tworzyli struktury wiejskie, gminne i przyciągali do tej działalności rzesze ludzi, którzy wcześniej w żadne inne inicjatywy nie byli zaangażowali. Chodzi tu również o ogromną tzw. akcję gminną na

terenie zaboru rosyjskiego – akcję spolszczania szkół, wiejskich samorządów i sądownictwa, czyli o pracę u podstaw, bo była to po prostu nauka mówienia i pisanie po polsku, gdyż można było języka narodowego używać w tych trzech instytucjach. Władzom carskim było wygodniej, kiedy chłopci mówili po rosyjsku i w szkole, i w sądzie, i w urzędzie, ale prawo carskie pozwalało na stosowanie języka polskiego. Tzw. akcja gminna w Królestwie Polskim to również zasługa duchowieństwa.

Były też dziesiątki różnych innych organizacji, takich jak Towarzystwo Opieki nad Unitami, Towarzystwo Oświaty Narodowej, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Ludowych, Związek Unarodowienia Szkół (w sumie kilka tysięcy osób), w których aktywność duchowieństwa była również zauważalna.

Była już mowa o unitach w Galicji. Chciałbym dodać wątek królewiacki. Mam na myśli inicjatywę kilkudziesięciu księży, którym udało się zachęcić do współpracy ponad 1500 członków. Sprawa dotyczy organizacji z zaboru rosyjskiego – Towarzystwa Opieki nad Unitami. Warto przypomnieć tu słynną akcję, pielgrzymkę 52 unitów z Podlasia do Watykanu, zorganizowaną przy współudziale duchowieństwa. Papież Pius X przyjął pielgrzymów na specjalnej audiencji. Duchowieństwo katolickie włączyło się również w strukturę Towarzystwa Nauczycieli Szkół Ludowych oraz Towarzystwa Oświaty Narodowej. Opiekę nad tą niezwykle ważną działalnością sprawował obóz wszechpolski.

Próbowałem przed laty podsumować liczebność wszystkich wymienionych wyżej organizacji. Zadanie okazało się trudne, co nie oznacza, że niewykonalne. W sumie w strukturach tych wszystkich organizacji było nie mniej niż pół miliona członków, aktywnie włączających się w zajęcia oświatowe i szkolenia gospodarcze. Jeśli chodzi natomiast o skalę aktywności księży, to na pewno było ich w tym gronie kilkuset. Ci księża byli zaangażowani w działalność oświatową, mniej natomiast interesowała ich walka zbrojna i uczestnictwo młodego pokolenia w organizacjach paramilitarnych. Dlatego być może na przestrzeni pierwszych lat XX w. widzieliśmy księży zaangażowanych w działalność w takich właśnie towarzystwach, rzadziej zaś widzieliśmy ich później, po wybuchu I wojny światowej, wśród legionistów i wokół różnych inicjatyw paramilitarnych. W moim przekonaniu oni swoją misję wypełnili

wcześniej, przed wybuchem wojny. Możemy ich policzyć, nie chcę powiedzieć, że na palcach jednej ręki, ale pewnie słuszniej będzie powiedzieć – na palcach kilkudziesięciu rąk.

Prof. dr hab. Wiesław Wysocki

Pozwolę sobie odnieść się do sprawy ideologicznej. Mianowicie wydaje mi się, że ten socjalizm, który był tutaj tak „ćwiczony” w kontekście Kościoła, wymaga jeszcze pewnego dopowiedzenia. Otóż te tradycje socjalizmu niepodległościowego – myślę tutaj głównie o PPS – są jednak trochę inne niż tego socjalizmu, który my praktykowaliśmy i który można nazwać socjalizmem agenturalnym. I to on znakomicie nawiązuje do wspominatej tradycji ludobójczej rewolucji francuskiej. Socjalizm niepodległościowy zaś, wiążący się tak bardzo z polskim romantyzmem, kształtował świadomość narodową. On był w jakimś stopniu antykościelny, ale też w dużym stopniu akceptował rolę Kościoła. I dlatego właśnie wtedy bp Sapieha wysłał także do „socjałów” z I Brygady kapelanów, a ci znajdowali prędzej czy później swoje pole do działania i akceptację dowódców. Pierwszy wojskowy regulamin dotyczący duszpasterstwa legionowego został ustalony już na początku 1915 r. i wtedy już sprawy religijne znajdowały pełne odbicie w rozkazodawstwie dziennym i pragmatyce wojskowej.

Ewa Kozłowska

Jestem współautorką *Słownika legionistów polskich*. Chciałabym wspomnieć o żołnierzach Legionów Polskich, którzy nie byli wielkimi biskupami, nie uzyskali nawet tytułu księdza, gdyż byli „tylko” uczniami seminariów duchownych. Razem z małymi oddziałami Sokoła czy strzelców poszli oni do Legionów Polskich i zginęli w 1915, 1916 r. Nikt tu o nich nie mówił, a to też bardzo ważna grupa. Byli też w I Brygadzie. W Legionach było naprawdę sporo uczniów seminariów duchownych.

Siostra Teresa Antonietta Frącek

Omawiając wkład Kościoła w odbudowę Niepodległej, należy zwrócić uwagę na działalność Kościoła przez zakony, przede wszystkim zakony żeńskie, które powstawały w XIX w. i szły w lud, i to w każdym zaborze. Odniosę się tylko do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Zgromadzenie to założył abp Zygmunt Szczęśny Feliński, nie w Polsce, ale w Petersburgu.

Jakie miało ono zadanie? Opiekę nad ubogimi dziećmi i kształtowanie ich świadomości katolickiej, ale i polskiej. Rodzina Maryi jako zgromadzenie zakonne, nie mogąc istnieć legalnie w carskiej Rosji, rozwijała się pod osłoną prowadzonych instytucji wychowawczych i opiekuńczych. Siostry spieszyły przede wszystkim tam, gdzie Polacy najbardziej potrzebowali pomocy.

Zgromadzenie nasze, począwszy od Petersburga na północy, po Odesę i Jałtę na południu, organizowało zakłady dla dzieci i osób pozbawionych opieki, jednocześnie były to ośrodki polskości i kultu religijnego. Ponadto w Jałcie i Odessie siostry zaopiekowały się polskimi żołnierzami odbywającymi służbę w rosyjskim wojsku. W samym Petersburgu nasz zakład naukowo-wychowawczy, leżący na Wyspie Bazylego przy XIV Linii nr 25, przez 50 lat był najlepiej prosperującą instytucją katolicką i polską, która nie tylko wychowywała i kształciła młodzież, lecz także była centrum polskości i działalności patriotycznej, organizowała spotkania także dla starszych, oddziałując na nich w duchu katolickim i polskim.

Od 1862 r. siostry rozwijały działalność wychowawczą i opiekuńczą w Warszawie i okolicy, od 1884 r. podjęły pracę oświatową w szkolnictwie w Galicji; ich zakład naukowo-wychowawczy w Czerniowcach był centrum polskości w Rumunii; w Maribo (Dania) niosły pomoc polskim robotnikom sezonowym; od 1906 r. wyjeżdżały grupami do Brazylii, gdzie otwierały szkoły dla dzieci polskich emigrantów, posługiwały przy kościołach, opiekowały się chorymi, podtrzymując ich wiarę, ducha narodowego i polską kulturę.

Nawiążę jeszcze do założyciela Zgromadzenia abp. Felińskiego. Jako arcybiskup warszawski w gorących słowach manifestował miłość ojczyzny: „Polakiem jestem, Polakiem umrzeć pragnę, bo tego chce Boskie i ludzkie prawo. [...] Uważam nasz język, naszą historię, nasze obyczaje narodowe za drogocenną spuściznę po przodkach, którą następcom naszym święcie przekazać powinniśmy, wzbogaciwszy skarbnicę narodową własną pracą” (1862).

Przywiązanie do narodu było dla niego uczuciem świętym, którego się nigdy nie zaprze (1862). Uważał, że prawdziwy patriotyzm polega „nie na głośnych okrzykach, lecz na sumiennej, a wytrwałej pracy dla dobra kraju”. Do tej pracy wzywał cały naród. Dążył do zjednoczenia sił narodowych, do solidarnego działania dla dobra ojczyzny.

Warto też przytoczyć jego charakterystyczną wypowiedź, skierowaną w 1863 r. do imperatora Aleksandra II: „Miłość ojczyzny jest uczuciem równie wrodzonym i mimowolnym jak miłość rodziców, i nikogo nie można za nią winić. Nie jest winą Polaków, że mając świetną i bogatą historyczną przeszłość, wzdychają do niej i dążą do odzyskania utraconej niepodległości. [...] Tego gorącego patriotyzmu nie można Polakom poczytywać za zbrodnię, [...] a prób odzyskania niepodległości, powtarzających się od stu lat, Rosjanie nie mają prawa potępiać”. Dodał też: „Losy narodów są w ręku Boga i jeśli godzina przez Opatrzność do wyzwolenia Polski przeznaczona już wybiła, opór Waszej Cesarskiej Mości nie przeszkodzi wykonaniu Pańskiego wyr[oku], jak opór faraona nie przeszkodził wyzwoleniu Żydów, gdyż plagi są zawsze w ręku Boga” (*Pamiętniki*, s. 593–594).

Memoriał ten ostatecznie przesądził o losie pasterza. Skazany na wygnanie, został wywieziony pod eskortą do Jarosławia nad Wołgą, gdzie spędził 20 długich lat. Wśród cierpień wygnania arcybiskup nie stracił „wiarę w zmartwychwstanie Polski” i ufał, „że błysnie dlań wolności zorza”. Wiarę tę wyrażał w formie alegorycznej, nazywając Polskę matką, „pogrzebaną tylko, ale żywą matką, co czeka tylko chwili otwarcia grobowego wieka, i ufał, że chwila ta nastąpi” (1882).

Jego wpływ na tamtejsze społeczeństwo był znaczny. Powiedziano o nim, że nie tylko „kościół zbudował z niczego”, ale „utrwalił ducha polskiego i katolickiego w trzech pokoleniach”. Zapisał to w swych wspomnieniach ks. Marian Tokarzewski, proboszcz parafii w Jarosławiu nad Wołgą, który w 1913 r., a więc po 30 latach od wyjazdu pasterza z Jarosławia, znalazł na tym terenie żywą tradycję o abp. Felińskim jako o świętym biskupie polskim. Nawet mieszkańcy, przechodząc koło domu, w którym kiedyś mieszkał, zdejmowali nakrycia głowy, żegnali się i mówili: „Tu mieszkał święty biskup polski”.

Nadmienię jeszcze, że kiedy abp Feliński wrócił z wygnania w 1883 r. i zamieszkał we wsi Dźwiniaczka pod zaborem austriackim (tylko tam mógł się zatrzymać), rozwinął na terenie Galicji nie tylko działalność duszpasterską, lecz także społeczną, oświatową i wychowawczą zarówno wśród ludności polskiej, jak i ukraińskiej. Z szacunkiem traktował Polaków i Ukraińców,

szanował ich odrębne obrządki religijne, własną kulturę i zwyczaje narodowe. Zachęcał do współpracy w imię ewangelicznego braterstwa. Wizję przyszłości narodu polskiego i ukraińskiego widział w federacji.

Nasze zgromadzenie w okresie międzywojennym liczyło 1120 siostr i 160 domów zakonnych, tworzących trzy prowincje z domami głównymi we Lwowie, Warszawie i Poznaniu (miało osobne prowincje w Rumunii i Brazylii); dom generalny znajdował się we Lwowie, przy ul. Kurkowej 45. W działalności siostr na czoło wysuwała się praca oświatowa i wychowawcza w 60 szkołach, 44 sierocińcach, 58 ochronkach, 20 internatach, a także szeroko zakrojona praca pielęgniarska i charytatywna w 17 zakładach dla starców, 14 szpitalach i w 80 przychodniach wiejskich. W zasięgu ich działalności znajdowało się ponad 60 tys. osób – dzieci, młodzieży, osób starszych i chorych, w tym 3,5 tys. dzieci (1939). Ich praca w społeczeństwie polskim to także wielki wkład w podtrzymanie ducha polskiego i ducha katolickiego.

Matka Matylda Getter (1870–1968) – wybitna przełożona Prowincji Warszawskiej Zgromadzenia ujęła służbę ojczyźnie w słowach, które ukazują jej miłość ziemi ojczystej, ale też kierunek działalności wychowawczej młodego pokolenia: „Dla Zgromadzenia naszego po Bogu – Ojczyzna jest największą wartością moralną. Ojczyźnie najmilszej służyć pragniemy przede wszystkim przez wychowanie i wykształcenie powierzanej naszej pieczy młodzieży na dobrych, świadomych swych obowiązków obywateli” (1935).

Ta miłość ojczyzny skłaniała siostry w czasie pokoju i kataklizmów wojennych do pochylenia się nad potrzebującymi – dziećmi, biednymi, bezdomnymi, nad tymi, którzy walczyli i pracowali w konspiracji, ale też do otwarcia swych serc i drzwi klasztorów, do podzielenia się chlebem i schronieniem z Żydami, skazanymi w ostatniej wojnie na zagładę przez niemieckiego okupanta; uratowały w swoich klasztorach kilkaset dzieci żydowskich.

Zwrócę jeszcze uwagę na to, że abp Feliński, który żył i działał w okresie niewoli narodowej, nigdy nie zwątpił w powstanie wolnej, niepodległej Polski. Ten przyjaciel Juliusza Słowackiego, związany z wybitnymi osobistościami XIX stulecia, walczył o wolność ojczyzny w powstaniu poznańskim w czasie Wiosny Ludów (1848). Wykształcony w Moskwie i Paryżu, matematyk i humanista, jest autorem *Pamiętników*, wydanych czterokrot-

nie, uważanych do dzisiaj za perłę pamiętnikarstwa XIX stulecia. W tych właśnie *Pamiętnikach* zamieścił znamienne słowa, przez które przebija jego miłość ojczyzny i nadzieja w jej powstanie: „Wszyscy prawi Polacy nie tylko chcą być wolni i niezależni we własnym kraju, ale wszyscy są przekonani, że mają do tego niezaprzeczone prawo i nie wątpią, że prędzej czy później u celu swych pragnień staną i będą znowu samoistnym narodem. Kto nie żąda niepodległości lub o niemożności odzyskania jej zwątpił, ten nie jest polskim patriotą, tego ta umęczona i bolejąca, ale pełna życia matka, nie zna już za syna” (*Pamiętniki*, s. 457).

Kiedy w Galicji toczyła się dyskusja na temat przyszłości narodu polskiego, zabrał w niej głos także abp Feliński; swoje uwagi opublikował w książeczce *Pod wodzą Opatrzności* (Kraków 1888). Zwrócił uwagę: jeżeli Polska będzie wierna swoim zasadom, swemu posłannictwu, swoim wartościom, to sytuacja międzynarodowa, która jest tak napięta, doprowadzi w przyszłości do jakiegoś konfliktu, w wyniku którego powstanie wolna, niepodległa Polska.

Stało się to 30 lat później, po pierwszej wojnie światowej, w 1918 r.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Ten głos poszerza nam to nasze dyskusyjne spectrum, wprowadza nowe elementy. Będziemy próbowali zamknąć naszą dyskusję ostatnim wątkiem – wątkiem Achillea Rattiego w Polsce.

Prof. Jan Żaryn

Osobnym tematem jest w ogóle to długie trwanie Kościoła i polskiej pobożności, polskiej religijności, aktywności kapłanów w XIX w., a także aktywności zgromadzeń zakonnych żeńskich i męskich. Także osobnym tematem, którego nie poruszyliśmy, jest m.in. działalność ojca Honorata Koźmińskiego i skutek tejże działalności, który będzie trwał promieniście przez kolejne dziesięciolecia aż do dzisiaj. Ale wydaje mi się, że jest jeden wątek, który musi być tu jeszcze poruszony w kontekście działalności charytatywnej. Otóż chciałbym, żeby zaistniała tu postać siostry Urszuli Ledóchowskiej, wielkiej Polki i patriotki, osoby świętej, która jeździła po Europie, głównie po Skandynawii, i próbowała tam – z wyjątkową skutecznością – nie tylko zbierać pieniądze na rzecz Polaków cierpiących w wyniku działań wojennych na naszym terytorium, lecz także za sprawą tego apelu o pomoc docierać do

sumień, pokazywać historię Polski i mówić, że Polska może tylko i wyłącznie jako niepodległa powstać po I wojnie światowej.

To połączenie działalności charytatywno-społecznej z niepodległościową niech wybrzmi w jeszcze innej kwestii, mianowicie roli kapłanów z czasu I wojny światowej, którzy wyrastają jako ważna część polskiej inteligencji współtworzącej strukturę stowarzyszeniową, takie jak PCK – ks. Marcelli Nowakowski, czy formacyjne, m.in. polskie harcerstwo. Jednym z najwspanialszych efektów I wojny światowej jest to, że wchodzi w niepodległą Polskę jako już zorganizowane byty nie tylko instytucje państwowe, administracja czy załóżek wojska, lecz także organizacje społeczne, w tym młodzieżowe (np. TG „Sokół”). Wśród tych osób – twórców harcerstwa, nie można nie wymienić ks. Kazimierza Lutosławskiego, współtwórcy ZHP, który udzielał sakramentu małżeństwa Oldze i Andrzejowi Małkowskiemu, pomysłodawcy krzyża harcerskiego, ale było też bardzo wielu innych kapłanów związanych z tym dziełem społecznym.

W tym dziele społecznym, charytatywnym, a jednocześnie w pewnym sensie politycznym, nie może też zabraknąć refleksji, którą można przyjmować jako pewien punkt startu do dalszych rozważań. Nie przez przypadek w parlamencie, w Sejmie Ustawodawczym, znalazło się ponad 30 kapłanów, w następnym zaś sejmie i w senacie – blisko 30. Ludność polska wybierała kapłanów nie dlatego, że byli oni politykami, ale dlatego, że byli autorytetami. Kogo, jak nie ks. Wacława Blizińskiego, mieli wybrać ludzie z Liskowa? Przecież to on tworzył tam rzeczywistość parafialną – był duszpasterzem, lecz także zakładał spółki gospodarcze, kasy kredytowo-oszczędnościowe, życie oświatowe. To wszystko w Liskowie skupiało się na jednej osobie. To ta działalność kapłanów – duszpasterska, kapelańska, społeczno-charytatywna i formacyjna – powodowała ich pozycję społeczną, w tym wysokie miejsce także na scenie politycznej Polski Odrodzonej.

A teraz Achilles Ratti. Oczywiście przybywa on do nas w 1917 r. jako wysłannik Stolicy Apostolskiej i stanie się postacią szalenie istotną z punktu widzenia swego parasola ochronnego Kościoła powszechnego nad formowaniem się struktur kościelnych, formowaniem ich przez episkopat Polski. To formowanie się struktur EP odbywało się przede wszystkim za sprawą

aktywności dwóch prymasów: abp. Kakowskiego – prymasa Królestwa Polskiego i abp. gnieźnieńskiego Edmunda Dalbora, prymasa Polski – czyli tych wyniesionych później przez papieża do kardynalatu. Tworzyli bardzo ciekawy tandem, dlatego że doprowadzą ostatecznie w 1919 r. do usystematyzowania struktur episkopatu Polski. Mimo stosowanych wobec nich prób budowania napięć ambicjonalnych, abp Kakowski zdecydował się złożyć podpis pod protokołem Konferencji Episkopatu Polski nie jako pierwszy, lecz oddać pierwszeństwo arcybiskupowi poznańskiemu i gnieźnieńskiemu, czyli prymasowi Polski – według tytułu, którego trwanie liczono od prymasa Mikołaja Trąby, gdy Rzeczpospolita była wolna i niepodległa, a nie od kongresu wiedeńskiego w 1815 r., gdy była okrojona i zniewolona przez państwa rozbiorowe – choć w Królestwie Polskim posiadała od 1818 r. tytuł prymasa. To nie są szczegóły dyplomatyczne, tylko jest to wizja Kościoła hierarchicznego, który wówczas odbudowuje się po 123 latach na terenie kraju i ma wybitnych kapłanów, którzy są patriotami, w związku z tym rozumieją, jak ten Kościół ma być odbudowany i chce być zgodny z polskim, państwowym, interesem. A wielka zasługa Achillesa Rattiego wiąże się oczywiście przede wszystkim z tym okresem, który jest nam dany jako wyjątkowy czas, czyli z sierpniem 1920 r. – z Bitwą Warszawską. Jest on tym dyplomata, który pozostaje w Warszawie – reszta ewakuuje się głównie do Poznania. On jednak jest w Warszawie i świadczy o tym, że Kościół jest z nami, Polakami. Towarzyszą temu słowa wsparcia papieża Benedykta XV, który błogosławi Polsce – i siebie uratowała i chrześcijaństwo w Europie. I to będziemy im pamiętać.

Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja

Musimy na tym zakończyć, chociaż wątków jest bardzo dużo – niektóre były tylko sygnalizowane. Podkreślam raz jeszcze: liczba problemów, które tu zostały podniesione, pokazuje, jak ważny, jak istotny z punktu widzenia naszych dziejów jest to temat.



KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

